

# MARCIN KĄCKI

Pierwsza powieść reportera

# FAK

# MAJU

# LAF

Żadna z postaci w tej książce nie jest prawdziwa. I żadne wydarzenie nie miało miejsca. A jednak powieść Kąckiego pokazuje współczesność lepiej niż niejeden reportaż. Powstała ze strzępów informacji, niedopowiedzeń, plotek i miejskich mitów.

Marcin Kącki

FAK MAJ LAJF

**znak** *litera  
nova*

Kraków 2017

Nikt i wszyscy ponoszą winę za fakt, że telewizja zawłaszczyła bunt i cynizm jako hipsterskie *imago populi* wyżu demograficznego. Żniwo okazało się jednak ponure: formy naszej najlepszej zbuntowanej sztuki skarłały w zwykłe gesty i sztuczki, nie tylko sterylne, ale też perwersyjnie uzależniające.

D.F. Wallace, *E Unibus Pluram*.  
*Telewizja a fikcja amerykańska*, tłum. J. Kozak

Pytaniem nie jest, co chcemy wiedzieć o ludziach, ale co ludzie chcą powiedzieć o sobie.

M. Zuckerberg, założyciel Facebooka

Zachowanie „News of the World” było sprzeczne z wszystkim, w co wierzę ja i mój syn.

R. Murdoch, właściciel brukowca, podczas przesłuchania  
przed specjalną komisją brytyjskiego parlamentu

Kłamaliśmy rano i wieczorem.

F. Gyurcsány, premier rządu węgierskiego

# Ene...

Papa zajrzał w okular aparatu jak w szczelinę drzwi damskiej szatni. Zachichotał, oblizał wargi, pstryknął. Kropla potu popędziła przez jego skroń w gąszcz bokobrodów. Siedzieli w samochodzie od godziny. Młody, umoszczony na tylnym siedzeniu, wśród pozótkłych gazet, kawałków suchej pizzy i kubków po kawie, spoglądał na przerzedzone, tłuste włosy Papy, związane na potylicy w cienki ogonek. Patrzył też na koniuszek języka, który wysuwał się z ust paparazzi, gdy wystający z okna samochodu jak lufa snajpera obiektyw uchwycił cel. Młody opuścił swoją szybę, ale przeciąg nie zawitał. Papa uznał, że włączanie klimatyzacji, gdy okna służą za otwory strzelnicze, nie ma sensu. Ulica pachniała nagrzanym asfaltem, spalinami, kolekcjami perfum z dominującą nutą cytryny, jedzeniem donoszonym przez kelnerów do restauracyjnych ogródków, uryną z bezbronnych, pozbawionych domofonów bram i nieustannym oczekiwaniem, by zbliżająca się noc była inna niż wszystkie. Obiektyw omiatał fasadę restauracji naprzeciw ich zaparkowanego auta. Celebryci wychodzili na papierosa, znużeni bankietem z okazji jubileuszu jakiejś firmy kosmetycznej.

- A tamten? W niebieskich butach? – Młody wskazał podbródkiem.
- Eeee tam... – jęknął Papa.
- Ten obok? W chuście.
- Stylista. Rok temu... ooo, może i ze dwa koła...
- Czemu potaniał?
- Stracił program w telewizji, jest nikiem.
- A tamta? Z tym czymś na głowie?

– Wawrzyniecka. Ze dwa, może trzy koła. Kręci z tym w płaszczu, co stoi obok, widzisz?

– No, a kto to?

– Król pomidorów, tych małych, koktajlowych.

Papa zdjął palec ze spustu aparatu i przyciskiem podniósł szybę, by odpowiednio dociskała obiektyw. Przeciągnął się jak niedźwiedź, napierając dłonią na sufit samochodu. Nie spuszczając wzroku ze zwierzyny, wymacał w kieszeni czarnej skórzanej kamizelki paczkę papierosów.

– Znaczy, że jakiś ogrodnik? – spytał Młody, pochylając się do przodu, by mokra od potu koszulka odkleiła się od tapicerki fotela.

Papa parsknął.

– Ma dom jak stadion. Raz się w nim zgubił po pijaku i wzywał ochronę, żeby go zanieśli do łóżka. Ale ważniejsze... – podniósł palec wskazujący i środkowy, między którymi dymił papieros – ...że kręci z panią nauczycielką. – Nachylił się do aparatu i pstryknął.

Młody spojrział przez szybę. Wawrzyniecka, wysoka blondynka, około trzydziestopięcioletnia, ubrana w białą, zwiewną sukienkę, przypominającą halkę, witała się z jakimś facetem, który dyskretnie położył rękę na jej pośladku, poza zasięgiem wzroku króla pomidorów. Papa oblizał dolną wargę, pstryknął, spojrział na wyświetlacz aparatu.

– Uuu... mocne! – zachichotał.

– Nauczycielka? – Młody wyjął spod pośladków stary numer „Tylko Życie”, zerknął na tytuł nagłówek wybity żółtą, drżącą czcionką: *Groza! Wrzuciła do pralki swoje dziecko!*

– No gra tą... – Papa zmarszczył brwi – z tego, no... a pieprzą mi się te seriale!

– Pamiętam, że była żoną leśniczego w *Zielonej Dolinie*. Oglądałem to ze starymi, szła tam taka piosenka:

„tylko promień słońca daje znać

tylko szelest liści

Zieloną Doliną idę w dal

by twe serce skraść...”.

– Ona miała wtedy trzydzieczę. – Papa wypuścił dym przez szparę w oknie.

– Teraz na tyle wygląda.

– W zbliżeniu widać jej szwy za uszami.

– Ma jakiś program?

– Nie, ale gra tę nauczycielkę trzeci sezon.

– Wygrała też ten... *Sambę na żywo*, nie?

– Nie. Wygrała pogodynka. Wawrzyniecka była trzecia, za nianią od tego kucharza.

– Miała romans z tancerzem, nie?

– Nie. Z kucharzem.

– Ale Wawrzyniecka...

– Ano tak. Z tym Chińczykiem. Rzuciła dla niego męża, producenta, a jak chciała wrócić, to mąż był już z tą, no, ze stewardesą z *Życia nad chmurami*. – Papa przyłożył oko do aparatu.

– *Podniebne życie*. – Młody uśmiechnął się, zadowolony, że nadażył.

– O, widzę, że młodzież siedzi przed telewizorem.

– Nie, na fejsie czytałem. A tamta w skórze? To chyba Wiśnia, nie? – Młody popukał w szybę, gdy po schodach restauracji schodziła ruda serialowa piękność w skórzanej, obcisłej, czerwonej spódnicy.

– Uuu, fota jej cycków i żyłbym z odsetek od odsetek.

– A tamten? W białej koszulce? – Młody skinął głową na wysokiego bruneta o chłopięcej twarzy, który śmiał się głośno, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę towarzystwa.

Papa przesunął obiektyw. Wyciągnął telefon z kieszeni kamizelki i wybrał numer. Zobaczył, jak brunet sięga do kieszeni spodni.

– Fifi? Widzisz schody? Dandys.

Fifi, czyli brunet o chłopięcej twarzy, jak zauważył Młody, przestał się śmiać i odwrócił się w kierunku schodów, trzymając komórkę przy uchu.

– No właśnie – dodał Papa i rozłączył się. Opuścił szybę z elektrycznym

szumem, a aparat położył na dłoni. Głaskał palcem spust migawki jak cyngiel.

Fifi podchodził już do szpakowatego, gładko ogolonego faceta, pewnie koło pięćdziesiątki, ale nadrabiającego zapiętą na jeden guzik, obcisłą, czarną skórzaną marynarką, spod której wystawał biały T-shirt. Wpuszczone w skórzane oficerki białe spodnie nie nosiły nawet śladu wypchania na kolanach. Dandys trzymał w dłoni cienką, białą laskę, która nie pełniła funkcji inwalidzkiej podpórki, tylko, jak sądził Młody, miała dopełniać obrazu. Mężczyzna podniósł ją, opierając zalotnie o Fifi. Roześmiali się jak starzy kumple. Obok nich zatrzymał się Fercz, krytyk filmowy. Młody pamiętał go z telewizji, z dawnych czasów, gdy jego ojciec podejrzewał krytyka o homoseksualizm, choć akurat tego słowa Młody nigdy z ust starego nie usłyszał.

– To przecież p-edał! – parsknął ojciec, gdy siedzieli przed telewizorem w każdą niedzielę, a Fercz omawiał filmy krótkim wstępem. „P” strzelało z ust ojca i gdyby mogło się materializować, trafiałoby w telewizor, tłukąc kineskop. Matka, która przed sekundą zachwalała starannie przyciętą bródkę krytyka, czekała, aż stary rozprawi się z „p-edalem”, a potem podejmowała wątek estetyki i higieny.

– Jak mężczyzna przycina brodę, to od razu musi być...?

– Ale co ty mi, kobieto! – Ojciec przerywał i wykrzywił usta, jakby mówiła o odchodach. – On ma tę bródkę wylizaną jak dupa suki. A jeszcze ta apaszka! Kto, kurwa, normalny, że tak powiem, chodzi w apaszce? I jeszcze do telewizji! Ano żeby inne pedały widziały! Oni się po tym poznają!

– Nie przy dziecku – mówiła matka, a ojciec strzelał:

– P-edaly...

Najbardziej lubili z ojcem oglądać westerny. Przy pojedynkach rewolwerowców stary pochylał się w fotelu, obstawiając, który padnie, a gdy trafił, walił ręką w oparcie, krzycząc:

– A nie mówiłem, kurwa?!

Po latach ciężko przyjmował komunikaty matki, która siedząc przed komputerem i wykorzystując powszechną dostępność informacji z internetu, niby od niechcenia, acz z satysfakcją, relacjonowała coming out homoseksualnych aktorów

amerykańskich, grających przed laty w oglądanych przez nich filmach. Ojciec pocierał wtedy nos, brał gazetę i zamykał się w kiblu, by przeżywać intymnie swoją małą tragedię. Gdy matka wyczytywała obsadę ulubionego westernu, demaskując połowę jako homoseksualistów, lesbijki, bi, trans, nie wyłączając reżysera, ojciec dostawał sraczki. Wychodził z kibla ze zwiniętą w rulon gazetą telewizyjną, podnosił ją do góry, stukając w powietrze, i przez zaciśnięte zęby syczał:

– Dlatego ten p-edał podsuwał nam łesssterny!

Matka, zaciągając z internetu najbardziej, zdaniem ojca, podłe plotki, wzięła się za kryminały, francuskie filmy noir, dochodząc do musicali, których i tak nie lubił, uznając wszystkich śpiewaków za pederastów, a kończyła na filmach niemych. Stary ryczał wtedy z kibla:

– Tylko mi nie mów, że Czaplin też!

– Potrzyмай. – Papa podał Młodemu obiektyw, korpus aparatu położył na przednim siedzeniu pasażera. Otworzył drzwi, zgrzytnął bagażnik. Po chwili przykręcił do aparatu jeszcze dłuższy, grubszy obiektyw i wystawił go przez okno.

– Co robią? – spytał Młody. Było już szaro. Widział tylko kontury sylwetki Fifi, Dandysa i krytyka, którzy szli w kierunku sąsiedniej kawiarni, z wypełnionym po brzegi ogródkiem.

– Gadają – wycedził Papa, trzymając oko przy aparacie i raz po raz wciskając spust migawki. – No co! – ryknął, bo tuż przed nimi stanął nieznany Młodemu mężczyzna.

– Co tam? – spytał mężczyzna, klepiąc w dach jak w ladę kiosku. Koło czterdziestki, ubrany był w zieloną myśliwską kamizelkę i koszulę w kratę, z rękawami podwiniętymi za łokcie. Trzymał w dłoni profesjonalny aparat fotograficzny. Obrócił głowę tam, gdzie celował obiektyw Papy, i zagwizdał z uznaniem.

– Spuściłeś Fifi ze smyczy, stary, cwany chuju!

Papa coś wymruczał, podniósł głowę i spojrział przez okno, upewniając się, że obraz z obiektywu go nie myli. Westchnął:



– Znikli... Co tam, Wafel? Słyszałem, że zrobiłeś dzieciaka Przytulnej. Ile dali?

– Dychę. – Mężczyzna oparł się o drzwi auta, wcisnął głowę do środka, spojrzał na Młodego. – Uczeń?

– Kiedyś cię trafią za ten kitel – prychnął Papa, wyciągając z paczki papierosa. Wafel roześmiał się, klepnął w dach i odszedł.

Papa odpalił silnik. Jedną dłonią, z dymiącym między palcami papierosem, trzymał kierownicę, drugą telefon przy uchu.

– Gdzie jesteś? Przytrzymaj go, zaraz będę – rzucił i rozłączył się.

– Co z tym kitem? – spytał Młody, bawiąc się leżącym na kolanach obiektywem.

– Chodzi w nim po szpitalach.

– Po co?

– Pielęgniarki dają mu cynk: kto, kiedy, w którym pokoju, a on przyłazi i nakłada kitel lekarski. Ostatnio upolował bachora Przytulnej, tej... z tego, no... No chrzanią mi się te seriale! Poszła do prywatnej kliniki, wzięła jedynekę, opłaciła cały personel, żeby byli cicho, a tu wchodzi Wafel, robi fotę, piguły mordę drą, że łapać gnoja, a on chodu.

– Najpierw dzwonią, potem wyrzucają?

– A jak! Wafel czeka pod szpitalem i odpala pigułom dołę.

– Mówiłeś, że dzieci nie robicie.

– Zamazuje się w druku, ale tu idzie o matkę. Lud chce zobaczyć styraną, zapuchniętą po porodzie gwiazdę. Są! – Papa zatrzymał auto przy krawężniku.

Fifi, Fercz i Dandys siedzieli przy ogródkowym stoliku restauracji Drama. Fifi tanecznie gestykulował, Dandys się śmiał, a Fercz popijał drinka.

– No dalej! – Papa niecierpliwie spoglądał przez obiektyw, który zawisł między szybą a belką drzwi. Dramę rozświetlały dyskretne, ale mocne lampki ustawione wzdłuż kwietników. Lekko zawiąło. Młody poczuł smród od Papy, jakby ten nie mył się kilka dni, ale gorzej śmierdziała tapicerka – słodkawym, mdławym, trudnym do zidentyfikowania zapachem, o którym paparazzi nie chciał mówić.

Pierwszy podwinął mankiet marynarki i koszuli, odsłaniając tenisową frotkę.

Spojrzał na zegarek. Opuścił rękę wzdłuż oparcia skórzanego, wygodnego fotela.

– Panowie, jakieś pomysły? – spytał, ledwo powstrzymując ziewnięcie.

Jako jedyny siedział w dużym fotelu, za błyszczącym od polerki mahoniowym stołem, w którym odbijały się wielkie okna kancelarii rady ministrów, światła ulicy i twarze jego doradców. Ci przysiedli czujnie na krawędziach ustawionych w półkole twardych drewnianych krzeseł, gotowi, by ochoczo przytaknąć lub stanowczo zaprzeczyć, zgodnie z oczekiwaniem szefa.

Trzeźwy, siedzący tuż obok Pierwszego, po lewej, zgodnie z porządkiem w hierarchii, jako najbardziej zaufany doradca medialny i rzecznik rządu, wiedział, co interesowało szefa – nie precyzyjna odpowiedź, tylko komunikat, że sprawa zostanie załatwiona, a on ze swoją frotką stawi się za chwilę na korcie. Drugi, szef kancelarii premiera, siedział po prawej i przecierał okulary jedwabną szmatką, którą wyjął z butonierki. Chwilę wcześniej pozakreślał kółka na pierwszej stronie gazety leżącej teraz na stole, zwiniętej z furią w kulę, bo Pierwszy, jak zwykle, nie był w stanie dokończyć lektury na spokojnie, gdy informacje były mu nieprzychylnie. Drugi sięgnął po kulę, pieczołowicie ją rozprostował, dając gazecie drugie życie, i przesadnie wysokim tonem zakomunikował:

– Trzeba znaleźć odpowiedzialnego.

Pierwszy odchylił głowę, nabrał powietrza, wysyłając kolejny sygnał zniecierpliwienia.

– Kto? – spytał, patrząc w sufit, jakby miał tam zobaczyć nazwisko.

Pod stołem zaszurały buty, zaszeleściły garnitury, gdy doradcy przyjmowali pozycje obronne. Trzeźwy wiedział, o kim myślą, ale milczał, bo waga jego pozycji w oczach premiera nie wymagała żadnego komentarza ani tym bardziej obrony.

– Trzeźwy? – spytał nieoczekiwanie Pierwszy, kręcąc frotką.

– Błąd popełniło biuro organizacyjne – odparł, widząc w wyobraźni, jak myśli doradców spotykają się gdzieś nad stołem, w komiksowej chmurce dialogowej z napisem „A TO KUTAS!”.

Pierwszy wstał.

– No i dobra. Jutro chcę widzieć komunikat. – Odwrócił się i wyszedł z gabinetu,

a Drugi pobiegł za nim.

Trzeźwy zjechał do kancelaryjnej stołówki. Przysiadł się do Buldoga, jedyne gościa na sali, siedzącego przy stoliku dla dwóch osób, i zamówił makaron w sosie kurkowym.

– Zaraz dostaniesz odpowiedź – rzucił mu, bo ten od rana zarzucał go esemesami.

– Ooo... – Buldog zamlaskał, gdy kawałki mięsa znikwały mu w gębie.

Nie jadł, pożerał, myślał Trzeźwy. Grubas o krótkich, tłustych paluszkach, z wielką jak śruba złotą obrączką na serdecznym palcu. Trzeźwy wyobraził sobie, jak tym palcem drażni łechtaczkę filigranowej, niemal małoletniej prostytutki, wyciągając na wierzch język: „Tak malutka, tak, chodź do tatusia”. Każdego grubasa podejrzewał o hedonizm hodowany latami pod grubą tkanką tłuszczową, zamykającą dostęp do naturalnej drogi podboju, jaką jest taniec godowy sportowej sylwetki, oraz żywioną kompleksami i wstydem perwersję, która wypełzała spod tłuszczu, gdy wchodził taki w dorosłość. Znali się od studiów, gdy w wynajmowanym mieszkaniu przyjmowali koleżanki. Buldog zawsze brał te malutkie, by ze swojego pokoju jęczeć: „Chodź do wielkiego misia”.

– Co? – Buldog spojrzał na swoje palce, na które Trzeźwy patrzył, jakby miały brud za paznokciami.

Podeszła do nich dziewczyna z wydziału organizacyjnego. Jasnoniebieska garsonka dodawała jej lekkości, podobnie jak szczupłe łydki i wąskie biodra, a przez piegi na twarzy wyglądała trochę dziecinnie. Ścisnęła w dłoni gruby rozdzielnik.

– Cześć, Buldog – rzuciła, a on poderwał się, by dostawić krzesło.

Położyła przed sobą rozdzielnik i wyjęła długopis, a Trzeźwy oparł widelec o brzeg talerza i splótł ręce pod brodą.

– Magda... Jest nowe wyzwanie.

Dziewczyna wypchała językiem policzek. Buldog zauważył, że oczy jej wilgotnieją, ale łzy nie popłynęły. Trzeźwy podniósł do góry palec wskazujący, który powstrzymał jej otwarte, gotowe do obrony usta.

– Dostajesz pięć stów podwyżki, idziesz do ministerstwa infrastruktury, temat

zamykamy. – Wziął do ręki widelec i nakręcił makaron. Żuł, patrząc jej prosto w oczy.

Dziewczyna pokiwała głową, po czym wstała, podniosła rozdzielnik i odeszła.

Buldog łypał na niego o sekundę za długo.

– Co? – Trzeźwy spojrział na kolegę, chwycił serwetkę, lekko wytarł usta.

– Dlaczego przy mnie?

– Poleciała, bo mam na głowie zbyt wiele obowiązków, by pamiętać o wszystkim. Ten przywilej dotyczy każdego, kto ma podwładnych, zwłaszcza tu – Trzeźwy stuknął palcem w stół – w miejscu, gdzie media każdego dnia oczekują czyjejs dymisji. Dlatego, gdy zajmiesz jej miejsce, nie bierz od razu kredytu na trzydzieści lat. – Wytarł usta i wstał.

Buldog poszedł za nim, patrząc przez okno na parking. Jutro skończą się jego męki – departament organizacyjny stoi wyżej od prezydialnego. Każdego ranka Buldog szukał wolnego miejsca, a parkowanie dalej niż sto metrów od furty dziedzińca kancelarii oznaczało dla niego – przy nadmiarowych pięćdziesięciu kilogramach – wysiłek odbierający oddech i dobry nastrój na resztę dnia. Pewnie dostanie kopertę i klucz elektroniczny po Magdzie, tylko zdejmą z niego jej nalepkę, a przykleją Buldogową facjatę.

Trzeźwy rozsiadł się w samochodzie. Buldog niedługo doceni, pomyślał, dzisiejszą lekcję. Takie rozstania stanowią o porządku w kancelarii, utrzymywanym na zasadzie odpowiedzialności pionowej, kiedy to kara schodzi zawsze bardzo szybko i nisko, szorując do dna, a nagrody pną się do góry powoli i skromnie, jak cieniutkie chwytyki pnączy szukających oparcia jak najbliżej blasku słońca. W administracji publicznej decyzje kadrowe zapadają natychmiast, by dokarmiać media regularnie, niczym w hodowli dzikich zwierząt. Trzeźwy nie mógł jednak rzucić siebie samego na pożarcie. Nie ze względu na chęć ucieczki przed odpowiedzialnością, ale by oddalić od Pierwszego niebezpieczeństwo pokąsania, bo im bliżej gabinetu premiera, tym bardziej staje się to prawdopodobne. Najlepiej więc, gdy dziennikarze grasują na niższych piętrach, wśród personelu pomocniczego. Drobną wpadką, jak ta z komunikatem, który to Trzeźwy omyłkowo

polecił wysłać mediom, a który był przeciwieństwem tego programu rządowego, zostanie wyciszona komunikatem o „wyciągnięciu konsekwencji wobec osób zatrudnionych na szczeblu organizacyjnym”. To nie dziewczyna popełniła błąd, ale Trzeźwy wybrał ją nieprzypadkowo. Była zbyt skromna, by robić szum ze swojego niesłusznego jak cholera zwolnienia, i nie miała w kancelarii przyjaciół, więc nie należała do koterii korytarzowej. Była za to pracowitą mrówką, która wyznacza sobie cel, ale, jak sądził Trzeźwy, w służbie publicznej celu tego nie osiągnie, bo stanowi doskonały materiał na kozła ofiarnego. No chyba że znajdzie sobie patrona.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Podniósł do ucha komórkę i zjechał na pobocze.

– Mogę – powiedział. – Pasuje. Do zobaczenia.

Kiedy minął szlaban strzeżonego osiedla, znalazł wolne miejsce wyjątkowo blisko, zważywszy na popołudniową porę, swojej klatki schodowej. Wszedł do mieszkania, poluzował krawat. Dwupokojowy mały lokal, jak nazywał wynajęte przez kancelarię mieszkanie, miał białe ściany i kilka mebli, nie było tam żadnych osobistych bibelotów. Według niego wynajmowane mieszkania nie nadawały się do znakowania elementami życia osobistego. Za własne pieniądze kupił tylko aluminiowy, mocny stelaż do zastosowań piwnicznych, na którego półkach ustawił trzy płaskie telewizory, jeden pod drugim. Jeśli kolejna stacja telewizyjna otworzy całodobowy kanał informacyjny, dokupi kolejną półkę i telewizor, by na bieżąco śledzić paski. Trzema pilotami włączył trzy ekrany. W dwóch telewizorach wyciszył dźwięk i poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki oszronioną butelkę wody i przyłożył ją do policzka. Słuchał z zamkniętymi oczami.

– „Czy to oznacza, że głosowanie może zostać odłożone?” – pytała dziennikarka.

– Nie. Ustawa już jest umieszczona w porządku obrad. Musi zostać poddana pod głosowanie...” – odpowiadał poseł Białek, z którym Trzeźwy rozmawiał przez telefon w samochodzie.

Trzeźwy podszedł do telewizora. Mowa była o ustawie o związkach partnerskich, którą rząd nagle wyjął z zamrażarki legislacyjnej i rzucił na targowisko klubów parlamentarnych, oczekując ofert lewicy, bo ta obiecała poparcie w zamian za posady w spółkach Skarbu Państwa, oraz prawicy domagającej się odrzucenia tej

ustawy za poparcie innych, wobec których miała wcześniej strategiczne zastrzeżenia. Trzeźwy nie znał przyczyn odmrożenia projektu i obawiał się, że stoi za tym nie jakaś chłodna kalkulacja, ale nieznanym mu afekt. Sam nie potrafił go przejrzeć, a nikt z najbliższego otoczenia premiera nie chciał go wtajemniczyć. Włączył fonię w następnym telewizorze. Prezenterka wiadomości sportowych z obfitym, odsłoniętym do połowy biustem relacjonowała zawody, szeroko otwierając pokryte mocnym karminem usta. Próbował słuchać, o czym mówi, ale oczy przekazywały do mózgu tylko jeden komunikat, który między dwiema półkulami zamieniał się w pragnienie poznania odpowiedzi na pytanie o rozmiar jej cycków. Zastanawiał się, czy gdyby dziennikarki polityczne występowały na wizji z prawie gołymi piersiami, to mężczyźni siedzący przed telewizorami również nie zwracaliby uwagi na przekaz. To mogłoby w pewien sposób wpływać na sympatie polityczne, jako że kobiety głosują na rozsądnych, zrównoważonych kandydatów, gdyż od takich, podobnie jak od swoich mężów, oczekują poczucia bezpieczeństwa. Zakałą są mężowie głosujący emocjonalnie na tych, w których doszukują się potwierdzenia własnych, choćby najbardziej idiotycznych, przekonań. Trzeźwy zakodował, by spytać jednego ze znajomych socjologów, czy możliwe jest, by cycata prezenterka, łagodna dla swojego rozmówcy, spowodowała, że jego obraz w oczach telewidzów facetów również będzie łagodny. Włączył fonię w trzecim telewizorze, odstawił szklankę na stół.

O, to lubił.

– „Ale to ja pana pytam! Gdzie byliście, gdy trzy lata temu złożyliśmy w sejmie projekt podobnej ustawy?! – krzyczał w studiu polityk opozycyjnej partii lewicowej, a jego palec celował w rozmówcę.

– Pan mi nie będzie robił wykładów z moralności! Do PZPR! Z powrotem! – Polityk partii rządzącej prawie unosił się nad fotelem, trzymając się jedynie za poręcze.

– Co za chamstwo! No z takim chamstwem...” – cedził polityk lewicy.

Trzeźwy patrzył na zegarek. Redaktor Kolasiński, prowadzący program *Rozmowy polityczne*, przerwał pojedynek dopiero po dwóch minutach. Słusznie, jak uznał Trzeźwy, bo wtedy już telewidzowie zdążyli przywołać członków swojej rodziny,

rechocząc: „Pa, jak się napierdalają”, i windując tym samym słupki oglądalności, a więc i dając nadzieję na jeszcze większy ich wzrost w kolejnych badaniach. Ledwie kilka lat wcześniej prowadzący przerywali takie pojedynki szybciej, ale było to w czasach, gdy standardy dziennikarskie nie stanowiły balastu dla mediów tradycyjnych pikujących ostrym lotem w kierunku gruntu. Z tego to poziomu lot wznoszący rozpoczynały wtedy portale internetowe, w których nikt nie udaje, że polityka nie jest elementem wojny, o nieco tylko mniejszej klikalności niż pornografia.

– „Panowie, jesteście gośćmi, nie zaprosiłem was...” – redaktor Kolasiński usiłował przerwać zwanie, zdradzając fałsz swoich słów ironicznym uśmiechem.

Trzeźwy zaśmiał się na wspomnienie nagrania z reżyserki telewizyjnej tego programu, które wyciekło kiedyś do internetu: „Daj im powalczyć! Nie przerywaj, niech się gryzą, jeszcze chwila! Jeszcze chwila! Poczekaj, niech się gryzą!”.

– Dalej! Bierz go! Zeźryj! – zawarczał w ekran. Usiadł na sofie, wyciągając nogi. Skoro telewizje zapraszały tego wieczoru polityków o fanatycznie przeciwnych poglądach, oznaczało to, że były zmuszone wywołać sztuczną wojnę, co z kolei było równoznaczne z tym, że nie działo się nic, a więc Trzeźwy mógł choć na chwilę poluzować swoją czujność. Przeleciał po wszystkich paskach informacyjnych. Jeden go rozśmieszył: „Rolnik przygnieciony przez ciągnik”. Gdy jeszcze na studiach odbywał staż w biurze komunikacji Ministerstwa Rolnictwa, przygotowywał statystykę wypadków na wsi. W rubryce „maszyny” wpisał omyłkowo, do dziś nie pojmując dlaczego, „bydło”. Kilka dnia później „Tylko Życie”, brukowiec lubujący się w krwistych opisach, dał tytuł: *Krowy mordercy zabiły trzynastu rolników*. Zadzwoił tam, co prawda prostując i przepraszając za pomyłkę, ale go zignorowano. W kolejnych dniach, zainspirowany bydłem, brukowiec odnotował, że *Koza zabiła swojego pana!*, *Pies zabójca zagryzł rolnika!*, *Rolnika porwał rój wściekłych pszczół!*. Trzeźwy przypadkowo stał się zatem kreatorem dwutygodniowej sagi o perypetiach sadystycznych zwierząt hodowlanych.

Wyłączył telewizory, poszedł do łazienki i wziął prysznic. Włożył pachnącą proszkiem do prania koszulkę polo i dzinsy, trampki wsunął na gołe stopy, a potem wyszedł z mieszkania.

Dla Lebiody ubrana tylko w gorset i kabaretki śpiewaczka była zbyt manieryczna, prowokująca i wyuzdana. Już uwertura zepsuła mu spektakl, bo mieszanie konwencji, tak popularne i wychwalane przez krytyków – zwłaszcza młodego pokolenia – uważał za degenerującą operę, której powagę i patos kojarzył z niedostępnością i tajemnicą. Śpiewaczka zabijała w nim podniecenie. Wszystko na wierzchu... Co innego żona Lebiody, która w egzaltacji chwyciła go za rękę.

– Bravo! Bravo! – Alicja przyłączyła się do aplauzu.

Nie zaklaskał. Siedział podparty na łokciu. Wyszli po drugim bisie.

– Przecież to eklektyzm, nurt łączący... – Żona na siedzeniu pasażera obok kierowcy sprawdzała makijaż w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej. Miała nadzieję na intelektualną dyskusję z mężem.

– To odzieranie formy z tradycji, schlebianie gustom gawiedzi, która nie akceptuje, bo nie rozumie, realiów czasów, kiedy pisano opery. Nie wydaje mi się, by Puccini się z tego cieszył... – Lebioda uniósł brwi, wyrażając lekceważenie.

– To przecież pastisz, a scenografia...

– Pastisz! Meble z IKE-i, a śpiewaczka jak prostytutka – prychnął.

Skręcił w wąską uliczkę i zatrzymał auto przy szlabanie broniącym dostępu do osiedla domków jednorodzinnych na przedmieściu. Wcisnął guzik pilota, a szlaban uniósł się cicho. Zatrzymali się przed dużym, dwupiętrowym domem, wyłożonym brązowym klinkierem, oświetlonym pomarańczowym, dyskretnym światłem lamp ogrodowych. Podeszli do drzwi, Lebioda chwycił za klamkę, ale uprzedziła go opiekunka.

– Dobri wieczier, państwo – wyszeptała dziewczyna, otwierając im drzwi.

Gu-wer-nan-tka, pomyślał Lebioda, uśmiechając się. Tym właśnie słowem jego żona lubiła epatować w towarzystwie, opisując białoruską nianię.

Przeszedł korytarzem do biblioteki. Lubił to miejsce, koił go zapach książek i skóry wyściełającej duży brązowy fotel. Opadł w nim, wyciągnął nogi i podniósł leżący na stole tablet. Jedną ręką luzował muchę pod szyją, drugą przesuwał palcem po ekranie. Otworzył firmowy intranet, wcisnął „Drukarnia”. Spojrzał na pliki, skrzywił się na widok jednej ze stron, szybkim ruchem wyjął z marynarki telefon



i wybrał numer. Czekając na połączenie, wydymał w irytacji usta.

Alicja stała przy lustrze w przedpokoju, próbując rozpiąć na szyi woskowany zielony rzemyk z lśniącą łązką z opalu. Wkładała go tylko, by zrobić przyjemność mężowi, bo jeden z miesięczników kobiecych dorzucił do gazety podobny, choć tandetny i tysiąc razy tańszy. Krew ją zalała, gdy podczas bankietu jakaś suka zasugerowała, że ma naszyjnik z tego miesięcznika. „Proszę się nie martwić” – szepnęła jeszcze suka. – „Ja noszę torbę plażową, taką, co dali do tygodnika telewizyjnego”.

W lustrze zobaczyła, jak mąż, siłując się z muchą, pochylił się na fotelu. Po chwili zaryczał do telefonu:

– Widziałeś przedostatnią stronę?! Co to jest?! Co tam robi jakaś płaska kurwa? Zdjąć! Wymienić! Gdzie ona ma cycki?! Gdzie?! Ślepy, kurwa, jesteście!)

Otworzyła szufladkę sekretarzyka i rzuciła naszyjnik na dno. Zbliżały się jej imieniny. Powie asystentce męża, by zasugerowała mu na prezent coś od Swarovskiego.

Ogródek przy Dramie był zapełniony. Kelner poznał jednak Trzeźwego, skinął do kolegi stojącego w drzwiach, a ten zniknął w lokalu i wrócił z małym, okrągłym stolikiem, by postawić go na tyłach ogródka, w dyskretnym miejscu. Gość poprosił o dodatkowy fotel i popielniczkę. Czuł spojrzenia i słyszał krążące wokół szepty, ale nie dawał tego po sobie poznać. Znał wielu, choćby krytyka Fercza, który siedział w towarzystwie i starał się skrzyżować z nim spojrzenie. Dawniej Trzeźwy upajał się pragnieniem innych, by wymienić uprzejmości, ale już nie musiał zabiegać o własne notowania, bo te nieprzerwanie rosły. Może czasem, kiedy chciał połechtać swoją próżność albo zrobić wrażenie na kobiecie lub koledze, którego nie lubił, odwzajemniał skinienia. Spojrzał na zegarek. Wyjął telefon i włączył pocztę. Zerknął na służbowe: Bulldog pyta, czy ma wziąć kartę elektroniczną po Magdzie – o, za to właśnie go lubi; Gosia, rzeczniczka prezydenta, przypomina o harmonogramie protokołu dyplomatycznego w związku z przylotem prezydenta Rumunii – niech spada, to już dla Bulldoga; „Polska i Świat” prosi o wywiad – mają szlaban na pół roku, a chcą kąsać dalej, kij im w ryj; wywiadu chce jeszcze TVN –

spierdalać, podjudzacze!; Magda, którą właśnie zwolnił, dziękuje za współpracę, naukę i cenne wskazówki, zamierza je wykorzystać – ciekawe do czego. Spam: podróbka viagry za 50 centów; Fundacja Pomocy Osobom Uzależnionym prosi premiera o patronat eventowy – nie ma mowy, źle się kojarzy; TVP informuje o nowym reality show *Pod celą*, czyli dokumentalnym zapisie życia więźniów, o których losie w audiotele zadecydują telewidzowie, zamieniając wybrańcom odsiadkę na prace społeczne. No i standard: „Hi I’m Patricia. I’ve got new nude pics”.

– Czy już mogę? – Kelner skłonił się przed nim o kilkanaście centymetrów niżej, niż wymagała tego zwyczajowa uprzejmość.

Trzeźwy postanowił skrócić cierpienia oczekujących na wymianę spojrzeń klientów lokalu:

– Piwo bezalkoholowe i proszę przynieść bambusowy parawan.

Przy stoliku stanęła młoda brunetka o urodzie Indianki, z dołkami w policzkach, ubrana w dżinsową spódnicę do kostek i biały T-shirt, przez ramię miała przerzuconą skórzaną torbę na szerokim pasie. Trzeźwy wstał, czując wykręcające się w jego kierunku głowy klientów Dramy. Skinął zadowolony, widząc w oczach dziewczyny fascynację.

– Nie znamy się, pomyślałam, że... – Dygnęła jak przed królem.

– Proszę. – Wskazał gestem wolny fotel.

– Wie pan, nie chcę przeszkadzać. Mam tu notes, gdyby pan mógł... Chodzi mi o autograf.

– Jestem co prawda umówiony, ale... – Rozejrzał się i zobaczył samochód po drugiej stronie ulicy z opuszczoną szybą. Znał tę twarz z bokobrodami. Przeprosił kobietę, wyciągnął telefon, włączył plik „foto\_auta.pdf”. W spisie dostarczonym przez Biuro Ochrony Rządu znalazł samochód o tych samych numerach rejestracyjnych. Niewielka szansa, że będzie chryja z jakiejś studentki, ale po co kusić los.

Gdzie ten cholerny parawan, pomyślał, trzymając telefon przy uchu i czekając na połączenie. Wokół siebie zauważył co najmniej kilku celebrytów, którzy mogli być

celem paparazzi, ale lepiej chuchać i dmuchać.

Lebioda spojrział na wyświetlacz telefonu, a potem na zegarek. Uniósł brwi. Dziwna pora jak na rzecznika rządu, pomyślał. Odebrał, patrząc na żonę siłującą się z szufladką sekretarzyka w przedpokoju. Przyłożył telefon do ucha, wziął głęboki oddech i włączył swoim strunom głosowym opcję „dzwoni petent”.

– Cóż sprowadza? – spytał miękko, z udawanym zdziwieniem.

– Panie redaktorze, siedzę sobie spokojnie w kawiarni i widzę pańskiego człowieka, który poluje na niewinnych ludzi – odparł Trzeźwy zalotnym tonem.

– Niemożliwe. O ile mnie pamięć nie myli, mówił pan kiedyś, że moi pracownicy to ludzie zepsuci i zdegenerowani. Z pewnością o tej porze są zbyt pijani lub naćpani, by byli zdolni do pracy. – Roześmiał się sztucznie, co nie uszło uwadze rzecznika, który zachichotał, by połechtać go przeświadczeniem o błyskotliwości puenty.

– Okej, nie chcę zdjęcia z dzisiejszego wieczoru.

– Co w zamian? – Lebioda podkreślał opcję „petent”.

– Może Białkowa?

Redaktor milczał kilka sekund, by podtrzymać napięcie, choć obaj wiedzieli, że deal jest niezły.

– No dobra – odparł wreszcie.

– No to bywaj. – Trzeźwy rozłączył się.

Lebioda nie zdejmował nóg ze stołu. Z kim tam siedzi ten lis, że aż stracił pewność siebie i zadzwonił tak późno? – pomyślał i zachichotał z podniecenia, stukając telefonem w kolano. Rozważania przerwała mu Alicja, wpadając do pokoju z wykrzywionymi ustami.

– Zdejmij buty! Dopiero co nabłyszczano stół!

Papa zaklął, bo Fifi ani razu nie skrócił dystansu z Ferczem, a gdy w końcu nachylił się do krytyka, markując czułość, w kieszeni paparazzi zadzwonił telefon.

– Młody, zobacz, kto to. – Wyjął telefon z kieszeni kamizelki i podsunął wyświetlacz chłopakowi pod nos.

– Szef.

Paparazzi odsunął się na chwilę od wizjera i włączył głośnik.

– Taaa... – wymamrotał, znów wpatrzony w okular aparatu.

– Gdzie jesteś? – Lebioda był najwyraźniej podekscytowany.

– Pod Dramą.

– Siedzi tam Trzeźwy?

Mężczyzna obejrzał cały ogródek przez obiektyw i rzucił okiem na okna restauracji.

– Nie, chyba nie. Ale widzę jeden stolik zasłonięty parawanem.

– No! To może być on. Zrób mi piękne zdjęcia tego gnoja i jego gościa, bo chyba nie jest sam.

– Taaa... – wycedził w odpowiedzi.

Fifi, Dandys i Fercz wstali od stolika. Krytyk pożegnał się i poszedł w swoją stronę, a Papa popatrzył przez chwilę w jego kierunku, w zamyśleniu stukając zamkniętą pięścią w usta.

– Idź tam, zobacz, czy coś widać przez parawan – rzucił, nie oglądając się na chłopaka.

Młody szybko obszedł ogródek.

– Parawan jest zbyt szczelny – oznajmił, gramoląc się z tyłu auta.

Zadzwoił telefon. Papa, zanim odebrał, spojrział na wyświetlacz i przełączył na tryb głośnomówiący.

– No, jutro będziesz w gazecie, jak obiecałem – westchnął.

– Zgadnij, kogo ci prowadzę. – W samochodzie zabrzmiał piskliwy głos kobiety.

– Jezu, dziewczyno, mów, nie mam czasu.

– Gambita! Gambita! Wychodzę z Madagaskaru! Gdzie jesteś? – chichotała z podekscytowania.

Gambit, czyli Michał Gambini, wschodząca gwiazda serialu *Lekarz rodzinny*, syn polskiej aktorki i Włocha, byłego ambasadora. Dlaczego szmacił się z tą wariatką? – pomyślał Papa, ale puls mu przyspieszył, bo Gambit miał wzięcie w pismach kobiecych, od czasu gdy jego matka, aktorka ambitnych filmów,

przyznała, że to jej nieślubne dziecko. Papa zaczął liczyć. Żonaty, grający ojca, lekarza, a teraz zapijaczony, może nawet...

– Weź ten drugi aparat. Jest na tylnej półce! – krzyknął do Młodego. – Zdejmij osłonę! Patrzysz tu, tam masz spust, a jeśli lekko wciśniesz, to idzie autofocus i...

– Dobra, dobra, tyle wiem. – Chłopak machnął ręką.

– Jak parawan zniknie, Trzeźwy i jego gość muszą mieć zdjęcie. Zaraz wracam. – Papa wyskoczył z samochodu.

Młody spoglądał przez wizjer w podnieceniu, ale i poczuciu, że obserwowany go nie widzi, a on sam, bezpiecznie ukryty, uczestniczy w jego prawdziwym życiu, bez gry i udawania. Wycelował obiektyw w ogródek Dramy i w powiększeniu przyglądał się twarzom ludzi siedzących przy stolikach. Jakaś parka. Chłopak głaskał dziewczynę po kolanie pod blatem stolika. Starsza kobieta gryzła paznokcie kciuka, oczekując zapewne spóźniającego się gościa. Starszy facet rozmawiał przez telefon i dyskretnie dłubał w nosie, udając, że się tylko drapie, ale po chwili, pod stołem, utoczył palcami kulkę. Młody spojrzał na parawan. Nie drgnął. Zdjął aparat z okna i zaczął przeglądać zdjęcia na wyświetlaczu. Cofał na fotografii zrobione przez Papę: blondynka z gołymi piersiami siedzi, leży, klęczy, wypinając krągłe, ale małe piersi. Kobieta i mężczyzna, nadzy, na łóżku, kilkanaście źle oświetlonych, jakby półamatorskich zdjęć. Jakaś celebrytka na zakupach z dziećmi tacha torby, wkłada do bagażnika, patrzy w obiektyw. Spojrzał na zdjęcia sprzed kilku dni – smukła dłoń na udzie, na piersiach, na szyi.

– O cholera... – wyszeptał, patrząc na trzynastoletnią może dziewczynkę.

Rzucił okiem na parawan, do którego zbliżał się właśnie kelner. Jeden ruch jego dłoni i Młody wreszcie zobaczył stolik i wstającą od niego kobietę. Trzeźwy siedział. Chłopak przyłożył oko do aparatu. Pstryk. Zobaczył czerwoną kontrolkę w wizjerze i ciemność.

– Nie no, nie teraz! – krzyknął, próbując włączyć sprzęt, ale akumulator był wyczerpany. Rozglądając się nerwowo za innym aparatem, zastanawiał się, czy zapisał to jedno zdjęcie. Zajrzał do schowka. Pusto. Wyskoczył z samochodu,

bagażnik zamknięty, w stacyjce nie było kluczyków. Spojrzał na ogródek. Do rzecznika podchodził Białek, wiceszef klubu parlamentarnego. Rzecznik zasunął parawan.

Białek, w koszuli hawaii, dzinsach i mokasynach, rozsiadł się w fotelu i zakasał rękawy, odsłaniając zegarek Lange & Söhne. Trzeźwy, patrząc na zegarek, uruchomił w głowie licznik. Białek przyszedł do sejmu sześć lat temu z administracji samorządowej, gdzie zarabiał grosze. Na pensji posła odłożył może z kilkanaście tysięcy, ma trójkę dzieci, żona nie pracuje, zajmuje się domem. Białek może kantować sejm na lipnych delegacjach, ale to za mało, by nosić zegarek za jakieś sześćdziesiąt tysięcy euro. Łapówka czy prezent od lobbystów? – zastanawiał się rzecznik, patrząc na swojego gościa. Jak sądził, jego rola wiązała się z koncepcją Pierwszego, by rozdawać kierownicze stanowiska partyjne najbardziej oddanym bezideowcom, którym wystarczy drogi gadżet, by zaspokoić wszystkie ambicje związane z awansem społecznym i zawodowym, oferowanym im przez partię, bo w naturalnych warunkach rynkowych byłiby tylko pozbawionymi wszelkich talentów pucybutami.

– Poprą, poprą – pokiwał uspokajająco głową – w zamian za sekretarza stanu i człowieka w radzie nadzorczej Orlenu. Mamy też odwalić się od KRUS.

– Tylko tyle? – Trzeźwy upił piwa.

Pierwszy sprytnie to rozegrał, pomyślał. Przedstawił ludowcom wyniki badań, z których jasno wynikało, że elektorat przesunął im się ze wsi na średnie miasta, gdzie wzrosła tolerancja dla homoseksualistów i konkubinatu. Pierwszy miał jeszcze alternatywę na lewicy, ale dla ludowców byłby to policzek i wstęp do koalicyjnych rozsad. Spór szedł zatem tylko o stanowiska. Trzeźwy wciąż nie rozumiał, skąd ten pośpiech, ale nie chciał przyznać przed Białkiem, że nie został wtajemniczony. Poseł wstał z krzesła, by odsunąć parawan, ale Trzeźwy w porę go powstrzymał.

– Zostaw. Tam w aucie... – Skinął brodą na samochód Papy.

Białek nieco zbladł i zaklął cicho:

– Skurwysyny! Powystrzelałbym... Aha, mam sprawę. Wywaliłeś dzisiaj dziewczynę. Zależy mi na niej, jest zdolna.

Trzeźwy doszedł do wniosku, że jej nie doceniał. Szybko znalazła nowego patrona.

– Dostała już nową pracę – odparł, nieco zdziwiony.

– Tak, tak, ale chciałbym wiedzieć, czy będzie z tego jakaś draka, bo mam posadę w biurze parlamentarnym.

– To drobna wpadka. – Rzecznik nieco się zaczerwienił, zastanawiając się, czy opowiedziała Białkowi o kulisach swojego odejścia.

Poseł upił piwa i wyraźnie zadowolony oparł się wygodnie na fotelu.

– A co tam u ciebie?

– Ja też mam prośbę. Potrzebne nam ocieplenie wizerunku. Może byś namówił żonę na jakąś fajną sesję medialną, bo w ogóle jej nie widać...

Papa podszedł do drzwi knajpy, przy których kłębiła się grupa młodzieży. Różowoniebieskie światło biło z neonowego szyldu w rytm transowej muzyki. Selekjonerka opierała się o framugę szeroko otwartych drzwi. Krótkie blond włosy miała wycięte nad jednym uchem prawie do skóry, a cienkie wargi pomalowane na czarno. Ubrana w zielony kombinezon mechaników lotniczych spoglądała czujnie na oblegające ją dzieciaki. Wszystkie chciały wejść do środka, ale ich negocjacje i tak były skazane na porażkę.

– Jest coś? – spytał Papa, zapalając papierosa.

– Tylko ta, co kiedyś pogodę zapowiadała, co wyszła za tego łyżwiarza. – Selekjonerka pstryknęła palcem, pokazując parze nastolatków, że nie mają co liczyć na wstęp.

– Z gachem jest? – cedził mężczyzna, uśmiechając się.

– Nie, z mężem.

– Myślałaś o mojej propozycji?

Dziewczyna kiwnęła głową. Jej typ urody, surowy, groźny, idealnie nadawałby się do zakładki „Teacher. Hot”. Fifi zaczepiłby ją na ulicy, niby wyrwaną w locie,

potem do kibla w knajpie, od tyłu, komórka, dla wzmocnienia klimatu „Amateur”.

– Neeee. Dacie mnie z ryja i będę miała na lata przejebane.

– To do USA! Kto cię pozna? Płacę z góry.

– Wal się! To internet!

Papa przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął się za niskim klombem. Nogę oparł o donicę, a torbę postawił na kolanie. Nora mogła nadejść w każdej chwili. Aparat trzymał w dłoni, gotowy do strzału.

– „To internet!” – parsknął z pogardą. – Ale koleżankę do sesji „Nude, teen” to podesłałaś – wyszeptał.

Kilka lat wcześniej, gdy ruszył biznes z płatnymi domenami xxx.pl, nude.pl, ostre.pl, hotpics.pl, Papa nie wiedział, w co łapy wsadzić. Stażystki, młode dziennikarki z jego redakcji, studentki wyrwane z pubów brandzlowały się i ssały za dwie, trzy stowy przed obiektywem, a on sprzedawał do zakładek „NEW! Ekskluzyw”. A teraz każdy w dupie ma ekskluzyw. Porno leje się z netu, gdzie miliardy młodych, starych, kalekich, ze zwierzętami walą się całą dobę, siedem dni w tygodniu, przed komórkami, aparacikami, kamerami. Z tyłu, z góry, cum shot, double, anal, milf, bizarre, amateur, hot, teacher, teen, young. Każdego dnia robią zdjęcia żonom, mężom, dupom, siostrom, dzieciom i wrzucają do netu. Przegapił to, mógł założyć stronę, jak ten dzieciak z gimnazjum, właściciel klikanej w milionach strony hotamateur.pl, który zamawia u niego nastolatki, koniecznie z zadbanymi stopami, bo taki fetysz. Ale i to się skończy, bo ludzie wrzucają do netu jak do albumu: *Moje Pierwsze Domowe Pierdolenie Przed Kamera*. I to za darmo! Był ciekaw, co się później stanie z tymi małolatami, gdy po latach mąż/mężuś/mężulek/chłopak dostanie link od kolegi ze złośliwym pytaniem: „A czy to nie twoja stara?”. A w pliku stara, a jakże, ssie wielkiego kutasa, który podsuwa jej w kiblu łusy, sztucznie pędzony debil ze złotym łańcuchem, obgryzionymi paznokciami i tatuażem na szyi. Kochanie, jak mogłeś sądzić? – zapyta żona/żonka/żoneczka/dziewczyna z pornola, trzymając bachora na rękach, gdy mąż/mężuś/mężulek/chłopak filmik pod nos jej podsunie, nie marząc nawet, by żona ssała mu tak zajadle i bez opamiętania jak na trzydziestosekundowym pliku MPEG, podpisanym „young blonde like cum shot”. A to znamię po pieprzyku wyciętym na



szyi też nie twoje? – zapyta mąż/mężuś/mężulek/chłopak i zdzieli w ryj swoją żonę/żonkę/żoneczkę/dziewczynę, i poprawi. Papa na samą myśl o tym zaczynał chichotać, kołyszac się przy klombie, bo tego, że ten cały syf z miliardem kobiecych amatorskich buzi gryzących kutasy wyleje się kiedyś z netu, był tak samo pewien jak tego, że Nora w koszulce z napisem „Colorado Love” właśnie podprowadzała mu pijanego

Gambita.

– No dalej, Norcia, schowaj twarz, no schowaj, no dalej malutka. O tak, tak, pięknie – wyszeptał i wysunął koniuszek języka. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Nora weszła z Gambitem do knajpy, mijając selekcyjerkę. Papa przerzucił aparat przez ramię i wrócił do samochodu, gdzie Młody siedział z zamkniętymi oczami, słuchając muzyki przez słuchawki. Mężczyzna wsunął rękę przez otwarte okno i wyjął leżący na siedzeniu aparat. Akumulator był wyładowany, przełożył więc baterię z aparatu przewieszzonego przez ramię. Spojrzał na wyświetlacz i zmarszczył brwi. Otworzył drzwi samochodu, a potem nimi trzasnął.

– Jezu! Aleś mnie przestraszył! – Chłopak zerwał słuchawki z uszu.

– Jak zdjęcia? – Papa usiadł za kierownicą i odpalił silnik.

– Właśnie nie wiem, bo baterie wysiadły. Był z jakąś babką, nie znam jej. Może jedno wyszło. Nie wiem, co mam ci powiedzieć...

– Nie histeryzuj. Powiemy staremu, że nie wyszło i już. – Papa był w dobrym humorze. Ten wieczór skończył się lepiej niż zwykle.

Nora wypić dwa drinki, ale bawiłaby się i na trzeźwo. Napędzała ją myśl, że jutro każda znajoma laska, a Monia na pewno, powie: „Udało ci się, raszpło! Udało!”. Dwa lata już siedzi w stolicy jak głupia cipa. Nie poszła w ślady innych lasek i nie łała sobie paznokci na kasie sklepowej ani nie stała pod sądem, jak Monia, by wciskać rozwodnikom ulotki „Najlepsza kancelaria radców prawnych – otworzymy oczy Temidzie”, nie dawała też dupy w burdelu. Tylko raz ukradła ptasie mleczko w Rossmannie, gdy nie jadła dwa dni, bo ten kutas, Wafel, wywalił ją z samochodu bez obiecanych dwóch stów za wywabienie z lokalu znanego kompozytora. Co on grał? Dżizas, pomyślała, ale jestem pusta cipa, nawet nie wiem, co to za muza.

Obiecała sobie, że zatrzyma się w końcu pod filharmonią i spisie repertuar, jak radziła jej Monia. Ta jest dopiero walnięta. Nie wie, przy której ulicy ta filharmonia, ale napierdalała w knajpie o granych tam Bachach, srachach, by przetrzymać rozmowę z celebrytą-muzykiem, aż Papa wysłał esemesa: „Kończ, tul”, i będzie tulić i spierdalać. Tylko raz pomyliła kompozytora, chyba sprzed tysiąca lat, z dyrygentem, bo źle spisała z tablicy przed filharmonią. Głupia, mogła zajrzeć do netu, ale się boi, że trafi na film, bo dała się namówić Papie na lodzika do „kum szot, in de bik buble” czy jakoś tak. Buble, jakie to ładne, po angielsku, a nie te cycki. Seks w języku polskim dla Nory był ohydny: „rznij, ciągnij, pierdol”. Ilekroć oglądała pornola w necie, nie słyszała, by polscy aktorzy czy amatorzy gadali. Raz widziała taki film, krótki, mąż z żoną chyba, gdy ona opowiada coś do dygoczącej kamery. Ani słowa nie rozumiała, a dopiero na końcu, gdy kołysali się już, krzycząc „fak mi! fak mi!”, pojęła, że to chyba Anglicy czy Amerykanie, a mówili tak miękko, cudownie, jakby to były słowa piosenki bez muzyki.

– Aj lowjuuuu beeejbi, end if it kłujaj olrajt, aj nit ju beeejbi, tu wałrm a lełli najt, lalala-laaaa-laaa – śpiewała Gambitowi w ucho, gdy dochodzili do knajpy, a potem odwróciła twarz, by nie uchwycił jej obiektyw Papy chowającego się za klombem.

Leżała teraz w wielkim łóżku, w dwupokojowej garsonierze Gambita i patrzyła w okno, w którym pulsował niebiesko-biały neon. Jeszcze kilka godzin i może ktoś zadzwoni, powie: „Dziewczyno, marnujesz się, jest propozycja, jest telewizja, jest świat”, a wtedy ona rzuci Papie: dosyć, całuj mnie w odbyt. Pijany Gambit spał obok w ubraniu. Nie zdążyła się przekonać, czy rzeczywiście ma wielkiego, jak mówiła jedna znajoma Moni, a jakie oglądała tylko na filmikach „szi lajk in as long dik”, bo zanim mu stanął, facet padł. Gambit miał na starcie dobrze, bo jego stary z Włoch, a matka aktorka, i jeszcze Żydówka... Nora pamiętała, jak babcia brała ją na kolana i śpiewała: „Jedzie, jedzie pan, pan, na koniku sam, sam, a za panem Żyd, Żyd, na koniku, hyd, hyd”. Babcia mówiła wtedy, zwracając się do niej jej prawdziwym imieniem, którego Nora nienawidziła:

– Pamiętaj, Andżelo, że te Żidy to wredne takie, cwane to, że hej, jak Cigany,

tylko bardziej jeszcze. Szeroko mijaj.

Opowiadała też, „jak Żydy rabowali Polaków przed wojną” i „Hitler nie dokończył dzieła, a powinien był”. Nora za dzieciaka była pewna, że jak kto Żyd, to zły. Żyd to takie złowrogie słowo, niepokojące, Żyd jak „zgrzyt”, „grzmot”, „brzeszczot”. Pewnego lata w ich wsi zjawił się pewien Anglik, co chciał kupić PGR. Wysoki, przystojny, taki blondyn z dołkami w policzkach, jak Dieter Bohlen z Modern Talking z plakatu Nory na ścianie pokoju dzielonego z siostrą. Wisiał tuż obok monidła babci i dziadka – czarno-białego, z poróżwionymi jedynie, jakby kredką świecową, policzkami. Obok Bohlena stał Thomas Anders, piękny, czarny, z zębami białymi, z łańcuszkiem na szyi, na którym dyndały srebrne literki jego ukochanej: „NORA”. I ten Anglik mówił, że jest „inglisz dźju”, a cała wieś uznała, że to ładne imię. „Dźju” podobało się nawet babci i choć bezzębna, wymawiała je „ju”. Każdy widział w „dźju” nadzieję dla PGR-u, bo przyjechał za Bilochową, ichnią wieśniarą na zgrabnych nogach, którą „dźju” wypatrzył, gdy zwiedzała jakieś muzeum. Była tam pierwszy raz, odkąd miała wolne od pracy w hotelu, w tym Liwerpulu. „Dźju” przyjmowano z honorami u wójta, proboszcza i strażaków, gdzie zapijał się bimbrem i po każdym kieliszku mówił: „Krejzi, fak”, a wszyscy się śmiali i klepali go po plecach, rycząc: „Swój chłop!”. „Dźju” był we wsi trzy miesiące, całe wakacje. Zaliczył wszystkie wesela, a jedno to państwo młodzi przełożyli nawet z paździenika, bo a nuż „dźju” zostawi w kopercie funty. Ale zniknął nagle z Bilochową pod koniec sierpnia '92, zostawiając za sobą pogrążoną w zdziwieniu wieś. Matka dziewczyny, stara Bilochowa, stojąc pod sklepem, wyznała, że ten PGR to „żart taki”, by „ludzi na duchu podnieść”. O mało jej nie wjebali, wyzywając jej córkę od szmat, kurew i zdrajczyń, która przyjechała tylko podkurwić całą wieś butami na korkowych koturnach, znanych wieśniarom z gazety „Burda”. Jeden jej egzemplarz krążył po wsi od czasów, gdy Dybizbański, syn wójta, pojechał za Lepperem do Warszawy wziąć rząd na kosy, a potem na ten stadion, żeby kupić „Burdę” swojej Dybizbańskiej. Gdy gazeta, krążąc po wsi, dotarła do matki Nory, miała już oberwane rogi, kółka od szklanek, a długopisem pomazane miejsca krojów. Latami cała wieś chodziła skrojona pod cztery formy znalezione w tej „Burdzie”: dwie sukienki, w tym jedną na ramiączkach, żakiet i spodnie

bufiaste na dupie. Tylko Dybizbańska uszyła sobie unikat: długą, z koronkowymi rękawami, bo zanim puściła gazetę w obieg, przezornie wyrwała ten krój. Modelka, co paradowała w „Burdzie”, z takimi białymi zębami, uznanymi przez wioskę za sztuczne, bo „normalne ludzie przecie takich nie moją”, nosiła właśnie buty na korkowych koturnach, z rzemykiem opasającym kostkę. No i Majka miała takie same i też na szczupłych kostkach, jak sarnie pęciny, co tym bardziej podkurwiało wieśniary. Jednak nikt jeszcze wtedy nie miał pretensji do „dźju”. Po wakacjach, gdy Nora wróciła do szkoły, do której chodziła cztery kilometry piechotą, wychowawczynie po wysłuchaniu wakacyjnych wrażeń o „panu dźju” rozdającym batoniki milki łej zmarszczyła brwi i powiedziała, że „nieładnie tak, należy mówić po imieniu”. Najpierw podniósł się harmider, że to przecież imię, a kiedy dzieci ucichły, wychowawczynie podeszła do tablicy i napisała kredą wielkie „JEW”.

– Po angielsku czyta się dźju, czyli Żyd – wyjaśniła z uśmiechem.

Nora pamięta ciszę, jaka zapadła wtedy w sali. Trzydzieści par oczu dziesięciolatków wpatrywało się w słowo na tablicy, jakby wykopali spod ziemi szkiełko, pod które ktoś wcześniej włożył lśniące płatki kwiatów, a teraz wyszło, że to zwiędłe, płaskie, śmierdzące ziemią. Uśmiech wychowawczynie zgasł, przygryzła dolną wargę i zmarszczyła czoło. Gdy Nora wróciła do domu, wszyscy już to przeżywali, bo najbliższej ze szkoły miała Gembarowa, córka dróżniczki. Stara Gembarowa poszła do wójtowej Dybizbańskiej, a ta poleciała na przystanek o 16.30, gdy podjeżdżał PKS przywożący kobiety z Pol-Plastiku, jedyne czynne zakładu w promieniu czterdziestu kilometrów. Plastik dawał robotę połowie kobiet ze wsi. Stały tam po dwanaście godzin, przycinając plastikowe sandały i biorąc na koniec miesiąca grosze, przepijane przez chłopów w wiejskiej budce U Antałka. A gdy właściciel Plastiku, dawny kierownik PGR-u, pieniędzy nie miał, to dawał w sandałach, które mogły sobie w dupę wsadzić, bo jakby to chociaż była piekarnia, to miałyby co dzieciakom smalcem posmarować. Dybizbańska, udając, że przechodzi tylko koło tego przystanku, zaraz wytłumaczyła babom tajemnicę zniknięcia Bilochowej i słowa „dźju”.

– Który? – spytał ojciec Nory, gdy weszła do domu, rzucając tornister na krzesło.

Siedział za stołem i skręcał peta, a babcia stała nad nim, opierając się o blat i pokazując laską okno.

– Tyn dom Wiśniewskich, żył tom Fejman, siwe, małe takie, w fartuchu zowsze lotoł. Córa jego zachodziła tu, coby nici sprzedawać.

– Matce się coś zwida. Toż to Wiśniewski postawił, jeszcze przed wojną. – Ojciec zmiękczał tytoń w bletce czarnymi od ziemi i żółtymi od tytoniu paluchami.

– Toż ja chyba lepiej wim, kto koło mnie żył! Jak ci mówię, durniu, to słuchoj matki! Toż to było najsampierw Fejmana! – krzyczała, plując na rękaw synowego swetra, na stół nawet, i zataczała laską koło w powietrzu, wyznaczając potęgę żydowskiego majątku. – Jak pojechał Fejman na Treblinke z rodziną, na całopalenie, to pomieszkał tam Alojzy, no, tyn, co dostał chate od Niemca za kopanie dołów w tyj małej Treblince, za naszo wsio, ale zabrali go zara po wojnie na procesy i dali Wiśniewskim. Tać jebucka twoja rasa, dobrze ja wim, kto koło mnie żył!

– No to wszystek jasne. – Ojciec kleił bletkę wargami. – Ten angolski Żydek, a nie tam „dżju” jakiś, chce to przejąć po inszych Żydkach, podstypem, a nam ciemnotę wciskoł całe lato, że przylecioł z pomoco.

Wtedy babcia pokiwała głową i uśmiechnęła się, odsłaniając puste dziąsła. Wszystko wreszcie się poskładało do kupy i zostało zaakceptowane przez otoczenie. Stuknęła laską w podłogę, kończąc dyskusję.

– A paczcie no, jakie to cwane, jakie chitre. Nikomu nie godoł, że Żid. – I splunęła na swoje filcowe kaptcie.

Jeszcze tej samej nocy pijane chłopcy poszły zaraz spod Antałka pod okna Bilochów i wszystkie kamieniami wytlukli. Bilochowie wyjechali kilka tygodni później, dom, ziemię, ciągnik i dwie krowy sprzedając za bezcen, bo nikt od Żydków przecież nie kupi.

Nora po raz kolejny przysięgła sobie, że zacznie się uczyć angielskiego, i wstała z łóżka. Spojrzała na zegarek stojący na parapecie okna: 5.30. Już zaraz, za chwilę, wreszcie zobaczy siebie w drodze na pieprzony szczyt! Weszła do łazienki i aż westchnęła z zachwytu. Te kafelki takie piękne, nawet gdyby ich nie myć, sprawiałyby wrażenie zawsze czystych. O ile w ogóle ludzie myją kafelki,

pomyślała. W domu, na wsi, mieli z początku studnię, a z czasem ojciec podłączył do niej silnik elektryczny. Myli się w zimnej wodzie, w misce w przedpokoju, który matka na czas mycia przysłała kocem. Gdy podciągnęli im wodę rurami, grzali ją na kiszonkę w kotle na kaflowym piecu i dzielili gorącą na siedem osób. Babcia i tak myła się raz na tydzień, a raczej wycierała pomarszczone ciało mokrą szmatą, mówiąc dzieciakom: „Czynste mycie skroco życie”. W internacie, w zawodówce, gdzie Andżela kazała na siebie mówić Nora, była tylko wnęka z plastikową okleiną wokół zlewu, a prysznic jeden – na korytarzu – dla jedenastu pokoi. Dwadzieścia dwie dziewczyny uzgodniły grafik mycia od godziny 19.00, zaraz po kolacji na stołówce. Każda miała cztery minuty, bo wodę wyłączali o 21.30. Nawet teraz, w Warszawie, wynajmowała mieszkanie, w którym ściany łazienki pomalowano olejnicą, a krzywe rury od kranu ociekały rdzą i do wanny sypały się płaty kruchej farby. Okno w łazience się nie domykało, więc uszczelniła je watą i gazetami. W pokoju stały meble podobne do tych, które rodzice Nory kupili sobie zaraz po ślubie, na stoliku pod oknem skrzeczał stary telewizor, a na aneks kuchenny składały się dwie szafki o obsiurpanych brzegach, ze sztućcami z wygrawerowanym napisem „PSS Społem”. A wszystko śmierdziało jej babcią.

Nora stała w łazience Gambita i palcami stóp głaszcząc biały dywanik frotté, spojrzała w wielkie lustro, zawieszone nad białą umywalką z rysunkiem delfinka. Z dwóch małych dziurek w suficie świeciły niebieskie żaróweczki i oświetlały jej twarz, nadając rysom znaczenia ukrytego w prawdziwym imieniu.

– Panie Boże – wyszeptała cichutko, ledwie otwierając usta. – Błagam, wysłuchaj mnie... Pozwól mi kiedyś mieć takie mieszkanie, taką łazienkę i takie lustro, a przysięgam ci, Panie Boże, że zdejmę tipsy, będę kupować tylko te badziewne cytrynowe kremy do rąk, a włosy spinać w koński ogon, taką gumką z kiosku za pięćdziesiąt groszy. Amen.

Wajchę kranu przekręciła ku czerwonej plamce. Umyła twarz, wypłukała usta, spryskała szyję męskim zapachem ze srebrnej puszkii stojącej pod lustrem. Nie potrafiła przeczytać angielskiej nazwy, bo za dużo było tego „thy”. Spojrzała na kabinę prysznicową, cudowną, ale szkoda jej było czasu. Za tymi pięknymi szklanymi drzwiami rozmarzyłaby się jak nic i pewnie zaczęła masturbować,

a chciała już wyjść. Zatrzymała się jeszcze w pokoju nad chrapiącym Gambitem i popatrzyła na tego przystojnego faceta, którego plecy miały kolor kawy z mlekiem, na jego czarne włosy. To nie był jej świat. Pogodziła się z tym, że tacy biorą ją tylko po pijanemu, kiedy nie mogą odkryć detali zdradzających wiochę: braku górnej lewej czwórki, meszku nad wargą, który kiedyś goliła, a teraz rozjaśnia, nogi krótszej o centymetr, bo starzy nie mieli głowy, by leczyć dysplazję biodra, gdy z pola trzeba było zbierać oziminę, małych cycków po matce, braku wykształcenia, czyli trzech klas zawodówki kucharz-kelner, i czterech przeczytanych książek, z których trzy były z tym pajacem na okładce. Ale na wabika dla Papy, na godzinę znajomości, seks po pijaku – o, tu jej starczało: ostre rysy twarzy, wystające kości policzkowe, 174 centymetry wzrostu i proste, długie nogi po ojcu, szerokie biodra po matce, niewyparzony ryj i pełne usta po babce, a jeszcze naturalne blond włosy, chuj wie po kim. Stała teraz na jednej nodze, drugą podparła się na palcach stóp, jak pewna aktorka, której nazwiska nie pamiętała, w filmie *Palp fikszyn*, wyduła lekko wargi i wyrzuciła teatralnym, znudzonym, głosem:

– E! Je-ba-ny i-ta-lia-ni! Wywalaj z mojego lajfa, bo pięciu takich czeka za drzwiami z jęzorem do minety.

Gambit z pijackim pomrukiem podniósł się na łokciach. Spłoszona Nora szybko włożyła spodnie, koszulkę „Colorado Love”, chwyciła za torebkę leżącą na podłodze i chichocząc, wybiegła z mieszkania.

– Już jest! Już jest! – zapiszczała na widok faceta z kiosku, przecinającego sznurek spinający stos gazet „Tylko Życie”. Brakowało dwóch minut do szóstej rano, niebo błękitniało, było duszno, dzień znów zapowiadał się upalnie. Nie spuszczała oczu z dłoni mężczyzny, gdy układał gazety w szeregi, rozkładając je na półkach. Te głupie, które prawie nie miały zdjęć i z których nigdy nic nie rozumiała, kładł dalej, a tuż za szybą te kolorowe, cudowne, pełne niesamowitych historii. Pamięta jedną, o kobiecie bitej przez męża kablem od żelazka, co to się wkurwiła i wbiła facetowi nóż w oko. Dziwne tylko, że on z tym nożem, jak pisali, żył jeszcze, latał po wsi i grozę siał. No i ten tytuł: *Kanalia nie chce zdychać!* – kobieta walczy z mężem potworem, a obok rysunek tej kanalii z nożem w oku. Nora by takiego

pokroiła na kawałki i w pizdu wrzuciła do studni. Dalej, otwieraj, poganiała sprzedawcę myślami. Zgrzyt odsuwanej szyby, półtora złotego i spokojnie, laska, smakuj chwilę, szeptała, chichocząc. Pierwsza strona z jakimś politykiem, cholera wie, o co idzie, dalej o krokodylu, co wyszedł z kibla w przedszkolu, o kierowcy TIR-a, co miał wódkę zamiast krwi, poradnik: *Jak grillować i nie przytyć*, a jeszcze: *Czy ogórkowa poprawia potencję i Przyłóż ręce do gazety, a jasnowidz uleczy twoje choroby. Dzisiaj – jaskra*. No i przedostatnia. A na dole, uwaga, proszę państwa, uwaga, bo na dole, we własnej osobie...

Nora poczuła, że robi jej się zimno, bo na dole uśmiechała się jakaś pierdolona brunetka z wielkimi cycami.

– Dlaczego nie ja, co się stało... Przecież Papa obiecał! Kutas, no! Przecież jeszcze wczoraj mówił... przez telefon... jak mu prowadziłam Gambita – Norze załamał się głos.

Ludzie spieszący do pracy omijali ją szerokim łukiem jak wariatkę. Łzy płynęły jej po policzkach strumieniem, bo przecież łazienka, lustro, kafelki, znowu wszystko daleko. W kolanach zrobiło jej się miękko, przysiadła na chodniku.

Fifi przebudził się w pustym łóżku i poszedł do łazienki. Dandys w wannie tarł pumeksem pięty. Podniósł głowę znad roboty, uśmiechnął się. W łóżku, gdy się kotłowali, Fifi czuł gładkie stopy tego starego pedała, dbającego, by latem, gdy trzeba pokazać się w laczkach, wykrajać z pięt żółtą, skorupowatą skórę. Dandys skinieniem zaproponował wspólną kąpiel.

– Nie, poczekam – wyszeptał Fifi, odwrócił się i wrócił do pokoju.

Drewniana, jasnobrązowa podłoga była nagrzana od porannego słońca. Spojrzał na draperie na wysoko zawieszonym suficie, na ciemnozielone tapety o fakturze aksamitu, meble jak ze starych kostiumowych filmów, do których pasowałyby peruka i rajstopy. Na sekretarzyku stało stare zdjęcie. Uśmiechała się z niego młoda kobieta z włosami do ramion, o ślicznych zębach i małej szczyrbie między jedynekami, takiej samej, jaką miał Dandys. Pod zdjęciem leżały srebrny, gruby jak ziemniak rolex i zużyta prezerwatywa z utlenioną już spermą. W nocy, przypomniał sobie Fifi, po dymaniu Dandys wstał z łóżka i odłożył gumkę na sekretarzyk, by



zapewne oszczędzić sobie rano przykrego plasknięcia, gdy postawi stopę na podłodze. Chłopak wszedł do kuchni. Tapety, również z aksamitu, przechodziły tu w czekoladę, a białe meble tworzyły kontrast z aluminiową lodówką, kuchenką i zawieszonym nad nią okapem. Otworzył dwudrzwiową, niczym paka ciężarówki, lodówkę wypakowaną po brzegi. Jezu, pomyślał, po co staremu pedziowi tyle wałowy? Wyjął szklaną butelkę z francuskim napisem, odkręcił i zajrzał. Gęste, chyba kefir. Rzucił okiem na etykietę, upewniając się, czy to kefir, w czym utwierdził go rysunek uśmiechniętej krowy. Wrócił do sypialni, usiadł na krawędzi łóżka i spojrzał na zdjęcie. Kobieta miała takie same włosy jak jego matka. Kiedy ostatnio ją widziałem? – pomyślał. Musi zadzwonić, zapytać, co u ojca, choć niewiele go to obchodziło, ale chciał podtrzymać u matki złudzenie troski. Ojciec, podpułkownik, wysoki, z wąsem, typowy trep, woził matkę i Fifi od małego po jednostkach, bo rozkaz, awans, manewry. Sześć szkół, sześć razy koledzy, a matka sześć razy nauczycielka. Biedna, myślał, pogoni jeszcze rok do emerytury, ale to już nie szkoły, to jakieś cholerne poprawczaki. Kiedy ostatnio zadzwonił, ryczała, że uczeń powiedział jej „ssij pałę, stara ruo”. Najpierw płakała za tę „pałę”, potem, gdy emocje opadły, spytała, czy jest już stara. Kiedy ojciec ostatni raz powiedział matce, że jest piękna? Bo była, z tymi naturalnymi, kasztanowymi włosami, prostymi nogami o smukłych łydkach i wąskich kostkach, może zbyt grubych, bo starczych już, ramionach i lekkim garbem od siedzenia za biurkiem, ale to jednak ciągle „milf”. Przypominała Fifi kobietę z reklamy pewnego banku, którą widywał na plakacie, na przystanku: siedzi za biurkiem przed laptopem, podpira delikatnie podbródek na palcu wskazującym i pyta: „Jesteś pewien, że Twoje konto pracuje?”.

– Jesteś pewien, że to przez samo „h”? – Matka siedzi w pokoju, w piątym już mieszkaniu, i podpierając się pod brodą jak kobieta z reklamy, z lekkim uśmiechem sprawdza jego dyktando. Siedzi za stołem, jedynym meblem, nie licząc stu kartonów z książkami, jakie woziła ze sobą po wojskowych mieszkaniach. Jeśli ojciec nie lubił przeprowadzek, czego nigdy nie dał po sobie poznać, to przez ten wielki dębowy stół po babci. Przychodzili szeregowcy służby zasadniczej i nawet we czterech nie dawali rady, bo to jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów, a jeszcze ledwo

mieściło się w drzwiach. Nosili kilka centymetrów nad ziemią, wytrzeszczając oczy, a policzki mieli jak murzyńscy trębacze z okładek analogowych płyt, które Fifi dostał w ramach wymiany za krążownik Vadera z *Gwiezdnych wojen*. Dostał go na pierwszą komunię od brata mamy, prosto z Berlina Zachodniego. Model do sklejania w skali 1 : 1000, więc Fifi szybko obliczył, że ten prawdziwy, z filmu, który pokonywał Wszechświat z prędkością światła, musiał mieć z pół kilometra długości. W dupie miał Vadera socjopatę, dziecienniałego Yodę, sztywnego Luke'a, a księżniczka Leia całkiem go gilała. Podniecenie wzbudzał w nim Han Solo, opryskliwy, twardy. Czytał o Harrisonie Fordzie wszystko, choć wiele wtedy nie było. Z gazet „Razem”, „Morze”, „Świat Młodych”, niemieckiego „Bravo”, które matka kupowała w komisie, wycinał zdjęcia i wklejał do zeszytu w kratkę kupionego w Peweksie za osiemdziesiąt fenigów, z niebieską okładką, żółtym napisem „Star Wars” i Hanem Solo strzelającym z pistoletu plazmowego. Raz ojciec zapytał:

– A czemu w zeszycie tylko Han Solo?

– Bo jest najładniejszy – odparł szczęśliwy Fifi.

Ojciec zrobił wtedy wielkie, złe oczy, odwrócił głowę i spojrzał na matkę, a ona, piękna, kochana, przyklękła, przyciągnęła syna i zapytała najłagodniejszym z tonów:

– Jak to ładny, synku?

Fifi nie rozumiał, co się w nim rodziło, ale na widok niepokoju w oczach matki i wściekłości ojca intuicyjnie wyczuł, że użył złego słowa, i zaraz poszedł w gadkę, którą znał od chłopaków z podwórka: „Znaczy dobry, wszystkich rozwała, nikt mu nie podskoczy”. Matka uśmiechnęła się i pogłaskała go po twarzy, a ojciec głośno wypuścił powietrze z płuc. Uważał, że to bajki, że prawdziwe życie jest w okopie, a nie w kosmosie. W końcu Fifi trochę złośliwie spytał:

– Gdzie, tata, byłeś w tym okopie?

Stary krzyknął:

– Dziadek był! I pół dupy mu urwało! A ja każdego dnia pilnuję, żebyś ty, smarkaczu, w okopie nigdy nie siedział!

Ojciec kupił mu kałasznikowa, który strzelał plastikowymi kulkami,

schmeissera, jakiego hitlerowcy używali podczas drugiej wojny światowej, ruską, plastikową pepeszę, drewniany model karabinu snajperskiego z lunetą, a z poligonu przyniósł dwa prawdziwe granaty bez zapalników, garść łusek karabinowych i pełen zestaw pagonów, od szeregowego po generała broni. Do kolekcji brakowało Fifi tylko generała armii i marszałka, ale stary po powrocie z koszar mówił zawsze z uśmiechem:

– Dzisiaj ich nie spotkałem.

Był dumny, gdy syn kładł sobie pagony na ramionach i paradował po mieszkaniu. Kiedy Fifi miał czternaście lat, wiedział o sobie więcej i przestał w nich chodzić, a zaczął wachać. To był zapach poważny, z nutą wody kolońskiej podobnej do tej, którą ojciec trzymał na półce w łazience, a która paliła się, gdy przykładali do niej zapałkę. Jeden pagon, chorążego, pachniał szamponem pokrzywowym i czymś nieuchwytnym, co po latach Fifi rozpoznał jako Old Spice. W nocy ze swojego pokoju nasłuchiwał, czy rodzice śpią, a potem kładł pagon na twarzy i wdychał, wyobrażając sobie chorążego z czarnymi jak Han Solo włosami, z gładko ogoloną buzią, żadnych, fuj, wąsów, ubranego w slipy i z papierosem w ręku. Dłoń Fifi zjeżdżała w dół, drugą zatykał twarz poduszką, by jęk nie obudził rodziców. Przestraszył się, gdy ojciec po raz pierwszy wpadł wściekły do kuchni i opierdolił matkę, że używa jego maszynki. Matka najpierw zdębiała, a po chwili parsknęła śmiechem, bo w tamtych czasach kobiety nosiły pod grubymi rajstopami naturalne owłosienie, a pachy miały czarne jak na starych obrazach z grubymi babami z muzeum, do którego matka zaprowadziła Fifi chyba po komunii. Ojciec nie spojrzał wtedy na małego, który nagle zainteresował się swoim talerzem i nisko się nad nim pochylił. Staremu nie przyszło nawet do głowy, że jego syn skrobał właśnie pod stołem łydkę piekącą po pierwszym, nieudanym goleniu nóg. Najpierw tylko bawił się maszynką ojca, kręcił rękojeścią, a wtedy dwie klapki górnej części otwierały się jak dach wahadłowca kosmicznego, by odsłonić miejsce dokowania żyłki. Po goleniu piekło, ale skóra była gładka jak u dziewczyn. Na osiedlu znał wielu innych chłopaków poszukujących erotycznych wrażeń, ale żaden nie był „taki”. Udawał, że ślini się do dziewczyn, bo gdy raz powiedział, że go nie biorą, od razu dostało mu się od „pedałów”, a gdyby taka ksywa doszła do ojca, ten kazałby

mu te pagony, karabiny i granaty zeżreć, a potem zastrzeliłby matkę, co mu syna cwela urodziła. Temu, co najgłośniej krzyczał „pedał”, Fifi dał w mordę, po czym wszem i wobec oznajmił, że już ruchał jedną w klasie, ale go nie kręcą młode, tylko stare dupy.

Ostatnie osiedle wojskowe, w jakim mieszkał, zanim uciekł z domu, składało się z kilku czteropiętrowych budynków. Tam zobaczył pierwszego trupa, który już zawsze będzie mu się kojarzył ze słowem „żona”. Malutka, chudziutka pani Swoboda miała podbite oko i siniak wokół ust, o czym w domu nikt nie rozmawiał, a tylko matka przez telefon mówiła czasami do niej:

– Przyjdź, przyjdź, proszę. Nie, nie ma go, nie ma.

Pani Swoboda przychodziła w kapciach, bo mieszkała piętro wyżej, niosła puszkę z kawą i zamykały się z mamą w kuchni, gdzie włączały głośno radio i zaczynały szeptać. Fifi, choć przykładał ucho mocno do drzwi, słyszał tylko wyrwane słowa pani Swobodowej, schodzące często do szlochu: „ja już nie dam rady, nie dam, nie wytrzymam, Boże...”.

W niedzielę dochodziły z sufitu odgłosy głuchych uderzeń, gdy pan Swoboda bił panią Swobodę, a ona strasznie krzyczała:

– Błagam, ludzie, pomóżcie!

Ojciec głośniej nastawiał wtedy telewizor, mama z płaczem wychodziła do łazienki, a Fifi siadał pod drzwiami, słuchając, jak szlocha, i zasłaniał uszy, bo jeszcze pani Swoboda coraz głośniej dawała świadectwo swojego cierpienia. Gdy mama wychodziła, miała spuchnięte, czerwone oczy, podobnie jak pani Swoboda nazajutrz.

Pewnego zimowego dnia, gdy wracał ze szkoły, zobaczył pod blokiem zielone, wojskowe dzipy z białym napisem „WSW” na drzwiach, a na podwórku żołnierzy z karabinami na ramieniu. Karetka pogotowia prawie wjechała do jego klatki schodowej, więc Fifi czekał, wypatrując mamy w oknie, bo ojciec był w delegacji. Obok stały inne podniecone dzieciaki, szepczące sobie coś do ucha, a ich rodzice w kapciach zaganiali je, krzyżąc:

– Do domu! Liczę do trzech!

Niektórzy też szeptali:

– Boże, przecież taka dobra żona...

Fifi zobaczył przerażoną mamę w oknie.

– Idź, synku, do Natalki, zaraz tam przyjdę! – zawołała, a on się ucieszył, bo lubił tę ruchliwą, grubawą i dość tępą dziewczynę. Uczyła go malowania paznokci, a potem ścierała lakier zmywaczem, od którego swędziały oczy. W łazience swoich rodziców pokazała mu też, jak wygląda cipka, a on jej siusiaka. Ucieszył się na myśl o zabawie z Natalką, ale zobaczył mężczyzn w białych fartuchach, wychodzących właśnie z klatki schodowej. Targali nosze przykryte zielonym prześcieradłem z brązową plamą gdzieś pośrodku. Jeden z nich zachwiał się, gdy zapadła się pod jego butem kratka odciągająca wodę, a nosze lekko się przechyliły. Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając białą jak kreda twarz pana Swobody. Miał zamknięte oczy, ale usta otwarte szeroko, jakby tuż przed śmiercią bardzo się czemuś zdziwił. Prześcieradło szybko nasunięto, nosze trafiły do karetki, a zdrętwiały z przerażenia Fifi usłyszał jeszcze na klatce lament pani Swobodowej. Dwaj żołnierze z karabinami na ramieniu w asyście policjanta wyprowadzali ją w kajdankach. W oczach, które szukały ratunku u wszystkich sąsiadów, nie było łez. Jej słowa, automatyczne, jakby puszczone z magnetofonu, zapamięta do końca życia:

– Błagam, ja nie chcę, błagam, ja nie chcę, błagam, ja nie chcę...

Na pogrzebie pana Swobody żołnierze stali w dwóch szeregach, trzymali karabiny i czekali na komendę. Fifi zastanawiał się, czy uda im się jednocześnie wystrzelić salwę honorową. Przemawiał wysoki, gruby i łysy pułkownik, który był taty dowódcą.

– Dla ojczyzny, dla honoru, dla więzi z bratnim narodem poświęcił życie, stojąc zawsze na stanowisku w gotowości, dlatego oddajemy synowi polskiej ziemi należny hołd – mówił dowódca, a gdy skończył, padła salwa.

Fifi zaśmiał się cicho, bo jeden z żołnierzy, fajtlapa, strzelił pół sekundy za późno, a w niebo wzbiło się stado wron i zatoczyło koło. Od jednej oderwał się mały kawałek gówna i jak porzucona przez samolot bomba pikował w kierunku ziemi.

Wielu żałobników nie odrywało od niej wzroku, śledząc tor lotu, który zakończył się plaśnięciem na wieku jasnej drewnianej trumny pana Swobody. Fifi zastanawiał się, czy tylko on to widział, bo nikt ze stojących wokół się nie zaśmiał, choć zawsze, gdy ktoś dostawał gównem, wzbudzało to wybuchy wesołości u dorosłych i dzieci. Odwrócił głowę, by spojrzeć na wpatrującego się smutno w horyzont ojca, i wtedy zobaczył leciutki, ale wyraźny uśmiech na twarzy stojącej tuż obok mamy.

Dandys wyszedł z łazienki i zawiązywał pasek niebieskiego szlafroka. Spojrzał na Fifi, który z pustą butelką w ręku siedział na krawędzi łóżka i patrzył na zdjęcie kobiety.

– Dlaczego wypiełeś śmietanę? – uśmiechnął się mężczyzna.

Stewardesa mijiała rzędy foteli kołyszącym krokiem. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem w wysoko podniesionych rękach trzymała kosmetyk oferowany „tylko wyjątkowym klientom naszych linii, w cenie niedostępnej na ziemi”, na który padały spojrzenia kobiet udających znudzenie. Wzrok mężczyzn udających obojętność padał raczej na biodra stewardesy. Znowu ten stukot w toalecie, pomyślała kobieta. Ktoś nie wrócił na swoje miejsce. Próbowwała policzyć wzrokiem pasażerów, ale zbyt wiele wolnych miejsc nie pozwalało jej oszacować niedoboru. Odwróciła się, spoglądając na koleżankę, która kilka rzędów dalej trzymała nad sobą apaszkę „pochodzącą z końcówki kolekcji, oferowaną w wyjątkowo atrakcyjnej cenie”. Znowu stukot. Wymieniły spojrzenia, nie okazując niepokoju. Lektor w głośniku zakończył prezentację „wody po goleniu, dającej skórze wrażenie jedwabiu” i stewardesa wróciła do mesy, pchając przed sobą wózek z gadżetami. Po chwili zatrzymała się przed drzwiami toalety i przystawiła ucho: szum wody. Dotknęła klamki, lekko pchnęła i w szparze zobaczyła lustro, a w nim nagiego mężczyznę wśród rozrzuconych na podłodze ubrań i papierowych ręczników. Uśmiechał się do niej jak dziecko. Miał kręcone, krótkie, ciemne włosy i trzydniowy zarost. Pchnęła drzwi mocniej.

– Co pan...? Proszę się... ubrać... wrócić... na swoje miejsce. – Zszokowana spojrzała na jego twarz i zobaczyła pod nosem biały proszek.

Godzinę później mężczyzna stał w kajdankach w małym pokoju sali odpraw.

Przy stole siedział policjant, a o drzwi opierał się pracownik straży granicznej.

– No to jeszcze raz, co pan brał, panie... Wolny. Eric, tak? – spytał policjant, patrząc na trzymany w ręku dowód osobisty. Na stole leżały torba i kosmetyki, ręcznik z jakiegoś hotelu, ciuchy, aparat fotograficzny, sportowe buty, skórzana kurtka, pusta kosmetyczka i portfel. Szczoteczka do zębów wałała się pod ścianą, bo gdy strażnik stanął na niej po raz drugi, kopnął ją z wściekłością.

– Ketonal, na głowę – odparł Eric, ziewając.

– W proszku... – wycedził policjant.

– W proszku – powtórzył Eric.

Zachował sobie ostatnie dwie działki koki, nim spakował torbę w Londynie, a teraz, stojąc przed tym palantem, próbował dociec, co go podkusiło, by wziąć dwie naraz w samolotowym kiblu. Kurwa, zaklął w duchu, koniec z dragami, a jeśli nie wytrwa w odwyku, to do końca życia będzie klęczał przed Kulawym, tkwiąc w kalejdoskopie, który kręci mu się od ośmiu lat przed oczami, a na jego końcu zawsze pojawia się twarz Kulawego z uśmiechem „a nie mówiłem, że wrócisz?”. W Londynie naciął mu w tydzień trzydzieści tysięcy euro. Dostanie z tego piątkę, ale tym razem pożegna się grzecznie i będzie kręcił na swój rachunek. Już się do tego nadaje. Żał mu nawet było tej kobiety, szczęśliwej, że Boga złapała za duży paluch, a tu, pyk, pyk i nie ma palucha, nie ma Boga, został dług pozbierany pewnie wśród rodziny, całe pięćset euro, by – jak obiecywało ogłoszenie – „podjąć od zaraz pracę w Londynie”. I jeszcze te wymagania opisane ze sprytem, który windował Erica wysoko w hierarchii Kulawego, czyli „kreatywność, szybkość w podejmowaniu decyzji, dyspozycyjność, podstawy angielskiego, prawo jazdy kat. B”. Zawsze dodawał do ogłoszeń wymóg prawa jazdy, bo to osłabiało czujność frajerów, pewnych, cholera wie dlaczego, że skoro wymagają prawa jazdy, to interes uczciwy. Po dwóch dniach w umówionym miejscu na Whitechapel zjawił się tłumek z Polski. Kobieta, wynajęta przez Erica za dziesięć funtów na godzinę, siedziała w pokoju biurowym, wydzierzawionym na tydzień za sto pięćdziesiąt funtów, i zbierała prawa jazdy oraz dowody osobiste na kupkę, a frajerzy płacili po pięćset euro, podpisując umowy o pracę w pizzerii. Eric zabrał trzydzieści tysięcy euro i kupkę dowodów, by „sprawdzić, czy niekarani”, a potem wyszedł z biura przez

okno. W okienku Western Union na lotnisku Stansted puścił pieniądze do Kulawego, a w kiblu wszył dowody w specjalną podszewkę spodni. Grzały go teraz w dupę, gdy stał przed gliniarzem. Jeśli zrobią mu przeszukanie osobiste, to dojdą do poszkodowanych i zarobi jakieś dwa lata, a Kulawego szlag trafi i każe mu odrabiać kaucję.

– W proszku, mówi pan. – Policjant stukał dowodem osobistym w blat biurka. – To co, panie poruczniku, wzywamy pieska i badamy krew? – Spojrzał na strażnika, który wycierał chusteczką spocone czoło. Policjant opróżnił leżący przed nim portfel, wyjął z niego sześćset funtów i podzielił na pół.

– Nie awanturował się, nie sprawiał problemów, twierdzi, że spanikował, dlatego się rozebrał, wziął lekarstwo, no i zmiana mi się kończy – strażnik spojrzął na zegarek – za dziesięć minut. – Schylił się po trzysta funtów, zwinął je w rulon i schował do tylnej kieszeni spodni.

Policjant rzucił dowód na stół, wstał i podszedł do Erica.

– Witamy w domu – wymamrotał, zdejmując mu kajdanki.

Eric spakował torbę, zarzucił na ramię i pomaszerował przez halę odpraw w kierunku postoju taksówek. Ranek był duszny, dzień zapowiadał się gorący.



# ...due...

– Synku! Kanapki!

Młody przytrzymał drzwi windy, gdy matka wybiegła z mieszkania, by wsunąć mu do ręki pakunek owinięty folią aluminiową. Wyszedł na ulicę. Znów gorąco. Miał na sobie przewiewną, lnianą koszulę, ale pod dzinsami już lekko. Wsiadł do autobusu, razem z grupą łysych w czerwonych koszulkach z klubowym napisem „Start”.

– Co się patrzysz, lesbo! – Wysoki, chudy kibol, szczerząc zęby, wyrzucił torbę młodej dziewczyny przez otwarte drzwi. Wskoczyła w ostatniej chwili. – Wywalaj mi, cioto! – burknął do chłopaka, który siedział obok dziewczyny, a teraz ze spuszczoną głową przeżywał upokorzenie wymuszonego rozstania.

Młody odwrócił głowę w kierunku okna. Kibol z wytatuowanym smokiem na szyi rozłożył się na fotelu, ściskając puszkę od piwa. Nogi położył przed sobą, na oparciu siedzenia, na którym czule obejmowała się jakaś para, żałująca zapewne, że nie wysiadła wcześniej. Młodzian w okularach, wyglądający na studenta, czytał książkę, ale pot na jego czole zdradzał, że zamiast się skupiać na lekturze, drżał o życie. Kobieta stojąca obok Młodego tuliła pięcioletniego na oko chłopczyka, który zapłakał cichutko, a matka, głaszcząc go, szeptała:

– Cicho, cicho, zaraz wysiadamy...

Kibole telefonami kręcili swój podbój. Zaśmierdziało piwem, gdy zawyli:

– Auschwitz-Birkenau, siala-lala-la!

Ten z tatuażem zerwał się, otworzył szybę, wystawił głowę i zaryczał do grupy robotników drogowych, kładących na ulicy asfalt:

– E! Krzywy! Ty chuju!

Rzeczony Krzywy w kamizelce drogowej, z łopata w dłoniach, schylił się, nabnął piach i rzucił w otwarte okno. Gruda trafiła Młodego w oko. Kibole zaryczeli ze śmiechu i znów zawyli:

– Auschwitz!

– Dość tego! – cienki, metaliczny głos kobiety przeszył autobus jak brzeszczot.

Mężczyzna z tatuażem zmarszczył brwi i wydał wargi, rozczarowany, że ktoś rozwala mu imprezę. Drobna, siwa staruszka przepychała się między kibolami jak między wieprzami, pokwikującymi:

– Co? Co?! No co...

Wymachując torebką, doszła do szoferki.

– Niech pan zatrzyma autobus i zrobi porządek z tą trzodą!

– Uuuuuuuuuu! – zawyli kibole.

Po chwili kierowca, koło pięćdziesiątki, ubrany w zieloną, firmową koszulę z naszywką MZK, czarne spodenki do kolan i skórzane, brązowe sandały, do których włożył czarne skarpetki, wyszedł z szoferki i podszedł do środkowych drzwi. Nacisnął guzik przy poręczy, syknęły pneumatyczne ramiona.

– Wypierdalać, synalki!

Po słowie „synalki” opuścili wzrok, wbijając go w sandały kierowcy, a potem spokojnie, w szeregu zaczęli wychodzić z autobusu. Wróciło do nich wspomnienie uderzeń gumowym kablem przy innych dzieciakach i ból dupy, gdy nic nie dały krzyki matki: „Zabijesz go! Przestań!”, bo z kabiny wyszedł do nich „ojciec”. Tylko jeden z nich, ten z tatuażem, nie mógł się pogodzić z upokorzeniem w oczach ciot, lesb i staruch, więc kopnął w otwarte drzwi, jak chłopiec, któremu zabrano zabawkę i zaryglowano w pokoju, by się wyżył. Choć podbój trwał ledwie pięć minut, a autobus miał klimatyzację, wszyscy pasażerowie byli złani potem. Kierowca ruszył, kibole rzucili się do okien, wałąc w nie pięściami albo otwartymi dłońmi.

– Jazda z kurwamiiii!!!! Kurwyyyyyyyyyy! Kurwyyyyyyyyyy!

Kierowca przyspieszył, zostawiając ich w tyle z ich porażką. Ciszę przerwał

szloch chłopca.

– Mamooooo! Ja już nie chcę na mecz...

Młody wysiadł na kolejnym przystanku i przeszedł na powrotny, bo, podobnie jak wielu innych pasażerów, specjalnie pojechał za daleko i metrem udał się do centrum. Budynek gazety mieścił się w nowoczesnym, wysokim biurowcu. Redakcja zajmowała piętro szóste i siódme, na czwartym pracowali dziennikarze i skład graficzny, wyżej administracja, prawnicy, dział reklamy i księgowość. Podszedł do windy. Przy drzwiach czekała blondynka na szpilkach i w obcisłych dżinsach, podkreślających długie nogi. Na jej koszulce świecił napis ułożony ze srebrnych i różowych cekinów „Colorado Love”. Zaciskając mocno usta, oddychała demonstracyjnie głośno przez nos. Wcisnęła szóstkę. Dźwig stanął między piętrami.

– Co jest?! – spytała nerwowo Nora.

Uwadze Młodego nie uszły jej spuchnięte, przekrwione oczy.

– Czasami się zacina, w zasadzie to często. – Wzruszył ramionami. Zastanawiał się, jak ominęła ochronę na dole, bo redakcja była czujna wobec gości. Bohaterowie zdjęć i tekstów „Tylko Życie”, pomijając figurantów-statystów pozujących do zdjęć za parę złotych, nie mieli powodu, by składać dziennikarzom dziękczynne wizyty. Kilka dni wcześniej z drugiego końca Polski przyjechał do redakcji niejaki pan Eugeniusz, który zobaczył się na zdjęciu z podpisem: „Pan Eugeniusz (61 l.) boi się swoich kur, bo są napromieniowane. Nie jemy jaj! Boimy się choroby! – żali się pan Eugeniusz”. Rolnik dwie godziny szarpał się na dole z ochroną, bo co prawda zadzwonił po dziennikarzy, by opisali jego protest przeciwko budowie linii wysokiego napięcia, ale jako hodowca drobiu chciał się też pochwalić dorodnymi kokoszkami i z jedną z nich zapozował. Jego czujności nie wzmogła prośba fotoreportera, by okazał przy tym smutek. W ciągu tygodnia – jak wykrzyczał redakcyjnej ochronie – stracił zlecenia na ponad dziesięć tysięcy jaj, jako że kontrahenci, traktując jego żal poważnie, nie chcieli narażać swoich klientów na rakotwórczą jajecznicę.

– Niech idzie! Niech idzie! – machnął ręką redaktor naczelny Lebioda, gdy podczas zebrania wszedł do newsroomu ochroniarz z informacją, iż pan Eugeniusz co prawda wyszedł, ale postraszył, że do sądu, by w towarzystwie prawnika złożyć

pozew cywilny i „żądać zadośćuczynienia za poniesione straty”. Młody nie miał pojęcia, ile gazeta wydawała na takie procesy, ale na ósmym piętrze pracowało czterech prawników, a wynajmowano jeszcze dwie kancelarie, z których jedna miała swoją centralę w Londynie. Nie wiedział też, na czym opierał się mechanizm czerpania korzyści z wyszydzania bohaterów, bo przecież narażał gazetę na koszty procesów sądowych, ale w końcowym rozrachunku musiało się to opłacać, skoro gazeta sprzedawała się każdego dnia, mimo konkurencji plotkarsko-sensacyjnych serwisów internetowych, w ponad trzystu tysiącach egzemplarzy.

Młody wyszedł z windy, puszczając przodem dziewczynę na szpilkach, przeszedł wąskim korytarzem do hali newsroomu, gdzie przed komputerami siedziało już kilkunastu stukających w klawiatury dziennikarzy. Newsroom łączył się z drugim korytarzem, znacznie szerszym, na którego końcu siedziała Iwonka, asystentka naczelnego Lebiody, niezbyt wysoka i nieco korpulentna, z kokiem na czubku głowy.

Papa gnieździł się w ciasnym pomieszczeniu wydzielonym z newsroomu. Szklane ściany były zasłonięte zdjęciami z wypadków drogowych i półnagich kobiet. Nachodziły na siebie krawędziami, tak by obce oko nie mogło zajrzeć do środka. Papa siedział twarzą do drzwi, więc nikt nie widział, czym się zajmował, spoglądając na ekran swojego komputera.

– Masz? – Lebioda wsadził głowę w otwarte drzwi pokoiku.

Papa przygryzł dolną wargę, odchylił się w fotelu i założył ręce za głowę.

– Chyba jakaś babka, ale za ciemno było, nic nie widać.

Szefowi zniknął uśmiezek oczekiwania.

– No co ty?

– No nic nie widać.

– Kobieta?

– Posłałem Młodego. Rzucił okiem i powiedział tylko, że jakaś młoda dupa, nie zna jej.

– Młoda dupa... No dobra. Aha, mamy deal na Białkową, umów się „na już”, pchniemy na jutrzejsze wydanie, tu masz jej numer telefonu. – Podeszedł do biurka

i przykleił do blatu żółtą karteczkę.

Gdy naczelny wyszedł, Papa zaznaczył na ekranie komputera kilkanaście zdjęć, uruchomił program TOR, internetową kryptę, pomagającą zamaskować IP komputera, by nikt nie wykrył nadawcy, i przesłał zdjęcia. Kiedy usłyszał awanturę na korytarzu, podniósł głowę znad monitora i po chwili wyszedł z pokoju. Zobaczył, jak ochroniarz siłuje się z Norą, i szybko się odwrócił, by uciec do toalety.

– Puść, gnoju! Papa! Papa! – Nora krzyczała na całe gardło.

Kilku zaintrygowanych dziennikarzy wstało od biurka i zaczęło się przyglądać scenie. Zrezygnowany Papa zatrzymał się, machnął ręką, dając znak, by ochroniarz zwolnił uścisk. Nora wyrwała się i poprawiła koszulkę.

– Co się stało?! – spytała nerwowo i chwyciła się pod boki.

– Ale że co... – Mężczyzna udawał zdziwionego, choć gdy po przyjściu do redakcji zobaczył przedostatnią stronę, wiedział, że będzie dym, jednak wizyty tej idiotki się nie spodziewał.

– Ty gnoju! Dałam ci kasę, obiecałeś! – Nora wyjęła z torebki zgniecioną w kulkę gazetę, którą kupiła w kiosku.

Papa chwycił ją za ramię, by zaciągnąć do swojego pokoju.

– Zamknij się, debilko – wysyczał.

Dziennikarze podchodzili coraz bliżej, próbując zrozumieć sytuację. Dziewczyna zamachnęła się torebką, ale on wyrwał ją i rzucił o ścianę. Na podłogę wysypały się karminowe i różowe szminki, puder, chusteczki higieniczne, podpaski, skasowane bilety tramwajowe, czerwone, nadgryzione jabłko, różowe pudełeczko, z którego wypadły jej nagie zdjęcia, butelka po wodzie mineralnej i telefon komórkowy w futerkowym etui.

– Zbieraj to i wypierdalaj! Ochrona, zabrać tę idiotkę! Sprostowań jej się zachciało. – Uśmiechał się sztucznie, a zapłakana Nora z rozmazanym na oczach makijażem uklękała, by pozbierać swoje rzeczy. Młody chciał podejść i pomóc, ale Papa złapał go za ramię. – Zostaw! – wycedził.

Ochroniarz nachylił się nad roztrzęsioną dziewczyną, chwycił pod ramię i zaprowadził do windy. Począł, aż kabina się otworzy, wszedł do środka, wcisnął

„P”, a potem wyszedł i dopilnował, by za Norą zamknęły się drzwi. Gdy dźwig ruszył, rzucił do walkie-talkie:

– Jedzie na dół.

Nora oparła się o ścianę kabiny, wierzchem dłoni wytarła rozmazane oczy i spojrzała na ścianę pełną napisów: „Byłem tu. Sprostowanie”, „Nie pomawiaj, dopóki nie masz etatu”, „Wierszówko – pozwól żyć”. Wyjęła z torebki różową szminkę i szlochając, nabazgrała kilka słów obok guzika z literą „P”.

Młody usiadł w newsroomie na podłodze, opierając się plecami o biurko. Zebranie się opóźniało, bo Lebioda nie przyszedł jeszcze ze swojego gabinetu. Janeczek, wiceszef działu wydarzenia, obśmiewał konkurencję i komentował poranne informacje, schodzące z radia, telewizji, internetu i agencji prasowych. Na kolanach trzymał notes i stenogram, z którego czytał fragment wystąpienia jakiegoś polityka z trybuny sejmowej. Lekturze towarzyszył śmiech dziennikarzy.

– Poczekajcie, on jeszcze mówi tak: „Dlatego trzeba by wprowadzić takie rozwiązania, takie tego, że tak powiem, alternatywy, by każdy, kto w te alternatywy wejdzie, mógł wyjść z alternatywą dla siebie, jak to się mówi, tego, najkorzystniejszą, prawda...” – Janeczek chichotał.

Iza Bładzińska, redaktorka, zwana Bładą, podskoczyła na swoim fotelu.

– Zróbmy z tym debilem wkrętkę!

– Bierzesz to? – Janeczek podniósł głowę znad pliku kartek i zanotował coś na marginesie.

Błada skinęła głową. Miała trzydzieści lat, choć wyglądała na starszą. Wysoka, ładna, z kręconymi rudymi włosami, chadzała często do pokoju Papy, jedyne pomieszczenia, gdzie wolno było palić. Jak powiedziała Młodemu, skończyła polonistykę, a w gazecie pracowała od pierwszego roku studiów, gdy dostała staż dziennikarski.

Do newsroomu wszedł Lebioda i opadł na wolny fotel.

– No, dawać! – rzucił.

Janeczek wyciągnął notes.

– Na jedynekę, górą, mamy zapowiedź dodatku *Emerycie* – *płać i płacz!*, czyli na

czym seniorzy popłyną w przyszłym roku, niżej *Tylko u nas: Ewa Białek, poselska żona lubi szmateksy!*.

– Uuu... – wyrwało się z wielu gardeł.

– Wyszła z ukrycia? – spytała Błada.

– Szef ją nagrał. – Janeczek wskazał ręką na naczelnego, rozległy się brawa, a ten teatralnie się uklonił. – Bokiem na jedynce damy... – Janeczek podrapał się długopisem po czole – ...w zasadzie nie wiem, konkurencja jest mocna. *Pijany nauczyciel kazał dzieciom pożreć kredę albo UFO porwało mi garnitur ze sznura.*

– Ale to jest „Z Dupy Wyjęte”? – spytał Lebioda.

– „Dupy” nic nie zgłosiły, wziąłem to z „The Sun” sprzed tygodnia, nie wiem tylko, czy wiernie przetłumaczyłem. Zleciłem grafikom, by narysowali mi to UFO, a kryminalny ma...

– Jest historia z samolotu – odezwał się grubas z wąsem, zwany Behemotem, który dzień pracy zaczynał od wizyty w komendzie, gdzie wysłuchiwał relacji zaprzyjaźnionych oficerów dyżurnych. – Otóż jakiś psychol na pokładzie samolotu z Londynu doprowadził do lądowania...

– Dlaczego psychol? – spytała Błada.

– Bo zamknął się w kiblu i rozebrał do naga. Chyba spanikował.

– Daj mi to krótko – zanotował Janeczek.

– Jestem! Jestem! – Do newsroomu wszedł Kalina, zdyszany szef działu „Tematów z Dupy Wyjętych”, dawniej copywriter pracujący dla agencji reklamowych, wiceszef działu zagranicznego w „Polityce Nowej”. Do „Tylko Życie” trafił przed rokiem, wymyślając na dzień dobry historię o pterodaktylu. Wakacje są najgorszym okresem dla mediów, zwłaszcza brukowych, bo politycy i celebryci, zajmujący na co dzień połowę szpalt, wyjeżdżają z Warszawy, pozostawiając dziennikarzy na pastwę historii o topielcach, padających biurach podróży i własnej wyobraźni. Kalina wymyślił więc, że wagarujące dzieci wypatrzą na niebie wielkiego gada o długim dziobie i błonie między skrzydłami. Młody, który sprawę znał tylko z Facebooka, pamiętał tytuł pierwszego odcinka – *Pterodaktyl leci nad*

*polskie morze!*. Prehistorycznego gada dostrzegły dzieci z podwórka, w które, za kilka złotych, wcieliły się przypadkowo spotkane pod Katowicami nastolatki. Miał ponad dziesięć metrów długości i leciał razem z gazetą przez półtora miesiąca, odwiedzając Łódź, gdzie nasrał na autobusy, wieś pod Toruniem, gdzie pożarł bociany, Bydgoszcz, gdzie na przedmieściach rozszarpał krowę, minął trasę pod Gdańskiem, powodując wypadki zagapionych w niego kierowców, by w końcu, w połowie sierpnia dotrzeć nad morze, gdzie dał nura. *Pterodaktyl idiota! Utopił się w Bałtyku* brzmiał tytuł ostatniego artykułu, kończącego wakacyjną, jurajską epopeję, bo do Warszawy zaczęli ściągać z antypodów politycy i celebryci, więc ożywiony gad musiał umrzeć efektownie, by ustąpić im miejsca.

– Masz coś? – spytał Janeczek.

– A mam. – Kalina rozsiadł się na podłodze i otworzył mały notesik. Był z siebie zadowolony, co oznaczało, że wszystkich czekała zabawa. Lubował się w historiach groteskowych, przemycając w nich słabostki ich czytelniczego targetu, z których wszyscy gruntownie wykształceni pracownicy redakcji „Tylko Życie” zdawali sobie sprawę, czyli alkoholizm, ciemnotę, arogancję, zawiść, zazdrość, cwaniactwo i konformizm. – Słuchajcie: *Pomnik zszedł z cokołu. Ludzie w Kulejówku się boją!*

Rozległ się aplauz, bo historia niosła idealny targetowy przekaz: niesamowita, z Polski i wiała grozą.

– Dobrze, dobrze. Podoba mi się Kulejówek. Sprawdziłeś na mapie? – odezwał się Lebioda.

– Sprawdziłem, na pewno takiego miasta nie ma.

– Ale pomnik czego? – spytał Janeczek.

– No właśnie... Mam kilka propozycji, poddamy je pod głosowanie. Pierwsza: pomnik przodownika pracy z czasów PRL, któremu postawili naprzeciwko Biedronkę, więc skoczył na piwo. – Kalina spojrział na dziennikarzy, przygryzając w oczekiwaniu wargę, ale newsroom to wygwizdał.

– Jan Paweł II zszedł z pomnika, widząc pewną nastolatkę...

– Odpada – uciął naczelny poważnym tonem.

– Pomnik Matki Polki, która na cokole zostawiła swoje niemowlę i uciekła ze



stojącym w pobliżu pomnikiem Nieznanego Żołnierza.

Wybuch śmiechu oznaczał, że Kalina trafił. Lebioda podniósł się z fotela.

– Okej. Kto napisze bazę? Błada? – spytał, a ta przytaknęła.

Młody podniósł rękę, mrużąc jedno oko, z którego bezskutecznie od godziny próbował wygrzebać piach.

– Mam pewien temat...

– Mów. – Naczelnny miał już wyjść, ale usiadł z powrotem.

Gdy Młody skończył opowieść o kibolach w autobusie, odpowiedział mu chichot i dziennikarze rozeszli się do swoich biur. Błada podeszła do ściany z makietą kolejnego wydania gazety, ściągnęła cztery strony i przyniosła mu. Spojrzał na pierwszą. Był to dodatek dla kibiców, a winieta miała tytuł „Na Start!” i opatrzona była takim samym herbem, jaki chłopak widział na koszulkach kiboli. Na jednym ze zdjęć kilku łysych otaczał wianuszek dzieci z domu dziecka. Podpis brzmiał: „Wiceprezes stowarzyszenia kibiców Start wręcza koszulki małym kibicom i bilety na najbliższy mecz”. Na zdjęciu wiceprezesa Młody zobaczył gościa z autobusu, tego z tatuażem. Błada uśmiechnęła się, położyła mu rękę na ramieniu i przemówiła tonem matki:

– Klub płaci nam dziesięć koła co miesiąc za tę wkładkę.

Znów się nie podpiszę, pomyślał Młody. Już czwarty tydzień siedział tu na praktyce, czekając na spełnienie marzenia, by zobaczyć swoje nazwisko w druku. Gdy wybierał miejsce stażu, jedynymi gazetami ukazującymi się na papierze były „Tylko Życie” i „Życie na Gorąco”, dwa brukowce, które przetrwały zawieruchę internetu. Inne, poważniejsze, ukazywały się głównie w sieci, a ich papierowa wersja była mocno okrojona. Poza tym z braku finansów nie przyjmowały stażystów. Tylko wykluczony z cyfrowego obiegu target brukowców, jak rodzice Młodego, kupował gazety z codzienną porcją rozrywki, owocem talentu Kaliny. Chłopak usiadł za swoim biurkiem i rozejrzał się po newsroomie. Janeczek trzymał nogi na stole, na stopach miał skórzane, nieco obciachowe sandały. To ciekawe, pomyślał Młody, że wszyscy w tej redakcji chodzą ubrani jak abnegaci, we flanelach i sandałach, a drżą przed nimi ludzie zapięci w garnitury, w limuzynach z własnym kierowcą pod

krawatem. Młody spotykał na uczelni kolegów, którzy staże odbywali w obowiązkowych gajerach. On też miał jeden taki w szafie, co prawda granatowy, ze zbyt długimi rękawami, kupiony przez matkę w Tesco za sto dziewięćdziesiąt dziewięć złotych specjalnie na studniówkę, ale służył mu jeszcze na maturze, a potem na egzaminach na studia, komunii bratanka i dwóch ślubach. Na szczęście teraz nie musiał się w niego wbijać, w przeciwieństwie do kolegów odbywających staże w firmach, w których gajer stanowił nieodzowny element korporacyjnej przynależności. Jeden z nich – studiujący komunikację społeczną – był na stażu w PZU. Gajer, skórzane buty i koniecznie torba na laptopa, choć nosił w niej tylko kanapki. Drugi – etatowy przedstawiciel handlowy – sprzedawał w gajerze sprzęt medyczny, którego zasad działania nie potrafił wytłumaczyć. Zaczynał od jakichś pomp, a potem awansowano go na aparaty odprowadzające mocz. Kasia – najzdolniejsza na wydziale dziennikarstwa – wyjechała do Anglii, gdzie w garsonce zapiętej pod szyję pracuje na godziny jako hostessa i tłumaczka. Właśnie dostał od niej maila, że jakiś cwaniak okradł Polaków, zabrał im dowody osobiste, a jej nie zapłacił za pełną dniówkę. Musiała sama wracać, bo krajanie chcieli ją za to zlinczować. Ktoś poszedł do radia, został lektorem od reklam, bo miał niski głos. Najlepiej szło Malutkiej, pyskatej blondynce z dużymi ustami, bo wkręciła się do telewizji. Młody widywał ją zwłaszcza w dni wolne od pracy, gdy elegancko ubrana na żywo relacjonowała wypadki i tragedie z różnych stron Polski. Raz miała wejście „live” do kraksy autobusowej. Trochę niewypał, bo matkę, która straciła syna, zapytała, co teraz czuje, a ta przed kamerą odparła: „Spierdalaj, idiotko”.

Malutka zalała się łzami, ale i tak dostała pochwałę za te łzy, bo szefowie powiedzieli jej, że „dopełniła tymi łzami obrazu tragedii”.

Młody napisał już kilkanaście tekstów, które zostały co prawda opublikowane, ale pod pseudonimem, zgodnie z sugestią Janeczka, by szanował swoje nazwisko. Zrozumiał to, gdy pod pierwszym z nich, o niepełnosprawnym chłopcu wychowywanym przez samotną matkę, Błada dopisała, że i matka jest kaleką, nawet pies kulawy, a na leki potrzebują co miesiąc dziesięć tysięcy, które zbiera fundacja gazety. Ani jeden spośród jego kolejnych tekstów po ukazaniu się drukiem nie

odpowiadał rzeczywistości. Traktowano je jak „bazę” do zabaw z faktami i językiem – zawsze prostym i swobodnym. W redakcji funkcjonował nawet specjalny kodeks, zabraniający używania zbyt wielu trudnych słów, ale ostatnią instancją był pan Wieliczka, sprzątacznik, który wchodził do redakcji tuż przed zamknięciem numeru. Lebioda poprosił go raz, by przeczytał tekst Młodego o gangu porywającym prostytutkę. Ten wziął długopis i wykreślił słowa, których nie rozumiał: „stręczyciela” Lebioda zamienił więc na „alfonsa”, „premedytację” na „złość”, „podejrzanego” na „bandziora”, a „epilog” na „koniec”. A kiedy Wieliczka wykreślił także słowo „orgia”, naczelny spojrział na niego jak na idiotę, za jakiego go zresztą uważał, i „orgię” jednak zostawił.

Młodego dziwiła także uległość ludzi, wydawałoby się, poważnych wobec „Tylko Życie”. Był świadkiem, gdy do redakcji wpadł Białek, wiceszef klubu parlamentarnego Ruchu Obywatelskiego. Papa zrobił mu ponoć zdjęcia w bramie koło knajpy, jak pijany zatacza się pod postojem taxi, obejmując jakąś młodą laskę. Błada wysłała Białkowi zdjęcia na pocztę mailową z informacją, że gazeta jest zainteresowana publikacją, i bezczelnie zapytywała, ile promili miał pan poseł. Białek przyleciał zdyszany do Lebiody, ale z jego gabinetu wyszedł zadowolony.

– Dobili targu – powiedział wtedy Papa i zdjęcia pijanego Białka do druku nie poszły.

Kilka dni później ukazały się za to inne, prywatne, z wakacji nad morzem, w otoczeniu dzieci i żony uznanej za najładniejszą poselską żonę, przyciągającą uwagę czytelników, i z tytułem *Poseł Białek każdą wolną chwilę spędza z rodziną*.

Młody podniósł głowę, słysząc chichoczących dziennikarzy stojących przy biurku Bładej, która wykręcała numer do Zdzisława Kiejkusa, posła Ruchu Jedności Ludowej, autora wystąpienia wyśmianego na zebraniu. Kiejkus, z wykształcenia spawacz, rolnik na kilku hektarach, miał – jak wynikało z oświadczenia majątkowego – dwa miliony złotych długów, w tym zaległe alimenty. Już raz został przyłapany przez Bładą, gdy po pijaku odsikał się pod palmą na rondzie de Gaulle’a. Dziennikarka przełączyła na tryb głośnomówiący.

– Haluuuuu? – spytał Kiejkus wyraźnie w dobrym nastroju.

– O, panie pośle, humor dopisuje. Rozumiem, że wieści już do pana dotarły. Gratuluję! – Błada przyłożyła palec do ust, ogłaszając ciszę na newsroomie.

Kiejkus milczał. Był zbyt głupi, by zwęszyć podstęp, a zbyt ciekawy i próżny, by przerwać rozmowę. Zachował się standardowo, jak na polityka przystało, i postanowił grać dobrze poinformowanego. Na swoją zgubę.

– No coś tam, ten, yyy, a co pani słyszała, bo to jeszcze tajemnica, no wie pani... racja stanu.

– Tak, tak, oczywiście. Bo, widzi pan, dostaliśmy informację, że obejmuje pan tekę ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

Poseł milczał tak długo, że słuchający byli pewni, że stracił przytomność, ale w końcu westchnął.

– Aha. A skąd pani to wie?

– Od przewodniczącego klubu sejmowego waszej partii. Czy mam rozumieć, że pan odrzucił ofertę? – pewność głosu Bładej i ostatnie pytanie oznaczały, że Kiejkus nie mógł wyjść z tego cało.

– Nie no, wie pani, dopiero się zastanawiam. To nie jest proste, bo obowiązki, stres, jak to mówią, i w ogóle. A pani to nagrywa? Bo ja nie wiem, czy już mogę oświadczać oficjalnie, czy może... co pani myśli?

– Jak najbardziej!

– No to tego, oficjalnie powiem tak, jeśli można, że nie zaprzeczam, nie potwierdzam, ale jest to oczywiście atrakcyjna oferta, bardzo atrakcyjna, jak to mówią, no i ten, ja, że ten... Aha! – Kiejkus nagle się ożywił. – To może mieć związek z wieloletnią moją, znaczy, postulatem, bo ja, widzi pani, chciałem ostatnio stawiać pomnik zasłużonym dla hodowli drobiu. Ale dziedzictwa narodowego? To ciekawe będzie...

Po tych słowach Błada siedziała już przy telefonie sama, bo słuchacze uciekli na korytarz, żeby się wyśmiać.

Ewa Białek w białej lnianej koszulce i żółtej długiej spódnicy wychodziła ze sklepu, trzymając w ręku papierową torbę z napisem „Second Hand – Last Collection”. Przypieszyła kroku w kierunku przystanku metra.

– Stop! Stop! Pani Ewo! – Papa przebiegł przez ulicę, machając rękami. – Jeszcze raz! Wychodząc, proszę odsunąć okulary na czoło, nie widzę pani oczu. I niech pani spojrzy w moją stronę, ale tak, wie pani, ze zdziwieniem, żeby naturalnie było, a potem do metra.

Białkowa wróciła do sklepu.

– Żeby naturalnie było – wyszeptwała. Czuła się jak kukła, którą porusza znany jej mechanizm, a przed którym mąż tyle razy ją ostrzegał. Nie spodziewała się, że jej to zaproponuje, bo jeszcze niedawno ostrzegał, by unikała dziennikarzy i uważała na dzieci, bo „nie dadzą nam spokoju, zaszczują”. Gdy jeden z brukowców zrobił ranking najładniejszych żon polityków, mąż wściekał się, że opublikowali jej zdjęcie.

– Będą sączyć, zazdrościć, dadzą mi popalić – mówił, co doskonale rozumiała, bo widziała już niejednego kolegę męża próbującego robić karierę w partyjnych strukturach. Już, już sięgał kolejnego szczebla drabiny, ale zaraz strącano go w dół, gdy słupki popularności za bardzo zbliżyły się do Pierwszego. Wystarczy, że te raszple, żony kolegów, zerkną na gazetę, a będą judzić: „O, ten Białek pogrywa żoną! Ładna franca, co sądzisz?”, i z zawiści usteczka złożą w ciup. W głowach ich mężów zakiełkuje troska o swoją pozycję, a jeśli ziarno nie padnie na podatny grunt, żony dorzucą jedno zdanie nawozu:

– Czyżby Białek chciał kogoś wygryźć?

A teraz mąż mówi jej, że ma iść, bo „Trzeźwy nalega, to ważne, trzeba się pokazać”. Trzeźwy, Trzeźwy, kto to do cholery jest? Jakiś facet od reklamy i słupków popularności, niech wystawia swoje kobiety, niech sobie zdjęcia robi, ale pewnie na to za mądry. Białkowa wzięła głęboki oddech, wyszła raz jeszcze ze sklepu, podniosła ciemne okulary na czoło, zrobiła zdziwioną minę i przez ułamek sekundy spojrzała w obiektyw Papy. Pstryk. Odwróciła się i poszła do metra. Zatrzymała się tylko na chwilę, a gdy zobaczyła kciuk fotografa uniesiony w górę, zeszła po schodach. Stała tam przez minutę, po czym wróciła na górę. A jeszcze ten szmateks, co za bałwan to wymyślił, pomyślała, wrzuciła torbę z zakupami do śmietnika i ruszyła wzdłuż ulicy, wypatrując swojego auta.

Papa wskoczył do samochodu, wcisnął gaz i ruszył z piskiem. Po półgodzinie zatrzymał się pod szlabanem strzeżonego osiedla domków jednorodzinnych. Gambit już czekał przed swoim czarnym bmw i nerwowo palił papierosa. Papa wyszedł z auta, rozejrzał się, upewniając, że nikt ich nie widzi. Gambit rzucił peta, wyjął z kieszeni spodni plik banknotów i wcisnął mu do ręki.

– Trzy koła! Jak chciałeś. Ostatni raz dałem się tak zrobić. – Aktor podrapał się w policzek, po kroście, której od rana nie mógł się pozbyć.

– Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Gra. – Papa przeliczył banknoty i wsadził do kieszeni kamizelki. – No to dzięki.

– A, czekaj. – Gambit znów podrapał się po kroście. – Może pstrykniesz coś fajnego... tak przy okazji? – Pokazał palcem na aparat wiszący na ramieniu fotografa.

– Ale z dzieciakiem. – Papa się uśmiechnął, stukając palcami w aparat jak w rewolwer. Łatwo poszło, pomyślał. Rano wysłał Gambitowi zdjęcie, na którym Nora wisi mu na szyi, z pytaniem: „Na ile wyceniasz awanturę z żoną?”. Podszedł do bmw. W środku na foteliku dziecięcym siedział chłopiec. – Fajna bryka. Ile pali? – spytał.

– Niech będzie.

Gambit wsiadł do bmw, a fotograf wskoczył do swojego auta. Aktor zatrzymał się pod przedszkolem, z którego bramy wyszedł ochroniarz. Papa zaparkował około pięćdziesięciu metrów przed budynkiem, podniósł aparat fotograficzny, odkręcił szybę.

Młody wyszedł ze swojego pokoju, gdy matka krzyknęła „obiaaaaad!”. Usiadł za stołem i nałożył na talerz ziemniaki. Ojciec czytał na głos „Tylko Życie”.

– *Obszczypalmiarz uwierzył, że dostanie ministra!*, co za głupki! Skąd oni ich, kurwa, biorą?! Mnie by dali połowę tej pensji, tobym do tego sejmu w ogóle nie łąził i debila z siebie nie robił. Za pół pensji. Za pół! – Ojciec podniósł do góry widelec, dźgając powietrze. Matka usiadła przy stole, postawiła sos, wzięła do ręki pilota i pogłośniła.

– „Do sprzętu AGD nie zaliczamy: suszarki do włosów, pralki, czołgu. Czy

powtórzyć pytanie?” – Z ekranu telewizora uśmiechał się Gambit, z mlecznym błyskiem zębów, prowadzący w sobotnie popołudnie teleturniej *Pytania za dychę*.

– Ładne ma te zęby – powiedziała matka Młodego, polewając ziemniaki sosem.

– Pewnie na wabia. Dla innych p-edaków! – Ojciec strzelił swoim „p”.

– A właśnie nie! – Matka wzięła do ręki „Tylko Życie”. – Patrz! – Stuknęła palcem w zdjęcie. – „Michał Gambini (33 l.) to troskliwy ojciec, który codziennie rano odprowadza do przedszkola swojego synka Michała juniora (3 l.)”.

Młody znał ten tekst. Dalej Błada wylewała łzy, że „od kiedy Ewelina (31 l.), żona Gambiniego, aktorka i pogodynka, dostała rolę w serialu *Zakręcenie, zakochani*, nie ma czasu, by wspomóc troskliwego męża w obowiązkach domowych...

– „Eeee... ile mam jeszcze czasu? – Na ekranie telewizora narastało napięcie doprawione muzyką jak z horroru.

– Piętnaście sekund. Proszę państwa, tu, przed sobą, kładę dziesięć tysięcy złotych. Jeśli pani Krystyna odgadnie, te pieniądze trafią do niej”. – Podekscytowany Gambit prawie tańczył, stawał na palcach i podnosił głos, by napięcie w domach uniosło się znad ekranów i zawisło pod sufitem.

– Czołgu, nie? – odezwała się matka.

– Kurwa, kto wymyśla te pytania?! – Ojciec zabrał sosjerkę z ręki żony.

– „Czołg? – zapytała uczestniczka.

– Taaaaaaaaaaaaaaaaaaaaak!” – prowadzący wydarł się jak komentator sportowy.

Gdy zapłakana uczestniczka gry, ledwie trzymając się ze wzruszenia na nogach, odbierała paczkę banknotów, matka położyła przed sobą gazetę.

– A ty kiedy coś tu napiszesz? – spytała, patrząc w telewizor.

– Piszę cały czas – odparł Młody, grzebiąc w ziemniakach.

– No to gdzie to?

– Dziękuję. – Młody chciał wstać od stołu, gdy zaintrygowana matka znów zaczęła czytać.

– O! Posłuchajcie: „Ewa Białek (32 l.), żona posła Ruchu Obywatelskiego, wybrała się na zakupy do sklepu z odzieżą używaną. Nasz dziennikarz zauważył, że pani Ewa włożyła do torby chustę za siedem złotych, gustowną sukienkę w czarne

pasy za dwanaście złotych i pantofle na płaskiej podeszwie za trzydzieści złotych. »Uważam – powiedziała nam pani Ewa – że jako żona posła, wybranego głosami społeczeństwa i pobierającego uposażenie poselskie, powinnam roztropnie obchodzić się z domowym budżetem. A używane ubrania polecam każdej nowoczesnej pani domu«. Pani Ewa korzysta również z komunikacji miejskiej, bo stara się dbać o ekologię. Winszujemy. Widzicie, są porządni ludzie...» – Matka popukała palcem w zdjęcie.

– Bz-dury.

– No jak! Przecież zdjęcie jest, o! – Podniosła gazetę, w której Ewa Białek, z uniesionymi na czoło okularami przeciwsłonecznymi, trzymała w ręce torbę z zaznaczonymi na niej strzałkami prowadzącymi do cen kupionych towarów. – Porządni są, no...

– Jacy, k-urwa, porządni, jak ojciec tego Białka to stary k-omuch! – wystrzelił ojciec. – Daj mi jeszcze ziemniaków.

Młody wziął do ręki gazetę i przewrócił na drugą stronę, na tekst o „Obszczypalmiarzu”, gdzie pojawił się dialog Bladej z Kiejkusem. Obok umieszczono komentarz posła opozycji, że „trzeba było Kiejkusowi dać ministerstwo zdrowia”. Gdy Blada złapała posła w pułapkę, Młody wygooglował jego rodzinę. Na Facebooku znalazł zdjęcie dziewiętnastoletniej córki, studentki Akademii Ekonomicznej, i zastanawiał się, co poczuje ta dziewczyna, gdy przeczyta o ojcu.

– Gdyby tak bardzo kierować się empatią, to prasa, także ta poważna, pozbawiłaby się możliwości kontrolowania władzy, wynikającej właśnie z krytycznego spojrzenia mediów na demokrację – powiedział mu wtedy Janeczek i dodał: – Ale on niczego złego nie zrobił, nie licząc tego sikania pod palmą.

– Wpadł w naszą pułapkę, żebyśmy mieli ubaw – odparł Młody.

– My też, ale przede wszystkim czytelnicy przy sobotnim obiedzie. No co ci?

– Trochę go żal – wymamrotał chłopak.

– Zwariowałeś? Kto mu kazał iść do polityki? Na Boga, chłopie! Jeśli nie był w stanie pojąć, że ma zbyt wiele ograniczeń, to ktoś w tej cholernej partii powinien



mu to wygarnąć. Jeśli obciachem nie jest brak wykształcenia, obycia, a kolegom to nie przeszkadza, bo tacy sami idioci, to muszą być jakieś zapory, na których takich ludzi da się zatrzymać w dalszej karierze.

– W demokracji? Jakie? Testy na inteligencję? – prychnęła Błada, przysłuchując się rozmowie.

Janeczek aż podniósł się w fotelu.

– My jesteśmy najlepszą zaporą! Gdyby Kiejkus pracował w prywatnej firmie, to czy ktoś awansowałby go na menedżera? Zatrzymałby się na posadzie portiera, palacza czy ciecia parkingowego. A w polityce? Proszę bardzo! Głęb? Dawać głęba, potrzebujemy głęba, by zapełnić listę wyborczą. Więcej takich jak ty, Młody, a za chwilę demokracja zamieni się w lumpenkrację.

Młody musiał mu przyznać rację. To chyba ułomność demokracji, że awans polityczny był możliwy dla ludzi z łapanki, u których brak kompetencji stanowił atut pod hasłem „my jeszcze nie rządziliśmy”. Miał to na wykładzie ze współczesnych systemów politycznych. Otóż partia wyrosła na proteście, a nie daj Boże na kryzysie, jak mówił wykładowca, deklaruje, że ma ludzi prostych, ale nieskażonych układami, czyli godną reprezentację dla innych prostych ludzi. PR nadaje takim osobom pozorny, reklamowy sznyt i obycie, by wzbudzić zaufanie wyborców, a ci ulegają, widząc hasło „Wybierz mnie! Jestem taki jak ty!”. Ławy poselskie zapełniają się osobami, które nie rozumieją głosowanej przez siebie ustawy. Taka reprezentacja, tłumaczył wykładowca, nie ma nic wspólnego z obroną interesów ludzi prostych, bo taki sam prosty człowiek u władzy staje się narzędziem w rękach lobby, grup interesów bez litości wykorzystujących jego głupotę.

– No dasz, kobieto, tych ziemniaków czy nie? – parsknął ojciec.

Trzeźwy wjechał na dziedziniec kancelarii. Wsiadał z auta, kiedy w kieszeni zadzwonił mu telefon.

– Zawracam ci dupę, ale karty mi nie chcą dać – wzdychał Buldog.

Rozłączył się i wszedł do portierni, gdzie czekał na niego Buldog z teczką w ręku. Trzeźwy nachylił się do okienka portiera:

– Ten pan jest ze mną. Od dzisiaj pracuje w organizacyjnym. Zaraz przyślę

dokumenty. – Przyłożył elektroniczny klucz do bramki kołowrotka i wprowadził Buldoga. – Zwariowałeś? – spytał, gdy podeszli do windy. – Dopiero poniedziałek, nie puściłem jeszcze papierów, nie masz formalnego przeniesienia.

– Wolałem nie czekać, aż się rozmyślisz. – Buldog wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Rzecznik spojrział na licznik pięter.

– Tu wysiadasz. Masz pokój na końcu, poproś w sekretariacie, niech ci otworzą. Zaraz wyślę maila, żeby wydali papiery i klucz.

Kiedy winda stanęła i Buldog wysiadł, Trzeźwy wcisnął odpowiedni guzik i pojechał na czwarte piętro, gdzie mieściła się główna kancelaria. Ilekroć jechał do pracy, miał wrażenie, że to incydentalna przygoda, którą zawdzięczał zbiegowi okoliczności, jednemu plakatowi, dzięki któremu udało się wywindować na czoło kampanii starego knura z partii ludowej. Ogłoszono wtedy Trzeźwego demiurgiem, a jego sława dotarła do Pierwszego.

Białe ściany, wysokie okna, kwiaty, mahoniowa posadzka korytarzy kancelarii i pasująca do tej estetyki cisza sprawiały wrażenie, jakby nie była to siedziba premiera, ale zarządu nowoczesnej korporacji. Goście, petenci ani lobbyści nie mieli tu prawa wjazdu, zatrzymywali się niżej, by tam krążyć, szeptać, namawiać, prosić, błagać i płakać. Trzeźwy podszedł do swojego gabinetu i przyłożył klucz elektroniczny do zamka. Lubił ten szcękoszum automatycznie rozsuwających się rygli – przypominał mu stare filmy science fiction. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Gabinet nie był duży, ale miał wielkie okna. Przy ścianie, z lewej strony od wejścia, stał wysoki regał, na którym kurzyły się roczniki „Monitora Rządowego”. Biurko znajdowało się na wprost, pod oknami. Kłótnie o ten gabinet były na tyle zażarte, że sam Pierwszy musiał interweniować, gdy wyrzucał stąd wiceszefa swojej kancelarii, co od razu ustawiło pozycję rzecznika w rankingu do premierowego ucha. Zadzwoił telefon na biurku. Trzeźwy zakreślił się w fotelu i chwycił za słuchawkę. Asystentka z departamentu prasowego miała ciepły głos.

– W ministerstwie rolnictwa pożar. Spóźniają się z dopłatami unijnymi, dziennikarze to wywęszyli, ale rzeczniczka... bo jej nadal nie ma... Pytają, co robić...

– Jest u was nowy, Buldycki, taki grubas. Niech gasi. – I odłożył słuchawkę.

Rzecznicy, pomyślał. Zawsze przechodzą z mediów, ale z tego gorszego sortu. Nie spotkał się jeszcze z przypadkiem, by wybitny dziennikarz zostawał wybitnym rzecznikiem, choć zdarza się, że mierny dziennikarz osiąga sukcesy jako rzecznik prasowy, tyle że stojąc na straży wizerunku i broniąc go przed wścibstwem swoich dawnych kolegów. Jeśli dziennikarz przydawał się w roli rzecznika, jak podpowiadało mu doświadczenie, to tylko ze względu na znajomość dziennikarskiego środowiska. Najczęściej jednak Trzeźwy przyjmował wypalonych, znużonych dziennikarstwem i niską pensją, którzy szli do administracji, by dostać niewiele więcej, ale przy mniejszym nakładzie pracy, gdy po godzinie piętnastej można wyłączyć telefon albo nagrać na skrzynce pocztowej „Nie ma mnie. Jeśli ważne, daj znać na Twitterze”. Z rzeczniczką z rolnictwa układ okazał się wybitnie nietrafiony. Zrezygnowała co prawda z krytycznego tematu, mogącego zakończyć karierę szefa resortu, gdy przyłapała go na pobraniu nienależnych dotacji unijnych, i wzięła posadę rzecznika, ale gdy Trzeźwy przyjmował ją do pracy, wyznała, że marzy o podróżach po świecie. Nie wzbudziło to wówczas jego podejrzeń, a już po dwóch tygodniach wzięła urlop i zniknęła gdzieś we Włoszech. Nie miała dzieci ani męża, brała co miesiąc ponad pięć tysięcy złotych i trzy razy w roku latała po hotelach, basenach, światowych SPA, a raz wrzuciła na fejsa zdjęcie, jak tańczy na stole w knajpie w Szwecji. „Tak rzecznik bawi się za nasze pieniądze” – głosił podpis pod zdjęciem w „Tylko Życie”. Gdy wróciła, poszła na L4, ale zdjęcia dalej wrzuca – ostatnio z Birmy – by trafić na pierwszą stronę brukowca z tytułem *Rzeczniczka choruje w tropikach*.

– Za kwadrans zebranie – zakomunikowała przez telefon asystentka Pierwszego.

Trzeźwy przeleciał po głównych portalach. Prawica się uruchomiła, wytykając premierowi kombinowanie z ustawą o związkach partnerskich. Nabija się też z błędnego komunikatu. Można by to przyciszyć, pomyślał i zajrzał w notatki. Miał informację z Komendy Głównej o wykryciu groźnej szajki handlującej ludźmi. Za słabe. Z ministerstwa rolnictwa o rekordowych kwotach przyznanych dotacji na modernizację rolnictwa i wsi. Może być. Z ministerstwa infrastruktury o oddaniu do użytku pięciu kilometrów autostrady. Westchnął. Z resortu zdrowia o wykryciu

lekarstw, które mają skutki uboczne dla dzieci chorujących na mukowiscydozę. To trzeba zamieść i wrzucić na wrzesień, bo taka panika w wakacje nikomu się nie przysłuży. Spojrzał na raport z Najwyższej Izby Kontroli i przeczytał wstęp. O, to dobre. Z kalendarzem w dłoni wyszedł z gabinetu, po czym przeszedł przez korytarz. Zajrzał do konferencyjnego – już tłoczno. Usiadł prawie na końcu, po lewej od szczytu. Byli już doradcy i rzecznicy kilku resortów, przetrzebieni pierwszą fazą urlopów. Wstali, gdy wszedł Pierwszy. Premier przeprosił za spóźnienie i zasiadł na końcu stołu. Przywitał się z Trzeźwym uściskiem ręki. Drugi umościł się po jego prawicy. Poranne zebranie, omawiające agendę informacyjną, było pierwszym z dwóch, na którym, jak w każdy poniedziałek, Trzeźwy prezentował słupek popularności. Zaczął od agendy tematów, które będą się starali narzucić mediom.

– Przed wakacjami trzeba by podsumować ustawy i rozporządzenia, które poszły do łaski marszałkowskiej, ale tylko te mające pozytywny wpływ na codzienne życie ludzi.

– A były takie? – spytał Drugi, wzbudzając śmiech na sali.

Trzeźwy podrapał się długopisem po policzku.

– Refundacja dodatkowych leków... Ci, co pójną dzisiaj do mediów, dostaną ich szczegółową rozpiskę. Ważne są programy insulinowe, na których chorzy zaoszczędzą ponad siedemset złotych rocznie, proszę zapamiętać tę kwotę i jak najczęściej rzucać nią podczas wypowiedzi. Dalej, to też bardzo ważne, decyzja ministra infrastruktury o obniżeniu płatności za państwowe odcinki autostrady. Statystyczny kierowca zachowa w portfelu jakieś dwieście złotych, to także kwota do zapamiętania. Z ministerstwa pracy mamy – Trzeźwy przerzucił kartkę notesu – ustawę o dopłatach do programu „Mój pierwszy biznes”, ponad miliard złotych z budżetu. To ważne, ludzie lubią słuchać, że mają coś z podatków. I o dzieciach... W tym roku oddano do użytku sto pięćdziesiąt nowych przedszkoli.

Rzecznik ministra pracy podniósł rękę:

– Ale będzie kontra, że to zasługa samorządów.

– Ale im nie przeszkadzaliśmy – odparł Trzeźwy, nie podnosząc wzroku znad notesu, a Pierwszy z zadowoleniem poprawił się na krześle. – Słupki poszły o jeden punkt w górę dla obydwu partii, zaufanie do premiera także o jeden. – Spojrzał na Pierwszego i rozległy się brawa.

– To nasz sondaż? – spytał premier.

– Nie, telewizyjny. W naszym jest odwrotnie – dodał, a sala zadudniła śmiechem. – No i wtopy. Kiejkus znowu przyłapany na prowokacji.

– Już dostał pouczenie... – skrzywił się rzecznik Ruchu Jedności Ludowej.

– Pouczacie, pouczacie, a on ciągle robi z siebie, przepraszam za słowo, idiotę. Proponuję dać mu zakaz kontaktów z mediami. – Trzeźwy dalej przewracał kartki notesu. – Niestety lapsus z omyłkowym komunikatem został podchwycony i prawica gra nim od rana. W wieczornych serwisach będzie pewnie chodzić jako jedna z głównych informacji. Trzeba powiedzieć tylko, że osoba odpowiedzialna została zwolniona...

– Ale bez nazwiska – wtrącił Pierwszy.

Rzecznik spojrział na niego zdziwiony, bo chodziło jednak o szeregową pracownicę, pewnie nieznaną premierowi, lecz nie ciągnął tematu.

– Do południa kilku naszych posłów jest zaproszonych do... – zerknął w rozdzielnik – ...dwóch rozgłośni ogólnopolskich, TVN24 i Polsatu. Dam im agendę, by promowali ustalenia NIK-u, żeby przygasić tym nieco wpadkę. – Spojrzał na Pierwszego.

– Yhm – mruknął w odpowiedzi premier.

– Z raportu NIK-u wychodzi, że podczas rządów prawicy przekroczono wydatki na zatrudnienie w administracji centralnej o sto czterdzieści procent.

– Uuu... – rozeszło się po gabinecie.

– A przypomnę, że od maja zgłaszają do nas pretensje o to samo, zwłaszcza gdy wyszło, że w ministerstwie rolnictwa zatrudniono dwóch szwagrów, a rzeczniczka choruje w tropikach.

– To ja przypomnę, że ta pani nie jest od nas – wtrącił z przekąsem rzecznik ludowców – tylko od ciebie.

– Dostaliście ją, bo odpuściła tekst o waszym szefie – syknął Trzeźwy.

Pierwszy podniósł do góry dłonie, ogłaszając pokój. Wskazał ręką na Trzeźwego, by kontynuował.

– Wracając do NIK-u. Najpierw sprzedam go telewizji, pewnie dadzą to na żółtym pasku, więc reszta podchwyci. Ci, co blogują i tweetują, niech to linkują pod swoimi komentarzami. Trzeba też uruchomić Polską Agencję Prasową, by ciągnęła cały dzień jako developing news, dorzucając co rusz do ognia nowe ustalenia. Szef NIK-u, w końcu nasz człowiek, musi wyjść z tym „na żywo” w wieczornym paśmie, bo jest szansa, że TVN24 da to jako „specjalne wydanie”. Na koniec wyjmie się nazwiska ministrów z tamtego rządu, którzy najhojniej zatrudniali. Niech rzuca się na nich, niech się kotłuje...

– Prokuratura? – spytał Drugi, a Trzeźwy szybko spojrzał na ostatnią stronę raportu NIK-u.

– Nie widzę, żeby wychodzili z zarzutami karnymi. We wnioskach raportu piszą o nieprawidłowościach. Zapytam, czy na potrzeby pasków telewizyjnych można używać słowa „przekręt”.

– Kto idzie do telewizji? – Drugi kręcił długopisem między palcami.

– A chcesz?

– Mogę...

Trzeźwy zanotował coś w rozdzielniku i dodał:

– To do radia puszcze Białka. Poproszę go, żeby zapoznał się z raportem NIK-u. Proponuję też grać żartem, że ta pomyłka to przez komputery, do których zakradł się złośliwy wirus...

– Nie, nie. – Drugi zmarszczył brwi. – Prawica zaraz spyta, czy te wirusy nie są zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa.

Pierwszy dał znak, że kończy zebranie. Tylko Trzeźwy pozostał na swoim miejscu, pokazując na migi, że ma sprawę w cztery oczy. Zostali sami. Premier zdjął marynarkę i powiesił na oparciu fotela, po czym podwinął rękawy, odsłaniając tenisową frotkę na nadgarstku.

– No co tam?

– Ta ustawa o związkach partnerskich... – Rzecznik założył nogę na kolano i chwycił się oburącz za but. – Nie może być tak, że jestem zaskakiwany.

Premier podniósł rękę na znak, że potrzebuje chwili, by wejść w temat. Zajrzał do szuflady, zamknął ją i oparł się wygodnie w fotelu.

– Przecież dyskutowaliśmy o tym chyba ze dwa miesiące temu.

– Ale nie wiedziałem, że wyjmiecie to przed wakacjami. Może chociaż słówko o przyczynie?

Na biurku zadzwonił telefon. Premier podniósł słuchawkę.

– Dobrze, niech wejdzie – rzucił, po czym dodał do rzecznika: – Słuchaj, to nic wielkiego, wrócimy do tego.

Za plecami Trzeźwego wkroczył Białek. Rzecznik wstał, podał mu rękę i wyszedł z gabinetu. Już u siebie wybrał numer w telefonie komórkowym.

– Cześć, mam coś na wasz pasek. Mocne, z NIK-u. Dobra, puszcze ci na maila. Podaj, że macie nieoficjalnie, że sami dotarliście.

Gdy się rozłączył, uruchomił pocztę mailową. Od razu zaintrygował go tytuł jednej z wiadomości: „Pamiętasz mnie, przystojniaku?”. Zdziwił się, że trafił mu się erotyczny spam bez błędów, w dodatku z polskimi literami. Kliknął. W załączniku były dwa zdjęcia zatytułowane „Dramat1” i „Dramat2” oraz plik tekstowy. Otworzył. Nerwowy skurcz, jaki ostatni raz czuł chyba przed maturą, unieruchomił mu szczękę.

Gambit, drapiąc nerwowo policzek, spojrział we wsteczne lustro, by sprawdzić, czy to syf, krosta czy ugryzienie komara, i nagle ktoś wjechał mu w tyłek. Wskoczył z samochodu, obszedł go i dotknął palcem małej rysy na zderzaku. Polizał palec, przetarł rysę. Z auta tuż za nim wysiadła atrakcyjna kobieta w średnim wieku.

– Aaaa... To pan, z telewizji. No i co, gapcio z pana? – powiedziała zalotnie, poprawiając palcami blond grzywkę.

– Ja? Przecież to pani...

– Ale pan gwałtownie hamował. O! Lampę stłukłam.

– No dobra, to na ile pani wycenia?

– Nie bądźmy drobiazgowi, wystarczy mi pana numer. – Kobieta wyjęła telefon, a za jej plecami zawyły klaksony.

Gambit podyktował, zasłaniając policzek ręką. Wgramolił się do samochodu, pogwizdując – poprawił mu się humor. Fajny milf, pomyślał, też mógł wziąć numer. Podrapał swędzące miejsce i poczuł coś mokrego. Na koniuszku palca świeciła plamka białej cieczy.

– No nie dzisiaj! – jęknął.

Nie dosyć, że ma problem z porami skórnymi, które otwierają się, gdy jest gorąco, to jeszcze cholerny syf zaraz zamieni się w żółty wulkan. Zajechał pod wielki hangar, gdzie strażnik podniósł szlaban. Pobiegł do drzwi, przeszedł przez korytarz pełen ludzi, wszedł do garderoby i usiadł w wysokim fotelu przed lustrem.

– Cześć – rzucił do kosmetyczki. – Weź no, zobacz, co mi tu za gówno, o tu. – Pokazał palcem policzek.

Młoda dziewczyna o porcelanowej cerze i krótkich, ufarbowanych na zielono włosach założyła mu pod brodę białą chustę i wypięła zgrabny tyłek, który oglądał teraz w lustrzanym odbiciu, gdy zaglądała w dno wągra.

– Niewiele można – powiedziała wreszcie, marszcząc brwi. – Wybrzuszenie jest, puder nie da rady, będzie gula.

– No to co radzisz? Bo zaraz nagranie. – Podniósł lekko głowę, by zadek kobiety nie zniknął mu z pola widzenia.

– Chyba że naciąć? Wypłynie ropa i się odkazi.

– To dawaj.

Z pudełka leżącego przed lustrem kosmetyczka wyjęła mały scyzoryk, otworzyła cienkie, krótkie ostrze i polała je płynem dezynfekcyjnym. Po chwili aktor poczuł ukłucie i strużkę krwi lub ropy ciekącą po policzku. Dziewczyna ugniotła ranę palcem, przyłożyła wacik, chwyciła za pędzel. Koło go przyjemne łaskotanie, miły element poranka, gdy miał nagranie. Otworzył lekko oczy i zerknął do lustra – na twarzy miał ulubiony odcień numer 6, który rozjaśniał mu policzki, dając złudzenie lekkiego wychudzenia.



– No jest bulwa! – Chciał pomacać guz sterczący na policzku, ale dziewczyna złapała go za rękę.

– Nie dotykaj, bo będzie zakażenie.

Do garderoby wbiegł kierownik produkcji i wskazał ręką na drzwi.

– Człowieku, robimy już próbę światła!

– Nie wychodzę! – zawył Gambit i pokazał palcem na policzek: – O!

Kierownik nachylił się nad jego wągrem, zmarszczył nos w obrzydzeniu.

– Ale syf. Poczekaj, zawołam światło.

Wrócił po chwili z kierownikiem oświetlenia, który nachylił się nad twarzą Gambita i zapewnił, że załatwią to, dając więcej światła z przodu. Aktor zerwał serwetę ochronną i wyszedł z garderoby. Na korytarzu natknął się na kierownika wrzeszczącego na innego kierownika. Kłócili się o czas, bo następny program miał być nagrywany w tym samym studio. Gambit został porwany przez tłum ludzi – domyślił się, że to publiczność, bo smród potu załatywał im spod pach. Weterani, biorący trzydzieści złotych za godzinę, śmierdziali inaczej, bo doświadczeni całodniowym klaskaniem, zbyt obficie oblewali się tandetnymi perfumami. Klaskali każdego dnia, od rana do nocy, siedem dni w tygodniu. Zaczynali programem publicystycznym *Polsko! Obudź się*, potem klaskali do talk-show *Ale się działo!*, a przed chwilą do *Tato, mam, poznajmy się*, i tak przepoceni od ciągłego aplauzu, snują się po korytarzach hangaru, bo jeszcze teleturniej Gambita, a potem show *Do boju, Polsko!*. Nie był w stanie zliczyć, ile dokładnie programów nagrywa się każdego dnia w tej hali byłego centrum logistycznego pod Warszawą, gdzie kiedyś mieścił się magazyn książek. Publiczność, by nie zgubić się między nagraniami i zaklaskać do właściwych programów, nosiła nalepki przypasowujące do właściwego studia.

– Panie doktorze! Mogę autograf? – Podeszła do niego starsza kobieta w czerwonym, tanim swetrze, jakie całymi szeregami wiszą pod daszkami improwizowanych na ulicy straganów. Ścisnęła pod pachą brązową torebkę ze skaju. Śmierdziała słodko-kwaśno, miała podkrążone oczy, wąsy i nalepkę na swetrze „Studio D4. Teletur/Publi”. Zły na krostę, smród i wąsy tej kobiety, w pierwszej

chwili chciał uciec, ale narcyzm zwyciężył. Podała mu książkę Michał Gambit. Moje życie. W dwa dni podyktował ją przez telefon pewnemu prezenterowi sportowemu, który pisał takie książki każdemu za kilkanaście tysięcy złotych. Zdecydował się na publikację, gdy jego sławna matka, gwiazda polskiej kinematografii lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wyznała, że jest jej pierworodnym. Jednak był jej synem tylko kilka miesięcy, bo gdy opublikował książkę, znów się go wyrzekła i podała do sądu za zniesławienie. Podyktował bowiem, że widział ją tylko raz jako ośmiolatek podczas weekendu, gdzie było tyle prochów, że goście, kręcący się po domu zapijaczeni aktorzy i piosenkarze, zostawiali w nich ślady stóp. Książka Gambita rozeszła się w stu czterdziestu tysiącach egzemplarzy, utrzymując się pół roku na liście bestsellerów, zaraz za Życie jak wybieg, biografią top modelki, w której wyznała ona, że piła ocet, by utrzymać czterdzieści osiem kilogramów wagi, Koszmarem na strychu, książką małej Sylwii, więzionej i gwałconej latami przez ojca, oraz za Bramki są dwie. Życie w napadzie, siedmusetstronicową biografią dziewiętnastoletniego napastnika reprezentacji. Dziennikarz zadzwonił też do matki Gambita z propozycją wspomnień, więc podyktowała mu Moje życie w kinie, ale nie załapała się do rankingu, bo tuż przed drukiem usunęła szczegóły swoich romansów i nazwiska dwóch innych bękartów. Telewizyjna kariera Gambita zaczęła się trzy lata wcześniej, gdy tuż przed publikacją książki, ale już jako syn znanej aktorki, został zaproszony do programu o wychowywaniu dzieci. Popłakał się w nim jak na zawołanie, opowiadając, że słowo „matka” jest mu równie obce co „ojciec”, który był najczęściej w podróży, a zastępowały je słowa „niania” i „guwernantka”. Niedawno, już jako gwiazda, wystąpił w tym samym programie, mówiąc o trudzie wychowania syna, którego miał z obecną żoną, aktorką poznaną na planie kręconej przez siebie reklamówki. Nie zająknął się tylko, że dziecko ubiera co rano, karmi i odprowadza do przedszkola również guwernantka, czyli studentka, której dwa razy dawał już na pigułki wczesnoporonne, zafundował skrobankę i dorzucił flakon Cacharel, by trzymała gębę na kłódkę. Nie mógł też powiedzieć, że to już szósta opiekunka, a żonie tłumaczy, że „wyrzuca kolejną szmatę, bo złodziejka”. Gambit nie znał korzeni swojego seksoholizmu, nigdy się ich nie doszukiwał, ale pamiętał,

że jako dwunastolatek złapał za cyca grubą Martę, kucharkę z ambasady. Pierwszy raz poczuł wtedy, jak piecze twarz po uderzeniu mokrą szmatą. Rozpłakał się, że przecież jego „ojciec może, to on też”. Raz w ogrodzie zimowym widział, jak stary brał grubą Martę od tyłu, sapiąc, stękając i śliniąc się jak pies. W wieku trzynastu lat stracił dziewictwo z opiekunką Darią, choć zrobiła mu tylko loda, co wymusił na niej szantażem, gdy przyłapał ją na kradzieży dwóch srebrnych łyżek. Zemściła się, biorąc go do kina na Rój, film o morderczych pszczołach. Panicznie bał się bzyczących owadów, więc przypłacił to traumą i przez wakacje '84 nie wychodził z domu. Popłakał się, gdy przez szparę w drzwiach łazienki zobaczył, jak ojciec bije Darię, a ona płacze, że odda skradzione złote pióro i że ma miesięczkę. Gdy przestał ją bić, wyjął penisa i wsadził jej do buzi, a ona zwymiotowała na jego spodnie. Uderzył ją wtedy w głowę słuchawką od prysznicza, po czym odwiózł do szpitala, gdzie miał powiedzieć, co podsłuchał w rozmowie grubej Marty i majordomusa – że „spadła ze schodów”. Daria nie wróciła już do pracy. Po roku przyszedł do ambasady jakiś facet w garniturze i zostawił dokumenty, po których przeczytaniu ojciec wybił szybę w drzwiach salonu, a Gambit pierwszy raz usłyszał słowo „alimenti”. Kiedy kilka lat temu w parku spotkał Darię z nastoletnim synem, nie miał wątpliwości, że ojciec słusznie dostał szau, bo chłopiec wyglądał, jakby był jego przyrodnim bratem. Potem przyszła pani Elwira, stara, chuda i brzydka nauczycielka, ale nie była długo, bo wybił jej ząb, rzucając w nią figurką Mussoliniego, więc szybko pojawiła się Kasia, studentka, z którą całymi dniami oglądał na satelicie program Rete 4, należący do przyszłego premiera Silvio Berlusconiego. Lubił ten program, gdyż kobiety rozbierały się tam do naga nawet podczas programów publicystycznych.

Gdy jego matka wyjawiała bękarczi sekret, Gambit miał już dwadzieścia cztery lata, a ojciec właśnie wyjechał do Włoch, zostawiając mu dwadzieścia tysięcy dolarów. Wydał je w trzy tygodnie na kurwy, knajpy i kolegów z roku, ale studia rzucił, gdy zadzwonił dziennikarz sportowy z propozycją książki, a potem już poszło łatwo i światowo, choć mógłby wracać za ojcem do Włoch, gdyby nie słowa starego wypowiedziane po pijaku przez telefon:

– Nie oddałem cię do domu dziecka tylko dlatego, że bałem się, że wyrzucą mi

to w ministerstwie i utrudnią karierę w dyplomacji. No i twoja matka pewnie by się ucieszyła, bo wszyscy artyści czują się w obowiązku być jebnięci.

Po książce i wywiadzie w telewizji pokazał się w gazecie „Tele Nowości”, którą co tydzień kupowało osiem milionów ludzi, a jeszcze dmuchnął tę dziennikarkę – grubą, czego nie lubił u kobiet, ale za to zaprzyjaźnioną z kierowniczką produkcji w TVN. Tę zresztą też dmuchnął i poleciła go szefowej castingów do programów lifestylowych. Dzięki temu zaczął w *Pokochacie tę kuchnię*, gdzie prezentował potrawy kuchni śródziemnomorskiej. Szło to w środku tygodnia, o szesnastej, i spadło po trzech miesiącach, bo oglądalność nie drgnęła poza trzy dziesiąte procent ogólnej widowni, a producenci przypraw i sprzętu AGD woleli lokować się w kanałach dla kobiet po godzinie dziewiętnastej. Potem był casting do *Pytań za dychę*, teleturnieju, który prowadził już od ponad dwóch lat, a to prosta droga do serialu. W zasadzie jako doktor Moletti z *Lekarza rodzinnego* mógłby otworzyć praktykę lekarską, bo ludzie na ulicy mówią do niego „panie doktorze”. Ostatnio zaczepiła go w galerii handlowej kobieta, podniosła spódnicę i poprosiła, by rzucił okiem na jej łydkę i sprawdził, czy to czyrak jej wyskoczył. Gambit jak zwykle mówił, że to tylko serial, i jak zwykle usłyszał, „że wiadomo, że lekarz, że panisko, że gardzi, że cała służba zdrowia to syf, że trzeba stać w kolejkach po pół roku”, że mąż to się nie doczekał badania tomografem i zmarł w męczarniach, a jak pogotowie przyjechało, to z pretensjami, „że do trupa ich przysłali”. Gambit schylił się więc, obejrzał owłosioną łydkę z wrzodem i wysłał kobietę do dermatologa.

– A to dobrze, przynajmniej nie trzeba skierowania – odparła zadowolona z porady pana doktora.

– Podpisać na okładce? – spytał, gdy kobieta w czerwonym swetrze przysuwała się coraz bliżej, a smród zaczął go mdlić.

– Tak, tak. I, panie doktorze – podniosła palec wskazujący – niech pan uważa na tę rudą sukę, bo z mordy jej widać, że chce tylko naciągnąć pana doktora, a przecież wszyscy wiedzą, że rude to wredne – wysyczała.

Do serialu wprowadzono kilka tygodni wcześniej wątek romansu, bo zgodnie z wynikiem badań focusowych oczekiwali go widzowie. Żonę doktora Molettiego uśmiercono więc na udar i wprowadzono ostrą, pyską pielęgniarkę, graną przez

młodą Ewelinę Wiśnię o kasztanowych włosach. Kleiła się do doktora, co w ostatnim z odcinków o mało nie skończyło się pocałunkiem, ale scenarzyści postanowili przeciągnąć jeszcze napięcie, bo według badań kobiety nie chcą konsumowania miłości, tylko oczekiwania na nią, co dłużej trzyma je przed telewizorami. Jednak doktor Moletti alias Gambit wiedział już, jak smakuje Wiśnia, że lubi na jeźdźca, w garderobie, na podłodze, bo życie za kulisami pisało swój scenariusz na złość badaniom i słupkom oglądalności. Oddał teraz książkę kobiecie i uśmiechnął się do niej, a ona podniosła zaciśniętą pięść.

– Niech pan pamięta! Nie dać się tej rudej!

Wszedł do studia nagrzanego światłem reflektorów, poprawił kołnierzyk pod szyją i klepnął się lekko w policzek.

– Światło z dwójki proszę – rozległ się głos z megafonu. – Wszyscy na miejsca!

Fifi wszedł do prawie pustego pubu odziany w ulubiony strój godowy – przewiewną białą koszulę z podwiniętymi rękawami i oliwkowe lniane spodnie, opinające pośladki. Na stopach miał japonki z białej koziej skóry, które kupił na jesiennej wyprzedaży. Usiadł przy barze i zamówił kojące mojito. Umówił się tu z Papą, którego dostrzegł właśnie kątem oka przy stoliku na końcu sali, pogrążonego w rozmowie z krytykiem Ferczem. Jak zrozumiał z jej strzępów, targowali się o pieniądze. Uważał, że krytyk stał się nieostrożny. Całe warszawskie pedalstwo huczy, że jego związek z wieloletnim partnerem, pisarzem, wisi na włosku. To rzadkie u gejów, by tak długo trwali, myślał Fifi, bo pary, które znał, nie potrafiły wytrzymać ze sobą kilku miesięcy. Chuć i wyposzczenie, zwłaszcza u żyjących w podziemiu, w jednorodnym seksualnie społeczeństwie katolicko-narodowym, ujawniały się przy lada okazji. Publicznego coming outu dokonały zaledwie trzy osoby, czyli Fercz, prezenter pogody i młody piłkarz, który zaraz potem stracił miejsce w reprezentacji z powodu szykan, jakich doświadczał w szatni. Fercz, choć ujawniony, bał się pewnie stracić swojego partnera. W zasadzie, pomyślał Fifi, gdyby poszedł za przykładem Papy, mógłby nieźle zarobić, odwiedzając wszystkich znanych sobie kochasiów, często żonatych i dzieciatych, i żądając od nich konkretnej sumki. Choćby ten od lat grający ojca wielodzietnej rodziny w serialu

*Dzień po dniu* mógłby się bać utraty roli, gdyby Fifi ujawnił, że wzór tatusia z czterema synami z telewizora lubi biernego anała. Albo ten znany psycholog dziecięcy, udzielający się we wszystkich telewizjach jako spec od problemów wychowawczych, ojciec dwóch córek, który wyciera się po knajpach z młodszymi niż Fifi. Czy celebryci polecaliby go swoim naćpanym dzieciom, gdyby Fifi stanął w progu jego wielkiego domu i powiedział: „Sto kawałków albo idę do gazet, że lubisz wibratorem grubo zaprawionym kremem nivea”?

– Idę na policję! – krzyknął nagle Fercz, podrywając się z krzesła, ale Papa przytrzymał go za rękaw. Krytyk spojrział nagle w stronę Fifi i podbiegł do niego. – Ty gnojku mały! Jeśli te zdjęcia gdzieś... to wylądujesz w celi, przeczyszczą ci tam rurę! – Zaciskał zęby, kłując go palcem w żebro.

– Pan wybaczy, ja nie wiem, o co chodzi – wyszeptał chłopak, pociągając łyk mojito.

Krytyk chciał coś powiedzieć, otworzył usta, ale odwrócił się i wrócił biegiem do stolika, gdzie Papa liczył gotówkę. Barman, stojący naprzeciwko Fifi, udawał, że czyszczenie szklanek wyłącza go z wszelkich zewnętrznych doznań. To w zasadzie zbrodnia doskonała, rozmyślał Fifi, bo już wiele razy wystawiał fotografowi pedziów, a żaden nie pisał o tym słowa na mieście. W zeszłym roku spotkał się z pewnym arcybiskupem, legendą „Solidarności”, przyjacielem wielu polityków, który nie stronił od alkoholu, cygar i młodych chłopców. Stary klecha okazał się jednak cwany. Zaprosił go do siebie, zeszli do podziemnego garażu, a gdy Fifi wysłał czającemu się gdzieś na ulicy Papie esemesa, że za chwilę będą wyjeżdżać, biskup mu obciągnął, dał pięć stów i kazał iść precz. Gdyby Papa ich złapał choćby przez szybę samochodu, mogliby golić arcypapę do emerytury. Fifi poznał klechę przez Dzidzię, młodego narkomana o twarzy aniołka, który pomieszkiwał na Dworcu Głównym. Dzidzia mógł robić kurewską karierę, ale przez wachanie kleju stracił umiar i dyskrecję. Pochodził z domu dziecka, gdzie zaprawili go wychowawcy i starsze chłopaki, dopóki nie zaopiekował się nim pewien ksiądz, zabierając na ministranta i trzymając na plebanii do siedemnastego roku życia. Księżuło zniknął, gdy kilka lat później wybuchała afera pedofilów biorących z Dworca bezdomne dzieciaki. Kuria przerzuciła księdza na Ukrainę, a gdy ucichło, dała małą parafię na

wschodzie Polski, gdzie najbardziej katolicycy wśród katolików parafianie grzeszki księży otaczają troskliwą omertą.

W kieszonce koszuli odezwał się telefon. Fifi wyjął cieniutki, najnowszy model iPhone'a w matowej metalicznej oprawie, który dostał od Dandysa, spojrział na ekran: „Mama”. Wstał, wyszedł na zewnątrz, w pałace słońce, widząc kątem oka, jak Papa przelicza pieniądze.

– Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt. – Fotograf zwinął sześć tysięcy w rulon, schował do torby, do małej kieszonki, gdzie przed laty nosił błony fotograficzne. – Uspokoileś się? Bo mam kolejną propozycję – rzucił.

– Spier-dalaj! – wycedził krytyk.

– No to słuchaj – kontynuował Papa, zdziwiony, że Fercz poszedł na układ. Musiał mieć ciche dni ze swoim pedziem, skoro przestraszył się niewinnego zdjęcia, na którym pochyła się do ucha Fifi. – Idą wakacje, na pewno jedziesz się gdzieś posmażyć. Przywieź jakieś zdjęcia albo powiesz, gdzie jesteś, a ja kogoś podeślę...

– Tyyyy...! – Krytyk podniósł się z krzesła.

– Nie podnoś głosu, mistrzu. – Papa odezwał się stanowczo. Wiedział, jak rozmawiać z takimi, którym umyka perspektywa ułożonego życia. – Przywieź zdjęcia, my puszczamy, robimy ci dobrze... I nie groź mi policją, bo będą chcieli dowodów mojego przestępstwa, a potem, uwierz mi, sprzedadzą innym szmatom za ułamek tego, czego od ciebie żądam.

Fercz gwałtownie odsunął krzesło i wyszedł z pubu. Fifi zakończył rozmowę z matką i wszedł do środka, mijając się z nim w drzwiach. Matka znów załamana, znów te małe kanalie odkryły przed nią nowe słowo. Miała rok do emerytury, ale każdego dnia po szkole płakała w poduszkę, jakby wracała z wojny, o którą każdego dnia modlił się jego ojciec. Gimnazjalista powiedział jej właśnie „chapaj dzidę”.

– Synku, co to jest? Jak mam rozmawiać z tymi dziećmi, skoro nie wiem nawet, jak to „chapaj” się pisze – rozplakała mu się przed chwilą do telefonu, a kiedy zasugerował, by poszła z tym do dyrekcji, rozryczała się jeszcze bardziej. – I znowu usłyszę, że nie radzę sobie z młodzieżą? I jak chcę, to mogę zrezygnować, bo przecież dzisiaj wszędzie taka młodzież?

Fifi nie mógł wyjść ze zdumienia, gdy przypomniał sobie, że ledwie piętnaście lat temu, gdy chodził do szkoły, nikomu nie przyszło do głowy choćby skrzyżować spojrzenie z nauczycielem, a za „chapanie dzidy” pozamykaliby chyba w poprawczaku albo wysłali do OHP. Rok temu na obozie sportowym czterech uczniów zgwałciło pijaną koleżankę mamy, nauczycielkę z innej szkoły, a Fifi i jego klasa rumienili się na lekcji biologii, gdy pani pokazywała na tablicy poglądowej rysunek przekroju poprzecznego penisa i macicy. Kiedy matka ostatni raz, pomyślał, „chapała”? Kiedy ostatni raz czuła się kobietą?

– Masz, na razie kończymy, znajdź sobie coś. – Papa położył przed nim dziesięć stułotowych banknotów.

– Co się stało? – spytał zdziwiony Fifi, chowając pieniądze do kieszeni spodni.

– Ten Fercz mnie wkurwia, pęka, nie wiem, może to nadać glinom. Przeczekajmy kilka tygodni, a poza tym mam robotę.

Niedobrze, pomyślał Fifi. Miał nieopłaconą za dwa miesiące kawalerkę, a jeszcze trzy takie strzały i byłby do przodu. Pożegnał się z fotografem i poszedł w kierunku metra. W podziemiu było chłodno, pot na jego szyi i twarzy ulatniał się wraz z podmuchem kolejki, która piszcząc, stanęła mu przed nosem. Wszedł do wagonu, usiadł. Z sąsiedniego dobiegał ryk „Kurwaaaaa! Kurwa! Start paaaaaanem jest!”. Pochylił się lekko do przodu, by tam zajrzeć. Już szli. Czterech w czerwonych koszulkach, w barwach ukochanej drużyny, z puszkami piwa dokonywali inspekcji ofiar. Fifi już to ćwiczył, miał opanowane, poznał mechanizm rządzący tymi bydlakami, którzy za chwilę wleją się do wagonu. Wiedział, że od razu dopierdolą się do jego białych skórzanych laczków. Weszli. Młodej dziewczynie, dość przeciętnej urody, gdy włożyła nos w książkę, darowali. Starsza kobieta z psem – też ofiara niegodna. Jeszcze chłopak w okularach, w garniturze i z torbą na laptopa siedział na końcu wagonu, ze słuchawkami na uszach. Tu trzeba odbić, pomyślał Fifi i wstał hardo, by złapać się poręczy. Przy swoich stu osiemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu miał przewagę, ale nie o wielkość szło, jak wiedział, lecz spojrzenie. Na siedząco był na straconej pozycji, bo w oczach stojącego poniżał go sam fakt, że był niżej, a stojąc, wywoływał pozorne, ale jednak, poczucie przewagi fizycznej.



– O kurwa! Pedał w laczkach! – Najniższy, z czerwoną gębą, szedł ku niemu, przytrzymując się jedną ręką poręczy. – E! Cwelu! – ryknął, patrząc z dołu.

Fifi nabrał powietrza i przemówił niskim głosem, by nadać przekazowi powagi:

– Luzik, ziomal! Co jest, kurwa do chuja pana, daj łyeczka, bo gorąc. – Wyciągnął dłoń po piwo, a mały gwałtownie cofnął swoją.

– E! Odjeb się od mojego browara!

Piwo chlupnęło z puszkii na drugiego kibola, stojącego tuż za liderem.

– No co robisz, kurwa! – Rzucił się na kolegę, ale było w tym więcej przekomarzenia niż pojedynku, co podkreślał rechot pozostałych zapijaczonych kiboli, z których najstarszy miał może osiemnaście lat.

Jest dobrze, dystans skrócony, poszli w żarty, Fifi poczuł ulgę, ale pot mimo klimatyzacji lał mu się po szyi, a ręce trzęsły, więc mocniej chwycił drążek. Bał się bólu fizycznego, gdy skopane twarz i brzuch pieką, a reszta ciała kuli się, szukając ratunku przed uderzeniami rozochoconych butów. Zawsze płakał, co jeszcze bardziej rozsierdzało te małe kanalie, które w poczuciu tożsamości grupowej wpierw odzierały ofiarę z męskości, potem skakały po głowie, klatce piersiowej, ściągały paski i waliły przez plecy, a Fifi wyginał się na wszystkie strony, prosząc, błagając, przepraszając, że żyje.

– A widzieliście, jak Guziol w laczkach popierdalał, kurwa, z takim tatuażem na łydce? – rzucił, siląc się na uśmiech. – Był z jakąś dupą na Karaibach, miał takie same laczki. Widzieliście w gazecie?

Odwołał się do autorytetu, gwiazdy „Startu”, supernapastnika, króla strzelców, boga stadionu, cesarza piłki, który zrezygnował z transferu, jak Fifi czytał w dodatku kibolskim „Tylko Życie”, by pozostać wiernym klubowym barwom. Siedział kiedyś w parku z Dzidzią, gdy podeszło dwóch szczeniaków.

– Kto jest największym, kurwa, napastnikiem w tym kraju? – spytał jeden z nich, a gdy spojrzeli po sobie, nie zdążyli nawet wybuchnąć śmiechem, bo gówniarze zaczęli lać. Dzidzia uciekł, a Fifi, leżąc na plecach i przyjmując kopniaki, wyduszał z siebie przez łyzy nazwiska wszystkich zawodników, jakich pamiętał od czasu mundialu w Meksyku w '86, a gdy skończył na Bońku, dostał kopa w zęby i musiał

wydać pięć stów na górną trójkę. Od tamtego czasu zachodził do salonów prasowych, przeglądał gazety sportowe, by wpoić sobie nazwiska gówniarskich idoli.

– Co ty, kurwa, cioto nadajesz? – wycedził mały, zbliżając się do Fifi.

– Ty, on ma rację! – zawołał ten ochlapany. – Widziałem zdjęcie, kurwa. Wiecie, jakie Guziol miał wypracowane łydki? Ja pierdołę... takie! – Rozwarł ramiona, by zademonstrować, że łydki Guziola były szerokie na wagon.

Fifi obliczył, że do stacji zostało kilkanaście sekund. Teraz albo nigdy, pomyślał.

– Ty! A co ty się tak, kurwa, patrzysz? Pedzio jesteś? – rzucił do chłopaka w garniturze. Kibole się odwrócili. „Garnitur” zadrżał, podniósł wzrok, spoglądając przez okulary, niechybny atrybut słabości i pedałstwa.

– Ja? Nie pa... pa... trzymałem, proszę pana – wyjąkał.

– Nie pa-pa-pa-pa-pa-czyłem, nie paczyłem, kurwa. – Najniższy kibol podszedł do niego, jakby był kierownikiem pociągu, i wyrwał mu torbę z laptopem. – A co tam, kurwa, masz? To dla mnie?

Pociąg zwolnił, lektor odczytał stację. Fifi, śmiejąc się sztucznie, podszedł wolno do drzwi, a kibole otoczyli zapadającego się w siebie chłopaka. Zapiszczało, pociąg stanął. Fifi wyszedł spokojnym krokiem, a za nim, w pośpiechu, dziewczyna i starsza kobieta. Odwrócił się, widząc przez szybę, jak bezbronne zwierzę w garniturze rozpycha się, by uciec, ale drapieźniki je dopadły, docisnęły do ścian klatki.

– Ludzie! Pomocy! Ludzie! Proszę! Ludzie! – krzyczał rzucony na pożarcie.

Fifi pobiegł na schody, śpiewając sobie na głos *lalalalalala*, by nie słyszeć krzyków ofiary rozszarpywanej żywcem. Wybiegł w ukrop miasta. Znów, pomyślał, dysząc, będzie w gazecie, że student #młody #zdolny #mówił #wszystkim #dzień\_dobry #skatowany #monitoring #nie\_nagrał #zepsuty #policja #prosi #ktokolwiek #widział #nagroda #potrzebne #pieniądze #na\_skomplikowaną\_operację\_neurochirurgiczną #ulicami #przeszedł #marsz #milczenia. W dupie mam waszą nagrodę, marsze, myślał, biegnąc, a łzy strachu płynęły po policzku, w dupie mam, w dupie, kurwa, to jebana dżungla jakaś, każdy

orze, jak może, silniejszy wygrywa, a w dupie mam, w dupie. Bolały go łydki, obejrzał się, przebiegł ponad pół kilometra od stacji metra, łyzy zalały mu oczy, przystanął, kucnął, ukrył twarz w dłoniach.

– Jezu – mamrotał. – Nie pozwól mi się tak bać, nie pozwól, daj mi siłę, chcę być silny, chcę bronić słabszych, ale nie mogę, no kurwa, nie mogę, nie zniosę tego, Jezu, zabierz ból, a przysięgam, że nie będzie już marszów milczenia. – Spojrzał na swoje bose stopy. Zgubił laczki.

Wszedł do mieszkania, przykucnął, zaszlochał. Wstał, podszedł do szafki kuchennej po szklanę, otworzył lodówkę i sięgnął po wodę mineralną. Szkoda byłoby tego mieszkania, tego barku z aluminiowymi rurami, przy którym może sobie usiąść z chłopakami. To była pierwsza meta, którą wynajmował sam, a której się nie wstydził. Były panele, meble bez obciachu, z ekologicznej skóry, duże okna, sprzęt grający, plazma nawet – mała, ale jednak plazma, łazienka, do której bez wiochy można wpuścić człowieka. Usiadł za stołem, wyjął papierosa z leżącej tam paczki, zapalił. Podniósł klapę laptopa. Obiecywał sobie, że już nie, że da spokój, do lustra nawet to mówił, jak poradził mu kiedyś psycholog w ogólniaku, przekonując, że z gejostwa można się leczyć. Ale nie da sobie tego wyrwać, nie wróci znów do śpiwora, nie, kurwa, nie, nie i jeszcze raz nie! Ostatni raz, kilka sztuk, na czynsz na dwa miesiące, na nowe laczki. Nora mówiła mu kiedyś, że Monia znalazła babkę, która zna kogoś od castingów, pójdzie, może się załapie, może chociaż na statystę, ale jeszcze tylko kilka numerów i koniec, koniec. Otworzył [gejowo.pl](http://gejowo.pl), przeczytał krótki artykuł o tolerancji w małych miastach. Autor wywodził, że w metropoliach ruchalnia i nie ma problemu, a w małych piętnują na każdym kroku, nawet księża, pedały poukrywane w świątyniach. Banał. W jakimś Kościele w Polsce biskupem został jawny gej. Nie, no bez jaj, kliknął, aha, Kościół jakiś odszczepiony, nie katolicki. Ktoś zrobił badania, wyszło, że można odczytać orientację seksualną po twarzy, a gówno prawda, każda ciota mu mówi, że wygląda na heteryka. Podobno nawet podobny jest do tego małego piłkarza, Leo Messiego. Kliknął na anonse. Pierwszy z brzegu: „dam się zaprosić na loda, ja 38/180/18, jak będzie fajnie, to może coś więcej, ty +45”. W rubryce „widziałem cię” szukają się setki dusz pewnych, że to jedno spojrzenie, gdy wychodzili z kina/knajpy/tramwaju i ledwie

dotknęli wzrokiem, było sygnałem do miłości wartej tego, by czekać teraz dniami i nocami, aż przyjdzie odpowiedź. Jakiś lekarz gej ostrzega przed gówniarzem z kiłą, który grasuje po Poznaniu. Lekarz zrobił z gówniarzem lekarski wywiad, wyszło, że gość dawał ogłoszenia od kilku lat. No, miły facet – złamał tajemnicę zawodową, by ratować swoich. Fifi aż jęknął i złapał się za jaja na wspomnienie kiły, którą podłapał od starego pedała. Dupa go potem swędziała i piekła tak, że wył w wannie, a wrzód wyskoczył nawet w gardle, co trzy miesiące leczył arsenem. Jego stara rejestracja na anonsach była aktywna, to dobrze, oszczędzi parę złotych. Odświeżył swoje ogłoszenie: „Ja 33/185/19, ty bez różnicy, byle z kulturą, czułością i kasą. Czekam”. Dopisał numer swojej komórki.

Nora cięła tak, by włosom Jennifer Lopez ocalić wszystkie kosmyki, ale nożyczki niewygodne, za małe, do obcinania skórek. Niżej laska, pomału, pomału, ciach, ciach, przez szczupłą szyję, po ramionach, ciach, ciach, ciach i piersi. Dżizas, takie okrągłe, jędrne, pewnie w gorsecie cieniutkim pod tą cudowną srebrną suknią, dalej, wzdłuż tali, cienkiej, że ach, ciach, ciach, biodra, ale ona ma jednak wielką tę dupę. Nora nie rozumiała, że jedni faceci wolą małe, chude, a inni wielkie jak kufer. Kiedyś w jakimś piśmie, gdzie na okładce była prezenterka Katarzyna Milwa z *Porannej kawy*, czytała, że mężczyźni biorą te z dupami wielkimi, bo marzą o żonie, by rodziła im duże, grube dzieci. Głupie to, pomyślała, niech sami se rodzą swoimi dupami te grube dzieci, a Monia razem z nimi, bo ciągle pierdoli, że dzieci to, dzieci tamto, a jak widzi kobietę z małym dzieckiem, to przystaje, chwyta Norę za rękę i szepcze „pa, młoda, jaki klusek... Jezuniu” i zara płacze. Teraz łydka, ciach, ciach, ciach, ja cie, ale ona ma te pantofelki, a Moni odwaliło, jak sama urodziła, ale chyba chore było czy coś, bo nie chce o tym mówić, a jak Nora zapyta, to zaraz, że „a wal się” i twardzielkę zgrywa. A ta prezenterka, druga łydka Lopez, ciach, ciach, teraz do góry, znowu ta wielka dupa, ciach, ciach, ta Milwa nawet bez żenady mówiła, że jak dostała pracę w telewizji, to sobie cycki zrobiła, ale miała za co, bo już w tej reklamie wystąpiła. Udało się suce, pokazała się w telewizji, jak inne, co robią sobie tera cycki, kiedy chcą. Jeszcze drugie ramię, ciach, ciach, ciach.

Nora chwyciła wycinankę, ostrożnie, by głowa nie odpadła, bo za bardzo

nożyczkami przejechała po szyi, aż zawisło na skrawku papierowej nitki. Podeszła do ściany, nałożyła klej, przyłożyła zdjęcie. Lopez zawisła obok Cindy Crawford, której obcięła jedną nogę, Enrique Iglesiasa bez ręki, Toma Berengera w całości, Toma Cruise'a z obciętą ręką, bo trzymał Nicole Kidman, Madonny i jeszcze wielkich uśmiechniętych ust z reklamy Coca-Coli. Gazetę „Viva!” sprzed lat znalazła w kuchni, na spodzie szuflady, gdy chciała z przegródki wyjąć nóż, przyłożyć i ciachnąć po żyłach, ale przypomniała sobie, że jest w mieszkaniu sama i nikt jej nie uratuje. Zobaczyła wtedy rożek kolorowej gazety pod sztukami. I już jej lepiej, przeszło trochę, choć młody Iglesias rozmazany, bo farba drukarska rozmyła się pod łzami, ale przy Cruisie już nie płakała. Odsunęła się od ściany, do stóp kleiły jej się skrawki papieru, usiadła na kanapie, aż zapiszczały sprężyny. Spojrzała na wycinanki – było jak na wsi, w jej pokoju, który dzieliła z siorą. Zawsze gdy była w nerwie, nie chciała żyć, brała gazety i wycinała, a gdy już cięła dokładnie, to znaczyło, że nerw sobie poszedł. Ojciec miał w dupie, matka mówiła: „Idźże se, dziewczyno, poodychaj”, babcia: „To gówno, ni problemy, bo za wojny to były, a te młode to głupie takie, z byle co dramat krencom”, a siora: „Weź nóż i się potnij po żyłach, co się będziesz męczyć”. Ale już była spokojna, już miała plan, tylko nie pamiętała, gdzie to było. Do Moni nie zadzwoni, bo impulsy się skończyły, a cholera wie, gdzie ona teraz nocuje. Do kawiarni z internetem chociaż na minutę, ale też nie, bo nawet złotówki nie miała, ledwo trzydzieści groszy znalazła w brudnym słoiczku po Nutelli, teraz pełnym spinek do włosów. Jezu, jaka głodna jestem, pomyślała, trzeba coś skroić w Żabce, ale wieczorem, gdy będzie jedna ekspedientka. Podniosła do góry stopy, otrzepała skórę z gazetowych ścinek, na palcach wyczuła zgrubienia. Poszła do łazienki, pumeksem przetarła, raz, dwa. Włożyła szpilki, wzięła torebkę, wyszła z mieszkania. W windzie przejechała szminką po ustach, powąchała się pod pachami. W zasadzie mogła się umyć, ale dobra tam, przecież nie będzie się dzisiaj nikomu rzucać na szyję. O, przecież Papa wisiał jej trzy stowy za Gambita, no ale co, do redakcji jej nie wpuszczą. Wsiadła do tramwaju, rozglądała za kanarami. Kilku już poznała, młode chłopaki, ale innych też się da, bo wchodzi parami, jeden na przód, drugi na tył, by rozpocząć łapankę. Gdy zobaczyła kościelną wieżę, wysiadła. To tu? Podeszła do przystanku, obejrzała

wszystkie wywieszki z ogłoszeniami. Nie, to nie tu. Wsiadła w następny tramwaj. Ile tu może być kościołów? Monia by wiedziała, gdzie to. Wsiadła dwa przystanki dalej, bo kolejna wieża, ale to znowu nie to, tamta była wyższa. Znowu wsiadła w tramwaj, oparła się o szybę.

– Bileciki do kontroli – usłyszała.

Eric, siedząc za kierownicą, poprawiał boczne lusterko, by lepiej widzieć wejście do banku, do którego przed chwilą wprowadził żuła. Dyszel i Gruźlik, żołnierze Kulawego, rechotali z tyłu.

– Pamiętasz Pumę? – spytał Dyszel, a Gruźlik ze śmiechu zgiął się wpół, dusząc się kaszlem.

– Pamiętasz? „Nie jestem pedałem...” – zaśmiał się Dyszel, aż auto się zatrzęsło.

Eric uśmiechnął się do siebie, bo historia z Pumą rzeczywiście była przednia. To wydarzyło się przed kilku laty. Kulawy jechał nocą przez Warszawę, zatrzymał auto gdzieś na parkingu, by się odlać. Zostawił w samochodzie Dyszla, Gruźlika i Kapucyna. O, ten to był narwaniec. Gdy raz ktoś zajechał mu drogę, Kapucyn wyskoczył, wyciągnął przez szybę samochodu kierowcę i rzucił na przeciwległy pas ruchu. Siedzące w aucie dzieci patrzyły, jak ich tatę miały koła autobusu. Podczas ogłaszania wyroku sędzia powiedziała, że „humanistyczne wykształcenie powstrzymuje ją od kategoriycznych stwierdzeń, ale jako matka żałuje w takich przypadkach, że w naszym kraju zniesiono karę śmierci”, i walnęła Kapucynowi dożywotniaka. Łyknął zaraz pod celą pałak od wiadra, który rozerwał mu żołądek, trafił do szpitala więziennego, a stamtąd, przez znajomego sanitariusza, przesłał sędzi greps napisany na odwrocie plastra: JAK UCIEKNEM TO WYJMEM CI CIPE NA DRUGOM STRONEM. Dorzucono mu do tego dożywotnia cztery lata za groźby karalne. Kulawy przy pośrednictwie swojej adwokatki za łapówkę załatwił Kapucynowi w apelacji dwadzieścia pięć lat więzienia, z możliwością wyjścia po piętnastu, bo chciał mieć pewność, że jego obciążony w pierdłu perspektywą śmierci ze starości żołnierz nie zacznie – choćby z nudów – gadać. Kulawy nie chciał zlecać zabójstwa swojego żołnierza, bo mogło to źle wpłynąć na morale Dyszla i Gruźlika,

śmiejących się teraz w aucie z historii o Pumie. A było tak, że gdy Kulawy już się odlał i wyszedł z krzaków, zapinając rozporek, zobaczył, jak Dyszel i Gruźlik rzucają kamieniami w wielki billboard, stojący na parkingu, tuż obok samochodu. Kapucyn krzyczał na plakat, na którym aktor Gambini polecał szampon przeciwłupieżowy:

– Złaź, chuju! Bo tam, kurwa, wejdem!

Kulawy strzelił go w ryj z otwartej dłoni.

– Co braliście, łajzy, jak mnie pięć minut nie było?!

Kapucyn chwycił się za policzek, Gruźlik dostał ataku kaszlu, a Dyszel pokazał ręką na maskę auta i zadzierając łeb na billboard, wyjąkał:

– Szefie, ten chuj tam na górze porysił szefowi lakier.

Kulawy spojrzał na maskę mercedesa: małe wgniecenie na czarnym metaliku, spod którego krzyczały odpryski starego turkusowego lakieru. Obok leżało wiadro z bezbarwną mazią. Kulawy podszedł, umoczył palec, powąchał. Klej do papieru. Zadarł głowę, przysłaniając ręką światła reflektorów billboardu. Dopiero wtedy zobaczył, że na szczycie siedzi młody chłopak.

– To ty?! – Pokazał palcem na wiadro.

– No nie chciałem, spadło mi, plakat lepiłem. – Chłopak wzruszył ramionami. – Ja, proszę pana, zapłacę, oddam jakoś, tylko niech pan weźmie te mały.

– O ty, kurwa, cwelu! – Kapucyn rzucił się na pięciometrowy słup z billboardem, ale od razu się ześlizgnął.

Dyszel zarechotał, Gruźlik też chciał, ale uprzedził go kaszel.

– Szefie! – Zziajany Kapucyn podbiegł do Kulawego. – Szef da pistolet, ja tego chuja jebnem zara!

Kulawy spokojnie analizował sytuację, a rozwiązanie, jakie później zaproponował, było potwierdzeniem naturalnego prawa oddzielającego mały stojące w stadzie niżej od tej, która w sytuacjach szczególnych wykazuje się zmysłem strategii i przewidywania, dzięki czemu pozostałe zwracają się do niej z należyty szacunkiem i oddaniem.

– Jak tam wlażeś, skoro tu nie ma drabiny ani liny? – spytał spokojnie Kulawy,

a mały rozejrzały się wokół, zdając sobie sprawę, że ten na górze to chyba jakiś akrobata.

– Wspiąłem się!

Kulawy pogładził się leciutko po czubku nosa.

– Jeśli nie kłamiesz, zapominamy o lakierze i dam ci jeszcze pewną robotę za dziesięć kłoców.

Gruźlikowi od razu minął kaszel, Kapucyn dłubał w nosie, analizując kwotę, a Dyszel patrzył na szefa, próbując odgadnąć, czym skończy się jego genialny zapewne plan zwabienia tego gnoja na dół i rzucenia im na pożarcie. Przy wjeździe na parking zawył krótki sygnał policyjnej syreny. Radiowóz podjeżdżał cicho, gryząc żwir, mrugając niebieskimi światłami, i zatrzymał się obok nich. Przez opuszczoną do połowy szybę wyjrzał policjant.

– Jakiś problem, panowie? – spytał, świecąc im latarką po twarzach.

– Nie! – rozległo się z góry i wszyscy spojrzeli na chłopaka, który wesoło zamachał nogami. – Panowie pytali tylko o ten szampon. – Trzymanym w ręku wałkiem do kleju pokazał na plakat.

Policjant spojrział na Kulawego, zgasił latarkę, zasunął szybę. Radiowóz wolno odjechał. Milczeli. Dyszla, Gruźlika i Kapucyna możliwość oceny tej sytuacji przerastała intelektualnie, a Kulawy zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z jednostką nieprzeciętną, bo bez względu na groteskę wydarzenia nie zażegnał niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, tylko podjął grę. Takich Kulawy cenił wysoko.

– Dobra, zejdź. Pokaż, co umiesz. – Jego palec wskazujący wycelował w ziemię.

Chłopak z plecakiem na plecach zeskoczył na wąski aluminiowy podest tuż pod plakatem, owinał się wokół słupa rękami i nogami jak wąż i zjechał płynnie głową w dół, robiąc na końcu efektowny fikołek w tył. Kapucyn ruszył z pięściami, więc chłopak wskoczył z powrotem na słup i zwinnie wdrapał w kilka sekund.

– No nieźle... – uśmiechnął się Kulawy.

Puma, jak przedstawił się chłopak, uratował skórę, ale nie zdawał sobie sprawy, że przez jego wiadro i turkusowy lakier sprawność w kolanie stracił pewien Bułgar, który zapewniał Kulawego, że sprzedał mu fabrycznie nowe czarne auto.



Kilka dni później, w środku nocy Puma, pracując za dziesięć kloców, jak mu obiecano, stał na dachu czteropiętrowego bloku w centrum Warszawy. Ubranego na czarno chłopaka obserwowali z dołu przez lornetki Dyszel i Kefir. Kefir był zaufanym paserem. Dwa miesiące wcześniej wskazał to miejsce, ale Kulawy nie miał pomysłu, jak dostać się do środka. Na trzecim piętrze mieszkał niejaki hrabia Dzieduszkowski, blisko osiemdziesięcioletni kolekcjoner sztuki, krytyk i meloman, mający słabość zarówno do młodych kobiet, jak i chłopców. Kulawy chciał wpierw podrzucić staremu Ukrainkę, Miss Doniecka, ale zgred okazał się nieufny i nie zapraszał obcych do mieszkania, w którym sam przebywał z rzadka, bo miał okazałą willę na przedmieściach. Hrabia, co ustalił Kefir, siedząc za paserkę, był klientem pewnej wrocławskiej grupy, trudniącej się włamaniami na zlecenie. Jak podejrzewał Kulawy, to stamtąd pochodziła większość hrabiowskiej kolekcji. Ryzyko wpadki było zatem niewielkie, bo obraz, który chcieli ukraść, również został skrojony, a stary raczej nie będzie ogłaszał światu, że ktoś ukradł mu raz już skradzione dzieło. Kefir pod celą dowiedział się też, że z kościoła w Sulmierzycach wrocławska grupa ukradła bezcenny obraz Lucasa Cranacha Starszego, przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem, a teraz wiszący sobie właśnie w mieszkaniu w bloku, pod którym stali. Obrazu broniły drzwi z grubą, stalową wkładką w środku i tylko jeden zamek, za to uruchamiający cztery pary bloczków wchodzących w zbrojoną futrynę. Na oknach zamontowano kraty i alarm w szybach, ale chińskiej produkcji, tanioczę chodzącą na ogólnym zasilaniu z mieszkania. Kraty były co prawda żeliwne, ale wmurowane płytko w tynk wnęki balkonowej. Kefir oceniał, że trzeba wyłączyć główne zasilanie, podważyć jedną z krat, by tynk puścił, a wtedy między kratą i ścianą musiała się utworzyć wąska szpara. Potrzebowali tylko na tyle zwinnego i szczupłego gościa, by zawisnął na kilka minut przed kratami, a potem przecisnął się przez szparę. Robili próby z chudym Gruźlikiem, wyniszczonym przez choroby weneryczne i nieleczoną gruźlicę, ale spadł na łeb z garażu Kulawego i złamał sobie rękę. Problem przypadkowo rozwiązał się sam dzięki zwinnemu Pumie. Ostatnią informacją, jaką zdobył Kefir, było to, że hrabia związał się niedawno z pewną modelką i ze względu na jej temperament seksualny podejrzewał ją o zdrady. Ale tego wieczoru zgred był w szpitalu na przeglądzie by-passów, a modelka wyszła

z mieszkania przed dwiema godzinami. Gdyby chciała wrócić, Dyszel miał iść za nią i na klatce schodowej dać po mordzie tak, by padła zemdlona, zanim osiągnie trzecie piętro. Puma wskoczył na balkon pod dachem, a stamtąd zwinnie na trzecie piętro, chwytając się krat. Wyjął łom z małego plecaka i podważył mocowanie krat przy ścianie, tworząc wąską szparę. Wsadził głowę i precyzyjnie przecisnął ciało. Stał przed drzwiami balkonowymi i przez kraty wyjrzał w dół, czekając na znak. Kefir odstawił lornetkę, podbiegł do klatki schodowej, odgiął śrubokrętem zapadkę domofonu, wszedł na korytarz, wyłamał drzwiczki od skrzynki z prądem i wyłączył bezpiecznik z numerem mieszkania hrabiego. Wrócił i pomachał zapalniczką. Puma zobaczył z góry światło kołyszące się jak wahadło, wyjął z plecaka diament szklarski i naciął kółko na szybie drzwi balkonowych. Puknął, szybka spadła miękko na dywan w mieszkaniu. Wsadził przez otwór rękę, przekręcił klamkę drzwi, wszedł. Wyjął z plecaka małą latarkę i przesunął snop światła po ścianach. Zobaczył na obrazach jakichś Jezusów, ale dorosłych, sceny walk rycerskich i faceta w śmiesznej, czerwonej pizamie oraz czapce pajaca siedzącego na tronie, a w końcu mały obraz Matki Boskiej trzymającej Jezuska. Namalowany był na desce, ale Puma miał plecak idealnie dopasowany do jego rozmiarów, musiał tylko wyjąć deskę z ram. Podeszedł do ściany, gdy usłyszał westchnięcie. Zgasił latarkę. Odczekał. Zapalił. Nerwowo omiótł wąskim snopem stół, kredens, telewizor, kanapę, a na niej ciało mężczyzny i jego twarz z otwartymi, zdziwionymi oczami, która nagle zbliżyła się z dużą prędkością.

– O Jezu! – ryknął Puma.

Wielki jak byk facet ściągnął go na podłogę.

– Poruchać sobie chciałeś! Poruchać sobie chciałeś! – krzyząc, walił go czołem w twarz, kopał, tłukł pięściami, aż chłopak stracił przytomność. Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Mężczyzna wstał z leżącego jak szmaciana lalka Pumpy i dysząc, poszedł do przedpokoju. Zajrzał w wizjer drzwi. Nikogo nie zobaczył, otworzył je, a wtedy drewniany kij bejsbolowy Dyszla trafił go w czaszkę. Jak się później dowiedzieli, facet był lekko niedorozwiniętym synem hrabiego Dzieduszkowskiego, którego stary zostawiał czasami w mieszkaniu, by pilnował, czy modelka aby na pewno się nie puszcza. Kefir i Dyszel, usłyszawszy z dołu krzyki, pobiegli na górę

i trzaskali teraz Pumę po twarzy, a ten, zasłaniając oczy rękami, ocknął się i wymamrotał:

– Nie... nie... nie chciałem... nie jestem pedałem... nie jestem pedałem...

– Nie jestem pedałem! – Dyszel i Gruźlik ryczeli w samochodzie, a Eric chichotał, obserwując wejście do banku i wspominając końcówkę historii.

Otóż obraz Cranacha nie znalazł nigdy kupca, bo krótko po akcji Pумы Interpol wpisał go na listę bezcennych dzieł sztuki, poszukiwanych na całym świecie, a Kefir poszedł znów siedzieć przez „babę”, czyli kupno dwóch skradzionych listów Marysieńki do Jana III Sobieskiego. Kulawy nie miał innych kontaktów wśród handlarzy dzieł sztuki, więc ukrył obraz w skrytce w garażu razem z pewnym nagraniem na CD i malutką rzeźbą z długimi do kolan cycami i wielką łechtaczką, nazywaną przez Interpol „Boginią Płodności”, a skradzioną przez polskich żołnierzy z Muzeum Narodowego w Bagdadzie.

Eric znów spojrzał w boczne lusterko. Zaczął się niepokoić. Żul nie wychodził od pół godziny. Musieli objeżdżać aż dworzec PKS-u na przedmieściach, gdzie koczowała żulerka, by znaleźć takiego, często na wpół pijanego, co pasował do zdjęcia w dowodzie. Eric znał dwóch zaufanych ludzi z banku, z departamentu analizy ryzyka. Od ręki przyznawali maksymalne debety, ale nie miał dojścia do okienek obsługi klienta, gdzie składa się wnioski o konto, dlatego musieli dbać o pozory. Na szczęście te nowe dowody mają malutkie zdjęcia. Przecierał je jeszcze zmywaczem do paznokci, by plastik zmatowiał, maskując szczegóły twarzy. Gdzie ta menda, pomyślał i wyszedł zaniepokojony z auta. Podszedł do drzwi banku, zajrzał przez szybę. Żul siedział przy punkcie obsługi klienta. Drzwi otworzyły się, wyszedł mężczyzna w garniturze, z torbą na laptopa i spojrzał na Erica podejrzliwie, marszcząc brwi.

– Eric? – spytał niepewnie. – No, chłopie! Kopę lat! – Roześmiał się i podszedł z wyciągniętą rękę. – Jezu, ile to...? Chyba z dziesięć. Co porabiasz?

– No patrz, a ty co tutaj? – Eric ukrywał zmieszanie.

– Jestem tu wickiem.

– Aaa... – Zaglądał do banku nad głową dawnego kolegi ze studiów.

– Byłem w departamencie prawnym, awansowali mnie na wicedyrektora, a ty?

– Interesy różne, przechodziłem...

– Jaka branża?

– Finanse. – Eric zobaczył, że żul podnosi się z krzesła.

– No patrz, jakbyś coś potrzebował, to wal.

– Dobra. Słuchaj, muszę lecieć – pożegnał się i wsiadł do samochodu, a żul otworzył tylne drzwi, gramoląc się między Dyszla i Gruźlika. Podał Ericowi papierową teczkę, którą właśnie dostał w banku. Najważniejsza była informacja o numerze konta, hasło dostępu i kwota przyznanego debetu: pięć tysięcy złotych, uzyskanego na podstawie zaświadczenia o zarobkach w nieistniejącej, rzecz jasna, firmie.

– Rozbieraj się, kurwa! Za mocno go spryskaliśmy. – Dyszel teatralnie zatykał nos.

Nie mieli gdzie żula umyć, łaźnia miejska była nieczynna, na hotel szkoda im było pieniędzy, więc wylali na gościa pół butelki perfum i dali maszynkę elektryczną, by ogolił się w samochodzie, a gumą do modelowania kazali zaczesać przetłuszczone włosy. Wyglądał teraz jak statysta z polskiego filmu o małomiasteczkowym mafioso.

– Panowie, panowie, a nie możecie mi tego zostawić? – spytał żul, chwytając za klapy marynarki.

– A co ty, kurwa, na randkę idziesz? – parsknął Dyszel. – Wyskakuj z gajera!

Mężczyzna oddał skradziony w Londynie dowód osobisty i zaczął się rozbierać, odsłaniając siniaki na ramionach, podartą, żółtą pod pachami koszulkę i gacie, kiedyś pewnie białe, teraz żółtobrązowe. Garnitur za sto dziewięćdziesiąt dziewięć z Tesco, „Dla prawdziwych mężczyzn z klasą”, Dyszel zaczął składać pieczołowicie w żołnierską kostkę. Żul włożył swoją flanelową koszulę w kratę, oberwaną na rękawie, i za duże spodnie, które podwiązał kablem. Zdjął też buty za dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć z Lidla, „Okazja cenowa na każdą okazję”, i włożył stare trepy. Eric podał mu pięćdziesiąt złotych i dorzucił jeszcze dwie dychy.

– Masz, napiwek – powiedział, marszcząc nos.

Dyszel wypchnął żulę, odpalili silnik i ruszyli. Na najbliższych światłach Eric skręcił i zatrzymał się w zatoczce przystanku. Wyjął ze schowka dowody osobiste.

– Dostaję tej żulerki, tego smrodu. Teraz jakaś dupa. – Tasował dowody jak karty. – O! Szukajcie brunetki podobnej do tej. – Podał do tyłu dowód i ruszył.

– A blondynki nie masz? Bo tam yhy... yhy... – zakaszłał Gruźlik – ...stoi fajna, chyba kurew jaka. – Jego palec wskazał na przystanek tuż przed nimi.

Eric zjechał do zatoczki autobusowej, włączył światła awaryjne. Podszedł do dziewczyny, która zrywała odcinek ogłoszenia. Rzucił okiem nad jej ramieniem, by przeczytać: Operacje. Liftinga. Piersi. Najtanszej. Uznani ukraińscy specjaliści... Nie doczytał, bo dziewczyna odwróciła się, patrząc na niego nieufnie.

– Jak dla mnie wszystko okej – zaśmiał się i spojrzał w jej duże, zielone oczy, zbyt mocno pomalowane.

– Spierdalaj! – rzuciła Nora i odeszła.

Dwie godziny jeździła tramwajami. Spisali ją na cztery stowy po wezwaniu policji, bo nie chciała pokazać dowodu osobistego. Ledwie trzymała się na nogach, głodna, zmęczona, klejąca się od potu, smrodu autobusów i tramwajów, a w gaciach miała kisiel, bo zaczynał jej się okres. Znalazła ten cholerny przystanek z ogłoszeniem, który Monia wyczytała, gdy wracały kiedyś pijane po wystawieniu Papie jakiegoś debila, dziennikarza sportowego z telewizji, co w nocy chciał się z Monią żenić, a rano, na trzeźwo, wyrzucił im buty za okno. Monia dzwoniła wtedy na numer z ogłoszenia, bo ona się wstydziła. Odebrał jakiś facet, mówiąc, że za cycki tylko dwa i pół koła. Ale zgubiły gdzieś tę kartkę, którą Nora ścisnęła teraz mocno w dłoni jak los wygrany na loterii. Ten z przystanku, nawet przystojniak, podobny trochę do tego tancerza z *Tańczyć każdy może*, bruneta z czupryną loków, chyba za nią szedł. Odwróciła się.

– Myślisz, że jak mam fajną dupę, to jestem taka, kurwa, łatwa, że tak se możesz podejść i se wyrwać, ten? – Grała niedostępną, bo Monia zawsze tak robiła i działało.

Aha, pomyślał Eric, gra niedostępną, znaczy, że łatwo pójdzie. Po lekturze

ogłoszenia opracował szybką taktykę:

– Szukam dziewczyny do pracy. W dwie godziny, bez bzykania, wyciągniesz trzy koła.

Patrząc na nią, wiedział więcej, niż gdyby robił ankietę personalną, w której i tak by pewnie nakłamała. Przyjechała ze wsi, kupiła w H&M-ie cztery ciuchy, wynajmowała z koleżanką lub dwiema mieszkancko od jakiegoś emeryta, czytała kolorowe gazetki i chciała wielkie cycki, żeby – jak wróci na święta do domu – laski z podwórka powiedziały: „Ja pierdolę, ale ci płuca urosły, dawaj dotknąć!”. Eric dałby też sobie ogolić jaja tępą żyłką, że brakowało jej kasy, bo z paznokci schodził lakier, a każda taka dupa trzy dni nie będzie jadła, byle tylko odłożyć na nowy i pokazowo zajechać paznokcie nową warstwą – jak samochody Kulawego.

– Dorzucę dzisiaj kolację: pstrąg, sos borowikowy, ziemniaki z grilla posypane koperkiem, czerwone włoskie wino. – Oparł się o słup lampy i uśmiechnął, odsłaniając komplet białych zębów.

Nora patrzyła mu prosto w oczy i pomyślała: Bóg, kurwa, czy jasnowidz? Gdyby powiedziała Moni, że spotkała faceta czytającego jej w myślach i wyrywającego na pieczone ziemniaki, których zapach uderzył w nią mimo spalin, to ta jebłaby ją z muki prosto w czoło.

– Co mam... zrobić? – spytała.

Trzeźwy poczekał, aż doradcy opuszczą gabinet premiera po zakończonym, drugim tego dnia, popołudniowym zebraniu. Złożył dłonie w koszyczek. Miał problem, a w zasadzie dwa, które się uzupełniały. Nie był członkiem partii, więc nie mógł liczyć w takiej chwili na wsparcie stronników. W zasadzie mógł tylko zadzwonić do byłej żony i się popłakać, ale musiałby przyznać jej rację, bo mówiła, że „wchodzi w syf, w tym syfie utknie po szyję i że zawsze był tak pewny swego, zimny, analityczny, przewidujący”, a tu proszę. Kiedy wreszcie otworzyły się drzwi gabinetu, na korytarz wyszli ludzie, którzy tylko czyhali, by wywalił się na plecy, ten znajda, reklamiarz, co omotał premiera sztuczkami marketingowymi. Z pewnością wyszczaliby się na jego grobie, trzymając w jednej ręce fiuta, a w drugiej ukradzione z innych grobów, zwiędłe

chryzantemy.

– Mamy problem – zaczął Trzeźwy.

– Wrócimy jeszcze do tej ustawy, bo widzę, że to cię gryzie, ale spokojnie. – Pierwszy uśmiechnął się.

– Nie w tym rzecz. – Przejechał palcem wskazującym i kciukiem po czubku nosa. Wiedział, że tej sprawy nie przykryje. Zanim tu przyszedł, przeanalizował każdy scenariusz, jakby rozkładał karty w tarocie, a i tak zawsze na końcu wychodziła śmierć. Scenariusz pierwszy: dogaduje się z anonimowym szantażystą, ale nie ma gwarancji, więc żyłby w strachu każdego dnia, że zdjęcia jednak wyjdą. Pierwszy wścieka się na Trzeźwego, bo go nie uprzedził i wylewa go na twarz. Scenariusz drugi: idzie na policję, robi z siebie ofiarę szantażu, ale zdjęcia przeciekają do prasy chwilę po tym, jak schodzi ze schodów komendy. Pierwszy dla oczyszczenia atmosfery wyrzuca go na twarz. Scenariusz trzeci: przykrywa zdjęcia mocną sprawą wyjętą z szuflad ABW/CBS/CBA, ale sprawdził już dyskretnie i jak na złość żadna ze służb nie szykowała większej bomby, a że wakacje w pełni, okres informacyjnej posuchy, to szmatławce grałyby jego zdjęciami. O ile ABW nie miało już tych zdjęć, bo ponoć monitoruje skrzynki pocztowe wysokich urzędników w obawie przed takimi właśnie wpadkami, więc niechybnie Pierwszy i tak by się o tym dowiedział i dla oczyszczenia atmosfery wylał go na twarz. Scenariusz czwarty: mówi Pierwszemu i liczy na łaskę.

Trzeźwy z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął małą kopertę, wyciągnął z niej zdjęcie i wydruk kartki zapisanej drobną czcionką, po czym położył je na stole. Pierwszy wziął do ręki i uśmiechnął się gratulacyjnie.

– Ooo! Ładna. Kto to? – spytał.

– Nie wiem.

Premier przeczytał tekst z kartki:

– „Pięćdziesiąt tysięcy, masz czterdzieści osiem godzin, a jak nie, to zajmą się tobą brukowce...”. To jakieś jaja? – spytał, odkładając kartkę na stół.

– Raczej nie.

– Po co się z nią spotkałeś?

– Przysiadła się.

– Mówiłeś policji? Może damy ABW? Naruszenie interesu bezpieczeństwa państwa, szantaż... Chyba że to jednak żart. – Pierwszy nadal się uśmiechał. – Kto za tym stoi?

– No właśnie... – Trzeźwy przejechał ręką po grzywce. – Nie za bardzo wiem, o co chodzi. Próbowałem działać, gdy widziałem jednego paparazzi. Myślałem, że to zablokowałem, a jednak przyszło.

Premier nadal się uśmiechał.

– Paparazzi? Tak bezczelnie? No, ale co z tego? Przecież to jakaś przypadkowa dupa, tak?

– Niezupełnie. – Trzeźwy wyjął z kieszeni marynarki drugą kartkę z wydrukowanym tekstem załączonym do maila. – To skan raportu z Krajowego Systemu Informacji Policyjnej. O tej dziewczynie

Pierwszy przeczytał i pogłaskał się po policzku.

– Kur-wa mać – wyszeptał.

Trzeźwy poprawił się w fotelu. Na szczęście byli sami w gabinecie, przynajmniej w oczach hien oszczędził sobie upokorzeń. Zgodnie z informacją z KSIP dziewczyna na zdjęciu, która przysiadła się w Dramie, to Monika Celleni, pochodzenia romskiego, notowana za kradzieże sklepowe i posiadanie marihuany. W części poufnej raportu umieszczono informację, że może być zamieszana w handel dziećmi, ale jest to na razie „przedmiotem śledztwa w sprawie dotyczącej korupcji lekarzy”.

– Szefie... – Trzeźwy nabrał powietrza.

– Wiem, wiem. Powiem ci, co zrobimy. Zgłosimy to jednak ABW.

– Szefie, ale...

– Poczekaj. – Pierwszy patrzył na raport, gładząc kąciaki ust. – Zgłosimy, żeby zrobili to dyskretnie, tylko zarejestrowali sprawę, by był dowód, że odbywały się jakieś czynności, skoro już się o tym dowiedziałem. A ty odchodzisz.

Trzeźwy bał się tego słowa. Jego bezceremonialny ton wywołał skurcz w żołądku. Pierwszy podniósł wzrok, w którym nie było już rozbawiania.



– Sam wiesz, co napisać. Już poza kancelarią, czyli od jutra, dogadaj się z nimi albo to olej. Ja nic o tym nie wiem, żeby nie było, że mój pracownik wchodził w jakieś deale z takimi chujami, rozumiesz? Bo telewizje będą nas jadły całe wakacje. A co zrobisz od jutra, to nie moja sprawa... – Pierwszy złożył kartkę na pół i poprawił się w fotelu. – Jeśli się dogadasz, zaczynasz nowe życie. Załatwimy, że ABW ugrzęźnie w śledztwie, nie znajdzie sprawców, nie będzie tematu. Jeśli coś wyjdzie, jeśli ktoś to opublikuje, zrobimy z tego mały skandal obyczajowy i wciągniemy w niego Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, a oni wydadzą komunikat, że to naruszenie standardów i ten tego, i w ogóle. Ci naczelni, co nas lubią, potępiają to jako gówno, gmeranie w prywatnym życiu i w ogóle. A ja nie będę niczego komentował, uznając to za... – wyprostował się, jakby naprzeciwko niego stanęła właśnie kamera – ...problemy prywatne i efekt namiętności, od których nikt z nas nie jest przecież wolny. Jak wypadłem? – spytał z krzywym uśmiechem.

Trzeźwy flegmatycznie podniósł kciuk.

– Napiszę komunikat o odejściu, wspomnę o przejściu do biznesu.

Pierwszy zaklaskał leciutko na znak aprobaty, wstał, obszedł stół i wyciągnął rękę do byłego już rzecznika. Na biurku premiera zadzwonił telefon. Podniósł bezprzewodową słuchawkę i przyłożył do ucha, patrząc, jak Trzeźwy wstaje i odchodzi do drzwi.

– Łączyć, łączyć.

Papa i Młody stali przed okalającą gospodarczą posesję zardzewiałą siatką. Na furtce krzywo wisiała tabliczka „Mam ostre kły” z czarnym wilczurem na żółtym tle. Papa wduśił guzik dzwonka. Zatrzymali auto na skraju wsi, nie wiedząc jeszcze, gdzie mieszka rodzina, która straciła dzieci przysypane piachem, a o której na porannym zebraniu mówił Behemot. Pomogła im kobieta, sąsiadka, mówiąc: „Jezu, to tam”, i robiąc znak krzyża. Plama potu na koszulce Papy zaczynała się przyściągaczu na szyi, a kończyła w połowie pleców. Wyjął chustkę w niebieską kratę i nie zdejmując palca drugiej ręki z guzika, przetarł czoło.

– Daleeeeej – niecierpliwił się.

– Kto tam? – usłyszeli w dali głos kobiety, która wyjrzała zza drzwi

dwupiętrowego, nieotynkowanego budynku.

– Niech będzie pochwalony, szanowna pani! – krzyknął Papa, osłaniając oczy przed słońcem. – Proszę wybaczyć, że niepokoimy, ale gdyby pani mogła... – Ton jego głosu był pokorny. Pochylał przy tym głowę, lekko w dół, by podkreślić swój żal. Odniesienie do Boga wydało się Młodemu niestosowne, choć miał się przekonać, że to tylko wstęp do właściwego numeru. Kobieta zniknęła w domu, a po kilku sekundach pojawił się około czterdziestoletni mężczyzna, nieogolony, ze zmierzwionymi włosami, w koszulce na ramiączkach, drelichowych spodniach, uwalonych farbą lub tynkiem. Szedł do nich ciężkim krokiem, garbiąc się, z papierosem w zgrubiałych palcach. Stał przy furtce, zawahał się, patrząc na aparat wiszący na ramieniu Papy.

– A panowie skąd? – spytał, zionąc alkoholem.

– Chcieliśmy wykonać dokumentację zdarzenia, żeby pan mnie dobrze zrozumiał, to moja... – Papa wyciągnął legitymację prasową i podniósł ją na wysokość oczu mężczyzny, zasłaniając kciukiem czerwony napis „Press”.

– Aha. – Mężczyzna otworzył furtkę.

– A pies? – spytał fotograf, pokazując na tabliczkę.

Mężczyzna machnął ręką, sygnalizując, że sama tabliczka pełni funkcję obronną. Trzasnął furtką i pokazał dłonią, w której trzymał papierosa, by szli za nim. Minęli podwórze zavalone zabawkami: plastikową taczka, rowerkiem, wiaderkiem, pluszowym misiem bez łapki. Po lewej stała drewniana stodoła, przy niej zardzewiała maszyna rolnicza. Między domem a stodołą był wąski prześwit. Zatrzymali się na tyłach domu. Mężczyzna zaciągnął się papierosem, przykucnął, patrząc na postawione z pustaków ściany, betoniarkę i usypaną hałdę piachu – wysoką na dwa, a szeroką w podstawie na co najmniej trzy metry. U jej brzegu był metrowej głębokości dół. Zapewne, jak sądził Młody, fundament dobudówki.

– Czy pan mógłby stanąć bliżej hałdy? Zrobię zdjęcie. Muszę mieć punkt odniesienia... – Papa zajrzał w wizjer aparatu.

Mężczyzna podszedł do hałdy.

– Tu? – spytał.

– Tak, tak. Gdzie pan ich znalazł? – Pstryknął.

– No przecież wiecie, byli tu już od was, nie? – Mężczyzna wskazał palcem na dół.

Pstryk.

– Tak, ale musimy mieć pewność, rozumie pan, to dokumentacja zdarzenia – odparł Papa.

Pstryk.

Z prześwitu wyszła kobieta. Miała opuchnięte oczy i niewidzące spojrzenie, zapewne od środków uspokajających, przerzedzone włosy w nieładzie, a dłońmi, jakby chroniąc się przed chłodem, choć było gorąco, ścisnęła poły szlafroka.

– Panowie z policji – wymruczał mężczyzna, patrząc w swoje buty.

– Dalibyście już spokój, przecie my tyle naopowiadali. – W oczach kobiety zaszklili się łzy, usta wygięły się w podkówkę.

– Już nie przeszkadzamy, tylko, widzi pani, potrzebujemy zdjęć, za życia znaczy... Na pewno pani ma, może takie od legitymacji szkolnej albo coś innego... – Papa nadal był pokorny.

– No mam. – Kobieta odwróciła się i weszła w prześwit, a fotograf ruszył za nią.

Do Młodego podszedł bury kocur, prężąc grzbiet.

– Sio, Łamignat, sio – mężczyzna odganiał kota.

– Śmieszne imię – powiedział chłopak, biorąc zwierzaka na rękę.

– Córka tak dała, lubiła koty. Zabierała te znajdy z drogi, nawet te połamane, jak ten, o, jeszcze tamte. – Pokazał palcem cztery kocury idące w ich kierunku, zwabione pomrukiwaniem Łamignata, którego Młody drapał za uchem.

– Pafibrzuch, Gargamel, Fnieżka i Falineczka – wyliczył mężczyzna. – Córka nie wymawiała „s” i „c”. – Przyłożył dłoń do policzka, odwrócił się i wytarł oczy wierzchem dłoni.

Młody odstawił kota, przygryzł wargę. Papa wyszedł z prześwitu.

– Dziękujemy, nie przeszkadzamy – powiedział przygnębionym tonem, pakując do torby dwa małe zdjęcia.

Mężczyzna odprowadził ich do furtki. Młody zauważył teraz pluszowego

brązowego konika na biegunach, który stał przy płocie, wypatrując czegoś na drodze. Furtka trzasnęła za nimi, Młody nie obejrzał się za siebie, czując wstyd i zażenowanie. Podeszli do samochodu. Papa usiadł za kierownicą, uśmiechnął się i zatarł ręce.

– No, kurwa, mamy „przeżyciówki”. Łatwo poszło. A tera obiadek! – Włączył radio, podkręcił muzykę, otworzył szybę.

– Miałem cię zapytać, dlaczego tu tak śmierdzi. – Młody marszczył nos, a Papa zmarkotniał.

– Mleko. Nie mogę się tego gówna pozbyć.

– Mleko? – Zdziwiony chłopak uniósł brwi.

– A tam...

Po godzinie, siedząc za biurkiem, Młody przeglądał notes. Miał tylko kilka zdań. Nie zdążył nikogo o nic spytać, zgodnie z prośbą Papy, by „nie płoszyć”. Wstał, podszedł do Bladej.

– Napisz, co masz, i dawaj – wymamrotała, nie odrywając wzroku od monitora.

Dwie godziny później zobaczył na ścianie próbny wydruk strony z tekstem podpisanym swoim nazwiskiem. Jęknął. Żadna z informacji nie pochodziła od rodziców czy sąsiadów. Błada wszystko wymyśliła, kreując rzeczywistość swoimi domysłami, zdjęciami, a zapewne też bogatym doświadczeniem w redagowaniu „bazy”.

– O jasna...! Widzieliście to? – krzyknął Janeczek, gdy Młody podszedł do niego i szepnął na ucho, by zmieniono mu w tekście nazwisko na pseudonim. Kilku dziennikarzy podeszło, by spojrzeć na monitor.

– To jakieś jaja? – spytała Błada, opierając się o biurko.

Młody zbliżył się, by przeczytać adres strony internetowej. Przed komputerem kłębiło się już z pół redakcji, a kto nie mógł się docisnąć, czytał tylko adres z paska przeglądarki i wracał w pośpiechu do siebie, by wpisać go w swoim komputerze.

– Jest Lebioda? – spytał Janeczek, ale nikt nie odpowiadał. Wszyscy ze skupieniem wpatrywali się w monitor, gdy Błada, operując myszką, przewijała stronę i odkrywała kolejne

zdjęcia.

Janeczek podszedł do gabinetu naczelnego i spojrzął na Iwonkę, a ta skinęła, że szef wolny. Zapukał, odpowiedziało mu stłumione „nooooo”. Wszedł. Lebioda siedział za biurkiem. Z głośniczków podłączonych do komputera dobiegały fragmenty jakiejś opery. Dziennikarz usiadł na wolnym krześle.

– Masz otwarty net? – spytał, wypychając policzek językiem. – Zadzwoń do mnie koleś z „Życia Gwiazd”, podał adres. Dziwne to...

– No dawaj. – Rozbawiony Lebioda, jakby oczekiwał pikantnej historii, zawiesił palce nad klawiaturą.

– U-p-o-l-u-j-g-n-o-j-a-kropka-p-l – przeliterował Janeczek.

Naczelny zachichotał przez nos. Najpierw zmrużył oczy, zmarszczył brwi, a za chwilę podniósł je w zdumieniu.

– Co to? Żart... jakiś? – spojrzął na pracownika z mieszaniną odrazy i zdziwienia. Jedną rękę trzymał na myszce, przewijając stronę, drugą tarł usta. Apel, od którego zaczynała się strona, był krótki:

**JEŚLI MASZ ZDJĘCIA ZBIGNIEWA LEBIODY, RED. NACZELNEGO SZMATY „TYLKO ŻYCIE”, ŚLIJ NA PODANY MAIL. PŁACĘ TYSIĄC ZŁOTYCH /GOTÓWKĄ LUB PRZELEWEM/ ZA KAŻDE ZDJĘCIE Z JEGO PRYWATNEGO ŻYCIA. ZAPRASZAM DO ZABAWY. OTO PIERWSZE FOTOGRAFIE.**

Pod apelem na kilku zdjęciach Lebioda i jego żona schodzili po schodach opery, podchodzili na parking, wsiadali do auta. Pod zdjęciami figurował krótki opis:

„Małżonka Alicja (39 l.), prawniczka z kancelarii Wydra, Kieszeń & Partnerzy (ulica Krucza 26/24) ma na sobie suknię Prady za 28 tysięcy, na stopach pantofle Gucci za 7 tysięcy i torebkę Louis Vuitton za 11 tysięcy. Na szyi kolie, którą dorzucano do miesięcznika o modzie za 12 złotych :). Lebioda (41 l.) ma garnitur Braun za 8 tysięcy, nieco znoszony :), buty Gucci za 3 tysiące i zegarek Philippe Patek za 110 tysięcy. Wsiadają do mercedesa E-class za 390 tysięcy i jadą do domu (ponoć za 2 miliony) na luksusowym osiedlu (ulica Błękitna 46d)”.

Każdemu z opisów towarzyszyła powiększona fotografia omawianego detalu.

Janeczek nie słyszał jeszcze w redakcji takiej ciszy. Nikt nie pisał, nie rozmawiał, słycać było tylko klikanie przewijających stronę guzików myszki. Szedł korytarzem, prowadzony wzrokiem newsroomu.

– Szef mówi, że nie musi już pracować, bo ma tysiąc swoich prywatnych zdjęć – powiedział Janeczek, ale nie śmiał się. Mimo bagatelizowania sprawy w powietrzu wisiało zakłopotanie.

– Proszę dzwonić do sekretariatu, nie mogę tego komentować. – Błada mówiła podniesionym głosem, stojąc koło swojego biurka i trzymając telefon przy uchu. Odłożyła słuchawkę. – Dzwonili z telewizji. Pytają, czy ktoś skomentuje, bo Lebioda nie odbiera. – Usiadła, patrząc na Janeczka i robiąc usta w ciup.

– Eee... jest już na Pressie – powiedział ktoś i wszyscy poderwali się, by wpisać adres branżowego portalu dziennikarskiego. Donoszono tam, jak czytał Młody, o dziwnej stronie, która zachęca do portretowania naczelnego „Tylko Życie”. Janeczek wrócił do gabinetu szefa. Lebioda siedział w fotelu, ręce miał złożone za głową, patrzył w monitor.

– Dzwonią już, chcą komentarza. Co robimy? – spytał dziennikarz, stojąc w drzwiach.

– Nic. Nie ma tematu, nie ma komentarza, to jakiś fake. – Redaktor uśmiechał się, jakby ta sprawa nie robiła na nim wrażenia.

W jego głowie zachodził jednak proces analizowania konsekwencji tego, co zobaczył. Przyzwyczajony był do kontrataków, procesów, ostracyzmu środowiska mediów za przekraczanie kolejnych granic – jak wtedy, gdy opublikował zdjęcia gwiazdora polskiego rocka, którego mózg wylał się na śnieg po uderzeniu głową w ratrak, czy zwłok ośmioletniego dziecka na plaży wśród wodorostów, ślimaków i much – a także odszkodowań za publikowanie scen z prywatnego życia celebrytów, z rekordowym półmilionem za zdjęcia z sali operacyjnej ze znaną z reklam aktorką powiększającą sobie cycki. Roczny budżet jego gazety przewidziany na procesy i ugody wahał się między pięcioma a ośmioma milionami złotych, a do tego dochodziła jeszcze obsługa najlepszej w Europie kancelarii od prawa prasowego i ochrony wizerunku. Ale w jakich kategoriach potraktować to? Wyprostował się w fotelu, podniósł słuchawkę telefonu.

– Panie mecenasie, można na słówko?

Mecenas, zwany Paragrafem, zszedł po pięciu minutach z ósmego pietra, gdzie urzędował z grupą innych prawników, których rola sprowadzała się do odrzucania roszczeń zmieszanych z błotem bohaterów gazety. Każdego dnia przychodziło kilkanaście żądań sprostowań, wniosków o zapłatę za naruszone dobra osobiste, wezwań przedsądowych do naprawienia szkody wyrządzonej na wizerunku oraz pozwów. Zadaniem Paragrafa było podważanie ich zasadności przez sprowadzanie zarzutów do absurdu lub zawieranie ugód, bo koszt tych ostatnich był mniejszy niż procesów sądowych. Lebioda podziwiał go za pomysłowość, którą popisał się choćby w numerze ze sprostowaniem puszczoneym prawie niewidoczną czcionką.

– Hmm. – Prawnik, siedząc naprzeciwko naczelnego, przygryzał pióro i oglądał wydruk ze strony upolujnoja.pl.

– Zamknijmy to! – Wściekły Lebioda podniósł się z krzesła, by wykonać po pokoju kilka nerwowych kółek.

– My? – Zdziwiony Paragraf uniósł brwi.

– No tak. Napisz do administratora tego gówna, że to... – Wydał usta, szukając właściwego słowa.

– Że to co? – Prawnik uśmiechnął się, ciekawy, jakiego słowa użyje redaktor. – Naruszenie wizerunku? Nękanie? Bo więcej nie widzę. – Nadal się uśmiechał. – Możemy złożyć pozew do sądu o naruszenie twojego prawa do prywatności, z wnioskiem o zabezpieczenie powództwa, czyli zawieszeniem strony, oraz o ustalenie danych autora, bo to chyba anonimowe.

– Da się? – Naczelnemu załśniły oczy.

– Chwila. – Mecenas podniósł pióro. – Powołamy się na przepisy prawa autorskiego, czyli na brak zgody na publikację wizerunku, oraz zagrożenie utraty przez ciebie zaufania publicznego... – Spojrzał na Lebiodę.

Ten usiadł na krześle, bo adwokat przytoczył mu właśnie fragmenty pozwów i sprostowań, które czyta każdego dnia wraz z poranną pocztą.

– Kurwa...

– Ano kurwa. – Prawnik odchylił się na krześle, popukał końcówką pióra

w brodę. – Muszę przyznać, że niezły cwaniak. Trafił celnie. Jeśli z tym zawalczymy, staniemy się pośmiewiskiem, bo będziemy namawiać do tego, by także nas zamknąć i zakazać wydawania gazety. Ciekawe tylko, czy na tym się skończy.

– Co to znaczy? – Lebioda nachylił się nad biurkiem.

– Mogę sobie wyobrazić, że podchwytyją to poważne media i uznają, że to czas, by dokonać zmian w prawie prasowym i cywilnym, ograniczającym prawo do publikacji wizerunku, oczywiście niby litując się nad tobą, a pozbawiając nas wszystkich pracy. Ale może być i tak, że jeśli ten ktoś – postukał piórem w wydruk – ma dużo kasy, a się rozkręci, to zawoła jeszcze o moje zdjęcia, prezesa, wydawcy i dziennikarzy. Może być ciekawie. – Uśmiechał się, wachlując twarz zadrukowanymi kartkami.

Ten gnojek, pomyślał Lebioda, odchylając się na krzesło, bawi się tą sytuacją, jakby roztrząsał nowy wątek prawny w swojej karierze. Paragraf zamamrotał coś jeszcze, wstał i wyszedł. Lebioda za nim.

– Powiem prezesowi, trzeba jakoś wybrnąć – rzucił mecenas, stojąc przy windzie.

Naczelny skinął głową i poszedł do newsroomu.

– Słuchajcie! To był fajny żart, pośmialiśmy się, jak widzę. – Spojrzał w komputery dziennikarzy. Wszyscy w pośpiechu i zakłopotaniu zamykali stronę upolujnoja.pl. – A teraz do roboty. Nie komentujemy tego, zajmie się tym nasz PR. – Klasnął w dłonie i podszedł do Janeczka.

– I jak?

– Jest materiał o rodzeństwie, które zginęło na podwórku, a na czoło idą zarobki ministra edukacji w porównaniu z pensją nauczyciela.

– Pięknie, pięknie. – Lebioda odwrócił się, by wrócić do swojego gabinetu, kiedy dygnęła przed nim Iwonka.

– Szefie, przypominam, że dzisiaj spotkanie u tego pisarza. Co mu kupić na prezent?

– Wskoczę na miasto, sam coś kupię – odparł redaktor, wszedł do gabinetu, wziął marynarkę i teczkę, po czym poszedł korytarzem do windy.



Po półgodzinie zaparkował pod sex-shopem, ciesząc się, że znalazł wolne miejsce tak blisko sklepu. Wyłączył silnik, chwycił za klamkę, by otworzyć drzwi, ale nagle się rozejrzał. Ulica była prawie pusta, tylko chodnikiem, po przeciwnej stronie szła kobieta z wózkiem. Przypomniał sobie, że Blada udawała kiedyś matkę. Niosła lalkę owiniętą kocykiem, w którym ukryła aparat od Papy, by mogła zrobić zdjęcie aktorce romansującej w parku. Lebioda poczekał, aż kobieta z wózkiem zniknie za rogiem. Otworzył drzwi, wyszedł powoli, rozglądając się ponad dachem samochodu. Rzucił okiem na sklep, od którego dzieliło go jakieś dziesięć metrów. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. Podszedł ostrożnie, zajrzał w okno wystawowe z tabliczką OTWARTE, ale przyciemnione szyby uniemożliwiły ocenę, czy ktoś jest w środku. Przeszedł kilkanaście metrów, wszedł do spożywczego, kupił papierosy, wrócił do samochodu. Spocony usiadł za kierownicą i włączył silnik. Zastanawiał się, jak by ten gnój podpisał zdjęcie. ZAGADKA. CO NACZELNY LEBIODA KUPIŁ SOBIE W SEX-SHOPIE? LAŁĘ? WIBRATOR? MOŻE KAJDANKI? KAŻDĄ SUGESTIĘ PERWERSJI NAGRODZĘ GOTÓWKĄ.

Podjechał pod sklep kosmetyczny. Zgodnie z umową Alicja czekała przy wyjściu. Zobaczyła auto męża i podeszła do krawędzi jezdni, trzymając torbę z zakupami.

– I co? Kupiłeś mu coś zabawnego? – spytała, siadając w fotelu pasażera.

– Nie, zamknięte było. Podjedźmy do galerii, wezmę coś innego.

Alicja ułożyła torby z zakupami na kolanach, spojrzała przez szybę, na ulicę. Domyśliła się, że sex-shop wcale nie był zamknięty.

– Ktoś przysłał mi link do strony, gdzie są te zdjęcia, jak wychodzimy z opery. – Patrzyła w przednią szybę, ale kątem oka dostrzegła, że mąż mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

Lebioda wyczuł, że żona nie chciała wymienić nazwy strony.

– Daj spokój! Żarty gówniarzy. – Uśmiechnął się.

– Pół godziny temu, gdy wychodziłam z kancelarii, jakiś facet, chyba paparazzi, zrobił mi zdjęcie... – Otworzyła usta w oczekiwaniu na odpowiedź, ale mąż

milczał. – Boję się o chłopców – dodała.

– Histeryzujesz. – Zaciśnął palce i miękka brązowa skóra kierownicy zaskrzypiała. Był pod wrażeniem tego, jak szybko strona krążyła po sieci.

– On dużo płaci... – Przygryzła wargę.

– Zwariowałaś?! Kogo obchodzą nasze dzieci?!

– Dzieci nie! Kasa tak! – krzyknęła, uderzając pięścią w kolano. – Co zamierzasz z tym zrobić?!

– A co mam, kurwa, zrobić?! Podać go do sądu? To internet! Nawet nie wiem, kogo szukać! – Wylał krawędzią dłoni pot na czoło, choć klimatyzację ustawił na funkcję auto-max.

– Zapłać mu, niech przestanie. – Chciała dodać coś jeszcze, ale w torebce rozdzwonił jej się telefon. – Synku? Gdzie? Kto?! Jadę tam z tatą! Idź do pokoju dyrektorki, poczekaj tam na nas! – Odchyliła głowę do tyłu, nabrała nerwowo powietrza. – Jezus Maria! Dzieciaki robią małemu zdjęcia. Komórkami. Jedź tam! Jedź! On jest załamany! Ryczy, bo kazali mu się rozebrać!

Wcisnął gaz, wjechał na skrzyżowanie na czerwonym świetle i usłyszał za sobą sygnał policyjnego radiowozu. Spojrzał we wsteczne lusterko.

– Szlag!

Kiedy zatrzymał auto na poboczu, Alicja chciała wysiąść, by pobiec do szkoły, do której było ledwie kilkaset metrów.

– Proszę wsiąść z powrotem! – usłyszeli tuż za mercedesem głos policjanta. Mężczyzna trzymał rękę na kaburze pistoletu.

– Spokojnie – szepnął Lebioda, przytrzymując żonę za ramię, a ta oddychała głęboko, próbując uspokoić nerwy.

Policjant podszedł od strony kierowcy.

– Co się stało? – spytał, zaglądając w okno.

Alicja odwróciła głowę w jego kierunku.

– Błagam! Niech pan nas puści! Mąż jest poważanym człowiekiem, naczelnym

gazety, a nasz syn jest napastowany, robią mu zdjęcia w szkole! On się boi!

– Zdjęcia? Ile syn ma lat?

– Dwanaście!

– Wie pani, zdjęcia to raczej nic złego, proszę się nie denerwować – uśmiechnął się policjant.

– Ale oni go napastują! – krzyknęła Alicja.

Mundurowy spojrział na kierowcę, a ten podniósł ręce w geście bezradności, jakby chciał przeprosić za zachowanie żony. Dziesięć minut później, po zapłaceniu mandatu, z piskiem opon zatrzymał auto pod szkołą. Ich syn siedział na murku pod bramą, głowę ukrywał między kolanami, gdy jakiś nastolatek uciekał na szkolny dziedziniec, śmiejąc się i zaglądając w swoją komórkę. Alicja przytuliła syna, był rozdygotany.

– Rób coś! – zawołała do męża.

Lebioda pogłaskał chłopca po głowie i ruszył szybkim krokiem do szkoły. Chyba było po dzwonku na lekcję, bo na korytarzu zobaczył, że dzieciaki stoją w szeregach pod klasami. Noż kurwa, zaklął w duchu, płacił pięćdziesiąt tysięcy rocznie czesnego na tę szkołę, a jego syna poniewierały jakieś małe ścierwa. Błysnął flesz aparatu. Obejrzał się. Jakaś dziewczynka zrobiła mu zdjęcie komórką. Chciał do niej podejść, ale drogę zastąpił mu ochroniarz z wąsem, w czarnym uniformie i naszywką SuperDog.

– Słucham pana? – spytał wąsacz.

– Mój syn tutaj chodzi, idę do gabinetu dyrekcji.

– Proszę ze mną. – Ochroniarz skinął dłonią.

Alicja tuliła syna, siedząc z nim na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy Lebioda wskoczył do auta i uderzył ręką w kierownicę.

– Co powiedziała dyrektorka? – spytała.

– Że pogadają z uczniami, ale przecież nie zabierze wszystkim telefonów... – Przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Dlaczego nie czekałeś u dyrektorki? – Spojrzała na syna.

Chłopak podniósł głowę.

– Bo mi drogę zagrodzili, nawet Janek, mówił, że sorry, ale kafla mu brakuje do Nintendo. Ojciec nie chce mu kupić, bo ma już PlayStation.

Matka spojrzała na męża, zaciskając zęby.

– Zrobisz coś z tym?!

Włączył klimatyzację i popatrzył na żonę w lusterku wstecznym.

– Ojciec Janka będzie wieczorem na tym przyjęciu, powiemy mu.

– Nie idę, nie zrobię z siebie pośmiewiska – syknęła, zanurzając palce we włosach syna.

Trzeźwy, stojąc w korku, usłyszał w radiu, że odchodzi z kancelarii: „Ta niespodziewana decyzja doradcy premiera, który uchodził za prawą rękę w sprawach komunikacji, wizerunku, mediów, dziwi tym bardziej...” – mówił lektor takim tonem, jakby ogłaszał koniec świata. Trzeźwy wyszedł z kancelarii pół godziny wcześniej, nie zdążył nawet napisać komunikatu o swojej rezygnacji. Jego komórka na siedzeniu pasażera zaszalała. Wyciszył dzwonek.

Wszedł do mieszkania, rzucił torbę, podniósł pilota od telewizora i spojrzał na niego, jakby próbował przypomnieć sobie, do czego służy, w końcu odłożył. Usiadł na krawędzi sofy i zaczął sprawdzać telefon: dziesiątki nieodebranych połączeń i esemesów, od wszystkich. Opadł na plecy, spojrzał w sufit. No i dobra, pomyślał, ale co tracił? Osiem tysięcy złotych pensji, no problem, miał oszczędności na koncie jeszcze z czasów agencji reklamowej, starczy na dwa lata, na alimenty dla małej też; telefon służbowy i laptop – zaśmiał się; poczucie, że jest kimś, gdy odwrócą się od niego ludzie, w których oczach to widział – znów się zaśmiał. Kto poleci z nim? Cztery osoby ściągnął do prasowego, trzy do organizacyjnego, kilku stylistów, speców od mowy ciała, jeszcze paru szeregowych pracowników w różnych departamentach. A, no i paru kolegów w radach nadzorczych: Orlen, PKP, LOT, Telewizja, Radio. Trochę jednak będzie, bo nawet jeśli ktoś się nie wystawiał i nie chwalił, czyje ma plecy, to i tak dojdą, przelecą po znajomych na fejsie. Zaśmiał się na myśl o tym, że na portalach trwa właśnie wyrzucanie go z zakładki „Znajomi”, bo na pewno rozeszło się po korytarzach jego odejście w niesławie. Jeszcze połowa

rzeczników prasowych w resortach jest od niego, a z nimi ich ludzie. Wycinka, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy, dotknie jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt osób. Kto odejdzie sam, kto ucieknie na chorobowe, a kto złoży hołd nowemu panu, by prosić o łaskę, bo dzieci, żona, kredyty, dom... Podszedł do okna, wsadził ręce do kieszeni, spojrzał na parapet, na którym stał lekko przechylony wieżowiec gazet. Wziął do ręki zakurzone „Tylko Życie” sprzed kilku tygodni z tytułem *Makabra! Matka udusiła córkę warkoczem!*. Uśmiechnął się. W zasadzie to nigdy nie zastanawiał się głębiej nad mechanizmem tych groteskowych, a jednak siejących śmierć publiczną gazet.

Nie wygram tego, pomyślał Trzeźwy. Nie ma się co szarpać, skoro nikt nie wygrał, jeśli poległ wielki Orwell, jeśli wykończył się Hearst zabity przez własną nienawiść. Sięgnął po telefon: pięćdziesiąt cztery nieodebrane połączenia. Oddzwonił tylko do matki, uspokajając, że to efekt małej intrygi, nieszkodliwej. Nie uwierzyła. Wszedł na Twitter, napisał krótki komunikat: „Witajcie, stało się, postanowiłem odżyć ;), było fascynująco, odchodzę wzbogacony, kolej na nową pasję. Szczegóły wkrótce. To będzie duży projekt ;)”. Porażko, porażko, wyciągnęłaś ze mnie ostatnie kłamstwo, pomyślał, wciskając enter. Poszedł do łazienki i stał długo pod prysznicem. Wytarł się mocno ręcznikiem, włożył tylko slipy i T-shirt, wziął szklankę z wodą, z szuflady w kuchni wyjął papierosy i uznał, że jako osoba prywatna ma już prawo siedzieć w samych gaciach na własnym balkonie.

Lebioda opierał się o parapet okna, trzymając w dłoni szklankę whisky. Podziwiał sufit zdobiony weneckimi stiukami i obrazy Malczewskiego wiszące na bordowej ścianie – delikatnie podświetlone prężyły się w drewnianych ramach, zapewne oryginały. Na jednym z obrazów stary chłop wyciągał głowę, dziękując Śmierci o twarzy beznamiętnej, jakby tylko przechodziła przez gospodarstwo i przystanęła na chwilę, by na wyraźną prośbę chłopca z łachy wielkiej zabrać mu ducha, a ten słabym uśmiechem pod wąsami zdradzał radość z zakończenia swoich cierpień na tym padole. Ładnie się urządził, pomyślał Lebioda o swoim dawnym podwładnym, wydającym bankiet w mieszkaniu ulokowanym w starej kamienicy, w którym naczelny bezskutecznie próbował teraz policzyć wszystkie pokoje. Wyjął z kieszeni

telefon i włączył przeglądarkę, udając, że go to pochłania, bo czekał już kwadrans, aż ktoś podejdzie i zainicjuje rozmowę. Jeśli jeszcze chwilę będzie stał sam, to spojrzenia pełne ciekawości zamienią się w litość wykluczającą go z kręgu towarzyskiego do końca tej imprezy. Ale oto podszedł gospodarz.

– Dzięki, że przyszedłeś. Słyszałem, że ktoś się uwziął...

Jacek Kulpa miał szykowną brązową marynarkę Burberry, złoty krawat w brązowe groszki, wsunięty w kamizelkę z cienkiej wełny, sztruksowe oliwkowe spodnie i wyglancowane buty, zapewne na skórzanej podeszwie. Wyglądał, pomyślał Lebioda, jak zbiór jego własnych esejów, które jeszcze przed publikacją wpisano na listę bestsellerów. Czytał tylko fragmenty, bo nie dostał egzemplarza recenzenckiego, o co w zasadzie mógłby mieć pretensje do dawnego podwładnego, jednak wolał to przemilczeć, by nie dać mu powodu do zadowolenia z faktu, że zabiega o jego uznanie.

– A, jakieś bzdury – zaśmiał się o ton za głośno, przyciągając wzrok towarzystwa operującego szeptem, demonstracyjnie chamskim, by podkreślić, jak sądził, litość. Upolujnoja.pl krążyło po sieci szybciej niż życzenia w wigilijny wieczór.

– Rozumiem. A co u Alicji? – spytał Kulpa, rozglądając się na boki, by dać znak, że za chwilę skończy tę wymuszoną, kurtuazyjną rozmowę.

– Źle się czuła.

– No to baw się dobrze. – Gospodarz uśmiechnął się na odchodne i zostawił Lebiodę na pastwę litościwych spojrzeń.

Naczelny odniósł wrażenie, że jego obecność była gospodarzowi nie na rękę. Alicja, głupia, zamiast go teraz wspierać, zrobiła mu przed wyjściem awanturę, że „dla dzieci i – co go jeszcze bardziej zaskoczyło – jej kariery prawniczej taka sytuacja jest nie do przyjęcia”. Podszedł do stołu nakrytego aksamitnym obrusem i dolał sobie whisky. Wypatrzył wydawczynię ksiązek, która również pracowała niegdyś w „Tylko Życie” jako szefowa działu krajowego. Podszedł, brzęcząc lodem w szklance.

– Ela! – rzucił z szerokim uśmiechem.

Stała w kręgu osób, których nie znał, a jej mąż/partner, obejmując ją wpół,

wysłał sygnał, że ją obstawia. Spojrzała na naczelnego i również się uśmiechnęła.

– Pozwólcie, że przedstawię. Zbigniew...

– Znamy, znamy – odezwała się niewysoka szatynka. – Aż żałuję, że nie mam aparatu – dodała, a towarzystwo zaniosło się chichotem. Lebioda także się zaśmiała, ale postanowił dorzucić puentę, by ukarać dawną pracownicę za to, że zaśmiała się najgłośniej.

– Ale tam! Przy Eli talentach, gdyby nadal u nas pracowała, byłaby dzisiaj na moim miejscu. Pamiętasz tę akcję z dzieckiem, co miało wodogłowie? Kazałaś napisać, że to ofiara porwania przez kosmitów. – Zadowolony upił łyk, widząc, jak jej twarz pąsowieje, a towarzystwo ni to chichocze, ni chrząka.

– Chyba coś... mylisz. – Celnie trafiona rozglądała się na boki, liżąc rany. Podała mu książkę Kulpy, by zmienić temat. – Czytałeś?

– Nie miałem okazji. – Rzucił okiem na tytuł: *Polska. Droga przez martyrologię*, potem na tylną okładkę: „Jacek Kulpa, ur. 1969, polonista, krytyk, eseista, wybitny polski publicysta, założyciel stowarzyszenia Idea–Miasto–Przestrzeń, propagator współczesnej prozy azjatyckiej, współwłaściciel wydawnictwa Idea, redaktor popularnego czasopisma »Literatura Świata«, wicenaczelnym »Politycznego Horyzontu«”. – Czegoś mi brakuje w tym życiorysie... – wymamrotał.

– Przepraszam, chyba będzie przemówienie – przerwał ktoś i wszyscy spojrzeli w kierunku okna, gdzie stał Kulpa, trzymając oburącz bezprzewodowy mikrofon. W kilku słowach podziękował za przybycie, rzucił dwa stare dowcipy i opowiedział anegdotę o wykładowcy literatury współczesnej, który uznawał go za beztalencie, za co zebrał gromkie brawa i śmiechy. Gdy skończył, Lebioda w kordonie spragnionych udał się do szwedzkiego stołu i nalał sobie pół szklanki whisky, rezygnując z lodu. Znajomy adwokat stał w kółku innych prawników lubiących się reklamować jako mecenas sztuki. Naczelnym obszedł grupę tak, by adwokat mógł go zobaczyć. Zobaczył, ale nie dał tego po sobie poznać. Podeszedł więc od tyłu.

– Mogę na słówko? – spytał.

– A, cześć! – Adwokat udał zaskoczonego.

– Słuchaj, nie chciałbym, żeby to zabrzmiało, wiesz, ale jeden wariat... – Starał się, by ostatnie słowo wypadło zabawnie.

– No, no, chłopie, to kusząca sprawa. Sprawdziłem archiwum ze zdjęciami, bo dzisiaj każdy grosz się liczy. – Prawnik wybuchnął śmiechem, ale jego rozmówca tylko się uśmiechnął. – No co ty? – Klepnął go w ramię. – Chyba masz dystans?

– Mam i chciałbym, by miał go też twój syn. Proszę cię, pogadaj z nim, wiesz, po męsku, bo dzieciaki w szkole robiły mojemu zdjęcia, twój mały też. – Redaktor upił ze szklanki.

– Słuchaj... To dzieci, wiesz, jak jest, przecież nie zabiorę mu telefonu. Przejdzie im.

– Yhm. – Lebiodzie uśmiech zniknął z twarzy.

Adwokat umoczył usta w drinku, cmoknął i rozglądając się na boki, nachylił mu się do ucha.

– Zbyszku, pragnę ci przypomnieć, że to ma swoje źródło. Nie chciałbym być bezczelny, ale to samo powtarzają opisywani przez was ludzie, gdy przychodzą do mojej kancelarii i żądają, żebym z tobą porozmawiał. Tak po męsku. Więc nie rób mi, proszę, wykładu.

Lebioda przysunął usta do ucha prawnika.

– Masz na myśli ten artykuł na twoją, jak to nazwałeś, „koleżeńską prośbę”, byśmy zjebali waszą konkurencję, która stanęła do przetargu na obsługę prawną koncernów energetycznych?

Adwokat zaśmiał się sztucznie, a naczelny poczuł z tyłu lekkie szarpnięcie. Ela syknęła mu w ucho:

– Nie podchodź do mnie, bardzo cię proszę, bo wolałabym nie być kojarzona z tą szmatą, okej? – uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby, a Lebiodzie się odbiło.

– Czy twój mąż, czy kim tam on jest, wie, że spotykasz się z tym muzykiem? Bo chyba mam zdjęcia z pewnego klubu...

– Ty chamie – syknęła. Jeden kącik jej ust opadł, a drugi wciąż tkwił w półuśmiechu.

Odeszła, pozdrawiając znajomych. Adwokat także zniknął. Lekko się kołysząc,



Lebioda podszedł do stołu i nalał do pełna. Wypatrzył Kulpę otoczonego grupką chichoczących fanów.

– Ależ oczywiście, życie jest najlepszą inspiracją – perorował zadowolony pisarz, kręcąc w dłoni szklaneczką. Na przegubie odsłaniał zegarek Lange & Söhne, który Lebioda chciał sobie kiedyś kupić w Berlinie, ale wybrał tańszy, Patek.

– Jacku szanowny, ale dlaczego niektóre fakty pominąłeś? – Naczelnny włączył się do dyskusji, mimo szumu w głowie starając się mówić poprawną składnią. – W nocy biograficznej brakuje mi epizodu, trwającego noooo... z górą sześć lat, a mianowicie tego, że byłeś wicenaczelnym „Tylko Życie”, a nawet współtwórcą naszego cudownego działu „Tematów z Dupy Wyjętych”. Czyżby nie było tam dość inspiracji dla twojej nowej twórczości? – Chichot towarzystwa umilkł, zamieniając się w szepty. Kilka osób pokiwało jednak głowami z aprobatą, więc Kulpa zaśmiał się, co musiało wystarczyć za ripostę. Lebioda rozejrzał się teatralnie po salonie. – Ale ja tu widzę więcej adeptów naszej gazety...

– Zbyszku, Zbyszku... – Pisarz, widząc, że traci kontrolę nad benefisem, podniósł ręce. – Nie będziemy tu gadać o gołych cychach, to nie ta impreza, nie ten krąg kulturowy – powiedział, podnosząc brwi, jakby z wrodzonym talentem pedagogicznym karciał dziecko. – Mam też problem, co z tobą zrobić, bo przenosimy się do restauracji, a nie chcemy przecież wylądować na tym portalu, jak mu tam – zaśmiał się, a towarzystwo, wyczuwając pojedynek, zacisnęło krąg. Kulpa zaczął poganiać ich oklaskami. – Proszę państwa, zapraszam na parter, do lokalu.

– Zamówię panu taksówkę, jeśli można – powiedział ktoś Lebiodzi na ucho, nie stawiając na końcu znaku zapytania.

– Nie, nie można – wymamrotał, wyrwał się i poszedł w kierunku wyjścia, słysząc za sobą śmiechy. Zszedł schodami razem z tłumem, trzymając się mocno poręczy. Przystanął przy jednej z wystaw sklepowych, by w ostatnim odruchu trzeźwości przenalizować swoją pozycję towarzyską, i uznał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Spojrzał na zegarek, niebo już ciemniało. Nagle zobaczył dwunastolatka podnoszącego do twarzy telefon komórkowy. Dосkoczył, chwycił go

za ramię, potrząsając jak lalką.

– Co mały... yyy... gnojku! Dawaj ten... yyy... aparat, kurwa!

Dokładnie wtedy poczuł mocne szarpnięcie i cios w twarz. Słodki smak krwi przeleciał mu przez nos do gardła.

– Odpierdol się od syna, zboku jebany! – krzyknął krótko ostrzyżony mężczyzna, trzymając nad nim pięść gotową do odpalenia. Kobieta, stojąca kilka metrów dalej, wydarła się na całą ulicę:

– Lej go w ryj, chuja zbrozonego!

Mężczyzna uderzył Lebiode w twarz otwartą dłonią.

– Ty zboku!

Naczelny zasłonił twarz rękoma.

– Przepraszam! To pomyłka! Nie wiedziałem! Yyy... To nieporozumienie! Przestań! – Podniósł się, wyrwał z uścisku i pobiegł ulicą na oślep. Gdy zobaczył postój taksówek, wskoczył do pierwszej, trzymając się za nos. Nie zauważył, że po drugiej stronie ulicy stało auto Papy, który chował za szybą obiektyw aparatu.

Trzeźwy spojrzał na zegarek, dochodziła północ. Nie chciało mu się schodzić z balkonu. Powietrze było rześkie, wiaterek studził przegrzane za dnia ciało. Jeśli nawet nie będzie to duży projekt, jak napisał na Twitterze, to pomysł, który właśnie przyszedł mu do głowy, uznał za dobry. Prześpi się z tym jeszcze, zacznie od jutra, póki umysł i wspomnienia świeże, choć żałował teraz, że nie prowadził pamiętnika. Zawsze gdy czytał cudze, miał poczucie ich lekkości i swobody, ot, frazy, zapiski dnia, ale gdy sam próbował kilka lat temu, poległ w horrorze braku samodyscypliny. Wstał, jęknął od zasiedzenia, położył się na sofie z kocem zwiniętym pod głowę. Powieki mu opadały, gdy usłyszał hałas gniecionych za oknem metalowych puszek. Wszedł na balkon i zobaczył żulę, który wyjmował puszki ze śmietnika, rzucał na ziemię i prasował butem.

– E! Człowieku...

– Schowaj ryja! – zaryczał żul.

– Idę do ciebie! – spróbował głośniej.

– No to, kurwa, cho! – Żuł zamachał w powietrzu rękami, okazując gotowość do pojedynku, a potem sięgnął po puszki, rzucił na ziemię i gniótł dalej, zapewne przyzwyczajony do nierealizowanych pogroźek wybudzonych lokatorów.

Gdzie ta pieprzona ochrona, pomyślał Trzeźwy, podchodząc do drzwi wyjściowych i wduszając guzik bezpośredniego kontaktu z budką portiera. Bez odzewu. Wszedł na balkon, ale żuła już nie było. Usłyszał płacz dziecka dochodzący z jednego z okien. To ktoś ma tu małe dziecko, zdziwił się, bo nie widział nigdy rodziny, a jedynie tę dziewczynkę z trzeciego piętra, która nigdy nie bawiła się na podwórku, no bo gdzie, skoro tylko parking, a na obsranych chodnikach trudno się minąć, bo ściśnięte, by zmieścić jak najwięcej aut parkujących na trawniku, gdzieś między „Szanuj zieleń” a „Zakaz wyprowadzania psów”. Deweloperzy, jak gdzieś przeczytał, mają obowiązek zapewnić osiemdziesiąt miejsc parkingowego na każde mieszkanie, choć u każdego są po dwa auta. Za zieleń robiły więc chwasty. W folderze reklamującym osiedle na etapie budowy, który Trzeźwy znalazł w szafce kuchennej, prezentowało się ono, jakby stało pośrodku lasu, z placem zabaw wielkości Disneylandu. O ochronie napisano, że to „najlepsi specjaliści dbający o twój komfort i poczucie bezpieczeństwa, wyselekcjonowani z byłych pracowników elitarnych służb ścigania”, ale werbowano ich zapewne w domu starców. Najmłodszego, Franciszka, Trzeźwy kiedyś poznał. Ten sześćdziesięcioletni był inwalidą, a płacili mu parę złotych za godzinę, by pilnował dobytku trzydziestolatków, z których każdy miał w mieszkaniu sprzęt elektroniczny droższy niż cały majątek tego biednego starca. Trzeźwy zobaczył z balkonu, jak wraca z drugiego końca osiedla, doświetlając sobie drogę latarką. Ubrał się, wsunął laczki i wyszedł przed klatkę. Franciszek w służbowym granatowym uniformie z naszywką „SuperDog” pomachał mu prawym ramieniem, na którego końcu świeciła skóra kikuta. Od niego Trzeźwy dowiedział się, że firma obsługująca osiedle to Zakład Pracy Chronionej, który płaci grosze, a dostaje z Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych państwową dotację za każdego zatrudnionego inwalidę. Bezręki ochroniarz cieszył się jednak szacunkiem, bo pół roku temu latarką z odległości czterdziestu metrów trafił rabusia okradającego balkony, kładąc gnoja bez

przytomności.

– Panie Franku, no niech pan nie wpuszcza tej żulerki, spać nie można. – Trzeźwy rozłożył bezradnie ramiona.

Franciszek wskazał kikutem na stróżówkę, obok szlabanu wjazdowego.

– Ma pan chwilkę? – spytał.

Mężczyzna, wiedząc, że szybko już nie zaśnie, odpowiedział skinieniem głowy i począpał za ochroniarzem. W śmierzącej papierosami stróżówce, na stoliku obitym ceratą stały walkie-talkie, termos, kanapki w torebce z Biedronki i jabłko. Telewizorek z anteną zrobioną z wieszaka nadawał TVN24. Na pasku przeczytał: „Pilne! Pogodynka zdobyła nagrodę telewidzów!”.

– Mówili, że już pana nie ma w rządzie. – Franciszek pstryknął czajnik bezprzewodowy. – Chce pan herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Polityka – parsknął. – A wie pan, że mój dziadek przed wojną pracował u Dmowskiego? W sekretariacie.

Trzeźwy uniósł brwi.

– Tak, tak, zginął potem w Oświęcimiu. – Ochroniarz odkręcił słoiczek, dociskając go kikutem do blatu, wyjął mokrą torebkę herbaty i wrzucił do kubka z rysunkiem uśmiechniętego dolara i napisem „Make money not credit”. – Nie chcę panu czasu zajmować, ale pomyślałem tak sobie, bo pan mi się wydaje poczciwy i pan to zrozumie, bo wielu tu takich, wie pan, z nimi się nie da. Bo, widzi pan, czterdzieści lat temu byłem szczypiornistą, reprezentantem, i dlatego trafiłem tego złodzieja, co te mieszkania kroił. W osiemdziesiątym ósmym, jak mi żona zachorowała na serce, pojechałem na budowę do NRD, żeby dorobić na lekarstwa, bo drogie to było, z Zachodu jakieś, a córa mi zaraz na studia szła, no wie pan, co będę gadał, miałem wrócić na trenera juniorów, ale tam, w Reichu, nie założyłem osłony na piłę tarczową i mi rękę tu, o tak... – Przejechał palcem wskazującym po kikucie. – Klub mi dał zapomogę, starczyło na miesiąc, pracę na portierni dali, w klubie znaczy, ale przyszedł zaraz nowy, prywatny, i młode posadził. Wymówienie to mi dali przez telefon, ot tak, a jak się potem próbowałem umówić

z prezesem, że może jeszcze coś, bo żona, bo córka, no wie pan, to te dziewczyny zawsze miło, z uśmiechem, że pan prezes nieobecny, że w delegacji, na spotkaniu, że proszę numer dać, a żona zmarła, niech jej ziemia lekką będzie, a mnie serducho na pól poszło, pewnie z tęsknoty, w szpitalu leżałem pól roku, a jak wróciłem, to już telefon, gaz i prąd wyłączony, bo córka studentka w Krakowie siedziała, no to kto miał płacić, no powiedz pan. A te dziewczyny, te młode, co tam siedziały, w klubie sportowym, to wie pan, że one nawet nie wiedziały chyba, że za plecami miały puchary, te moje, co z chłopakami wywalczyłem, no, a potem już poszło, koledzy z kamienicy, sklep obok był, na zeszyt dawali, renta mała, ale na piwko starczało. Potem znalazł się prywatny właściciel z Australii tej kamienicy i przysłała adwokatka, dojebała każdemu po dwadzieścia za metr, a to mieszkania wielkie panie, uuu, po sto metrów każde, no to zara wywalali, bo co ja z tej renty miałem płacić, nawet na czynsz nie starczyło, a jeszcze węgiel na zimę, bo tam piece. A ta adwokatka, co ja mówiłem już, to obiecywała socjalne mieszkanie, ale gdzie tam, panie, najpierw wypieprzyli okna na klatce schodowej, że niby remont, ale kto, panie, robi remont w lutym, jak mróz taki i zara woda mi zamarzała. A jak komórki z węglem zabarykadowali, to miałem jedenaście stopni i dostałem zapalenia płuc, znowu szpital, a jak wróciłem, to już zamki w drzwiach wymienione. Posłem do siostry mojej, panie, ale na dwa dni tylko, bo pies mnie nie lubił, taki mały, szeroki, ze świński ryjem, czerwonymi oczkami, a siostrzeniec, wie pan, dziewczynę sobie sprowadzał, jakieś ciężary podnosił, a tam tylko dwa pokoje, to spałem w kuchni, na poduchach z foteli, ale po tygodniu, jak wrócił pijany, to mówi: „Wujo, wypierdalaj”, i jeszcze psem poszczuł, a siostra nic, tylko przed telewizorem siedzi i krzyczy: „Cicho, kurwa!”. Potem park, melina jedna, druga, panie szanowny, seks z bezzębnymi takimi, wie pan, że jak człowiek teraz przypomni sobie, że to dotykał, to ech, a one tylko po to, żeby becikowe było, no ale jak chłop pijany i głodny, to wszędzie wsadzi, nie? – zaśmiał się, podniósł czajnik, zalał herbatę i wsypał cukier zawinięty w listek folii aluminiowej. – O! O panu gadają! – Wskazał kikutem na telewizor. Trzeźwy zobaczył siebie na ekranie, jak zasiadał za stołem konferencyjnym. Przeczytał pasek: „Niespodziewana rezygnacja rzecznika”. – Ale nigdy nic nie ukradłem, panie szanowny, nigdy – wzdychał Franciszek. – Choć mnie

gówniarze nieraz w parku obrobili z ostatniego grosza. Podniosłem się z tego po Lucjanie, bo jednej nocy przyszli, jak spaliśmy z Luckiem, starszym jeszcze ode mnie, miły gość był, o świecie dużo wiedział, naukowiec nawet chyba jaki, ale żona wywalila go z domu, bo alkoholik niezgorszy. Leżałem pod ławką, pod kartonem, to mnie nie widzieli, a Lucek obok, wie pan, on miał takiego wróbla małego ze złamanym skrzydłem i trzymał go tu, w kieszonce kamizelki, żeby to małe gówno nie marzło, i wie pan, że ten srajdek zawsze przy Lucku, nigdy, panie szanowny, nie odskoczył, tak się przywiązał, spał w tej kieszeni i ćwierkał nam rano, fajny był. Najpierw poczułem ciepło na twarzy, a potem krzyki Lucjana, Jezu, panie, jak on krzyczał, a te gnoje rżały, z jakąś dziewczyną byli i jeszcze go kopali, a jak próbował wstać, żeby zgasić na sobie płomienie, to oni jeszcze raz go chlust rozpuszczalnikiem jakimś, Panie Jezu, jak ja się wtedy bałem, nawet nie pisałem pod tą ławką, usta ścisnąłem, o tak. – Franciszek zakrył wargi kikutem. – A lzy nie zdążyły polecieć, bo zaraz wysychały od gorąca, co biło od Lucka, no i spalił się, niech mu ziemia lekką będzie, razem z tym srajdkiem. Wtedy powiedziałem sobie: dość. Poszłem do przytułka, znalazłem pracę na ochronie, dałem ten adres stary z kamienicy, bo bez meldunku nie chcieli dać roboty, i tak już pół roku tutaj, pokoik wynająłem u starszej pani, gazetkę sobie rano kupię, o! – Wskazał ręką nowy numer „Tylko Życie”. – Kawkę wypiję, telewizorek to mam tu, a w domu radio. Za wyniki w pracy premia czasem dojdzie, jak za tego złodzieja, o, to dwieście złotych dali nawet i wpis do planu, a za cztery takie wpisy to podwyżka, czterdzieści groszy na godzinę, no i jedną rękę mam ciągle sprawną, w głowie mi się poukładało, tak że, panie szanowny, każdemu trzeba dać szansę, a mówię to panu, bo pan zrozumie chyba, bo, widzi pan, ten żul, jak żeś pan powiedział, to sobie te puszcзки poskłada, na złom pójdzie, bo jego też z domu eksmitowali, dzieciaki po przytułkach rozrzucili, więc trochę zwariował, ale ambitny, na dzieciaki te pieniądze zbiera, prawie nie pije, no może troszkę, ale nie kupuje, tylko spija z tych puszek, ale ja go znam, panie szanowny, bo grał w Gwardii, król strzelców '79 i '80, ale jeśli pan mówi, że nie wpuszczać, to... – Franciszek upił łyk herbaty. Trzeźwy odkaszlnął, rumieniec wstydu wpłynął mu na policzki.

– Nie, nie, rozumiem, jasne, w końcu, no wie pan... Czas już na mnie, cholera,

późno. – Wstał, uściśnął zdrową rękę Franciszka i wyszedł ze stróżówki, by jak najszybciej zejść z jego pola widzenia. Wszedł do mieszkania, położył głowę na poduszce, wypuścił powietrze jak z balona, pozwolił powiekom opaść, gdy za oknem usłyszał „tur-tur-tur-tur-tur”, jednostajny dźwięk walizki ciągniętej po bruku, która zatrzymała się tuż pod jego oknem.

– Ale ile mam czekać?! To jest taxi czy jakiś cyrk?! – piskliwy głos młodej dziewczyny przeciął ciszę na pół. Po chwili kółeczka walizki potoczyły się za panią niczym ratlerek.

Powieki znów mu opadły. Odpływał, wyobrażając sobie, jak kobieta w płaszczu z dalmatyńczyków Cruelli de Vil z ratlerkiem-walizką wchodzi do taksówki i zamienia kierowcę w kupę gówna, a to biedny inwalida, były reprezentant w piłce ręcznej.

Fifi, siedząc przed laptopem, podliczał na wirtualnym kalkulatorze: dwadzieścia żetonów przez cztery godziny daje siedemdziesiąt groszy. Mógłby błaznować tydzień, a naciągnie tylko na butelkę mineralnej. Siedział zalogowany na shownet.tv, publicznym widowisku internetowym. Usadowiony w jednym z okienek, w trzęsącym się obrazie kamerki internetowej próbował zwrócić na siebie uwagę onanizmem, potem groźbami samobójstwa, oczekując zapłaty w wirtualnych żetonach, ale i tak wszyscy poszli do okienka, w którym jakaś gimnazjalistka na żywca kroić chomika.

Zabrzczał esemes. Fifi spojrzął na telefon: „44/188 gdzie?”. Długo nie czekał na anons z gejowa, wyposzczone cioty polowały na ogłoszenia dzień i noc. Odpisał, podając adres, poszedł do łazienki, wziął prysznic, wsadził w odbyt rurkę zestawu do lewatywy. Heterykom łatwiej, rozmyślał, patrząc, jak brązowy, rozrzedzony płyn jelitowy pryska po muszli klozetowej i zamienia się w mikroskopijne kropki. Przypomniawszy sobie, jak matka robiła sobie lewatywę, modną na początku lat dziewięćdziesiątych jako dodatek do każdej diety cud. Dla kogo się odchudzała? Dla siebie chyba, pomyślał, bo ojciec, pokorny sługa jednej miłości, armii Wojska Polskiego, przenajświętszej Rzeczypospolitej, nie dawał matce odczuć, że jest atrakcyjna, zbywając jej próbę pieścizoty i przytulania słowami „dobra, dobra,

dobra”. Może stary to ukryty gej, myślał czasami Fifi, bo przecież wielu kolegów ojca, wścazy, trepów ciosanych grało twardzieli. Może bali się okazać słabość, czułość ze strachu, by nie odkryć w sobie fali namiętności homoseksualizmu, bo przecież żołnierze, mężczyźni prawdziwi, powinni brać kobietę twardo, za ryj, za włosy. Ojciec przeszedł na emeryturę, rozmyślał, poprawiając rurkę w odbycie, dwadzieścia lat temu. Znużony koszarami, z brzuchem narosłym od poligonowego pijaństwa, tęskniący za niezrealizowaną rozpierduchą, jeńcami, łupami, bohaterstwem, medalami. Przy stu osiemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu i dziewięćdziesięciu kilogramach wagi był najzdrowszym okazem emeryta, jakiego Fifi w życiu widział, a wcześniej słowo to kojarzyło mu się z kulawą babcią z korzonkami zginającymi ją w pół i z czerniakiem na policzku, który ostatecznie położył ją trupem. Ojca nawet na ochronie nie chcieli, bo za zdrowy, bez renty. Co potem robił, to już Fifi wiedział od matki, bo gdy w klasie maturalnej wykrzyczał w kuchni, że jest gejem, ojciec spuścił głowę i powiedział, że syna już nie ma. Założył punkt ksero i kiosk Ruchu, ale schodziły tylko papierosy i „Tele Nowości”, a z innych gazet wyłącznie te z dodatkiem o pracy, a i tak na krechę wszyscy brali. Choć spisywał z dowodów osobistych, to popłynął, bo jak po dwóch miesiącach poszedł po długi, to wszystkie chaty były opuszczone, a w zaplombowanych drzwiach tkwiły monity od komorników. Matka musiała wrócić do szkoły, by pospłacać ojca. Oj, mamó, mamó, westchnął Fifi, wyjął rurkę z odbytu i zmył kropki z wewnętrznej strony ud. Wytarł się mocno ręcznikiem, włożył slipy w zielone krokodylki, białą koszulkę i sportowe białe skarpety frotté, jakie pedały lubią sobie possać. Spojrzał w lustro, zaczesał włosy do tyłu, uśmiechnął się do siebie, cmoknął sobie: „Ciacho”, i usłyszał dzwonek do drzwi. Z szafki na buty w przedpokoju wyjął prezerwatywę, wsadził za gum-  
kę slipek.

W drzwiach stał facet po czterdziestce, wysoki, toporny, lekko łyśawy, spocony i zestresowany. O Jezu, jęknął w duchu Fifi, próbując sobie przypomnieć, gdzie już widział tego gościa. Mężczyzna wszedł, spytał, czy ściągnąć buty. Na podłozie położył sportowy plecak.

– Jaką muzę lubisz? – spytał Fifi, uśmiechając się.



– Nie wiem, no cokolwiek, może stare jakieś...

Facet miał na sobie kurtkę wojskową, workowate dżinsy i traperskie buty. Trochę wyjebany, jakby z małego miasteczka. Fifi liczył, że choć dobrze się umył, ale na wszelki wypadek zaproponuje mu prysznic. Nachylił się do stojącej na podłodze wieży, wygrzebał ze stosu płyt Andrzeja Zauchę i wcisnął ulubioną piosenkę matki, którą nuciła, gdy siedziała na podłodze łazienki, robiąc sobie lewatywę. Nagle poczuł gorąco i ból na karku, chwycił się za szyję.

– Puść! Kurwa! Boli! – krzyknął, ale mężczyzna trzymał go mocno wielką łapą, a drugą szybko i sprawnie zdejmował mu slipy, kładąc go na podłodze jak lalkę. – Nie! Nie chcę! Proszę, nie, proszę pana, nie... – Krzyczał, słysząc, jak facet jęczy, dyszy i trzyma mocno, z siłą konia.

– Morda, kurwa, morda, morda, bo zajebię – szeptał, zionąc papierosami.

Fifi poczuł uderzenie w tył głowy, w policzek, znów w głowę, zaczęło go mdlić, potem cios w nos, w szczękę i w klatkę piersiową.

– Jezu! Boli! Jezu, proszę, proszę pana, niech pan przestanie, proszę pana, zrobię wszystko! – Ból przeszywał mu głowę, nie mógł złapać powietrza, gdy wielka łapa ścisnęła mu krtań. Już wiedział, znał tego gościa, kilka lat temu rzucił się na niego, sadysta, chciał przemocą, ale wyrwał mu się, uciekł z bramy, w której umówili się na loda. Ból odbierał mu teraz siły. Mężczyzna tłukł, choć przycisnął go już do podłogi i zaczął mu rozwierać uda. Fifi próbował zaciskać, ale poczuł w odbycie coś twardego i nie był to penis. – Aaa!!! – krzyknął. Łzy cisnęły mu się do ust. – Błagam! Zrobię wszystko! Boli!

Wtedy poczuł luz na karku. Zapadła cisza. Głowa opadła mu na podłogę, tracił świadomość, słysząc tylko Zauchę:

„C'est la vie – cały twój Paryż, dwie drogi na krzyż... Knajpa, kościół, widok z mostu... Knajpa, kościół i ten bruk – ideał nie tknął go...”.

Ocknął się, był już wieczór. Ciemność w jednym oku, w drugim pieczenie. Podniósł się, jęcząc, i poszedł do łazienki, stanął przed lustrem. Krew płynęła mu z odbytu. Ramiona zatrzęśły się w histerii, gdy zobaczył, że prawe oko przykrył siniak, a lewe zasłaniała bulwa. Wargi miał spuchnięte, sińce na ramionach. Opadł

na kolana, zapłakał. Nachylił głowę nad klozetem, rzygnął krwią w mikroskopijne kropki gówna. Podniósł się, drobnym krokiem wyszedł z łazienki i powoli położył się na łóżku.

Obudził się przed północą. Wstał, jęcząc z bólu. Zobaczył wybebeszony portfel na podłodze. Rano ma przyjść właściciel mieszkania po pieniądze. Zapłakał, poszedł do przedpokoju, wyjął plecak z szafy, zaczął się pakować. Spuścił wodę w kiblu, by zmyć gówna i wymiociny. Wyjął laptop, otworzył stronę gejowo.pl, kliknął w anonse, napisał „uwaga na łysego bydlaka w wojskowej kurtce i trekkingach, sadysta”. Podeszedł do balkonu, otworzył drzwi, chwycił śpiwór. Klucze od mieszkania wrzucił do skrzynki na listy, a do właściciela wysłał esemesa, że „musi się wyprowadzić” i „postara się oddać pieniądze za czynsz”. Na ulicy było parno, poczuł, jak słabnie. Przeszedł kilkaset metrów i usiadł na trawie na tyłach stacji benzynowej, za drucianą klatką z wielką banią z gazem. Rozłożył śpiwór, torbę wsunął pod głowę, by było wyżej, by ulżyło w bólu. Zaciągnął się zapachem śpiwora, który przypominał mu zawsze pierwszy obóz harcerski tego roku, gdy pani Swoboda zakłuła męża. Ojciec przyniósł ten śpiwór z koszar, zdzierając wcześniej naszywkę „Wojsko Polskie”. Fifi westchnął, zamknął oczy.

Siedzi w małym, pustym namiocie, owinięty śpiworem. Pan harcmistrz Molenda rozpina rozporek i każe dotykać swojego penisa, sapiąc i szeroko otwierając usta, a potem od Fifi uroczyście trzymającego w górze dwa palce odbiera przysięgę: „Będąc dumny z tego, że jestem harcerzem, w poczuciu odpowiedzialności za mój kraj, zastęp Husarzy, rodzinę, przyrzekam uroczyście, że nikomu nie powiem o sprawach, jakie wydarzyły się w tym namiocie, jeśli na sercu leży mi dobro ojczyzny, i będę zawsze pokornie wypełniał polecenia druha Molendy, którego słowo jest ważniejsze niż słowo ojca. Przysięgam ja, patriota, Tomasz Fiferski”.

Kilka dni później do harcówki, gdzie pan Molenda wręczał wszystkim odznaki ze sprawnością listonosza, wszedł ojciec jednego z chłopców. Był ważny, wszyscy mu się kłaniali, a ojciec Fifi nawet mu salutował, bo dowodził w miasteczku czymś, na co dorośli mówili ORMÓ, a młodzież PORNO. Wszedł do środka koła utworzonego z klęczących harcerzy, podniósł za klapy kucającego w środku pana Molendę i strzelił go w ryj tak mocno, że harcmistrz najpierw uklęknął, trzymając

się za nos, a po chwili wyjęczał „Jezuniuuu”. Wszyscy się zerwali, uciekając z krzykiem, tylko Fifi stał zafascynowany, że wysoki i barczysty pan Molenda miota się jak lalka. Ojciec chłopaka podniósł pana Molendę, przytrzymał, a potem wolno odchylił głowę do tyłu, jakby naciągając sprężynę w szyi – gdy puściła, czoło z dużą prędkością trafiło druha w krwawiący już nos. Błady Fifi osunął się na kolana, szlochając, i zasłonił uszy jak wtedy, gdy słyszał krzyki bitej pani Swobody. Ojciec chłopaka stanął nad leżącym Molendą na wyprostowanych, lekko rozwartych nogach. Sapiąc, wyciągnął jedną rękę przed siebie, wystawił gruby palec i zaczął najkrótszą przemowę, jaką Fifi słyszał w życiu.

– Tyyy...

Opuścił rękę, a gdy zobaczył małego harcerza, podszedł do niego, objął jego twarz, jakby to była leciutka, delikatna bombka choinkowa, spojrzał mu w oczy i powiedział szeptem:

– Już nigdy ten śmieć żadnego z was nie tknie, obiecuję, jak matkę, kurwa, kocham, obiecuję...

To, co stało się później, Fifi pamięta tylko z szeptów rodziców zamkniętych w kuchni, używających słów, których do końca nie rozumiał: „zboczeniec”, „szycha”, „kryty”, „syn decydenta”. Już po latach, gdy błąkał się po Warszawie i poznał Dzidzie, usłyszał ciąg dalszy historii.

– Najgorszy był jeden wychowawca – mówił Dzidzia, wspominając dom dziecka. – Wybierał pojedynczo, zamykał w łazience, a tam, wiesz... co ci będę. Przystojny był, ale z koślawym nosem, trochę seplenił, bo z przodu miał sztuczne zęby. Ponoć w PRL był harcmistrzem, ale go przenieśli do nas za obłapianie komuś syna.

– Bo nigdy nie pytałaś! – wykrzyczał Fifi matce, gdy tuż przed maturą wyznał jej słowa przysięgi zadane przez druha Molendę. Matka zamknęła wtedy mocno oczy i przytuliła go, a kiedy zanurzyła twarz w jego włosach, zawyła niczym wilczyca nad rannym szczeniakiem. Godzinę wcześniej nakryła syna na brandzłowaniu się przed filmem z kasety VHS, na której dla niepoznaki była nalepka *Zaginiony w akcji*, ale na taśmie był nagrany NRD-owski pornol o dwóch hydraulikach obracających gospodynię. Film był przegrany z satelity, jakoś żenująca, kolory wyostrome,

dźwięki chrząkające. Matka nie widziała wtedy, że Fifi onanizuje się, patrząc na facetów, bo kobieta nie wywoływała w nim ani krzty podniecy, a jedynie zazdrość wobec tych spoconych knurów w brudnych kombinezonach. Wcześniej, gdy miał piętnaście lat, przyszła fascynacja panem Damianem, nauczycielem wuefu, kulturystą w obcisłej koszulce, który dawał im piłkę, siadał na krześle i czytał „Przegląd Sportowy”. Fifi lubił patrzeć, jak spocony pan Damian dźwigał siatkę z piłkami przerzuconą przez plecy.

Wszystko wtedy matce powiedział – o pagonach, o Hanie Solo, o panu Damianie. Jeszcze tego samego wieczoru wziął torbę i poszedł do babci, by przygotować się do matury, a potem wyjechał do Warszawy. Zaczął od striptizu na wieczorach panieńskich, gdzie zdarzało się, że panny młode chciały possać, a on odpychał je ze wstrętem. Przez trzy lata dawał w gazecie ogłoszenia: „Miły, skromny, tylko poważne oferty. Panowie”, potem miał romans z dyrygentem, z którym mieszkał dwa lata, potem znowu ogłoszenia, noce w śpiworze, potem dwa lata w Danii, w klubie „HotNights”, potem podłapał kiłę, a w końcu romans ze znanym warszawskim psychologiem, dzieciatym. Ten dał mu klucze od domku letniskowego nad jeziorkiem. Cudownym. Z zaskoczenia przyjechała tam żona psychologa, by pobzykać się na podłodze z kolegą męża, i natknęła się na chłopca śpiącego w pokoju obok. Gdy zagroziła, że oskarży go o włamanie, powiedział prawdę, a wtedy opadła na podłogę. Doszła do siebie w pięć minut, wyrwała kartkę z notesu i kazała mu podpisać „umowę o milczeniu”, dorzucając jeszcze pięć tysięcy.

Pod stację benzynową podjechało kombi, Fifi podniósł głowę znad śpiwora. Z auta wysiadła kobieta z dwójką roześmianych małych dzieci, zza kierownicy wygramolił się ojciec. Dzieci krzyczały: „Tato, tatusiu, chipsy jeszcze”, a on odpowiedział: „Dobrze, słodziaki”. Fifi wyobraził sobie, jak ten tata trzyma na ramionach syna, ucieka po plaży, a żona goni ich roześmiana. Wiedział, że nigdy nie będzie miał takiej rodziny, że jeśli spotka ukochanego, to nikt nie pozwoli mu w tym kraju wziąć dziecka na ramiona i biegać po plaży, budować zamków, puszczać latawca, krzyczeć: „Biegnij synku, biegnij!”, i patrzeć, jak adoptowany maluch wyjęty z domu dziecka, gdzie tuliły go tylko pluszowe misie bez oczu, ucieka z latawcem, zostawiając za sobą płytkie dołki po różowych stópkach. Dbalby, żeby

nikt nie zrobił krzywdy jego synkowi, i za wszelką cenę udowadniał, że ciota może być ojcem. Tylko czasem mały by pytał, „dlaczego ktoś znowu umazał ich drzwi kupą”, stare baby, mijając ich na ulicy, zegnałyby się krzyżem, a Fifi przedrzeźniałyby je słowami „a kysz!”. Wtulił twarz w śpiwór, zmęczony bólem, zapłakał i zasnął.

Eric poczekał, aż Nora zniknie w toalecie. Położył na stoliku zapłatę za kolację, dorzucił napiwek i wyszedł z restauracji. Już dawno nie spotkał tak tępej dziewczuchy, choć te oczy, podobne do oczu jego Króliczka, kusiły, by przedłużyć znajomość. Spojrzał na zegarek, srebrny longines, prezent od Kulawego, który dostał po skimmingu. Zanim operatorzy bankomatów połapali się, w czym rzecz, zarobił dla niego ponad pół miliona, z czego miał pięćdziesiąt koła, i pojechał w tango do Włoch z pewną mężatką, a gdy wracał, ledwo starczyło mu na benzynę. Wypił półtorej butelki wina, kręciło mu się w głowie, ale organizm domagał się więcej. Wszedł do Żabki, wziął butelkę whisky i dwie paczki papierosów. Poszedł wąską uliczką, zatrzymał się, wrócił do sklepu i dokupił jeszcze jedną butelkę. Usiadł na ławce w parku, wyjął telefon. Do kogo zadzwonić? Nie, nie będzie nigdzie dzwonił. Otworzył w przeglądarce telefonu Facebook, wszedł na jej profil. Co u ciebie, Króliczku? Jezu, tyle lat, a ona ciągle w głowie, pęcznieje jak giejak pamięci dokarmiany alkoholem i prochami. Sentyment zakorkowany jak dzin, a gdy otworzy go wódką, to zaraz w łeb i dawaj, to, co ważne, odsunie na bok i popastwi się, aha, jestem, to ja, tęsknota, trzymam cię za oczy, uszy, a pamiętasz zapach jej perfum, których nazwy nie możesz powtórzyć, lecz gdybyś mógł, poleciałbyś zaraz do kosmetycznego, że niby dla dziewczyny „pani pokaże, tester wystarczy” i stałbyś tam, wciągał albo kupił cały flakon, by wywąchać do dna. Ale najczęściej wracała Ewa... Mijał na ulicy ten popularny zapach i już ją widział, jak stoi w drzwiach łazienki, trzyma w dłoni jego telefon i każe mu patrzeć na to zdjęcie, a on patrzy i czuje ból w żołądku, bo wie, że to koniec, po wszystkim, że to wino, te oliwki z nadzieniem migdałowym, które właśnie kupił, film, który przyniósł z wypożyczalni, że to już historia, nic się nie wydarzy, bo jedno zdjęcie zostawione w telefonie, ot tak, na pamiątkę, a teraz jego młoda żona stoi taka piękna, w szóstym

miesiącu, z mokrymi oczami, a on w wannie, zgarbiony, trzyma się za stopy i nie protestuje, nie kłamie, że „to nie tak, jak myślisz kochanie”, bo jak wytłumaczyć, gdy na zdjęciu dupa przyjaciółki Ewy, z tatuażem syrenki, z kawałkiem jego kutasa, więc Ewa już w tył zwrot, już z płaczem pakuje książki w karton od telewizora, który właśnie kupili na raty, sprzęt też zabiera, talerze z IKE-i, dywan perski, który przywieźli z Indii, i psa Rumcajsa, którego wzięli ze schroniska, a Eric ma zaraz płaczącą matkę na linii, więc mówi jej, że „koniec, Ewa poszła, kredyt na dom to już historia, żyrantów nie trzeba, tak, tak, studia dokończy, jakoś to będzie i przeprasza”, a matka w żalu, że „jest taki sam jak ojciec”. Pół roku później dostaje wezwanie do sądu – Ewa płacze, że nie ma za co pampersów kupić, choć Eric dobrze wiedział, że jej ojciec, lekarz, sypał kasą, by niemowlę miało na stópkach buty Naturino za czterysta złotych, ale przecież nie o to chodziło, żeby się rozejść w spokoju, ale by nie brać jeńców. Sędzia ogłasza sześćset złotych alimentów. Zapłacił. Za pierwszy miesiąc. Potem się starał, ale skrzywdzona Ewa, chwalała się wcześniej wśród znajomych swoim Erikiem, mądrym, kochanym, czułym, nie popuści, bo porażka życiowa zmieniła jej marzenia w nadwagę, nienawiść, samotność i mokrą poduszkę. Latała do sądu, gdy się spóźnił choćby tydzień. Po półtora roku miał osiem tysięcy zaległych alimentów, wezwanie przyszło na uczelnię, bo domowych nie odbierał. Wezwał go dziekan.

– Panie szanowny, to się nie godzi, by na trzecim roku studiów prawniczych takie wezwania, bo to proces karny. Proszę uporządkować. Daję pół roku albo relegujemy.

Wziął dziekanę, pojechał do Niemiec na budowę, przywiózł pięć tysięcy marek, ale żał mu było na alimenty, wynajął kawalerkę, dupy, wóda, koledzy. Wrócił na uczelnię, relegowali, a wtedy znów matka, że przyszło wezwanie, że „wejda jej na pensję, bo za długi syna odpowiada, a Ewa nie odpuści i rzuca słuchawką”. Gdzie byłby teraz, gdyby nie jedno zdjęcie ważące pięć kilobajtów i jego głupota? Siedzieliby na tarasie jakiegoś domu z kolumnkami, pod miastem, z węzem ogrodowym w rękę, albo w kuchni ciętej pod wymiar, patrząc, jak dziecko upierdala się dżemem, a rano wiózłby je na drugi koniec miasta do szkoły z czesnym siedem stów, angielskim od native'ów, pełnym planem rozwoju, integracją z downami,

a potem wracał na śniadanie i patrzył, jak każdego roku o centymetr opada dupa Ewy, i narzekałby, że te korki, że autostrada już piąty rok budowana, że objazdy, a w centrum szósta nitka metra, więc buzi, pa, pa, musi już jechać, by zdążyć do sądu na proces, w którym broni faceta oskarżonego o pedofilię. O, nie, wróć, pedofilii by nie brał. Zabójców tak, pedofile to jednak nie, choćby to był syn chuj wie kogo, chuj wie z jakimi pieniędzmi. A potem do kancelarii, gdzie jakaś Asia/Basia/Jola asystentka w uroczym kostiumiku, spódniczce lekko nad kolanami, małe bzykanko przy biurku.

Żyły pompowały mu alkohol do głowy, już whisky w połowie drogi, już jest dobrze, bezpiecznie, już nie będzie się opierał sentymentom.

A co potem? Z powrotem do domu, do Ewy coraz bardziej pomarszczonej, bo przerzuciła milion ton prania, zjechała mopem miliard metrów płytek, a on wkurwiony, bo dwie godziny w korkach, a na każdej prostej wyścigi, kto kogo jebnie, wyprzedzi, a im bliżej domu, tym szybciej, jak konie, co wyczuły stajnię.

A co potem? Stanąłby pod domem, dziecko na szyi już wisi jak hantel, już z piłką, kurwa, już gotowe do grania, a on zjebany jak wół patrzyłby na dach, czy aby nie wyczyścić, bo poszarzał, stracił czerwien pięknej dachówki za pięćdziesiąt koła, a chata za milion, plus działka za pół, z ratą sześć koła na miesiąc, na które zarobiłby samymi tylko poradami prawnymi, w środy od szesnastej do osiemnastej, a w sobotę squash z kumplami z roku i klientami, dupa na boku, studentka w sponsoringu tuliłaby się w nocy i budziła nad ranem, a on całowałby czule, zanim nie przejdzie efekt nowości, mówiąc do niej „króliczku”, aaaa, Króliczek, który miał dwa piękne ząbki z przodu z wążutką szczerbą, a on dawał jej marchewki... A, teraz dopiero Króliczek przyszedł, gdy już osuszył butelkę... a te marchewki skąd były, ano z zakładowych ogródków działkowych, w których szabrował, idąc do Króliczka, i pisał jej wiersze, Jezu, już się zaczyna, zaraz, kurwa, jeszcze jedno wspomnienie i będzie dobrze. Ten wiersz napisany za domkiem Króliczka, jak w nocy nie mógł spać i podejrzewał ją o zdradę, chuj wie dlaczego, skoro mieli po osiemnaście lat dopiero, ale poszedł, pewny, że usłyszy przez okno, jak kocha się z innym, a tam tylko wrzaski jej pijanego ojca na całą ulicę: „Bóg mnie, kurwa, pokarał taką babą, pokarał mnie za co”, a potem matka Króliczka: „Jezu Chryste, ja tak nie chcę, nie chcę, dlaczego, dlaczego ja”, i brzęk rzuconego o ścianę szkła, a potem cisza, szloch

Króliczka w pokoju, na piętrze i zawodzenie „dlaczego, dlaczego, dlaczego”, a na końcu jego imię, wypowiedziane jak SOS, i jeszcze: „Zabierz mnie stąd”, a on bierze grudkę gliny, idzie pod garaż i pisze: „Twoja córka płacze / Twoja żona błaga / Dom zamienia się w znak zapytania / gdy każdej nocy / stawiasz pod nim kropkę”. Jego pierwszy wiersz, gówniarski jak graffiti dla sentymentalnych, a rok temu, jak pojechał odwiedzić matkę, zakradł się tam nocą i usłyszał, jak Króliczek kochał się, jęcząc, ale on nie czuł już zazdrości, tylko ulgę, podszedł do ściany garażu i zobaczył go, był ledwie widoczny, z dopiskiem Króliczka: „Uciekłeś”. Usłyszał wtedy płacz niemowlaka i zaraz ciszę, gdy czułe ręce matki wyciągnęły go z łóżeczka.

Gdzie byłby teraz, gdyby na studia nie wyjechał, próbując zapomnieć o Marcuzku... Siedziałby nocą na poddaszu tego domu, tuląc kolejnego niemowlaka, uciekaliby z Króliczkiem do łazienki, by kochać się w szklanej kabinie, kupionej na raty, dopóki małe się nie ocknie i krzykiem nie zakończy figli, a nad ranem wróciłby ojciec Króliczka z pytaniami do Boga, dlaczego go pokarał, i matka z pretensjami do Boskiego Syna, dlaczego ona. On z Króliczkiem marzyłiby o tym, by w końcu pójść na swoje, tylko bank nie daje kredytu, bo ona siedzi z dziećmi, a on – przedstawiciel handlowy po ogólniaku, upychający na półkach stacji benzynowej kondomy, pilnujący, by zawsze były wyżej od konkurencji, na wysokości oczu klientów, a tu kolejny bank odmawia, bo stałej pensji osiem stów i prowizja od sprzedaży, a to „składnik zmienny wynagrodzenia”, więc może tylko dwa jebane metry wziąć w starym budownictwie, na obrzeżach tego małego miasta, bez kina, teatru, ale z dwoma hipermarketami, do których jeździliby w każdą sobotę spotkać znajomych, umawiać się na piwo, kręgle, a dzieci do teściowej albo matki, babki, Jezu, babcia. Babcia w kuchni, a on na krześle, aż mu nogi zdrętwiały, ale w końcu usłyszał „kuku! kuku!” i nagle, pstryk, drzwiczki się otwierają, takie maciupkie, wyskakuje ptaszek, co go już kilka razy próbował złapać, jak babcia nie widziała, a teraz zdążył, szczęśliwy, trzyma go, a on wcale nie jest miękki jak ten wróbel, którego chłopaki na podwórku złapali i z kotem w kartonie zamknęli, aż przestał trzepotać, ten był twardy i silny, wyrwać się chciał, ale złapał drugą ręką, trzymał, wisząc, majtając nogami, krzycząc „babcia! babcia!”, a babcia goni z kuchni, chwyta małego



za nogi, „puść, puść te kukułke”, ale nie, nie, nie puści, a gdy podnosi głowę, widzi, jak zegar szybko się zbliża, a potem ból, sufit gdzieś znika, a gdy otwiera oczy, sufit już inny, ludzie w fartuchach i znowu nic, i nic, a potem babcia śpi na krześle obok dziwnego łóżka z metalowymi oparciami, otwiera oczy i mówi: „Wnusi, wnusi, Eryczku”, a jego kłuje coś w brzuchu, zagląda pod piżamkę, a tam igła z rurką jakaś, a pielęgniarki zdziwione czytają kartę przy poręczy, że „Eric”, że przez „c”, że „głupie jakieś”, że „co to ludzie teraz nie wymyślą”, a to ciocia Lucynka, która śpiewała razem z jego tatą w zespole, uparła się, że „po Claptonie będzie”, a w urzędzie, jak poszły z mamą, co wspominała na każdych imieninach, to pani w okienku mówi, że „takiego nie ma w spisie”, a ciocia Lucynka, że „jak tak, to będzie Bob, po Dylanie” i drze się na cały urząd „Blowin’ in the Wind”, a urzędniczka, „że dobra, już dobra”, a mama, że „cicho, Luca, cicho”, a potem paczki od taty z Berlina, jak pojechał i już nie wrócił, a w paczkach resoraki, pieniądze złote, które można było jeść, i ubrania pachnące mocno proszkiem do prania, aż pewnego razu mama wraca z poczty, że tata już w Szwecji, że nie wróci. Nigdy...

O Jezu, łeb go bolał, butelka pusta, otworzył drugą, trzeba będzie trzecią. Wyjął portfel, ale tylko kilka złotych. Jak to, kurwa, gdzie te wszystkie pieniądze, przez te lata, nic, żadnej działki, dachu, domu, tylko ciągle kilka zyli, gdy butelka już pusta, wszystko przez jedno, kurwa, zdjęcie, alimenty, knajpę, gdy siedzi za barem, a ten chuj kulawy mówi, chcesz, to dwadzieścia koła ci dam, prezesem cię zrobię, i dał, dowód wziął, kilka faktur kazał podpisać, a raz w tygodniu przyjść do takiego baraku z blachy, no to przychodził, podpisywał, bo w końcu był prezesem tego, aż przyszedł raz, nikogo nie ma, tylko wjeżdża dwudziestu w kominiarkach z karabinami, za ryj, do suki, dwa tygodnie w celi z gościem, który prowadził rower po trzech piwach i płakał, że jak go kto przecweli, to przeguby sobie poprzegryza, a policjanci się drą: „No, gadaj, kto blendował paliwo, skąd, dla kogo, za ile”, a Eric milczy, bo pojęcia nie ma, a jak wyszedł, to czekało dwóch, wsadzili do samochodu, zawieźli do domu z gipsowymi aniołkami nad basenem, zaprowadzili do garażu, do krzesła przywiązali, jeden wyjął wiertarkę, więc modlił się Eric: „Panie Boże, jeśli istniejeś, a ty, Mareczek, jeśli tam jesteś w niebie, to też wymódl, błagam, żeby nie

bolało”, a łysy, że „powiesz wszystko” i że „i tak zajebią”, a jak tak, to „wszystko mu jedno, wal się, łysy chuju”, ryknął Eric, czując, jak cieniutka ciepła struga szczochów cieknie mu po łydce, a wtedy za jego plecami ktoś zaklaskał, obejrzał się i zobaczył Kulawego, który „brawo! brawo! witamy kolegę”, bo wiedzieli, że nie sypał pod całą, mieli przecieki, choć Kulawy, jak później przyznał, chciał mieć pewność i posłał greps do pierdła, by w nocy powiesili Erica na kracie okna, pozorując samobójstwo, ale kurier grepsu nie przekazał, bo trafił do szpitala z pękniętym wrzodem dwunastnicy, a wtedy Kulawy, przesądny, który potrafił kota przepuścić czarnego, ale rowerzystę potrafić tylko za to, że „nie będzie mu się jakiś chuj na wentylach z boku bujał”, uznał, że ten wrzód to znak, i wpłacił za Erica kaucję, by zwerbować, a ta przewózka do garażu i wiertarka to tylko zabawa chłopaków, taki chrzest dla nowego, chociaż jak jednego takiego przyjmowali, to na widok wiertarki popruł się i wyznał, że ukradł z paczki Kulawego kokainę, i zaraz zakopali go żywcem, pod posadzką świeżo betonowanego basenu, z którego brzegów lały do środka gipsowe aniołki...

Eric wstał, chwycił pustą butelkę i zatoczył się, bekając.

– Jeszcze Mareczek... – wybełkotał.

A gdyby żył mały Mareczek, to gdzie by teraz razem szli, no gdzie... Mały Mareczek, chudziutki, z blond włoskami jak aniołek, chcieli na politechnikę iść razem, wracali z koncertu, a ta dupa Mareczka podpita, dziwka jedna, zobaczyła to pierdolone drzewo i powiedziała: „Kochasz mnie, to ściągnij mi ten latawiec”, co wierzgał zaplątany ogonem, machając, by „ktoś oddał mu wolność”, jak mówił Mareczek, mały poeta, wdrapując się, śpiewając „Dmuchaaaaawce, lataaaawce, wiaaaaatr”, i stanął na szczycie, złapał latawiec, mordę wydarł: „Panie Boże, daj mi odlecieć”, Mareczek kłócący z się katechetką, „dlaczego dobry, ale niewierzący nie ma wejścia do nieba, a ten, co wierzy ślepo, ale kawał chuja, to wchodzi”, i krzyczy Mareczek: „Boże, Boże”, a gałąź pęka, spada, a on zaraz za nią i leży na brzuchu, z nogą wyłamaną na drugą stronę, jak u manekina, z rękami wtulonymi pod piersi, otwartymi oczami, charcząc, plując krwią, dziewczyny rzygają, a Eric nie idzie na pogrzeb, wchodzi do kościoła, by zapytać Boga, którego Mareczek tak kochał, „czemu jest takim kutasem, by zabierać do siebie takich ludzi”, a w odpowiedzi

tydzień później Bóg zabiera mu babcię.

Podparł się o ławkę, darł w pijackiej malignie: „Piąta ranoooo, zabawa skończonaaaaa, głowa ciężęężka eeee... no, kurwa, jutro znów na całość... za to, co się nie udałoooo, za kolegów... paru... co zabrałeś...”. Zobaczył mur, stanął, wyjął penisa, zaczął sikać. Odsunął się z dyndającym fiutem, zamachnął, by rzucić butelką, i wysoko, na szczycie zobaczył wielki krzyż.

– A ty, skurwysynu! Dobrze... yyy, że cię spotkałem yyy... – wybełkotał, butelka roztrzaskała się na drobne kawałki i odłamek trafił go w twarz. – O ty, kurwa twoja! Oddałeś! Ty mściwy sadysto... pierdolony! Taaaaaki kurwa jesteś...? No to dawaj, kurwa, zabawimy się! Pokażę ci... yyy... no daleeeeeeeeej! Nie chceeeesz? Tchórze! Kurwa...! – Zataczając się, podszedł do wrót kościoła. Spojrzał na tabliczkę. – Pod... wez... wez... Jana Chrz... Chrzici... – Pchnął drzwi, ruszył w kierunku ołtarza, rozpychając na boki ławy. – No to ja cie zara ochsz... ochszcze... Ojcie nasz, któryś – wskoczył na ołtarz, wyjął penisa i zaczął sikać – jest w niebie... kurwa niech będzie twoja! – Zeskoczył, upadł na plecy, podniósł się i chwycił wiszący na ścianie drewniany krzyż, szarpał go wściekle. – No dalej, kurwa... złaż stamtąd kłamco... tyyyyyy... oszuście... tyyy.

Krzyż poleciał. Poczuł ból, stracił przytomność. Otworzył oczy. Pochylał się nad nim Chrystus, gładko ogolony, w czapce, z krótkofalówką w ręku. Jak on się sam odczepił od tego krzyża? – pomyślał Eric, zanim stracił przytomność.

Trzeźwy obudził się ze spuchniętymi oczami. Wziął prysznic, wyjął spod zlewu worek ze śmieciami, spakował małą torbę podróżną i wyszedł z mieszkania. Worek wrzucił do kontenera, zabręczały puste puszki po napojach. Zatrzymał się, uśmiechnął. Zawrócił, wyjął puszki z worka, rzucił na ziemię, rozgniół nogą i zagarnął pod pojemnik.

– E! Chuju! W nocy napierdalasz! W dzień napierdalasz! Mam tam, kurwa, zejść?!

Trzeźwy podniósł głowę. W jednym z okien zobaczył mężczyznę z gołym torsem.

– To zejdz! – odkrzyknął, a mężczyzna wymamrotał coś i zamknął okno.

Stojąc w korku, próbował przypomnieć sobie tego sąsiada, który mieszkał ledwie dwa piętra wyżej. Widział go trzeci raz, choć kancelaria premiera wynajęła mu mieszkanie półtora roku temu. Sąsiad, parsknął pod nosem. Nawet nie znał jego imienia. Zresztą tak samo jak innych. Parter – dwóch sympatycznych pedałów, co jeżdżą codziennie rowerami. Obok nich młoda para, która wracała zawsze późno. Pierwsze piętro – Trzeźwy i młody chłopak, który codziennie o siódmej trzydzieści wychodził w garniturze i z torbą na laptopa jak dziesiątki innych klonów na tym osiedlu, schodzących do służbowych aut oklejonych nalepkami „Dla domu, ogrodu”, „Najlepsze z rana”, „Zupa dnia”. A naprzeciw? Kiedyś imprezujący studenci, potem facet po pięćdziesiątce jeżdżący na rolkach, pewnie też pedał. A teraz? Chyba puste. Drugie piętro – ta ładna dziewczyna, choć z pryszczami, nosi świetne ciuchy i chyba singielka, bo śmierdzi kocimi sikami. Widywał ją na schodach, jak zakrywa twarz włosami, może po kolejnej próbie pozbycia się krost z przetłuszczonej skóry, w którą pakowała pewnie drogie kremy, by „uczynić ją jedwabiącą gładką”, zamiast pojechać nad morze i wygrzać wągry w słońcu. Gdy robił kampanię reklamową jednego z kremów, czytał na etykiecie skład w poszukiwaniu rymu do hasła przewodniego, a tam „paraffinum liquidum, glycerin, cetyl alcohol, PEG-40, sodium carbomer, parfum...”. „Radzę nie kupować”, uśmiechnęła się wtedy kosmetyczka, zalecając słońce, deszcz i świeże powietrze. Trzecie piętro – ten, co się darł z okna, a jeszcze ci z małą dziewczynką, która nie odpowiada „dzień dobry”, bo na uszach ma zawsze słuchawki od mp3. Jej matka przeprasza, głaszcząc małą po głowie, i mówi wtedy z zakłopotaniem: „Widzi pan, jakie czasy, ogłuchną nam te dzieci”, a Trzeźwy odpowiada: „No tak, tak”, przypominając sobie, że pozwalał córce ściągać muzykę na iPhone’a, żeby przestała zamęczać go pytaniami, gdy on od samego rana był skupiony na „targecie”, „sondażach”, „fokusach” i „placemencie”. Potem kupili nawet PlayStation, więc już w ogóle przestała pytać. Żona wreszcie mogła spokojnie gadać na Skypie z przyjaciółkami o wychowaniu dzieci, że „teraz takie nadpobudliwe”, a Trzeźwy młócić na konsoli do rana w Fight Night, krzycząc: „Jeb go! jeb go! jeb go!”, a potem do łóżka, żonę „na łyżeczkę” w trzy minuty, a ona wieczorem znów na Skypie z przyjaciółkami sączącymi jad, że ich faceci, „mimo dziesięciu lat małżeństwa nadal czuli, gotowi kochać po trzy godziny, do utraty

tchu”, więc ona z pretensją do niego, że „coś się zmieniło, że już nie ma czułości, dotyku, zapachu” i dlatego „akurat ona, skoro wszyscy wokół szczęśliwi”. Czwarte piętro – Trzeźwy nie miał pojęcia. Piąte – para studentów medycyny. Dziewczyna sympatyczna i otwarta, opowiadała o sesji, że „właśnie wkuwa kości czaszki, marzy jej się neurochirurgia, ale nie daje sobie szans, bo to krąg zamknięty, zdają dzieci profesorów, a przecież na uczelni to wie pan – mówi – całe rodziny, może byście coś w tym rządzie zmienili, bo jakby pan zobaczył listę pracowników uczelni, to w kółko te same nazwiska”. No ale ona „spróbuje jednak, może talentem ich zagnie, a jej chłopak marzy o kardiologii, ale musi na internę, bo jego ojciec internista, no i co ma zrobić, ale ona się postawiła – mówi – powalczy”. Biedna, myślał Trzeźwy, kolejna mądra kobieta z ambicjami w świecie obstawionym przez facetów i ich tatusiów. Nie znał imion tych wszystkich sąsiadów, a przecież nie tak dawno, gdy mieszkał „w domach z betonu, gdzie nie ma wolnej miłości”, życie skupiało się wokół nich – przy wódce, gdy rodzice pożyczali sobie pieniądze, a bimbrownica ruszała w podróż po piętrach przed każdymi świętami. Ojciec zamykał się w kuchni z sąsiadami, gasił światła i popełniał dwa przestępstwa naraz, mówiąc: „Cicho, cicho, nie mów nikomu, co się dzieje w domu”. A z radia łąju-łipsz-łipsz-łijuuuu, parada dźwięków przerywanych męskim, tubalnym głosem: „Tu Radio Wolna Europa”, więc ojciec rzucał się, by nadstawić ucha. Trzeźwy nawet po latach potrafił z imienia wymienić każdego z tamtego bloku. Kultura podwórka ukształtowała jego dzieciństwo, ale już jej nie ma, została skradziona przez rozwój, o którym tak marzył jego ojciec, trzymając ucho przy radiu, szepcząc: „Jeszcze kiedyś będzie lepiej”. No i jest. Ale podwórek do przyjaźni nie ma; trzepaków do zalotów; murków piaskownic do popisów godowych; piwnic do pocałunków. Trzepaki, prychnął. Kto dzisiaj trzyma w domu dywan? A jeśli trzyma, to przejedzie odkurzaczem czyszcząco-piorącym. Dzieci od trzeciego roku życia na angielskim, na konsolach, z mp3 na uszach, odwożone przez rodziców z parkingu podziemnego pod schody szkoły, by ustrzec ją przed światem wilków, pedofilów, żulów, żebraków, paparazzi. Pójdą w świat z tabletami przed nosem, by znaleźć przystanek autobusowy, podglądając drogę na Google Street View, choć to trzy kroki od domu.

Trzeźwy obserwował awanturę na drodze, gdy dwóch kierowców brało się za łby,

i przeniósł do '82 roku. Ma osiem lat, leży pod włączonym rubinem, obok leżą koledzy z podwórka, każdy z pajdą chleba i ogórkiem uszykowanymi przez matkę. Za nimi ośmiu ojców, sąsiadów, w hipnozie, a na stole wódka stołowa. Matka lata z kanapkami na srebrnej paterze, a gdy przechodzi, na sekundę zasłaniając telewizor, ojcowie w ryk taki, że by zabili: „Jezu, kobieto, odsłoń! Odsłoń!”, więc matka, rozbawiona, ucieka truchtem do kuchni.

Na drodze wściekły kierowca wali innego w ryj.

Matka leci z kuchni z kolejną paterą, stuka drobnymi kroczkami jak gejsza, a w telewizorze Buncol wrzuca z lewej strony na głowę Bońka, a ten lekko do siaty. Ojcowie podrywają się w szalonym ryku. „Jeeeeeeeeeeeeeeeeest! Kuuuuuuuurwa! Gooooooooool!”, rzucają się sobie w ramiona, klepią dzieciaki, biegają jak Indianie w tańcu wojennym, a na korytarzu brzęczy patera na podłodze, kanapki na ścianie, matka przerażona, zasłania usta rękoma, próbując zrozumieć, czy świat się właśnie skończył, czy narodził.

A na drodze bójka, krew, policja, karetka, a Trzeźwy śpiewa „Entliczek, pentliczek, co zrobi Piechniczek, teeeeeego nie wie nikt! Kłopotów czy żalu, czeeeeeeego bęęęęęęędzie więcej? Ja jednak wie-erzę, że nie będzie źle! Eviva España Ole! Ole!”.

Kwadrans później zjechał z głównej drogi i sprawdził esemesy. Buldog: „Chyba mnie wywałą, gdzie jesteś?”. Pozostałych nie czytał, nagrał nowe powitanie poczty głosowej: „W związku z nowymi obowiązkami zawodowymi nie będę dostępny przez kilka dni”. Chciał wyłączyć telefon, ale wykonał jeszcze połączenie. Gdy usłyszał w słuchawce głos Lebiody, wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Nie dotrzymałeś umowy. – I rozłączył się.

Zjechał w kierunku wioski, do gospodarstwa wujka Józka. Pracował tam na pierwszym roku studiów, by zarobić na wyjazd po Europie. Razem z dwoma kolegami planowali przejść przez Gibraltar i postawić nogę w Afryce. Pierwszego dnia obudzili się na dworcu podziemnym w Berlinie, na górze szalała Love Parade. Grupa Belgów zaciągnęła ich na jakiś squat. Poznał tam Shilę, która nie goliła nóg ani pach, protestując przeciwko podporządkowywaniu się męskiej dominacji, i miała koszulkę z napisem „Fucking Corporations”, czego wtedy nie rozumiał, a Shila była

zdziwiona, bo przecież „every corporation that is a whore gang is building capitalism that kills the dreams of free people”. Wzięła go wtedy za rękę, zaprowadziła do squatowej łazienki i zrobiła mu loda, pierwszego w jego życiu, z wytryskiem do buzi. Kumple pojechali dalej, a on został, żeby się kochać. Dwa dni później zniknęła, zostawiając kartkę z odręcznie napisanym „fucking corporations” i dorysowanym penisem.

– Gdzie ty idziesz? To tu! – krzyknęła Nora do Moni, przystając w oficynie pod drzwiami kamienicy. Na podwórku walały się śmieci, na środku straszło bmw z odkręconymi kołami i napisem na drzwiach „Start Pany”. Monia zawróciła z bramy z nadzieją, że pomyliły adres, no ale trudno, żeby Ruskie, pomyślała, za dwa i pół koła przyjmowali w hollidayu.

– No to dawaj, laska. – Stała za Norą, gdy ta spoglądała na domofon. Na żółtej, brudnej od paluchów karteczce przeczytały „Gabinet III P”. Rano przez telefon upewniły się, że cena nie wzrosła, więc od razu umówiły wizytę. Nora wcisnęła guzik, odskoczył rygiel zamka. Wspinały się po schodach, mijając porysowaną lamperię, wdychając szczyiny i stęchliznę. W mieszkaniu na pierwszym piętrze głośno grał telewizor. Gdzieś wysoko szczekał pies. Monia popędzała Norę, idąc tuż za nią i podciągając długą, niebieską spódnicę z cienkiego džinsu. Czarne jak smoła włosy upięła z tyłu, a czoło jak zwykle przepasała białą opaską. Jej dołeczki i niewyregulowane, czarne brwi upodabniały ją do aktorki ze starego filmu *Love Story*, o czym dowiedziały się na jakieś imprezie, a gdy sprawdziły w necie, to aż jęknęły „łaaaaa!”, bo rzeczywiście podobieństwo było uderzające.

Na trzecim piętrze podeszły do drzwi z kartką „GABINET”. Monia zapukała, drzwi otworzył wysoki, chudy mężczyzna o szarej cerze, z krótkimi szpakowatymi włosami. Miał na sobie zielony chirurgiczny fartuch. Odkaslnął i zaprosił je skinieniem dłoni. Przerobiony na recepcję przedpokój śmierdział chemią, a zza otwartego okna słychać było warkot motoru, gdy ktoś wjechał na podwórze. Idąc po linoleum, czuły zapadające się pod nim skrzypiące deski. Na ścianach, przejechanych zieloną olejną, wisiały przyklejone za rogi taśmą klejącą plakaty modelek. Monia spojrzała na Norę z przerażeniem i chciała ją pociągnąć do wyjścia, gdy mężczyzna usiadł za biurkiem, całkiem porządnym, wyjął długopis, notes

i zapytał:

– Pani Nora?

– To ja. A to koleżanka. – Pokazała na Monię.

– No. My budziem djelat pani kartiny, fotografji piersi. Ja pani pakażu katalog, wat zdjes wkładki i patom my prystupimy k’operacji. Wy panimajetie?

– Panimajetie? – spytała Nora.

– Pani rozumieć? – powtórzył lekarz.

– A tak, tak, kumam. – Wybuchnęła śmiechem.

– Zapraszam do kabineta. – Pokazał ręką na białe drzwi.

Podeszły, zajrzały. Gabinet był nieduży, ale czysty, cały w zielonych kafelkach. Na środku stał stół operacyjny, obok jakieś urządzenia. Gruby mężczyzna w fartuchu i czepku operacyjnym szykował narzędzia, spojrzał na dziewczyny i powiedział:

– Dzen dobryj.

– Dzen dobryj – odparła Nora i zamknęła drzwi, wracając do recepcji, a Monia odetchnęła z ulgą.

– My sdjełajem wsie srazu. Eta prostaja rabota. Wszjemy wstawki, eta nie budziet dołga, mozet byt czas, znaczit godzinku, ja pakażu, kak pielie... pieliegnowac i wsio. Za godzinku u pani cycki kak ta tu, o ta. – Chudy lekarz uśmiechnął się, odkaszlnął i pokazał za siebie, na ścianę, gdzie prezydentka Katarzyna Milwa prężyła piersi w zbyt obcisłym staniku, siedząc okrakiem na motorze. Lekarz wstał, zniknął w gabinecie za białymi drzwiami. Nora ścisnęła Monię za rękę, wstała i poszła za chirurgiem. Monia, siedząca na krześle, spojrzała na zegarek. Była 15.15. Telefon zagrał melodyjkę. Zerknęła na wyświetlacz. Zdąży tu wrócić.

Nora w zielonej, jakby papierowej piżamie, leżąc na stole operacyjnym, poczuła, że ten w masce rysuje coś na jej cyckach, widziała to już w programie *Zmienimy cię*. Powieki jej ciążyły. Obudzi się za godzinę, będzie miała cycki z wkładkami, które lekarz pozwolił jej pomacać, zanim położył na stole. Wyglądały jak woreczki z wodą, a gdy nacisnąć, były mięciutkie. Wybrała lekko podniesione, nie za szerokie. Westchnęła. Ten, co ją zostawił w knajpie, szlag z nim, najadła się, wzięła



trzy koła i nawet dobrze, że poszedł, że mu nie dała, bo po całym dniu kleiła się wtedy od syfu, a Monia opierdoliła ją, kochana Monia, że to jakaś mafia pewnie, że złodzieje, ale bez ryzyka przecież było, bo jak dali jej dowód tej dziewczyny, nauczyła się na pamięć, że jest jakaś tam, skądś tam, w banku dostała konto, dziesięć koła debetu, oddała papiery i już. Kupiła sobie jeszcze lakier za stówę i płyn do kąpieli, taki z piaskiem. Jezu, jak lubiła napisy na tych buteleczkach kolorowych, „by rozkosz perełek talku pogłębiła doznania świeżości, powabu i delikatności twojej skóry”. Kto to wymyśla? Jeśli facet, to musi być zajebisty, pomyślała, bo to jednak trzeba mieć coś w sobie, żeby takie rzeczy pisać.

Zapach płynu do dezynfekcji był ostatnim, jaki poczuła, zanim zasnęła.

...rike...

Lebioda rozpoczął poranne zebranie od starej anegdoty, po której – choć wszyscy ją znali – zaśmiali się, by sprawić szefowi przyjemność.

– Co mamy? – spytał, przysiadając półdupkiem na jednym z biurek.

– Żula. Zdemolował kościół pod wezwaniem Jana Chrzciciela – powiedział Behemot, który siedział po turecku na podłodze. Wyjął z torby notes i przekartkował. – Jak go policja wynosiła, to się ocknął i krzyczał... zaraz... mam tu gdzieś notatkę... aha, uwaga, słuchajcie, krzyczał tak: „Jezus kłamie, nie słuchajcie go, to nie ja, on kłamie, Jezus, jak piśniesz słowo, dorwę cię, szmato, i zakopię pod basenem”.

Newsroom zawył.

– Co z tym robimy? – spytała Błada.

Wszyscy spojrzeli na Lebiodę, którego stosunek do Kościoła wynikał zarówno z jego prywatnych poglądów, jak i przekonania, że target nie toleruje nabijania się z duchownych, chyba że dotyczy to nadużyć finansowych, ale już nie pedofilii, bo ta dla targetu jest niesmaczna.

– Fajna historia, będzie gryzła, ja bym dała.

Lebioda się uśmiechnął.

– Co jeszcze wiemy o tym gnoju? – spytał, drapiąc kącik ust.

Behemot przekartkował.

– Sprawdzają, ponoć notowany za oszustwa, przyleciał tydzień temu z Anglii. A właśnie! To ten, co się awanturował w samolocie, nigdzie nie pracuje.

– Dobra, napiszcie coś, zobaczymy... – Naczelny zakończył zebranie i skinął na

Młodego, zapraszając do siebie.

Po chwili Młody wyszedł z jego gabinetu zaskoczony. Nie spodziewał się takiego zlecenia. Szef zapewne sądził, że niezaplątany w towarzyskie intrygi redakcyjne stażysta zachowa dyskrecję, o którą go poprosił. Gdy tylko za Młodym zamknęły się drzwi, Lebioda sięgnął po dzwoniącą komórkę. Nie zdążył nawet przywitać się z byłym rzecznikiem rządu, gdy usłyszał tylko jedno zdanie:

– Nie dotrzymałeś umowy.

Odłożył telefon, wyszedł z gabinetu i szybkim krokiem przeszedł do newsroomu. Papa stał nad biurkiem Bladej, której z przejściem coś opowiadał.

– ...i dała mi te zdjęcia dzieci, prosząc, by zwrócić. – Był z siebie wyraźnie zadowolony.

– Możesz na chwilkę? – Lebioda pochylił się nad nim, czując pulsującą mu w żyłach krew.

Młody siedział na kiblu w kabinie, gdy usłyszał szamotaninę. Ktoś wpadł do toalety, trzaskając drzwiami.

– Mów! – syknął nerwowo naczelny.

– Przecież mówiłem... – zdziwił się Papa.

Do uszu chłopaka doszedł stłumiony krzyk fotografa, a zaraz potem syk Lebiody:

– Co ty odpierdalasz? Za mało ci kasy?! Walisz na boku te małolaty do sieci, co jeszcze chcesz?

– Co ty pieprzysz?

– Myślisz, że nie wiem? Człowieku!

– Zdjęć Trzeźwego nie ma! Mówiłem ci! Akumulator wysiadł!

– Robisz zdjęcia od dwudziestu lat! Nie wiesz, kurwa, kiedy akumulator wysiada?!

– Młody robił foty, dałem mu aparat, bo wyskoczyłem za Ferczem... – tłumaczył nieco zmieszany Papa.

– Za Ferczem? – Lebioda powtórzył nerwowo. – A na chuj nam Fercz, kogo on obchodzi, od lata go nie dawaliśmy, co ty pierdolisz?! Umiesz wymyślać bajeczki!

Rzuciłeś się na jednego z najbardziej wpływowych ludzi w tym kraju. Co zrobiłeś z tymi zdjęciami? Z kim on tam siedział? O co idzie? Mów, kurwa, bo on cię tam widział! Dzwonił wtedy do mnie!

Młody usłyszał uderzenie w lustro, kawałki szkła posypały się na umywalkę i podłogę.

– Jeśli to Trzeźwy się odgrywa tą cholerną stroną, to się pakuj! – Głos naczelnego zszedł do nerwowego szeptu.

– Nie groź mi! – odezwał się stanowczo Papa. – Nie ma żadnych zdjęć Trzeźwego! A jeśli polecę, to nie zdążysz nawet posadzić dupy w swoim fotelu, bo będę cię grillować! Zacznę od małej Klaudynki! No i co? A ta strona powstała chyba wcześniej, niż... zresztą, gównu mnie to obchodzi!

Ciszę przerwał stukot nerwowych kroków i trzaśnięcie drzwiami. Młody lekko uchylił drzwi kabiny. Papa stał przy zlewie, podnosząc jeden z odłamków lustra. Rzucił nim wściekle o ścianę i wyszedł.

Po chwili chłopak znów stał w gabinecie Lebiody. Na jego żądanie opowiedział historię z Trzeźwym, parawanem i akumulatorem, przemilczał tylko, że dopiero co był przypadkowym świadkiem rozmowy w toalecie.

– Ale widziałeś? Nie było zdjęć? – spytał naczelny, chodząc nerwowo po gabinecie.

– Nie widziałem, bo akumulator wysiadł. Tylko jakaś dziewczyna...

– Kto? Aktorka? – Lebioda zastygł w pół kroku.

– Nie, raczej nie, taka czarna z białą opaską na głowie. Chyba nikt.

– Cholera no, ale ta strona powstała jednak wcześniej. No to o co chodzi? – Szef opadł na fotel i nerwowo luzował krawat pod szyją.

– Jeśli mógłbym spytać...? – odezwał się cicho Młody. – Skąd podejrzenie, że to rzecznik zrobił tę stronę?

Lebioda zastukał lekko pięścią w usta.

– Nie wiem, nie mam pewności... Wyłączył telefon, nagrał tylko, że go nie będzie. Wiadomo, że poleciał za jakieś zdjęcia, nasze kanały w kancelarii tak mówią, ale nie chcą pary puścić. Spróbuj ustalić, co się da, ale dyskretnie. –

Pomachał ręką, dając znać, by wyszedł.

Chłopak wrócił do swojego biurka, usłyszał rumor i wyjrzał zza niskiej ścianki działowej. To Janeczek trząsał szufladami. Postawił torbę na biurku, pakował do niej różne dokumenty, odwrócił się do newsroomu.

– Słuchajcie... ja... już tu nie pracuję. Miło było, kopę lat, ale... – Wyjął służbowy telefon komórkowy i chciał go położyć na biurku, jednak zamiast tego zamachnął się i rzucił nim o podłogę. Chwycił swoją torbę, po czym poszedł do windy.

Błada wstała od komputera, ruszyła za nim, ale zatrzymała się w połowie drogi.

– Boże, co się stało? – spytała. – Co się dzieje?!

– Gówno. Wracać do pracy. – Za jej plecami wyrósł Lebioda, odprowadził Janeczka wzrokiem do windy i wrócił do swojego gabinetu.

Błada usiadła za biurkiem, spojrzała na resztki telefonu leżące na podłodze. Schyliła się, by je pozbierać, układając w dłoni jak skorupki od jajka. Młody odpalił stronę upolujgnoja.pl. Doszły kolejne zdjęcia: Lebioda po zmroku szarpał jakiegoś chłopca. Podpis brzmiał: RED. NACZELNY ZACZEPIA DZIECI NA ULICY. Następne zdjęcie: Lebioda siedzi na ulicy, nad nim stoi jakiś mężczyzna z pięścią gotową do uderzenia. Podpis: KARA.

Kolejne zdjęcie: syn Lebiody zasłania się plecakiem szkolnym. Podpis: LATOROŚL PŁACI ZA SKURWYSYŃSTWO OJCA.

Na końcu dopisek: GRATULUJĘ. WYPŁACIŁEM PIERWSZE PIENIĄDZE. CZEKAM NA KOLEJNE ZDJĘCIA.

Młody przeczytał jeszcze doniesienia z innych portali. Ciekawe, że plotkarskie media nawet się o tym nie zająknęły, temat podjęły tylko najpoważniejsze gazety, opisując stronę w „kategoriach folkloru świata tabloidów i celebrytów”. „Doszło do wymiany ról, gdy myśliwy stał się ofiarą” – pisał znany bloger. Jeden z publicystów oceniał, że „to dla Lebiody sytuacja bez wyjścia, bo podejmując walkę, podciąłby gałąź, na której siedzi cały przemysł plotkarski, a ewentualna riposta byłaby kpina z sądownictwa, przywykłego, że to Lebioda przychodzi do sądu jako oskarżony w podobnych sprawach...”. Inny publicysta szydził, że „trudno nawet spekulować,

kto rozpoczął polowanie, bo w każdym numerze tej gazety, na każdej stronie, można by znaleźć zainteresowanych, by red. Lebiodę pogrążyć w sposób tak wyrafinowany, a przecież naczelnym »Tylko Życia« jest od ośmiu lat. Zatem matematyka podpowiada, że ma ponad trzy tysiące wrogów”.

Wstał od biurka, gdy za oknem było już ciemno, a ledwie kilka osób kręciło się po redakcji. Podeszedł do ściany z wydrukami kolejnego wydania. Na trzeciej stronie zobaczył infografikę: dwóch policjantów ciągnie opierającego się mężczyznę, w tle płonie kościół. Tytuł brzmiał: *Chce spalić kościoły! Szaleniec czy barbarzyńca?*. Przeczytał początek tekstu: „Policjanci byli w szoku, gdy wczoraj w nocy przyjechali do kościoła pw. Jana Chrzciciela. To miał być rutynowy patrol, ale ich oczom ukazał się przerażający widok. Eryk W. (33 l.), chuligan bez szacunku dla świętego miejsca, zdemolował ławki, strącił krzyż z Jezusem, ale w planach miał również – o zgrozo! – podpalenie kościoła. Gdy chcieli go aresztować, krzyczał: »Nienawidzę Jezusa! Trzeba zniszczyć wszystkie kościoły!«”. Młody nie czytał do końca, bo skoro pod tekstem widniał pseudonim Behemota, znaczy, że ten pozmyślał wypowiedzi sprawcy. Podniósł torbę i poszedł do windy za panem Wieliczką, który właśnie skończył odkurzać. Gdy jechali, winda stanęła między piętrami, a Młody wcisnął guzik alarmowy.

– Nie ma co, posiedzimy trochę. – Pan Wieliczka zakreślił palcami wąsa. Z kieszeni niebieskich ogrodniczek wyjął krzyżówkę panoramiczną i długopis.

– A czemu?

– Mecz jest, Polska gra. Pewnie ci na dole przetrzymają nas do przerwy – mruzczał pan Wieliczka, zaglądając do krzyżówki. – „Ambaras”? – spytał.

– Kłótnia albo awantura.

– O, awantura pasuje. Wie pan, wziąłem się za krzyżówki, bo ten wasz szef ciągle mnie odpytuje ze słówek, teksty daje do czytania, a ja nic a nic, to się podszkolę trochę, będę coś wiedział – zaśmiał się pan Wieliczka. – „Na Zakopiance”?

– Korek? – podpowiedział Młody, zastanawiając się, czy aby pan Wieliczka nie

kręci sobie pętli na szyję, bo jeśli zacznie rozpoznawać trudne słowa, to w oczach Lebiody jego przydatność jako testera może gwałtownie zmaleć.

– Patrz pan, pasuje ten korek. – Mężczyzna ucieszył się jak dziecko. Schował krzyżówkę do kieszeni i podniósł pokrywę wielkiego odkurzacza. Ostrożnie wsadził rękę do worka zbierającego śmieci, jakby to było gniazdo piskląt.

– Co pan robi? – Młody zajrzał do worka.

– A zobaczysz pan, co to ludzie nie wyrzucają, cudeńka jakieś. – Pan Wieliczka wyjął czarny pendrive. – O! Takie to mam trzy, ale ten jest czarny, nie przyda się.

– Dlaczego? – Chłopak wziął pendrive z jego rąk.

– Srebrny znalazłem, to sobie błystek na wędkę zrobiłem, bo to dobra blacha. A czarne to mnie na cholerę? Ryba tego nie zobaczy.

– W środku mogą być jakieś ważne rzeczy, ktoś mógł zgubić... – Młody schował go do kieszeni.

– A co tam się zmieści? – zamruczał dozorca, grzebiąc w worku.

– Zdjęcia, dokumenty.

– No co pan? W takim małym gównie? – Wyciągnął rękę z worka. Ścisnął w dłoni mały kawałek plastiku. – A to?

– Karta pamięci, też się dużo zmieści... – Młody włożył kartę SD do swojego telefonu, zobaczył nagranie video, włączył: ognisko, noc, głosy dzieci, ktoś śpiewa po rosyjsku, trzymając gitarę na kolanach, jakaś kobieta klaszcze, dzieci tańczą. To Janeczek śpiewa „w tridiewiatom gasudarstwie triždy diewiat dwadcat szest wsio dierżałoś na kawarstwie biez prablema biez sistiem”. Podobno skończył filologię rosyjską i w każde wakacje zabierał rodzinę na Wschód albo samotnie przemierzał stopy. Napisał nawet jakąś książkę podróźniczą o Kaukazie. Młody zostawił kartę w telefonie z myślą, by przy najbliższej okazji oddać właścicielowi. Winda ruszyła, pan Wieliczka zamknął pokrywę odkurzacza.

Eszka szła między regałami, spoglądała na kamery pod sufitem galerii. Minęła elektronikę, podeszła do stoiska z telefonami komórkowymi, zatrzymała się przy etui z obrazkami różowych kotków Hello Kitty. Zdjęła jedno, delikatnie obracała w palcach i patrzyła dyskretnie, czy nie chwyta jej żadna z kamer. Wsunęła zabawkę

pod rękaw bluzy, postąpiła chwilę, ruszyła w kierunku kas. Spojrzała za kobietą z wózkiem dziecięcym i już miała do niej podejść, gdy zobaczyła breloki z napisem „Ben Ten”. Zdjęła jeden, obracała w palcach, patrzyła w górę. Schowała w drugi rękaw i podeszła do kobiety. Stała obok niej jak grzeczna córka. Kobieta podeszła do kasy, Eszka za nią. Przy wyjściu patrzyła na ochroniarzy, czy aby nie szepczą czegoś do mikrofonów w rękawach. Kobieta z wózkiem ruszyła do wyjścia, Eszka za nią. Nagle poczuła szarpnięcie za kaptur.

– Chodź tu, mała – syknął ochroniarz i zaczął ją popychać między alejki sklepowe w kierunku zaplecza. Trzęsły jej się ręce i kolana, chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł w gardle, język był suchy. Mężczyzna wprowadził ją do małego pokoju bez okien, w którym stały telewizorki z obrazami z kamer przemysłowych. Gruby, duży facet w mundurze ochrony siedział na fotelu, patrząc na nią spode łba, a ten, co ją przyprowadził, zagroził drogę ucieczki.

– Wyciągaj to! – rzucił gruby.

– Ale ja, proszę pana, nic nie mam. – Eszka zaczęła płakać, a gdy gruby podeszedł do niej i chwycił mocno za ramię, krzyknęła: – Aua! Dlaczego pan mnie bije?

– Biję?! – Nachylił się do jej twarzy, aż poczuła od niego zapach kanapek z kiełbasą i papierosów. – Zaraz ci tak wpierdolę, że matka cię do domu nie wpuści!

– Ile masz lat? – spytał ten przy drzwiach. – Gadaj, bo dostaniesz wpierdol!

– Dwa... dwa... naście – wyszłochała.

Gruby podniósł słuchawkę telefonu.

– Z policją! Mamy tu małą kurewkę, złodziejkę, trzeba ją odstawić do domu dziecka...

Szybko wyjęła zabawki z rękawów i rzuciła na stół.

– Nie, proszę pana, ja już nie będę, błagam, ja tylko... bo moja mama będzie zła, tata też, a brat jest taki malutki, ja pana proszę, ja wszystko zrobię, ale niech mnie pan wypuści, proszę... – Klękła przed grubym, łapiąc go za nogawkę.

– Za późno. Idziesz do bidula. – Uśmiechał się złośliwie.

Zerwała się, dopchała do drzwi, otworzyła je i uciekła. Słyszała za sobą rechot.



Opadła z sił daleko za galerią, klęknęła na trawniku i zaszlochała. Ludzie mijali ją, tylko jakaś starsza pani zatrzymała się, pytając: „Co ci, dziecko?”, ale Eszka już pobiegła dalej. Szkoła była blisko, wbiegła na jej podwórze, puste, potem na drugie piętro, zdjęła plecak, przetarła rękawem twarz, weszła do klasy, przeprosiła za spóźnienie.

Po lekcjach, gdy szła w kierunku bramy szkolnej i mijała wymalowanego na ścianie sali gimnastycznej wielkiego siusiaka z napisem „Start huj”, zobaczyła, że Maciek z klasy wyżej gra na minikonsoli, ale łypie na nią jednym okiem.

– Cześć – rzuciła.

– Cze... – Schował konsolę do kieszeni. – Odprowadzić cię?

– No jasne, ale to siedem przystanków...

– Dobra, mogę, bo na religię i tak nie chodzę, a w świetlicy nuda.

Lubiła Maćka, nie był szpanerem. Już od kilku dni próbował z nią pogadać, raz nawet widziała, jak chłopaki go popychają, by podszedł, ale chyba był nieśmiały. Wpadła już w oko kilku chłopakom, mówili, że jest podobna do Miley Cyrus.

– Tu mieszka taka z telewizji... a tam ten piłkarz z długimi włosami. – Eszka pokazywała domy otoczone wysokimi murami.

– A ty gdzie?

– Na końcu.

– Ja pierdykam, twoi starzy są nieźle dziani.

– No. – Pokiwała głową.

– Znasz tu wszystkich? – Chłopak podskakiwał, by zerknąć za wysokie mury.

– No jasne. Ale mój tata ma więcej kasy niż oni wszyscy i mówi, że to głupie gwiazdy, że tylko wydają na bzdury, zamiast w siebie inte... intwe... no ten... inwestować, bo mój tata jest bardzo mądry. O! My tu mieszkamy. – Wskazała wysoki żółty dom z folią w oknach.

– A co tak pusto? – Maciek puścił jej rękę i podał plecak.

– Bo remont mamy, syf trochę jest, dlatego cię nie zaproszę. To co? Do jutra?

– No, do jutra.

– Następnym razem poproszę, żeby tata przysłał po nas kierowcę.

– Macie kierowcę?!

– No a jak? – Uchyliła kutą z żelaza furtkę, pomachała i przeszła w kierunku podwórza. Wyrzała, by upewnić się, że Maciek odszedł. Podeszła do płotu na tyłach podwórka, stanęła na wielkiej drewnianej donicy, wspięła się na płot i zeskoczyła na łąkę. Doszła do szutrowej szosy, a po pięciu minutach do bramy ogródków działkowych. Główną alejką w prawo i w wąską ścieżkę, która rozdzielała działki. Otworzyła furtkę pomalowaną grubą warstwą farby, podeszła do altanki, otworzyła drzwi, zajrzała do środka.

– Mamo! Jestem!

Pod jej stopami skrzypnęły deski. Weszła do pokoiku, śmierdziało przetrwoną wódką, ojciec chrapał na dziurawej kanapie. W przedpokoju, na małej kuchence elektrycznej stał garnek. Podniosła pokrywkę, zapachniało pomidorową. Nałożyła na talerz lane kluski z durszlaka obok kuchenki i zalała ciepłą jeszcze zupą. Gdy zjadła, wyszła przed altankę, minęła dwie inne, otworzyła furtkę i zaszepotała: „Kici, kici”. Drzwi pomalowanej na biało altany, wokół której rosło dużo kwiatów, były zamknięte. Sięgnęła ręką do donicy stojącej obok, wyjęła klucz i przekręciła w zamku. Gazety jak zwykle walały się po podłodze, na ścianie pojawiły się nowe artykuły, które pan Henryk wycinał z gazet i przybijał szpilkami. Usiadła przy wysokim stoliku, podniosła pokrywę laptopa, włączyła internet. Otworzyła zakładkę „Ulubione”. Na fejsie nikogo nowego. Napisała, że była „na fajnej imprezie, zajebiaszco się bawiła, sami fajni ludzie”, czyli to samo, co pisali inni z jej klasy. O! Maciek napisał przed chwilą, że „fajną ma chatę i też by takom chciał ale mieszka ze starymi w blokach i nie wie czy zaprosi ja do siebie bo wiocha ;)”. Hmm, mruknęła i poczuła wstyd, choć nie do końca wiedziała dlaczego, przecież każdy tak robi. Ta Alicja z jej szkoły, co chłopaki mówili, że podobna do Angeliny Jolie, bo ma takie usta, mówiła, że wystąpi w *Idolu*, że ma już agenta, że to znajomy jej brata, ale mama Eszki powiedziała, że to bzdury, a jej brat nie może takich znać, bo siedzi w więzieniu już pięć lat za gwałt na sąsiadce, co mamie powiedział kurator, który przychodzi raz w tygodniu do ojca Eszki za to, że ją pobił kablem od żelazka. Albo Majka, co opowiadała o wielkiej firmie i limuzynie swojego starego. A jak pojechali całą klasą do kina z panią od polskiego na *Bitwę pod Wiedniem*, taki robol

w kamizelce, z łomem, jakieś tory naprawia na ulicy i drze ryja:

– E! Majka! Jak wrócisz, to te ziemniaki są na dole w lodówce obrane, już tylko wstaw na gaz!

Łee, ale wiocha! Wszyscy rzucili się na Majkę, a Karol, taki głupek, co jego stary naprawdę ma firmę i kupuje mu zajebiaszcze ciuchy, ale tylko w weekendy, gdy bierze go do siebie, podleciał do Majki, pchnął ją i mówi:

– No i co, czyj stary ma więcej sosu, kłamczucho jebana?

A wszyscy wołali:

– Majka-Bajka! Majka-Bajka!

Potem jeszcze Karol ją opluł, gdy już siedziała na ulicy i płakała, i wtedy pani chwyciła go za ucho, a on uderzył ją w rękę i wszyscy musieli wrócić do szkoły. Pani dyrektor wezwała ojca Karola, ale jakoś nic głupkowi nie zrobili, tylko po kilku dniach dostali od jego taty tablicę, co nie trzeba kredy, bo jest jak telefon i można mazać po niej palcem, a w ogóle wyświetla filmy i net. A Karol powiedział, że „jak ktoś go wkurwi, to tak załatwi, że będzie na tej starej pisał, a ta nowa będzie tylko dla jego kumpli”. Weszła na Plotek. DaniaMania, ta córka tego, co ma fabrykę rowerów, dostanie swój program, zajebiaszczy, będzie w nim śpiewać. Fajna jest ta Dania, zawsze ma takie wykurwiaszcze buty, pewnie jej stary kupuje, no bo ma dopiero osiemnaście lat, to skąd może mieć, pomyślała Eszka i spojrzała na swoje trampki. Musi poprawić mazakiem, bo skrzydełko „najki”, które narysowała, już się trochę wywabiło. Fajnie, że pan Henryk jej pozwalał wchodzić na net, jak go nie było, dawał też dwie dychy za posprzątanie, mycie naczyń i karmienie kotów. Dziwne tylko, myślała, że ma komputer, a chodzi w dziurawych butach. Ja zamiast kompa kupiłabym sobie ciuchy, pomyślała, albo komórkę, ale nową, nie taką starą, jak pan Henryk ma, bo on nawet z niej nie dzwoni, tylko do laptopa podłącza i internetu używa. Sprawdziła jeszcze Farmę na fejsie, bo przez dwa dni nie mogła, jak pana Henia nie było i zabrał klucz, no i, kurde, pole jej zmarniało, a zwierzaki głodne.

Młody chciał wejść do biurowca gazety, gdy obok, w ogródku kafejki, zauważył Bładą i Janeczka. Podszedł do stolika.

– No to cześć. – Dziennikarka ucałowała Janeczka w policzek, skinęła chłopakowi i poszła w kierunku wejścia.

– Cześć – rzucił Młody. – Mam coś, sorry, że oglądałem, ale inaczej nie wiedziałbym... – Wyjął z telefonu kartę pamięci. – Pan Wieliczka znalazł.

– O Jezu, dzięki!

– No to nie będę przeszkadzał.

– Słuchaj, Młody... – Janeczek spojrzał na kartę. – Nie chciałbym ci prawić kazań, ale jeśli chcesz zajmować się dziennikarstwem tak na poważnie...

– No wiesz, to tylko staż.

– Też trafiłem tu na staż. – Odchylił się na krześle, kręcąc w palcach kartę i pokazując na budynek redakcji. – Dwanaście lat temu.

Chłopak usiadł na krześle obok.

– Miałem pisać o świecie, Rosji i takie tam. – Dziennikarz uśmiechał się ironicznie. – Dzisiaj w nocy myślałem o tym trochę i zdziwiło mnie, wiesz, wcześniej nie docierało do mnie, że to już tyle lat. Ty jesteś poczciwy gościu, wiesz?

Młody był zdziwiony tym wyznaniem, bo znał go ledwie z kilku rozmów. Miał poczucie, że nikt w redakcji nie traktuje go jako stażysty poważnie, nie ufali mu, nie miał wstępu na wszystkie zebrania, zwłaszcza te, podczas których „bazy” przeistaczały się w „teksty”.

– Widzisz... – mężczyzna oblizwał wargi – utknąłem tu trochę. Straciliśmy chyba jakiś azymut, przekonując się nawzajem, że to bardziej zabawa niż dziennikarstwo, a przecież z zabawy to nic złego nikomu, no wiesz...

– Trochę się w tym pokapowałem – chłopak uśmiechnął się z zażenowaniem.

Janeczek spojrzał gdzieś nad jego głową, zmarszczył brwi. Młody się odwrócił. Po przeciwnej stronie ulicy, na parkowej ławeczce siedział mężczyzna, wpatrujący się w wejście do biurowca. Miał na sobie marynarkę, a pod nią czarny T-shirt.

– Kto to?

– No właśnie, wydaje mi się, że to... Złoty. – Janeczek podniósł się lekko. – Ponoć zwariował po tragedii rodzinnej.

– Ten polityk?

– Taaa, nikt nie wiedział, co robi, miał wyjechać. Ale czy to on? – Dziennikarz spuścił wzrok, spojrzął na kartę, włożył ją do kieszonki koszuli. – No dobra, dzięki, Młody, nie chcę tu nikogo szkalować, to twój life...

– Spoko, za tydzień kończę staż. – Wstał, uśmiechnął się i podał mu rękę. – A jeśli mogę... Co się stało? Błada mówi, że postawiłeś się za jakiś tekst.

Janeczek parsknął.

– Błada to fajna kumpela, ale nie jestem bohaterem. Miałem obiecaną podwyżkę, tak że, no wiesz, widziałeś na filmie – stuknął w komórkę – dzieciaki... A jeszcze kredyt. Idę do konkurencji, lepiej płacą. – Podniósł torbę i odszedł.

Młody zobaczył, że ten w marynarce wyciąga mały aparat fotograficzny, przegląda coś na wyświetlaczu i chowa go do kieszeni. Poszedł w jego kierunku, ale mężczyzna wstał nagle, gdy go zobaczył, i odszedł.

Eszka usłyszała trzask furtki i skrzypienie żwiru w alejce.

– Cześć, dziewczyno – rzucił Henryk Złoty z uśmiechem, chowając coś za plecami.

– Dzień dobry. Posprzątałam trochę i koty nakarmiłam. – Zamknęła pokrywę laptopa.

– Jak dzień?

– Do dupy! O, przepraszam, miałam nie używać...

– Mam coś dla ciebie. – Wyciągnął zza pleców rękę z książką.

– O, dla mnie? Co to? *Karolcia i niebieski koralik* – przeczytała tytuł na okładce. – Ja to chyba miałam kiedyś w szkole...

– Czytałaś?

– No nie, tylko streszczenie w sieci. Mówiłam panu, że jakoś książki mnie nie...

– No właśnie. To jak przeczytasz tę, a obiecaj mi...

– Obiecuję – szepnęła.

– ...to opowiesz mi o twoich marzeniach i może coś wyczarujemy... Chcesz jogurt? W lodówce są te z Hello Kitty, co je tak lubisz. – Henryk podszedł do aneksu kuchennego.

– Chętnie, a mogę też dla braciszka?

Po chwili wsadziła do plecaka dwa kubki, pożegnała się i wyszła. Henryk usiadł przed laptopem, postawił na blacie mały aparat fotograficzny. Otworzył pocztę mailową. Przyszło nowe zdjęcie, na którym Lebioda wychodzi z kościoła, trzymając żonę za rękę. Umieścił je na stronie, dodał podpis: RED NACZ LEBIODA MODLI SIĘ JUŻ O SWOJE ZBAWIENIE?

Podłączył aparat do laptopa. Zgrał kilkanaście zdjęć, otworzył. Gołębie na Starym Rynku, śmieciarze przy pracy, fontanna. Niepotrzebnie chyba podszedł pod redakcję, pomyślał, ktoś mógł go rozpoznać. Wyłączył komputer. Nachylił się nad gazetami, które Eszka uporządkowała w kupkę obok kanapy. Usiadł, zapiszczały sprężyny. Wziął do ręki „Tylko Życie”. Zatrzymał się przy artykule z żółtym tytułem –

*Tragedia rodziców! Stracili dwoje dzieci!*

*Tylko u nas – relacja z żałoby.*

„Janina K. (40 l.), mieszkanka Starej Niedziałki, nie może się otrząsnąć z szoku, w jaki wpadła dwa dni temu, gdy radość z rozbudowy domu zamieniła się w tragedię. Spokojnie przygotowywała obiad, czekając, aż dzieci wrócą z podwórza, i nie przeczuwała, że już nigdy nie zasiądzie z nimi do stołu. Oto skutki samowoli budowlanej jej męża, który chciał dobudować pokój dla dzieci. Pan Alojzy (42 l.) wykopał fundament pod nowy pokój, postawił dwie ściany i zwiózł trzy tony piachu, których potrzebował do dalszej budowy. Gdy Janina wołała dzieci na obiad, odpowiedziało jej tylko mrozące krew w żyłach echo. Dagmarka (7 l.) i Michałek (3 l.), śliczne, pełne życia dzieci, wołania już nie słyszały. Ale Janina i Alojzy nie przeczuwali jeszcze, że ten dzień skończy się tragicznie. Z pomocą sąsiadów i straży pożarnej szukali pociech do wieczora, aż rozeszła się pełna grozy plotka, że po okolicy może grasować pedofil morderca. Ta makabra nie była już na głowę Janiny. Kobieta trafiła do szpitala. To tam, kilka godzin później, powiedziano jej, że dzieci zostały przysypane przez hałdę piachu i zmarły straszną śmiercią, dusząc się w pułapce. – Nie potrafię z tym żyć, dlaczego Bóg tak nas doświadcza? – żali się Janina naszemu dziennikarzowi. – To będzie nauczka dla męża, by samemu nie brać się za takie prace, ale co mi po tym, jak dzieci już nie ma”.

Obok było zdjęcie męża stojącego przy hałdzie piachu, z podpisem: „Wszystko bym oddał, by Bóg zwrócił nam nasze dzieci – mówi pełen smutku pan Alojzy, pokazując miejsce, gdzie znalazł martwe, przysypane piachem trupki swoich pociech”.

W zdjęcie ojca wcięto dwa małe portreciki: uśmiechniętej dziewczynki z kitkami i małego, który siedział na koniku na biegunach. „Dagmarka (z prawej) za rok miała iść do komunii. Kochała koty. Jej braciszek Michałek (z lewej) był roześmianym, miłym dzieckiem”.

– Wy skurwysyny! – mruknął Henryk, biorąc nożyczki i wycinając artykuł. Podszedł do ściany i zastygł na chwilę. Zrzucił na siebie marynarkę, do wewnętrznej kieszeni włożył wycinek. Schylił się pod łóżko, wyciągnął karton, a z niego plik czystych szablonów kancelarii prawnej ze znakiem wodnym „HZ”. Spojrzał na zegarek. Podniósł telefon, odłączył od laptopa, wybrał numer radio taxi. Gdy podjechała taksówka, wyszedł przed altanę.

– Do Starej Niedziałki – rzucił kierowcy.

– Panie, to ze trzydzieści kilometrów. A pieniądze są...? – spytał taksówkarz, patrząc na altanę.

Henryk wyjął z kieszeni plik stuzłotówek i pokazał go kierowcy. Poczł ukłucie w sercu, złapał się za lewą pierś i wziął głęboki oddech. Sięgnął do kieszeni, pigulek nie było.

Nora wystawiała twarz do słońca, siedząc przy kawiarnianym stoliku. Czekwała na Monię, która jak zwykle o tej godzinie przepadła. Jakiś romans, pomyślała, z jednym z tych, co mogą tylko na lancz, na numerek w samochodzie albo do hotelu? Co ją spyta, to ta, że „nic tam”, ale zawsze po piętnastej odzywa się w Moni telefonie alarm z piosenką „rimember mi if ju kan si” i Monia znika, a to przecież nie pigułki, bo nie bierze.

Nora zamknęła oczy, by opalić sobie powieki. Wyczytała kiedyś, że zmarszczki najszybciej robią się na słońcu latem. Wyjęła z drinka plasterek cytryny, przetała nim lewe, potem prawe oko. Poczł lekkie pieczenie w piersi, pomasowała. Jezu, pomyślała, w końcu ma buble, zajebiste, co prawda boli jak cholera, a ruskie dali jej

tylko apap, a to gówno przecież. Nie chcieli na receptę nic wypisać, że niby nie trzeba, więc Monia załatwiła jej ketonal od znajomego. Ruskie mówili, że szwy się będą ściągać za dwa tygodnie, że będzie swędziało trochę i piekło. Stała cały ranek przed lustrem u Moni, głaskała się po tych bublach jak po obcych i płakała, no bo co, kurwa, tyle lat, że małe, że płaskie, że naleśniki, a chuj, świecie, z tobą, z Papami jednymi, teraz wszystko zawojuje. Przejrzała już w gazetach castingi do zdjęć, seriali, był nawet konkurs na pogodnykę do jakieś stacji kablowej, też pójdzie, nie jest głupia, umie powiedzieć, że zachmurzenie duże, że tam słońce, tam deszcz, temperatura taka sobie i żeby ci od pyłków spierdalali do domów, a potem wypnie buble, zamacha dupą i zejdzie z ekranu takim kołyszącym krokiem, jakby szła po wybiegu, co już nie raz ćwiczyła w domu, trzymając deskę do krojenia na głowie, bo żadnej książki, jak w telewizji radzili, nie miała.

Monia usiadła w fotelu naprzeciwko, z lekko opuchniętymi, czerwonymi oczami.

– Myślisz, że do pogody bym się nadała? – spytała Nora, pilnując, by nie zmrużyć oczu.

– Niania, mówię ci, tylko niania.

– Jezu, co ty z tą nianią? – skrzywiła się Nora.

– Słuchaj, laska, pamiętasz tę od tego kucharza, tego Hiszpana, co miał swój program o gotowaniu? Ostatnio o niej znowu pisali, że dawała mu, jak przychodziła do jego dzieci, do domu, no i zaszła. A potem wzięły się za nią te gazety i cały czas pokazywały, bo sucz ładna, dupcia taka chuda, no i ruda, a ja nie wiem, słuchaj, czemu oni się tak na te rude w tych gazetach rzucają. Może się zrobić na rudo? – Monia palcem wskazującym zagarnęła grzywkę nad oczami.

– No i co z nią? – Nora otworzyła oczy.

– No czekaj, ona potem zaczęła w tych programach, znaczy jak urodziła, o dzieciach gadać, bo sobie drugie zrobiła, ale nie wiadomo było jeszcze z kim. Gadała tam, jakby wszystko wiedziała o tych dzieciakach, pamiętasz? Potem wyskoczyła w reklamie jedzenia dla dzieci, napisali, że zarobiła na tym dwieście koła, ty czujesz, tyle kapuchy za reklamę? A pamiętasz później?

– Ano, ty, ona przecież potem tańczyła w tym...



– W *Sambie na żywo*. Zająła drugie miejsce, wygrała ta pogodynka, co ją wzięli do telewizji, jak była nikim, bo uratowała się z tego promu płynącego do Danii, ale potem wyszło, że się uratowała, bo po pijaku naćpana zasnęła w samochodzie na tym promie...

– Ale co z tą nianią? – Pierś piekła ją coraz mocniej, ból wchodził pod pachę.

– Aha, potem była w reklamie odżywki do włosów, ale za tę wcześniejszą już sobie jakieś mieszkanie kupiła, a potem wiesz, co odjechała? Poszła do sądu z tymi gazetami, bo napisały, że ma sztuczne cycki, a ona była akurat przed reklamą maszynek do depilacji i powiedziała w sądzie, że z reklamy dupa, że przez te sztuczne cycki firma się wycofała, bo to źle robi na wizerunek. I wiesz, ile ona dostała w sądzie? Chyba z milion, bo tyle miała zarobić na reklamie. Ale teraz słuchaj, najlepsze...

– Jezu, Monia... – Nora czuła, że ból zaczyna przeszywać ją na pół. – Jezu, Monia, chyba... – Robiło jej się słabo.

– No czekaj... – Monia patrzyła nad jej głową, jak przystojniak przy stoliku obok przypala papierosa i wydmuchuje dym nad głowę, jak w filmach. – A teraz ta laska ma wszystko w dupie, bo jak się okazało, to drugie dziecko zrobił jej szef firmy produkującej te odżywki do włosów, jak tę reklamę kręciła. No i słuchaj, nie chciał się z nią chajtać, bo ma jakąś żonę hrabinę czy markizę, ale sąd kazał mu bulić pięćdziesiąt koła alimentów. Co miesiąc! Kurwa, co miesiąc za dzieciaka, ty to kumasz, a przecież była tylko nianią, znaczy na początku. Nora? Nora?! – Spojrzała na przyjaciółkę, której twarz wykrzywił ból.

– Moniaaa! Jezu, boli! Jak booooli! – Nora kucnęła na chodniku, a Monia rzuciła się, by przytrzymać przyjaciółkę za ramiona.

Podbiegł kelner, wyjął z fartucha telefon, bo krzyczały obydwie, błagając, by ktoś wezwał pogotowie.

Gambit podniósł się w łóżku, za oknami był mrok. Wyciągnął przed siebie rękę, próbując włączyć lampkę nocną stojącą na szafce. Pstryk. Światło się nie pojawiło. Przeszedł przez pokój, do ciemnej kuchni. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia.

– Aua!

– Stop! Stop! – Męski głos przeciął mrok, zaświeciły reflektory.

Po mieszkaniu kręciło się kilkanaście osób z notesami, długimi mikrofonami i słuchawkami na uszach. Mężczyzna, który krzyknął, podszedł do Gambita.

– Aua? No co ty? Walnąłeś się w twarz! To musi być wiarygodne! Zawyj, westchnij, nie wiem, no proszę cię, jeszcze raz. Kamera do sypialni!

Gambit znów w łóżku, przykryty kołdrą.

– *Lekarz rodzinny*, odcinek 289, scena trzecia, ujęcie pierwsze! – krzyknęła młoda dziewczyna, trzymając klaps przed obiektywem kamery. Światło zgasło, Gambit wstał, wszedł do kuchni, huk.

– Jezuuu...!

– Stop! Doskonale! – krzyknął reżyser z irokezem. – Przechodzimy do sceny w kuchni, ale już z plastrem na policzku. Młoda – spojrzał na stojącą obok nastolatkę w piżamie – wstajesz, pytasz...

– Wiem, wiem. „Tato, co ci się stało w policzek?” – odparła dziewczynka.

Gambit włożył szlafrok, spojrzał na zegarek. Za godzinę musi być u lekarza. Krosta, która zaczęła ropy, znajdzie już swoje wytłumaczenie w serialu, bo scenarzyści uznali, że widz bez wyjaśnienia nie może otrzymać nagle głównego bohatera z bulwą na policzku, więc wymyślono, że walnie się w szafkę i będzie chodził z plastrem, dopóki nie wyleczy syfa. Ale do teleturnieju za trzy dni syf musi zniknąć. Do studia wszedł kierownik produkcyjny.

– Gratuluję, awansowałeś o trzy miejsca – podał mu wydruk z nagłówkiem *Ranking rozpoznawalności – badanie na 1035 osobach, czerwiec*.

Aktor usiadł na stołku barowym, na planie kuchni i spojrzał na raport. Na pierwszym miejscu był Kolasiński, dziennikarz telewizyjny, gospodarz popularnego programu *Rozmowy polityczne*, prowadzący też dwie audycje radiowe: *Obudź się* i *Lunch polityczny*. Jego żona Karolina, ładna brunetka, też nie schodzi z wizji, okładek, eteru, ma numer drugi na liście, a ich zdjęcia z wakacji trafiają do tabloidów, zanim Kolasińscy zdążą wsiąść w samolot w drogę powrotną. Jeśli ich popularność spadała, jak słyszał Gambit, to wytaczali procesy brukowcom, by znów

trafić na łamy, kasując przy okazji rekordowe odszkodowania. Miejsce trzecie zajmowała Katarzyna Milwa, prezenterka zapowiadająca filmy w porze najlepszej oglądalności i prowadząca program Poranna kawa w lifestylowym paśmie między godziną siódmą a dziesiątą. Jego gościem bywała żona Kolasińskiego w roli eksperta od mody, gotowania, joggingu, jogi, step aerobiku, diety i designu. Występował tam i sam Kolasiński jako ekspert od spraw politycznych, komentując żartobliwie wydarzenia minionego dnia, ale ponoć dał sobie spokój, gdy kilka razy nie zdążył ze swojego studia radiowego, utykając w korkach. Milwa, córka prezentera radiowego z czasów PRL, budowała swoją markę już od roku '90, występując w skąnym bikini w reklamie wycieczek państwowej firmy turystycznej. Internauci ją zbluzgali, gdy wyszło na jaw, że wyrwała swojej jedenastoletniej córce zdrowe zęby i wstawiła sztuczne, białe jak perły, by zwiększyć szanse małej na wygranie konkursu Mała Miss. Gambit startował w castingu na prowadzącego ten konkurs, ale wygryzł go młody Miłosz Estrada, syn szefa produkcji programów rozrywkowych w jednej z telewizji, który w rankingu – jak nie bez satysfakcji dostrzegł Gambit – zajmował dopiero dziewiętnaste miejsce. Na czwartym plasowała się Alicja Guś, cudem uratowana z tonącego promu nauczycielka. Po wypowiedziach w szpitalu okazała się na tyle ładna, że wzięli ją na pogodynkę po głównych Wiadomościach. Miejsca od piątego do siódmego zajęli politycy, liderzy partii, w tym premier, potem szef ludowców, którego notowania wzrosły od czasu słynnego billboardu wyborczego z jego córką, dzisiaj autorką programu telewizyjnego Szyk, styl i polityka. Ona uplasowała się na dziesiątym miejscu. Dalej dwaj aktorzy od lat grający w serialu Rodzina, jakiej nie znacie. Na piętnastym miejscu, pośmiertnie, trzynastoletnia Ewelinka Guzik, autorka krótkiego nagrania na YouTube, na którym językiem wygrywa na gitarze melodię z bajki Bob Budowniczy. W ciągu miesiąca obejrzało je trzy miliony internautów, a milion polajkowało. Kilkaset wpisów ją wyszydziło, a najdelikatniejsze z nich to „mała mineciara”. Załamana Ewelinka po umieszczeniu pożegnalnego filmiku, który obejrzało pięć milionów ludzi, włożyła torebkę foliową na głowę i utopiła się w wannie. Po jej śmierci internauci przeszli w marszu milczenia, protestując przeciwko własnym wpisom. Pośmiertny Fanpage dziewczynki liczy teraz cztery miliony wielbicieli. Jej matka, Joanna Guzik,

wyznała w programie Katarzyny Milwy, że „chciała usunąć ciężę z Ewelinką, a teraz żałuje, że tego nie zrobiła, bo oszczędziłaby sobie koszmaru śmierci dziecka”. Internauci stworzyli jej profil „Matko, pozwól żyć”, poniewierając ją jako „wyrodną kurew”, więc próbowała podciąć sobie żyły. Gdy wyszła ze szpitala, napisała książkę Mój koszmar. Jak żyć po stracie dziecka, która rozeszła się w nakładzie stu dwudziestu tysięcy egzemplarzy, a Guzik dostała program telewizyjny Wszystkie dzieci nasze są, w którym przepytuje pociechy znanych celebrytów, a pierwszą była córka Katarzyny Milwy. Guzik zajmuje w rankingu miejsce siedemnaste, za nią jest Gambit. Dobrze, pomyślał. Musi jednak pamiętać, by podczas tegorocznych wakacji przesłać gazetom kilka zdjęć, a może nawet jakiś skandalik wysmażyć, jak ten przyszczaty Estrada, któremu w Argentynie niby ukradli paszport i gówniarz zrobił lament na cały świat, że nie może wrócić, by kręcić konkurs Mała Miss. Dzięki temu dostał pierwszą stronę w „Tylko Życie” z apelem, by czytelnicy gazety ślali do ministerstwa spraw zagranicznych żądanie sprowadzenia Estrady rządowym samolotem.

Gambit wyciągnął z kieszeni dzwoniący telefon, spojrzął na wyświetlacz. Nieznany numer. Miał trzy nieodebrane połączenia i esemesa od menedżera.

– Dzień dobry, panie Gambit. Mediawsieci.pl z tej strony – usłyszał miły, zalotny kobiecy głos. – Zbieramy opinie wśród gwiazd na temat redaktora Lebiody, zna pan sprawę?

– Nie za bardzo, coś tam tylko pobieżnie, bo jestem ciągle w pracy, na planie, wie pani, dużo się dzieje koło mnie. – Gambit wyciągnął się wygodnie na krześle.

– W sieci pojawiło się ogłoszenie. Ktoś płaci za zdjęcia z życia prywatnego Lebiody na stronie upolujgnoja.pl. To dość zaskakujące, dlatego jesteśmy ciekawi opinii znanych ludzi, gwiazd, jak pan, bo przecież pan również pada ofiarą...

– O! – Gambit zaniósł się śmiechem. – A to się doigrali! Gnoje... No nieźle! Świetny pomysł! Może to trochę ich ostudzi, bo wie pani, ja uważam, że oni po bandycku ludzi traktują, czasami oczywiście, bo czasami ta współpraca dobrze przebiega.

– Rozumiem, dziękuję panu za opinię.

Kiedy dziennikarka się rozłączyła, rzucił w kierunku oświetleniowców przesuwających wielkie lampy:

– Ale jaja! Słyszeliście? Ktoś się wziął za tę szmatę.

Po kwadransie przedzierał się przez korek buspasem. Trzymał się za policzek, pilnując, by nie drapać. Na światłach przeglądał esemesy. Menedżer: „Pilne! Jakby kto dzwonił, nie komentuj sprawy Lebiody!!!”. Wybrał numer.

– Halo? Z tym Lebiodą niezłe jaja! Bo dzwoniли już... – Gambit zachichotał w słuchawkę.

– Słuchaj! To ważne! Jakby ktoś dzwonił w sprawie zdjęć ze strony upolujnoja.pl, mów, że nie komentujesz, że nic nie wiesz, pamiętaj! – Menedżer, ku jego zdziwieniu, był poważny.

– Dzwonili już, nie widziałem twojego esemesa.

– Co powiedziałaś? – zaniepokoił się mężczyzna.

– Że dobrze tak chujowi.

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie, a czemu?

– Dzwon tam i odwołaj!

– Uspokój się – zachichotał Gambit, pewny, że taka opinia przysporzy mu popularności. – Na pewno inni powiedzieli to samo.

– Nie ma innych! Jesteś jedynym, który walnął takiego fakapa, bo jest zmowa wszystkich, by nie komentować! Przecież oni cię rozjadą! Wysłałem, by japy na kłódkę trzymać, a ty, kurwa... Gdzie żeś to powiedział?

– Media z sieci czy coś takiego. – Aktor poczuł ukłucie niepokoju.

– Poczekaj, nie rozłączaj się. – Menedżer był wściekły. – Słuchaj! Przeczytam ci: „Przyszedł czas na bandytów – mówi nam Michał Gambini, komentując informacje o Zbigniewie Lebiodzie. Gambini jest zadowolony, że szef brukowca poczuje teraz na własnej skórze...”. Chcesz być nikiem?

– Co ty pieprzysz? – Gambit nie krył zdenerwowania. – Że jak niby?

– Pogadamy później...

Menedżer rozłączył się i chociaż Gambit próbował ponownie wybrać do niego

numer, ciągle odrzucał połączenie. Zjechał z buspasa, zatrzymał się na parkingu prywatnej kliniki kosmetycznej. Machnął do ochrony, wyszedł z samochodu, wszedł po schodkach, mijając telewizyjną prezenterkę sportową, odsłaniającą jak zwykle połowę biustu.

– Hej, Miki! Co tam! – Ucałowała go w zdrowy policzek. – Co ci się stało? – Spojrzała na plaster na policzku.

– A gówno jakieś. O co chodzi z tym Lebiodą? Słyszałaś coś?

– No, jazda jakaś! Wszystkie menedżery ślą od rana info, żeby z nikim nie gadać, uważaj.

– Ale o co chodzi?

– Pokapowali się, że to ostry numer, więc lepiej udawać, że nie ma, bo wszystkie szmaty, nawet te z internetu, się zgadały i bojkotują temat.

– Aha – wymamrotał.

– Kto się wychyli, nie będzie miał fot. Nigdzie. Czujesz? Ale się posrali. Pa, lecę!

Gambit przeszedł korytarzem w kierunku gabinetu kosmetyki twarzy, wyjął telefon i wybrał numer do menedżera.

– Gadam z nimi, że to bzdura, nic takiego nie mówiłeś, a twoje słowa przekręcili, wyrwali z kontekstu, ale mówią, że to nagrywali... Jest gnój. Przyjdź jutro na dwudziestolecie wydawnictwa, masz info w mailu. Trzeba to odkręcić, musisz się pokazywać, sorry, że się podkurwiłem, ale wiesz, tu mogą być konsekwencje...

– Aha – powiedział tylko zgnębiony Gambit i po chwili wybrał nowy numer w komórce. – Cześć, możesz?

– Nie za bardzo – odezwała się Błada.

– Chciałem zapytać, bo nie kumam...

– Masz problem, i to duży – przerwała mu. – Będzie embargo na ciebie, tak słyszałam, bo wszyscy już cię cytują – szeptała.

– To co mam zrobić?

– Jeśli tego nie odkręcisz, to nie wiem. Chyba że się czymś wykupisz, znasz zasady. Muszę kończyć. – Przerwała połączenie.

Otworzyły się drzwi gabinetu, wyjrzała z nich lekarka i gestem zaprosiła Gambita do środka.

Młody siedział przy swoim biurku i wpisywał do przeglądarki „Złoty, polityk”. Wskoczyło kilkadziesiąt artykułów sprzed półtora roku, głównie z „Tylko Życie”. *Niewinny buziak czy coś więcej?! – to pierwszy z długiego cyklu, w którym Henryk Złoty, poseł Koła Prawicy RP, adwokat z wykształcenia, zawitał na okładkę ze zdjęciem, jak całuje w policzek jakąś kobietę. Niżej szedł podpis: „Publicznie to wzorowy ojciec i mąż. Za kulisami mizdrzy się do klubowej koleżanki”. W narożnik zdjęcia wpasowano mniejsze, Joanny Złotej, małżonki posła. Kolejne artykuły prześwietlały finanse Złotego: *Auto za 120 tysięcy złotych, dom za 350, udziały w spółce zarządzającej farmami wiatrowymi. Udaje skromnego, opływa w luksusy – podwójne życie posła Złotego. W tekście cytowano jego słowa: „Odp... się ode mnie”, co komentowano: „Wpada w furję, niszczy aparat fotoreportera, który wykonywał przecież tylko swoją pracę”.**

Młody podszedł do Iwonki, asystentki naczelnego.

– Gdzie znaleźć sprostowania, które przyszły do redakcji?

Iwonka, nie odrywając wzroku od komputera, wskazała ręką ścianę. Spojrzał na kilkadziesiąt segregatorów z ostatnich dwóch lat. Przeliczył ubiegły rok – piętnaście segregatorów, w każdym po mniej więcej sto sprostowań, czyli po pięć dziennie. Zmarszczył brwi, nie mogąc sobie przypomnieć choćby jednego, które ukazałoby się w gazecie w czasie kilku tygodni, kiedy rozpoczął staż. Wyjął segregator z marca poprzedniego roku, gdy pisano o Złotym. Sprostowania były wpięte alfabetycznie, zgodnie z nazwiskami wnioskodawców. Otworzył na „Z”. Trzy sprostowania od Złotego podpisane na papierze firmowym jego kancelarii prawniczej „HZ” i jedno od jego żony. Wrócił z segregatorem do swojego biurka. Spojrzał na pismo Złotej.

„Na podstawie art. 31 prawa prasowego domagam się sprostowania nieprawdziwej informacji. Nigdy nie wyprowadziłam się od mojego męża. Informacje na temat jego rzekomej niewierności są nieprawdziwe. Informacje o drogim naszyjniku są nieprawdziwe, bo był dołączony do jednej z gazet za 15 złotych. Żądam zamieszczenia sprostowania na powierzchni identycznej

z artykułem, czyli połowie trzeciej strony”.

Znalazł ten artykuł: *Tak żyje pani Złota*. W tekście było o jej majątku oraz zdjęcie w powiększeniu z naszyjnikiem na szyi i podpisem: „To zapewne opal, czarny diament, za 15 tysięcy złotych!”. Kolejny artykuł: *Piękna żona ma dość*, gdzie podpisany pseudonimem autor ubolewał, że „pani Złota zamierza się wyprowadzić od niewiernego męża, który szuka pocieszenia w ramionach sejmowej koleżanki. Co za świństwo i hipokryzja posła!”. Czy wydrukowali sprostowanie Złotej? – pomyślał Młody i podszedł do szafy na końcu korytarza, by znaleźć zszywkę z archiwalnymi numerami, bo treści sprostowań nie publikowano w internecie. Wyjął zszywkę i przekartkował. Otworzył na stronie trzeciej. Połowa – jak chciała Złota – ale bez żadnej treści, jakby ktoś zapomniał zadrukować. Zbliżył gazetę do oczu.

– Nie wierzę – wyszeptał.

Podszedł do biurka, zapalił lampkę, podsunął gazetę pod żarówkę. To było sprostowanie Złotej, ale wydrukowane małą czcionką i bez lupy trudne do rozczytania. Redakcja, jak sądził, skorzystała z tego, że kobieta nie domagała się określonej wielkości czcionki, a tylko powierzchni w gazecie. Kliknął na kolejny artykuł: *Pani Złota ma dość! Spakowała się i zabrała dziecko, 5-letnią Klaudynkę*.

– Klaudynka... – Podniósł głowę znad monitora i zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, gdzie już słyszał to imię. Przewinał kolejny artykuł: *Tragedia rodziny Złotych!*. „Wstrząsający wypadek. Dziecko państwa Złotych zginęło pod kołami samochodu, gdy pani Joanna Złota (35 l.) wracała z zakupów. Wystarczyła chwila, by mała Klaudynka (5 l.) znalazła się na ulicy, po której pędziły samochody. Jeden z nich przejechał po małym ciałku. Tragedia! Pan Złoty przeżywa teraz swój dramat, a jego małżonka jest w głębokim szoku. Współczujemy, łączymy się w bólu”. Obok wydrukowano zdjęcie Złotego, gdy siedzi w ławach poselskich z twarzą ukrytą w dłoniach. Młody podniósł wzrok. Przypomniawszy sobie, że to Papa wymienił imię Klaudynki w kiblu, podczas kłótni z Lebiodą. Ostatnią publikacją, jaką znalazł, była wzmianka, że poseł Złoty wziął bezpłatny urlop, a po dwóch miesiącach złożył poselski mandat i zamknął swoją kancelarię prawniczą.

– Jak sprawdzić, gdzie kto mieszka? – spytał Bladej siedzącej za swoim



biurkiem.

– A to jakaś figura?

– Dzisiaj już raczej nie. – Chcąc dotrzymać słowa danego Lebiodzie, który zlecił mu odszukanie autora strony upolujnoja.pl, pozostawał dyskretny.

Błada podrapała się długopisem po brwi.

– W książce telefonicznej. Są tam ulice przy nazwiskach. Jak będziesz miał szczęście, to będzie krótka, bo numerów nie podają.

Wrócił do archiwum po starą książkę telefoniczną. Znalazł trzech Henryków Złotych, ale przy jednym figurowała także żona Joanna i ulica Kiprów. Sprawdził na mapie, wziął torbę i wyszedł z redakcji.

Nie była to dzielnica luksusowa, raczej zabudowań przedwojennych, z elewacjami szarymi od sadzy. Za płotem, pod jednym z domów siedział na ławeczce starszy mężczyzna.

– Aaa... ten... świętojebliwy... – odparł zapytany o Złotego i poprawił na głowie czapkę z daszkiem, drapiąc się w czoło. – A wie pan, że go dawno nie widziałem? Chyba ostatnio przed śmiercią mojej żony. Biedulce zmarło się rok temu na tarczycę, panie. A zobacz pan, jakie te lekarze głupie, jakie durne, mówili, że to nic takiego, że przejdzie, a zawinęła się po miesiącu, szlag by ich wszystkich...

– A gdzie mieszka? – spytał Młody.

– Żebym ja pamiętał... Bo już nie ta głowa, a dali mi leki jakieś na tę pamięć, wie pan, że niby wszystko wróci, ale gdzie tam, dwie stówy na miesiąc dają, a to jakieś zioła tylko, to ja se mogę takie sam narwać, cwaniaki jedne. – Rozejrzał się po ulicy. – Ja go widywałem czasem z psem albo z tą córeczką, jak tu chodził. On był mąż tej Asi, nie? Ona tu się urodziła, dom miała chyba po ojcu, bo jej matka to gdzie indziej mieszka. Ano czekaj pan, a już wiem, to będzie na początku ulicy, drugi dom chyba. – Mężczyzna pokazał palcem.

Młody poszedł we wskazanym kierunku. Nacisnął guzik domofonu na murze okalającym drugi dom od końca, ale nie było to nazwisko Złotego. W głośniczku odezwał się głos starszej kobiety.

– Ooo, panie – westchnęła i rozłączyła się.

Po chwili drzwi domu otworzyły się, wyszła starsza kobieta, zapinając blezer na piersiach. Szła w kapciach, patrząc na Młodego i mrużąc oczy przed słońcem.

– Rok już będzie chyba, jak ich nie ma. A tu obok mieszkali, w trzecim domu. – Stojąc przy furtce, pokazała palcem na dwupiętrowy szary budynek. – Tam tragedia przecież była, dziecko im zginęło. Ona wtedy, ta Asia, wie pan... – Zakręciła palcem kółko na czole. – Do zakładu ją wzięli, a Złoty sprzedał wszystko i zniknął. Wszystko, wie pan, sprzedał, samochód nawet i te meble, co mieli, a wiem, bo sama chciałam coś kupić, ale to szybko poszło, bo niedużo chciał, spieszył się chyba, ale na co, po co, kto to wie, panie.

– Dokąd się wyprowadził? – Młody wyjął notes i długopis.

– A pan skąd jesteś? – Kobieta podejrzliwie spojrzała na notes.

– Z gazety.

– A to nie, idź pan. Ja z wami nie gadam, chłopa żeście zniszczyli! – Odwróciła się na pięcie. – A wszyscy wy tacy sami!

Chłopak podszedł do dawnego domu Złotego i wcisnął guzik domofonu. Bez odzewu. Zadzwoił pod sąsiedni, także cisza. Kiedy wrócił do redakcji, Błada siedziała przy swoim biurku.

– A jeśli nikt już nie mieszka pod starym adresem? – spytał, uśmiechając się.

Dziennikarka podniosła głowę znad monitora. Chwilę jej zajęło, zanim zrozumiała podjęty na nowo wątek.

– Coś jeszcze masz? Jakiś trop?

– Może być szpital psychiatryczny, ale to nic pewnego.

– Kto?

– Joanna Złota?

– Ta od tego posła?

– No.

– Nie potwierdzą ci, to dane poufne. Ale – podniosła palec – patrz, ucz się, notuj. Zaczniemy od najślynniejszego szpitala. – Sprawdzając w internecie numer kliniki w Tworkach, sięgnęła po słuchawkę telefonu. – Dyżurka? Tu departament spraw świadczeniobiorców. Kochaniutka, podaj mi, proszę, czy Joanna Złota leży jeszcze

na oddziale, bo mi się w papierach nie zgadza... Aha, a to połącz. – Oparła słuchawkę na obojczyku i wzięła głęboki oddech, jak przed zejściem na głęboką wodę. – Z kim rozmawiam? Szanowny, ale ja bardzo proszę, byście porządek sobie zrobili, co wy nam tu przysyłacie? W jednym rozliczeniu jest niejaka Złota, za marzec, w kwietniu jej nie ma, a w maju znów jest. To co? Płacimy czy nie? No, kochanieńki, bo tak się bawić nie będziemy... Aha, to przyślijcie korektę... Ja również. Do widzenia. – Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Młodego. – Nie dziękuj. Zrobiłam to w ramach treningu. Na ich stronie jest, że odwiedziny codziennie od jedenastej do szesnastej.

Młody spojrzał na zegarek. Dzisiaj nie zdąży.

Ajla włożył do koszyka ogórki konserwowe, wodę i cztery bułki. Podszedł do kasy, gdzie dwóch chłopaków w koszulkach z napisem „Start” przekomarzało się z młodą sprzedawczynią, która żuła gumę i wbijała przyciski kasy długimi czerwonymi paznokciami.

– Co się, rasta, patrzysz? – Jeden z nich podszedł do niego, wypiął pierś i podniósł barki jak kogut przed walką.

– Wal się – rzucił Ajla, postawił koszyk na ladzie i wyciągnął portfel.

Kibol uderzył go pięścią w nos i odskoczył.

– No chodź, pedale! No chodź! – krzyczał, przyjmując pozycję bokerską.

– Wynocha! Bo zawołam gliny! – krzyknęła ekspedientka.

Chłopcy wybiegli ze sklepu, a Ajla rękawem bluzy próbował zatamować krwawienie. Rozejrzał się, podnosząc głowę, by krew nie wypływała z nosa. Podszedł do regału tuż koło kasy, wziął jakąś gazetę, oderwał kawałek, przyłożył do nosa, jeszcze mocniej odchylił głowę do tyłu.

– Ale tę gazetę też liczę – powiedziała kobieta.

Wolną ręką wyjął drobne z kieszeni, chwycił siatę z zakupami, podszedł do drzwi sklepu i wyrzwał. Ulica była pusta. Przeszedł do sąsiedniej bramy, wszedł na klatkę i ruszył schodami na drugie piętro. Wyjął z kieszeni klucz. Trzymając gazetę przy nosie, przeszedł świeżo otynkowanym korytarzem do kuchni. W dwupokojowym mieszkaniu nie było żadnych mebli. Postawił zakupy, przeszedł

do łazienki. Odłożył strzęp gazety na umywalkę i w odłamku lustra przyjrzał się swojej twarzy. Ślad zaschniętej krwi ciągnął się do ust. Umył się i wytarł połą bluzy, a potem wrócił do kuchni, gdzie otworzył słoik z ogórkami i ułamał kawałek bułki. Podniósł z podłogi pozostały fragment zakrwawionej gazety i spojrzął na rysunek płonącego kościoła. Przeczytał tekst o facecie, który naubliżał Jezusowi i chciał podpalić świątynię. Uśmiechnął się. Wyjął z plecaka tablet, przeszedł do wielkiego pokoju i usiadł na podłodze pod ścianą, gdzie leżał rozłożony śpiwór. Odłożył jedzenie. Telefonem zrobił zdjęcie artykułu, a potem w tablecie otworzył swój profil na Facebooku. Pod przesłanym zdjęciem dopisał komentarz: UWAGA! NADCHODZI REWOLUCJA KTÓRA ZMIECIE KOŚCIOŁY :) W jednym z portali informacyjnych przeleciał po rankingu najczęściej czytanych tego dnia tekstów.

1. „Romans nauczycielki z gimnazjalistą [wideo]”. Kliknął, by zobaczyć nagranie, ale tylko jakiś psycholog mądrzył się o szkodliwości współżycia w zbyt młodym wieku. W komentarzach, jak się spodziewał, tłum oszukanych, żyjących nadzieją, że pod ikonką „wideo” zobaczą, jak uczeń bzyka nauczycielkę na klasowym biurku.

2. „Koszmarne wypadek na drodze krajowej [foto]”. Kliknął. Zginęła rodzina z trójką dzieci, ktoś wrzucił zdjęcia płonącego samochodu, z którego wystają zwęglone nogi. Spojrzął na ocenę tekstu – dwieście pięćdziesiąt osób uznało, że to „bardzo dobre”, ponad sto kliknęło „Lubię to!”.

3. „Znana piosenkarka bez majtek [duże zdjęcia]”. Kliknął. Na zdjęciu gwiazdka w pełnym ubraniu wyjaśnia, że nie chodzi w majtkach spać. I znów jazgot w komentarzach, że „tytuł nie oddaje treści”. Zaśmiał się.

4. „Kolejny wybuch na Słońcu. Co nam grozi?”. Kliknął. „Nic nie grozi”.

Dalej o odkryciu pałeczek nowej bakterii, projekcie ustawy o związkach partnerskich, zamieszkach w Hiszpanii. Sprawdził fejsa. O! Wielu już pytało, czy artykuł o kościele jest prawdziwy. „A owszem – napisał – własną krwią ręczę”. Zamknął komputer, wyciągnął z kieszeni bluzy fifkę i mały woreczek strunowy, a z niego szczyptę marihuany. Nabił, przypalił i położył się na śpiworze. Musiał zasnąć, bo kiedy zadzwonił telefon, poderwał się z krzykiem.

– Cześć. Potrzebuję coś specjalnego, tak na koniec filmu... – zachichotał

Gambit.

- Sorry, spałem. Która...
- Szósta. Masz coś?
- Mam. Za godzinę pod rondem, w kiosku.

Przetarł dłonią spocone czoło, uruchomił tablet i wszedł na fejsa. Zdjęcie tekstu z gazety, które podłączył na profilu, miało tysiąc sześćset pięćdziesiąt lajków, ponad dziewięćset pobrań i tysiąc szerów.

- O kurwa! – krzyknął z podniecenia.

Wrzucił tekst zaledwie dwie godziny wcześniej. Wyjął z plecaka laptop, zalogował się na fejsie, założył fanpage „Lej na kościół!”, dorzucił zdjęcie z artykułu, podlinkował pod swój profil. Zaciągnął z fifki i chichocząc, zaczął pisać.

„Szanowni, właśnie dostałem oświadczenie Eryka W. Przeczytajcie:

UWAGA! Do wszystkich ludzi myślących racjonalnie. Żyjemy w czasach gdy demokracja jaką znamy z telewizji psuje się na naszych oczach bo przekaz który do nas dociera jest zniekształcony. Elity czyli nasi starzy mający ciepłutkie posady dokonują rabunku na swoich sumieniach wmawiając nam że świat wokół kręci się dzięki systemowi którego zmiana może oznaczać tylko gorsze. KŁAMIA! Zrobiłem pierwszy krok być może malutki ale krok który może okazać się milowym dla naszego pokolenia. Wybrałem kościół na cel swojego ataku bo to jeden z trybów systemu. Stworzono dla nas narzędzia komunikacji których nie możemy przegapić a które pozwolą nam zniszczyć system. To od was zależy czy ten system padnie.

Eryk, Ruch Wolnych Ludzi”.

A jeśli ten artykuł w gazecie to fake? – pomyślał. Wpisał do Google „policja, warszawa”, spojrzął na numer telefonu do komendy, wstukał do komórki.

- Halo? Halo?
- Słucham? – odezwał się głos dyżurnego.
- Ja bym chciał zapytać o jednego zatrzymanego... yyy... Eryk W. – powiedział, patrząc na zakrwawiony kawałek z gazety.
- Jaki Eryk? Skąd pan dzwoni?
- Yyy... z gazety.

– To do rzecznika.

Dyżurny rozłączył się, a Ajla wpisał do telefonu numer rzecznika prasowego.

– Halo?

– Tak?

– Ja z gazety... yyy... – Próbował przypomnieć sobie jakiś tytuł. – Chciałem zapytać o ten artykuł w tym... O tego od kościoła, co go spalił.

– Nic nie spalił, trochę zdemolował – westchnął rzecznik.

– Aha, ale to prawda?

– Na razie trwa śledztwo, nie możemy mówić o szczegółach, on rzeczywiście został zatrzymany, to prawda, chociaż...

– A czy wyjdzie?

– Czy wyjdzie? Nie wiem. Zaraz... niech pan poczeka...

Ajla usłyszał stuk odkładanej słuchawki. Rzecznik odezwał się po minucie.

– No więc tak. Został zatrzymany, ale powinien wyjść jeszcze dzisiaj z izby zatrzymań, jak mi tu mówią. I proszę nie pisać, że to ma związek z tą pedofilią, bo nie mamy takich informacji, halo?

Ajla się rozłączył. Wklepał adres izby zatrzymań i otworzył mapę miasta. Ale jaka pedofilia, zastanowił się. Wszedł na jeden z popularnych portali. Pod winieta „NOWE!” była informacja o zatrzymaniu czterech księży, którzy „wypożyczali” dzieci z dwóch domów dziecka i zakładu poprawczego – „Doliczono się na razie 12 chłopców w wieku od 10 do 13 lat”. Rzucił okiem na artykuł i komentarze pod tekstem: „Dobrze! Spalić ich za te dzieci! Na stos, tak jak oni w średniowieczu palili heretyków”. Ajla spojrział na mapę, potem wyłączył tablet, poszedł do przedpokoju i sięgnął do skrzynki z bezpiecznikami, skąd wyjął worek strunowy i przesypał nieco białego proszku do mniejszego woreczka. Zapakował go do plecaka i wyszedł z mieszkania. Podjechał metrem pod rondo. Wszedł do kiosku, miał jeszcze dziesięć minut do spotkania. Ze stoiska z gazetami wziął „Super Girl”, otworzył na stronie „Listy”. Zaczął czytać pierwszy z góry: „Witam. Mam 13 lat, mieszkam w dużym mieście i zwracam się do Szanownej Redakcji z nietypową sprawą. Mój tata często onanizuje się w łazience, a potem wyciera penisa moim rękami. Używam tego

ręcznika po kąpieli. Czy mogę przez to zajść w ciążę?”. Ajla roześmiał się na cały kiosk, a potem spojrział na odpowiedź redakcji: „Szanowna czytelniczko. Plemniki na ręczniku raczej nie są szkodliwe, jeśli nie doszło do penetracji. Życzymy zdrowia”. Znów się zaśmiał, wyjął telefon i zrobił zdjęcie, pamiętając, by wrzucić list na swój profil, na żer znajomym. Odłożył gazetę, gdy zobaczył, że jego klient, Michał Gambini, wchodził już do kiosku.

Po godzinie Ajla stał przed drzwiami izby zatrzymań. W szarych, obitych stałą drzwiach otworzyło się okienko nie większe niż tabliczka czekolady. Ukazały się w niej oczy strażnika.

– Chciałem zapytać o znajomego. Eryk W. zatrzymany wczoraj. Powie mi pan, kiedy wyjdzie?

– Zaraz... – Strażnik trzasnął klapką.

Ajla ponownie wdusił guzik „Dzwonić”. Strażnik otworzył klapkę.

– Zara! – krzyknął.

– Chciałem spytać...

– Powiedziałem, że zaraz wyjdzie!

Eric masował szczękę jedną ręką, a drugą wciskał do kibla łysy łeb, którego właściciel, paker w dresie, machał rękami, by złapać powietrze. Siwy, starszy mężczyzna siedział przestraszony na swojej pryczy. Łysy zabulgotał, wyrwał się i odwrócił, celując pięścią w twarz Erica, ale ten zrobił unik i uderzył go w brzuch. Łysy padł i zawył.

– Ja tak mogę całą noc, złodzieju jebany. – Eric masował szczękę.

Paker, leżąc na brzuchu, podniósł do góry rękę, dając znak, że ma dość. Ledwie go wprowadzili przed dziesięcioma minutami, a od razu rzucił się na dziadka, zabierając mu resztkę papierosów, i spytał Erica: „Co się patrzysz, cioto?”. Choć Eric pozbawiony był muskulatury, a miał nawet widoczny brzusek, to przewagę nad łysym dawało mu sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ponad dziewięćdziesiąt pięć kilogramów wagi. Usiadł na pryczy, dysząc ze zmęczenia, i po raz kolejny uświadomił sobie, że oswoił się z przemocą, nie miał oporów w zadawaniu bólu. Napatrzył się, jak Dyszel zwozi do garażu Kulawego kolejnych,

co nie rozliczyli się na czas, albo tych z konkurencji, z gangu Siekierki, z którym kilka lat temu stoczyli wyniszczającą walkę o rynek prostytutek.

– „O, Ela...” – zanucił, patrząc, jak łysy wstaje spod kibla i gramoli się na swoją pryczę. Ta mała, czarna wariatka, pomyślał, ulubiona dziwka Kulawego, którą policja znalazła z obciętymi dłońmi i wydłubanymi oczami. Mała Ela, jak na nią mówili, przynosiła Kulawemu obfite zyski, a jako jedyna w ich stajni miała również inteligencję i wdzięk, dlatego nazywał ją „księżną”. Po dwóch dniach od jej zabójstwa Dyszel, Gruźlik i Kapucyn przywieźli do garażu trzech łysych prosiaków i powiesili ich pod sufitem za nogi, jak w rzeźni. To właśnie oni zabawiali się z Elą przez dwa dni, by wysłać ostrzeżenie innym prostytutkom, które nie chciały przejść na stronę Siekierki. Wisieli tak, podłączeni do kroplówki z mieszanką soli fizjologicznej i środków utrzymujących przytomność. Kulawy w dupie miał ich błagania, że przejdą na jego stronę i powiedzą, jak dopaść Siekierkę. Chciał wiedzieć, czym i jak torturowali Małą Elę, a jako że prosiaki milczały, Dyszel i Gruźlik przekłuli im najpierw śrubokrętami po jednym bębenku. Wystarczyło, by dowiedzieć się, że użyli na nią gorącego wibratora, obcęgów i tępego brzeszczota. Dyszel zasyczał wtedy, widząc w wyobraźni cierpienie kobiety, a Kulawy, bujając się na taborecie i kołysząc jednego prosiaka skórzanym pantoflem, powiedział spokojnie do Dyszla:

– Weź mi to wszystko zara przynieś.

Na wpół głuche prosiaki zaczęły wierzgać i kwiczeć. Dyszel miał już wyjść z garażu, gdy odwrócił się speszony.

– Skąd mam wziąć, kurwa, wibrator?

– Zabierz swojej starej! – ryknął Kulawy.

Gruźlik i Kapucyn ryknęli śmiechem, podobnie jak Eric, który siedział w samochodzie, patrząc przez przednią szybę, i choć starał się takich rzezi unikać, nie odmówił sobie męki skurwysynów, którzy nieludzko zarznąli biedną Małą Elę. Kulawy nie dosłyszał mamrotania Dyszla, bo zagłuszały go piski prosiaków.

– Cisza, kurwa! – ryknął Kapucyn i kopnął najgłośniejszego wyjącego w szyję, miażdżąc mu grdykę i łamiąc kręgosłup.



Kulawy podszedł, sprawdził puls i syknął.

– Dyszel! Spierdalaj mi po to wszystko, bo zaraz cię tu powieszę razem z Kapucynem.

Jako że Dyszel długo nie wracał, a i Kulawy wyszedł, Gruźlik i Kapucyn z nudów bawili się kolejnym prosiakiem, najmniej przytomnym, sprawdzając jego wytrzymałość na opalarkę i stolarską wyrzynarkę. Gdy szef wrócił, prosiak nie miał oczu, nosa i penisa. Oraz tętna. Nie pomogły maksymalne odkręcenie kroplówki i kopniaki w serce. Ostatni z wisielców patrzył na wszystko świadomy, że będzie numerem popisowym, a Dyszel już tylko dla niego przytacha spec-zestaw, prosił więc o litość zaskakującą propozycją.

– Powiem... jak zgarnąć... sto baniek, legalnie, mamy polityka, eee, szykuje ustawę...

Kulawy przyłożył ucho do jego ust.

– Mów, mów, a obiecuję, że Dyszel zrobi to szybko – wyszeptał boss, gdy do garażu wszedł roześmiany Dyszel, rzucając na ziemię torbę.

– Wibratora nie znalazłem, ale mam to – zachichotał jak dziecko i wyjął wielką wiertarę z grubą jak pięść spiralą na końcu.

Zobaczył to ostatni żywy prosiak i dostał zawału. Próbowali go reanimować pół godziny kopniakami w klatkę piersiową, ale tajemnica numeru, który chciał wykręcić Siekierka, musiała odczekać z odkryciem pół roku. Eric przeczytał wtedy artykuł o kolosalnych zyskach z automatów do gier wstawianych masowo do małych restauracji, przydrożnych barów, stacji benzynowych. Za wszystkim stał Siekierka, teraz szanowany biznesmen, któremu zaprzyjaźniony poseł, jak się dowiedzieli na mieście, napisał ustawę z luką prawną, kwalifikującą automaty jako „zręcznościowe o małych wygranych”, co nie wymagało koncesji ani płacenia kolosalnego podatku od hazardu. Siekierka spokojnie zrezygnował z kurewskiego interesu, narkotyków, blendowanego paliwa, skimmingu, lewych kredytów, wyłudzeń na przedłużony termin płatności, ustawiania meczów w trzeciej i czwartej lidze i pozostawił to na wyłączność Kulawemu. Eric ukradł kilka takich automatów, rozpruli je i wyjęli z każdego ponad dziesięć tysięcy złotych. Obliczyli, że jeśli Siekierka, jak

przechwalał się na mieście, rzeczywiście kontrolował dwanaście tysięcy automatów rozsianych po całym kraju, to miał sto dwadzieścia milionów czystych jak ruski spirytus złotych. Od tamtej pory Dyszel osobiście pilnuje, by przy pijanym Kulawym nie używano słowa „Siekierka” i jemu pokrewnych, bo całkiem niedawno, gdy boss przypomniał sobie, że jego dawny konkurent miał po dwóch latach legalnego interesu drużynę w ekstraklasie, gorzelnie, dwa browary, sieć tanich przewoźników lotniczych, udziały w jakiejś gazecie, pół sejmowej partii w kieszeni i jeszcze rucha Miss Polski, to chwycił widelec i wbił go Dyszłowi w kolano, krzycząc na jednym oddechu, że „gdyby przyniósł zwykły mały jebany wibrator, a nie jakąś kurewską maszynę do zaprawy, to poznaliby w czas tajemnicę, którą zabrał w pizdu do grobu ten jebany prosiak z pikawą przerośniętą prochami!”.

Babcia, jak przypomniał sobie Eric, siedząc teraz na pryczy, powtarzała mu zawsze, że stosunek ludzi do zwierząt określa stosunek do samego siebie, czyli innych ludzi, a gdy próbował roztrząsać, w którym momencie jego drogi życiowe rozeszły się z refleksją babci, rozległ się szcęk rygli i do celi wszedł klawisz.

– Wolny Eric, syn Roberta, zabrać rzeczy!

Wstał, a jako że nie miał żadnych rzeczy oprócz swoich śmierdzących ciuchów, zameldował gotowość. Przeprowadzono go do małego pomieszczenia, gdzie dano mu do podpisania kartę zwolnienia. Wyszedł za bramę i naciągnął kołnierz katany, chroniąc się przed deszczem. Spojrzał przed siebie. Szedł ku niemu młody chłopak z dredami i przerzuconą przez ramię torbą.

– Pan...? – Ajla mrużył oczy przed kroplami deszczu.

Eric zmarszczył brwi.

– Czego?

– Ja do pana...

– Spierdalaj!

– Spokojnie, eee... wszystko panu wyjaśnię, zaraz powiem, w gazecie było... – Ajla zaczął grzebać w torbie.

– Co?

– No ten, że kościół, nieźle jaja, chce pan podpalać inne? – spytał Ajla, wyjmując

egzemplarz nowej gazety, którą kupił w kiosku zaraz po transakcji z Gambitem. Otworzył, pokazał Ericowi, a ten spojrział na tytuł i podniósł brwi.

– Spierdalaj, czubie – parsknął i ruszył przed siebie, próbując sobie przypomnieć ostatnie chwile minionego wieczoru, a gdy Ajla mimo to pobiegł za nim, odwrócił się.

– E! Kudłaty! No bo cię jebnę i się skończy!

– Na dyżurce powiedzieli mi, że pan wychodzi, no to czekałem. – Chłopak próbował wyciągnąć z torby tablet.

Eric zbiegał schodami metra. Miał nadzieję, że obejdzie się bez walenia tego dzieciaka po mordzie, bo miał już dość jak na jeden dzień.

– Panie Eryku, niech pan poczeka!

Odwrócił się gwałtownie, podbiegł i chwycił go za gardło.

– Skąd, kurwa, znasz moje imię?!

Ajla podał mu gazetę. Gdy Eric skończył czytać, zgniótł papier, przypominając coś sobie mgliście i obiecując, że jak znajdzie dziennikarza odpowiedzialnego za ten ściek, wyrwie mu jaja i wsadzi w oczy. Puścił chłopaka, próbując sobie przypomnieć adres pewnej dziewczyny, u której bywał przed kilkoma miesiącami, a która chciała za niego wyjść. Pójdzie do niej, bo na hotele nie miał teraz kasy, umyje się, bzyknie, a rano do Kulawego po swoją dołę, za tę Anglię i dowody osobiste.

– Proszę. – Ajla podetknął mu pod nos tablet. – Tu. – Stuknął palcem.

– Co to jest?

– Fejs.

– Wiem, kurwa, co to jest fejs.

– Masz ponad czterdzieści tysięcy fanów!

Eric zajrzał w ekran – „Lubię to! 43 347”. Przeczytał jeden z komentarzy: „Nie uważacie, że najwyższy czas ruszyć dupy i pokazać klechom, gdzie ich miejsce? Ten koleś ma rację – popieram!”.

– Założyłem ci Fanpage! – Ajla prawie podskakiwał z podekscytowania.

Eric spojrział na niego mało przytomnym wzrokiem i wsiadł do pociągu, który właśnie podjechał. Kątem oka zarejestrował, że chłopak wskoczył do tego samego

wagonu. Zdawał sobie sprawę, że nie nadążał za tym pokoleniem. Gdy Kulawy wynajął kiedyś pewnego licealistę do skimmingu, by skopiował im paski z kart kredytowych, to gówniarz w ciągu kilku dni opracował nie tylko metodę kopiowania, ale i obróbki nowych kart, kradzieży PIN-ów i montażu nad bankomatami miniaturowych kamer do rejestrowania wbijanych kodów. Nikt nie był w stanie zrozumieć słowa z jego żargonu, a Kulawy zachnął się, że „koniec, kurwa, świata idzie, jeśli on nie jest w stanie pojąć wała, na którym zarobił taki szmal”. Eric wychodził z założenia, że taka wiedza nie jest mu potrzebna, skoro za kilka koła mógł wynająć każdego specjalistę z dowolnej branży. Nie miał również profilu na żadnym portalu, bo i po co, skoro krąg kulturowy jego znajomych ograniczał się do ludzi, którzy o komputerach wiedzieli tyle, że potrzebują prądu lub baterii, a służą do gier, kurewskich anonsów i pornoli. Pociąg zatrzymał się, Eric wysiadł. Przeszedł kilka kroków, ale nagle stanął. Podniósł rękę do czoła w zamyśleniu. Pociąg ruszał, peron był pusty. Zaczął biec, zaglądając w okna wagonu, ale chłopaka w dreadach już nie widział.

– Zaraz! Zaraz! Stop! – krzyczał.

– No co? – odezwał się Ajla, wychodząc z za peronowego filaru.

Eric stanął, zasapany.

– Pokaż mi to jeszcze raz. – I spojrzał na licznik i zdjęcie artykułu.

– Panie Eryku...

– Nie jestem Eryk, tylko Eric, przez „c” na końcu. Opowiedz mi o tym, o co tu chodzi, czemu to tak. – W jego głowie zakotłowała myśl.

– Tu? Teraz?

– Nie, chodźmy gdzieś.

– Mam fajną metę. – Ajla schował tablet do plecaka.

Po półgodzinie stali w korytarzu mieszkania, a Eric potykał się w ciemności.

– Co to jest? Pustostan jakiś? – spytał, przesuwając dłonią po gładkiej, otynkowanej ścianie, a echo roznosiło się, jakby weszli do wielkiej hali.

– Tak jakby. Matka wyeksmitowała żuli, a właściciel mieszka w Australii. Nawiałem z chaty, wziąłem klucze, no i tak siedzę. Nie ma światła, gazu, ale jest

woda – zaśmiał się.

– Ile masz lat? – Wolny podszedł do okna, otworzył, spojrzął na główną ulicę miasta, przypalił papierosa i przysiadł na parapecie.

– Dziewiętnaście. Skończę za miesiąc.

– Twoja matka jest komornikiem?

Ajla usiadł na podłodze, oparł się o ścianę, wyjął firkę i woreczek z marihuaną. Do mieszkania wpadało światło neonów.

– Nie, adwokatem. Cholernie dobrym, wyciąga nawet gangsterów. Tylko że... pije... może zagłusza sumienie, nie wiem. Pamiętasz taką aferę z gangsterem Kulawym? Moja matka go wyciągnęła. A miał dostać dożywocie, pamiętasz? Może gdzieś czytałeś?

Mężczyzna spojrzął na niego i uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak kilka lat temu z Dyszlem i Gruźlikiem siedzieli w samochodzie pod sądem i rechotali, słuchając radiowej relacji, gdy adwokatka Kulawego, która chlała na umór, zwana Metaxą, przekonywała dziennikarzy: „mój klient jest porządnym obywatelem, płaci podatki i wspiera charytatywnie wiele instytucji, jest również wzorowym ojcem i mężem”. Sąd z braku dowodów nakazał zwolnić wtedy Kulawego z aresztu. Jeszcze kilka dni wcześniej miał sprawę przegraną, bo biegli znaleźli fragment jego naskórka pod paznokciami żony pewnego biznesmena, która szarpała się, zanim dostała kulę w łeb, bo jej mąż, zamiast zapłacić za uwolnienie, ściągnął gliny. Metaxa poszła do prokuratora z misją zniszczenia dowodów w zamian „za wszystkie pieniądze świata”, ale została wyrzucona na pysk. Trzech Białorusinów wynajętych przez Kulawego zakradło się nocą w kominiarkach do domu prokuratora na przedmieściach Warszawy. Leżała już w łóżku, gdy zakneblowali ją i położyli na podłodze, trzymając za nogi i ręce. Gdy mąż w szlafroku wszedł do pokoju, nie zdążył pisnąć, dostał pałą. Ocknął się i zobaczył, jak jego żona rzeź, dławi się kutasem, bo gwałcą ją we dwóch, a trzeci nagrywa kamerą. Eric nie widział tego nagrania, z relacji Dyszla wiedział, że podczas półgodzinnej orgii nikt nie odezwał się słowem, by nie zostać rozpoznany po głosie, a słychać było tylko jęki kobiety i jej męża, który płakał jak dziecko związany na podłodze. Gdy skończyli z kobietą, ustawili go w kucki i również zgwałcili, każąc teraz jej patrzeć. Zaraz po

robocie Białorusini zostali zakłuci śrubokrętami przez Dyszla, Gruźlika i Kapucyna, rozkawałkowani, zmieleni i wrzuceni do klatek z norkami. Płytę z nagraniem Kulawy skopiował i wysłał prokuratorce z informacją: „Wiesz, co robić, albo nagranie obejrzy sobie cały jebany świat”. Oryginał schował w sejfie w garażu, do którego dołączył później obraz skradziony przez Pumę i figurkę z wielkimi cycami. Tyle że płyta zniknęła pewnego dnia, a Kulawy o niej zapomniał. Dyszel znalazł ją w kolekcji syna szefa, gdy szukał gier do PlayStation. Delikatnie przyciśnięty synalek przyznał, że sprzedał nagranie na jakimś portalu amerykańskim za sto dolców do zakładki „Violence, Hardcore”. Kulawy nigdy się o tym nie dowiedział. Rankiem przed rozprawą, zanim sąd go zwolnił z aresztu za porwanie i zabójstwo żony biznesmena, wpadła do jego domu Metaxa, krzycząc;

– DNA zniknęło!

Prokuratorka, jak dowiedziała się później adwokatka, zniszczyła DNA, a zaraz potem rzuciła pracę, zamieszkała gdzieś w górach z wykolejonym, naćpanym muzykiem i żyła z dotacji na owce. Jej mąż po nieudanej terapii popełnił samobójstwo, wieszając się na kracie okna szpitala psychiatrycznego.

– Pije, mówisz. Ach, te matki... – westchnął Eric. – No to opowiadaj, o co w tym chodzi. – Usiadł obok Ajli i zajrzał w tablet.

Monia siedziała przy szpitalnym łóżku z gazetą w rękach, na którą padało słabe światło lampki zawieszanej nad głową Nory. Z okładki – tuż pod tytułem *Czy polska gwiazda podbije Hollywood?* – patrzyła młoda blondynka. Nora trzymała ciężką głowę na poduszce, spojrzała na okładkę, potem na stojak kroplówki i biały wężyk, co biegł w dół, zakręcał przy poręczy łóżka, chował się pod kołdrą i kończył drogę w wenflonie na jej przedramieniu. Tępy ból przeszywał jej pierś. Nie pamiętała, jak znalazła się w szpitalu. Na sąsiednim łóżku leżała dziewczyna, która powiększyła sobie cycki dla męża, u tych samych ruskich, bo mąż „ogłądał się za innymi”, a po pijanemu napastował przyjaciółkę dziewczyny. Panie Jezu, myślała Nora, dlaczego dajesz jednym takie wielkie buble do kolan, a innym naleśniki, by cierpiały, patrząc, jak mężowie ślinią się za innymi. Myślała teraz, jak „to” zrobi. Może jak wtedy, gdy siostra mówiła jej: „Idź się potnij”, i już trzymała ostrze przy nadgarstku, ale gdy

wbiła, ból był zbyt silny i tylko wyrzygała się do zlewu. Nawet z rozpaczony teraz by nie umarła, bo nie miała już czym płakać, bo pan Bóg wymyślił, że ma boleć, krwawić, rzygać, jak u tego sąsiada, którego chodziły do sadu oglądać z innymi dzieciakami, co powiesił się na orzechu po pijanemu, gdy miał iść na trzy lata za alimenty. Dyndał na jabłoni z wiatrem, a Nora i inne dzieciaki rzucały w niego kamieniami, by kręcił się jak bombka na choince, i uciekały z krzykiem na widok sinej twarzy z otwartymi oczami i wywalonym z gęby fioletowym językiem, jakby zamoczył go w jagodach. Wisiał, dopóki ten z pogotowia i pan milicjant nie przytrzymali, żeby odciąć sznur, i zdjęli trupa, położyli na trawie, przykrywając prześcieradłem, które zaraz poczerniało od much. Nie, tak nie chcę, chcę ładnie, pomyślała. Pod pociąg też nie, może wrócę tam, do tego mieszkania, odkręcę gaz i wsadzę łeb do kuchenki? Ale czy wytrzyma bez powietrza? Gdy miała pięć lat, topiła się w stawie i gdy nie mogła złapać tchu, a woda zalewała jej płuca, bardzo bolało i błagała Pana Jezuska i Maryję Najświętszą Panienkę, by ktoś pojawił się na brzegu i zobaczył, że umiera. Nie, duszenie nie. Pójdzie do lekarza, poprosi o coś na sen, na nerwa i weźmie garść. Nie, też nie, przecież czytała, że po tym się rzyga, nawet po śmierci, a ona nie chce w tych rzygach, bo będą stali nad nią, może z gazety ktoś przyjdzie i zrobi zdjęcie, bo czasami robią, czytała przecież, że jak się młoda i ładna zabije, to dają, że „szkoda młodego życia”. Jezu, Panie Boże, dygotała, daj umrzeć spokojnie, bez syfu tego całego, daj no, do kurwy nędzy. Spazmy wstrząsnęły jej ramionami.

Monia spojrzała na przyjaciółkę.

– Jezu, Norcia, wiem, wiem, proszę cię, jestem tu...

– Dlaczego? Dlaczego ja? Przecież tak niewiele chciałam, tylko tyle, dlaczego, Monia, no powiedz, no? Ten jebany świat, jednym wszystko daje, a nawet jak nie, to tyle chociaż, by starczyło, a ja tyle właśnie chciałam, a jednak nie, kurwa, nie dostanę, nawet tego malutkiego, mam cierpieć, kurwa, gnić, to miasto nie dla mnie, mam wrócić na wiochę, do ojca, matki, siory z trójką bachorów i zgnieć tam, a nikt mnie teraz tam nie weźmie, nikt, nawet najgorszy chuj spod Antałka będzie kijem mnie pędził i będą mówić, że pocięta jakaś...

– No już, już, ale ważne, że cyca uratowałaś... – Monia tuliła ją mocno.

– Co już! No co, kurwa, już! Odpierdol się, wszyscy się odpierdolicie, wszyscy! – Dziewczyna wyrwała wenflon i rzucała się na łóżku, dopóki nie weszła pielęgniarka i nie przytrzymała jej razem z Monią, by wbić w ramię igłę strzykawki.

Nora zobaczyła swoje stopy z paznokciami pomalowanymi na czerwono, falującymi pod niebieską wodą w basenie. Podniosła jedną nogę, chlup, potem drugą, chlup. Wyjęła nogi z basenu, chciała wstać, ale musiała przytrzymać sobie wielkie, długie na pół metra cycki, które ciążyły jej i wymykały się z dłoni, podążając w dół. Owinęła je wokół rąk jak sznur, przeszła wzdłuż basenu po niebieskich, pięknych kafelkach i usiadła na leżaku. Rozwinęła cyce, odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy, by nie dostać zmarszczek, pomacała ręką za drinkiem, ale zamiast szklanki wyczuła coś miękkiego. Otworzyła oczy. To mały, wypełnionym żelem cycek pełzł ku niej, a inne wdrapywały się po nogach, ramionach, chciała krzyknąć, ale cycki przyduszały ją, wspinały się, więcej i więcej, wierzała nogami, by je strącić jak natrętne owady, ale przyspieszyły, zerwała się więc, wlokąc własne, wskoczyła do basenu, a gdy chciała zaczerpnąć powietrza, nie mogła, bo ciągnęły w dół, ku dnu, a woda wlewała jej się do gardła...

Poderwała się, krzyknęła, chwytając głęboko powietrze. W pokoju panował półmrok, Moni nie było.

– Dobrze już? Coś ci się przyśniło – wyszeptła dziewczyna z łóżka obok, podtrzymując się na łokciu. Głowę miała obandażowaną, z lewej strony przy uchu czerniała bordowa plama, bo oprócz cycków dała się namówić na kosmetykę odstającego ucha. – Może wody? – spytała, trzymając w ręku małą plastikową buteleczkę.

PKS zatrzymał się na pustym przystanku. Młody wysiadł w kurz i skwar. Przeszedł kilkaset metrów, by zobaczyć wielki, ponury gmach Zakładu Psychiatrycznego. Potem alejką dotarł na dziedziniec. W okienku portierni siedział starszy mężczyzna w uniformie ochrony. Patrzył w telewizor, na którego ekranie leciał jakiś serial.

– Ja do cioci. Dzwoniłem. – Chłopak schylił się do okienka.

Ochroniarz, nie odrywając wzroku od ekranu, podniósł słuchawkę telefonu. Młody podszedł do automatu z wodą, gdy w drzwiach korytarza stanęła pielęgniarka



w białym fartuchu.

– Słucham?

– Ja do cioci, Złota, Joanna, dzwoniłem... – Zaszło mu w gardle.

Pielęgniarka zaprosiła go skinieniem ręki, podprowadziła pod pokój z tabliczką „Lekarz dyżurny” i zapukała. Zajrzała do środka, powiedziała coś szeptem i na korytarz wyszedł wysoki, chudy i łysawy lekarz koło czterdziestki. Ziewał, nie zasłaniając dłonią ust. Młody dostrzegł krosty na jego twarzy i dałby głowę, że wyczuł od niego alkohol i lekarstwa. Lekarz zaprowadził go do małego pomieszczenia z zakratowanymi oknami wychodzącymi na ogród i zniknął. Wewnątrz były tylko dwa krzesła i stół. Ściany i sufit pomalowane były na biało, a podłoga z linoleum miała kolor kawy. Podeszedł do okien, które wychodziły na tył kliniki. Zobaczył spacerujących w różnym wieku. Jedni przygaszeni, powłóczyli nogami, inni biegali jak podczas wyścigu, jeszcze innych prowadziły pod rękę pielęgniarki.

– Kim jesteś?

Podskoczył z przerażenia, słysząc za plecami kobiecy głos. Stała oparta o ścianę, w długiej, jasnej bawełnianej koszuli, lnianych spodniach i ciemnych skórzanych sandałach. Miała białe jak śnieg włosy, opadające na ramiona, ale mocno przerzedzone. Przypominała mu kobietę z jakiegoś obrazu, który mógł przedstawiać równie dobrze anioła, jak i demona. Rozpoznał Złotą po rysach twarzy. Wyglądała o wiele starszej niż na zdjęciach w gazecie. Choć patrzyła mu prosto w oczy, miał wrażenie, że go nie widziała.

– Chciałem zapytać... Wiem, że to dla pani trudne...

Podeszła do niego, wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. Znieruchomiał.

– Boisz się? Boisz? – wyszeptwała.

– Ja? Nie. To znaczy czego? – pozwolił się głaskać. Nie miał jeszcze do czynienia z wariatem, nie licząc dziadka. Gdy umierał, a miażdżycza przejęła władzę nad jego starym ciałem i umysłem, nikogo nie rozpoznawał i miał, podobnie jak Złota, jakby niewidzące, takie przezroczyście spojrzenie.

– Uważaj. Oni są wszędzie. Uciekaj, póki możesz. – Zmarszczyła nagle brwi

i uderzyła go w twarz otwartą dłonią. Chwycił za piekący policzek. Był bardziej zdziwiony niż przestraszony. Do pokoju wbiegł chudy lekarz, wykręcił Złotej rękę, a kiedy zaczęła się szarpać, jęczeć i pluć, wyprowadził z pokoju.

Młody wyszedł na korytarz. Nieco zasapany lekarz podszedł do niego po kilku minutach.

– Toleruje tylko swoją matkę – powiedział, zacierając ręce jak po ciężkiej robocie.

– Szukam jej męża, wuja znaczy, gdzieś się zaszyl... Może pan wie? – Młody tarł wciąż piekący policzek.

– Nie, nie pomogę, przychodzi tylko jej matka, niech pan jej spyta.

– No tak. – Chłopak podrapał się po głowie, wiedząc, że byłoby podejrzone, gdyby pytał o adres matki swojej rzekomej ciotki.

– Na początku dzwonili nawet dziennikarze. – Lekarz wyduł wargi. – Jakaś rodzina przychodziła, ale potem, wie pan, to jest miejsce, o którym tamten świat szybko zapomina. Chociaż... – Przygryzł dolną wargę. – Mam nadawcę pieniędzy, który opłaca dodatkową opiekę pielęgniarstwa, ale to chyba nie matka... Niech pan poczeka. – Odwrócił się i zniknął w gabinecie. Z drugiej strony korytarza nadchodził sztywny, ubrany w garnitur męczyzna w średnim wieku. Wyglądał na pracownika administracji.

– Czego pan tu szuka? Kim pan jest? Jakim prawem pan tu węszy? – Miał pewny siebie głos.

– Przepraszam, nie chcę nikogo niepokoić – wydukał Młody.

– Spokojnie. – Męczyzna nachylił się, rozglądając czujnie na boki. – Akcje mam, atrakcyjnie, tanio. Kupi pan? – spytał konfidencjonalnie i sięgnął ręką pod poły marynarki.

Z gabinetu wyszedł lekarz i podnosząc ręce w dezaprobachie, odezwał się familiarnie:

– Panie prezesie, bardzo bym prosił nie zaczepiać gości, tego młodego człowieka na pewno nie stać na żadną transakcję.

– Oczywiście, że nie stać, bo to duża transakcja! – zachnął się prezes, odwrócił

się i odszedł pospiesznie, nucając coś pod nosem.

– Pamięta pan? – Lekarz wskazał za nim brodą. – To ten od linii lotniczej, co zbankrutowała.

Młody patrzył, jak prezes podskakuje na środku korytarza wokół atrakcyjnej pielęgniarki, a ta próbuje się go pozbyć, machając ręką, jakby odganiała natrętną muchę.

– Coś znalazłem. – Doktor podał karteczkę. – Jest adres nadawcy, ale bez nazwiska, nie wiem, może pomoże.

Chłopak podziękował, pożegnał się i poszedł w kierunku dyżurki. Gdy stał na przystanku PKS, wbił adres z kartki w mapę w telefonie. To chyba pomyłka, pomyślał, patrząc na miejsce, które wyświetliło się na ekranie.

Papa kucnął przy biurku asystentki naczelnego i miętosił w dłoni karteczkę, którą mu podała.

– Powinien zaraz wrócić, bo ma rozmowę z prezesem – szeptała Iwonka. – O piętnastej jest na spotkaniu na mieście. Potem w galerii ma kupić żonie biżuterię na prezent. Zaproponowałam coś od Swarovskiego, powinien tylko wejść i zapłacić, bo napisałam mu numer katalogowy. Po siedemnastej idzie do szkoły po syna, ostatnio odbiera go sam, no wiesz... To ile tego będzie, trzy fotki?

Papa podrapał się po brodzie.

– No chyba...

– Dla mnie połowa, tak? Czyli półtora tysiąka? – spytała.

– No chyba...

Papa wstał, włożył karteczkę do kieszeni i poszedł do swojego pokoju, mijając się z Lebiodą, który szedł w stronę windy.

– Melduj, że jestem – rzucił naczelny do Iwonki, kierując się do swojego gabinetu. Asystentka podniosła słuchawkę i zaanonsowała.

W kabinie naczelny patrzył na różowy bohomaz, napisany chyba szminką, w dodatku błędną angielszczyzną, jakby przez dziecko. Winda stanęła między piętrami.

– Kurwa! – zaklął i wdusił guzik alarmu.

Spojrzał na zegarek. Nie powinien się spóźniać, ten pijaczyna tego nie lubi. Wszyscy wiedzieli, że za sobą, delikatnie mówiąc, nie przepadali. Lebioda nie lubił alkoholików, uznając ich za hedonistów, podobnie jak gejów, lesby, narkomanów, singli, hipsterów i inne barachła. To niezłe skurwysyństwo, pomyślał, że koncern zrobił wydawcą Tureckiego. Liczył po cichu, że jego wybiorą, bo tyle lat zapierdalał na pierwszym froncie, wyhamował spadek sprzedaży, choć wielu zamknęło druk i przeniosło się do internetu. Za jego czasów wzrosły co prawda koszty obsługi procesowej i odszkodowań, ale nie ma nic za darmo, wiedzieli o tym dobrze, bo przecież „płyniemy, płyniemy, kurwa mać”, zaklął, wciskając guzik windy. Turecki, filozof cholerny, wzięty tylko dla nazwiska, zaczął chyba jeszcze więcej pić, gdy wywalili go z posady naczelnego gazety „o-pi-nio-twór-czej”, wymamrotał z pogardą i walnął pięścią w ścianę windy. Ruszyła. Ciekawe, rozmyślał, że Turecki nie siedzi teraz na korcie, gdzie zdarza mu się grać nawet z Pierwszym, a skąd przyniesie czasami dobrą plotkę, jak ta o Złotym, którego wykończyli w dwa tygodnie, gdy między gemami premier szepnął, że ma romans z posłanką. Chciał pozbyć się Złotego z komisji sejmowej, bo blokował jakieś ustawy, więc Papa czatował w sejmie godzinami, by zrobić zdjęcie. Lebioda nie wierzył, by ten gnojek paparazzi wygadał się z Klaudynką, bo był w to bardziej umoczony niż on, ale jego tupet go denerwował. Zrobi coś z tym przy najbliższej okazji, gdy temu przepoconemu lumpowi powinie się noga. Wyszedł z windy na korytarz, na miękkiego dywan. Podszedł do sekretariatu i usiadł w fotelu, czekając, aż sekretarka Tureckiego skończy rozmawiać przez telefon. Ale nie, udawała, że go nie widzi, a to znak, że nie ma szacunku, pomyślał Lebioda, co z kolei znaczyło, że Tureckiemu zdarzało się pewnie na głos obrabiać mu dupę, co działało również w drugą stronę, ale z jedną różnicą: Iwonka nie miała szans okazać tego Tureckiemu, bo to Lebioda jeździł do niego, a nie na odwrót.

– Naprawdę? No zobacz, no co ty powiesz... – Sekretarka patrzyła w okno, kręcąc na palcu kabel telefonu.

Naczelnik patrzył na zdjęcia byłych właścicieli gazety, wiszące na ścianie w plastikowych ramkach. Najpierw był opozycjonista z czasów PRL, który nie

godził się, by publikować zdjęcia roznegliżowanych kobiet, przez co nakład nigdy nie wyszedł poza sto tysięcy egzemplarzy, potem młokos, syn króla pieczarkarzy, który nadał gazecie linię utrzymaną do dzisiaj: golizna otwierała i zamykała gazetę, a limit trupów, dramatów i grozy nie mógł zejść poniżej dziesięciu artykułów w każdym numerze. Po trzecim właścicielu, zwanym na mieście Siekierką, został tylko ciemny ślad na ścianie, bo fotografię zdjęto z odrazą, gdy sprzedał gazetę obecnym szefom, czyli duńskiemu koncernowi. Lebioda przypomniał sobie tego idiotę i pytanie Alicji: „Dlaczego firmujesz gangstera?”. A co miał, kurwa, zrobić? Dokąd odejść z dziesięcioma tysiącami miesięcznej raty za dom? Idiotka, dnia by w tym domu nie została, gdyby przyszedł i powiedział: „Kochanie moje, nie mam roboty, od dzisiaj kupujesz biżuterię w Tesco”.

– Jest redaktor Lebioda – rzuciła do telefonu sekretarka i wskazała naczelnemu drzwi.

Wszedł do gabinetu wielkiego jak sala gimnastyczna. Turecki stał przy oknie, nachylając się nad długą lunetą. Pomachał ręką na przywitanie, nie odrywając wzroku od okularu. Lebioda podszedł, wyczuł woń alkoholu. Turecki podniósł głowę, chichocząc. Pokazał palcem w okular, zapraszając, by naczelny popatrzył. Nachylił się i zobaczył znajomą kobietę, stojącą przy wystawie sklepowej.

– No, moja stara – chichotał Turecki. – Wyszła stąd przed półgodziną, a jeszcze nie straciłem jej z oczu. Niezła zabawka, co?

Lebioda odsunął się od lunety, ale Turecki dalej rozkoszował się podglądaniem żony.

– Przypomnij mi, Zbyszku, czym się tu zajmujecie.

– Nie, no proszę cię... – uśmiechnął się kwaśno do wydawcy.

– No dobra, wisi mi to, co wy tam na dole robicie. Mam nadzieję, że mnie nie nagrywasz? – Wyciągnął się w wielkim jak tron, czarnym skórzanym fotelu, położył nogi na stole i wziął do ręki książkę *Kulpy Polska. Droga przez martyrologię*. – Mam ci przekazać coś od centrali – powiedział cicho, kartkując. – Ale najpierw moja krótka koncepcja tego, co robicie. Otóż napierdalacie się tam na dole z ludźmi i czasami to jest fajne, jak ta historia z pomnikiem, mało się ze śmiechu nie

zesrałem – poluzował guzik koszuli pod szyją – i mam nadzieję, że wasi czytelnicy rzeczywiście się posrali. Jest to zatem, jak mówi młodzież, zajebisty fun, a jeśli coś nie jest fun, to robicie tak, by było bardzo fun, i to też jest niezły fun. A wiesz, kiedy pojawia się problem? I teraz przekażę ci wytyczne z centrali. Otóż problem jest wtedy, gdy to wy tam na dole jesteście fun, bo wtedy nie trzeba was już kupować, wystarczy posłuchać, co ludzie mówią, a mówią, że mają zajebisty fun, czytając upolujchuj.pl.

Lebioda przemilczał pomyłkę Tureckiego w nazwie strony, uznając, że była złośliwie zamierzona.

– Dasz mi coś powiedzieć? – Starał się, by pytanie zabrzmiało stanowczo.

– Poczekaj. – Wydawca podniósł znad książki palec wskazujący. – Gównu mnie obchodzi, Zbysiu, czy wydymałeś komuś żonę, masz długi, czy jakiś samiec alfa się wkurwił, bo puściliście, że jego samica to dziwka. To musi się skończyć. Centrala daje ci tydzień.

Lebioda włożył ręce do kieszeni marynarki.

– Mamy sztamę z innymi, nikt nie podejmuje tematu...

– Słuchaj. – Turecki zamknął książkę, skrzywił się. – Ja się na tym nie znam, nie wiem, to nie mój kosmos, nie chciałbym jednak, co słusznie sugeruje nasz nieoceniony Paragraf, znaleźć się na tej stronie obok ciebie. Masz tydzień, a jak nie, złożysz rezygnację, że choroba, że żona, że dzieci czy co tam chcesz. – Ponownie otworzył książkę i zmarszczył brwi, dając znać, że jego uwaga przeniosła się już w pełni na lekturę.

Naczelny odwrócił się, wyszedł, skręcił na schody przeciwpożarowe, by po półminucie wejść do swojego gabinetu.

– Co tam jeszcze na dzisiaj mamy? – zapytał Iwonki, a gdy podała mu kartkę, rzucił okiem. – Odwołaj to spotkanie, od razu pojedę do galerii.

Skinęła głową. Kiedy ruszył w kierunku schodów przeciwpożarowych, podniosła słuchawkę telefonu, by wyszeptać do Papy:

– Zmiana planów...

Papa odłożył słuchawkę, wyłączył komputer i wstał od biurka. Wyszedł z pokoju

z aparatem z długim obiektywem. Stojąc pod windą, wybrał numer w telefonie komórkowym.

– Gdzie jesteś? Możesz pomóc? Nie wiem, no, trzy stówy? Dobra, cztery, ale szybko. Gdzie? W szpitalu? Co się stało? Ooo... To czekam w galerii, na dole. – Rozłączył się i wszedł do windy.

Po kwadransie zaparkował w podziemnym garażu galerii handlowej. Przeszedł na pierwsze piętro, zajrzał przez szybę do sklepu Swarovskiego. Lebioda stał przy gablotach z biżuterią. Papa zszedł na dół, stanął przy wejściu. Monia podeszła szybkim krokiem.

– Chcę z góry – powiedziała, wystawiając rękę. – Z Norą źle, potrzebujemy lekarstw.

– Co jej? – Zajrzał w portfel.

– Jakiś syf się wylał, prawie jej cycka ucięli.

– Masz. – Wyciągnął czterysta złotych. – Jest u Swarovskiego, czarna teczka, biała koszula, łysawy taki. Spróbuj powiesić mu się na szyi.

Monia schowała pieniądze do torebki i poszła w kierunku schodów jadących w górę. Papa zjeżdżał w dół, gdy zobaczył trzech Cyganów, którzy przyglądali mu się podejrzliwie. Fajna była wieśniara, pomyślał o Norze, brała każdego na te wielkie oczy, ale cycki jednak za małe. Zadzwoił telefon, podniósł komórkę do ucha.

– Stoi przy kasie, zaraz będzie wychodził – meldowała Monia. – O, już wychodzi.

– Zjedź z nim do garażu, połaś się – rzucił.

Jeszcze na ruchomych schodach usłyszał jej krzyki, obejrzał się. Cyganie wlekli ją za włosy przez parter galerii. Zapierała się nogami. Ochroniarz podbiegł, dostał w zęby.

Papa zjechał na parking i wszedł do samochodu. Zrobił dwa kółka, nim zauważył auto Lebiody. Zatrzymał się tak, by nie stracić jego mercedesa z oczu. Naczelny wszedł na parking. Papa uchylił szybę, pstryknął.

Monia siedziała na tylnym siedzeniu, między dwoma Cyganami. Piekł ją

policzek, bolała głowa. Pomacała ręką potylicę, bo wyrwali jej mały pukiel włosów. Gdy auto stanęło na światłach, wbiła paznokcie w policzek tego z prawej, chwyciła za klamkę i rzuciła się przez otwarte drzwi. Poczła ból na plecach i upadła, gdy jeden z nich chwycił ją za sukienkę i kawałek skóry. Podniosła się z klęczek, zaczęła biec. Gonili ją. Wykopała z nogi but, bo pierwszy zgubiła w galerii. Zobaczyła dwóch policjantów przy chodniku, gdzie legitymowali jakiegoś kierowcę. Przyspieszyła, by wpaść z impetem na maskę radiowozu. Cygan dopadł ją, policjanci odwrócili się, zaskoczeni.

– Ej! Ej! Ej! – Jeden z nich chciał odciągnąć napastnika, ale podbiegł kolejny i próbował wykręcić Moni rękę, więc ugryzła go w palce. Wygiął się z bólu, a policjant poprawił pałką.

– Muk man! Dilino! Dilino!\* – krzyczała, gdy drugi z Cyganów złapał ją za włosy.

– Tu łubni!\*\* – wycedził Cygan, gdy policjant chwycił go z tyłu.

Monia przekręciła głowę, zyskując nieco luzu i ugryzła mężczyznę w ramię. Puścił. Rzuciła się przed siebie. Zobaczyła postój taksówek, podbiegła do pierwszej, otworzyła drzwi, wsiadła i zablokowała od środka. Dysząc, podała nazwę szpitala, a taksówkarz ruszył.

– Co się pani stało? – Odwrócił się, widząc, że dziewczyna łapie powietrze.

– Jechać... jechać... moja rodzinka... jest trochę nerwowa... – wydyszała. – Łubni! – zaklęła, zdając sobie sprawę, że dawno nie mówiła w romani. Ile to jeszcze, pomyślała. Już dwa lata, jak uciekła z domu do Warszawy. Myślała, że zgubiła tropy, a te gnojki cały czas polują. Ojciec nie daruje, bo dostał kasę za jej ślub z tym obleśnym staruchem, samozwańczym Królem Cyganów, bandytą, co ustawia dzieciaki na żebrzy i kradzieże. Ojciec poprzysiągł ściągnąć ją do domu, choćby kalekę. Och, Alan, przepraszam, pomyślała o bracie, któremu wbiła zęby w ramię. Małego Alanka, braciszka, wozila kiedyś w wózku dla lalek, a teraz został strażnikiem pieprzonego romanipenu. Co za pech, że nie urodziła się w innych klanach, gdzie w dupie miano kodeksy, tradycje i już dawno zezwalano córkom żenić się z gadziami. O nie, myślała, łapiąc oddech, nie skończy jak jej piękna babcia, którą zaszczuli, potępili, zelżyli, gdy stanęła za nią, leżącą w kałuży krwi,



okładaną przez ojca nogą od taboretu. Kiedy znów podniósł kołek, babcia zdzieliła go butem w twarz, kalając. Kochana babcia, pomyślała, pisała wiersze, takie piękne, zakochała się w gadziu i zatłukli go potem w lesie, a zwłoki zakopali. Gdyby nie ona, Monia nie potrafiłaby nawet pisać, bo ojciec nie chciał, by chodziła do szkoły, ale babcia się uparła i prowadziła. Gdy dowiedział się, że córka ćwiczy na wuefie w spodenkach, przyszedł do szkoły i przy wszystkich koleżankach uderzył ją w pysk.

Oddech jej wrócił, gdy taksówkarz zatrzymał się przy wejściu do szpitalnej izby przyjęć.

Młody stanął pod szyldem związku działkowców, pchnął furtkę, wszedł w alejkę. W ogródku otoczonym tujami usłyszał nucenie i odgłos lejącej się wody.

– Przepraszam, szukam kogoś – odezwał się, podnosząc się na palcach i zadzierając głowę nad tujami. – Henryk Złoty...

– A to na pewno z tej strony? – usłyszał głos starszej kobiety. – Bo działki ciągną się aż tam, pod te druty.

Rozejrzał się za drutami. Może chodzi o linię wysokiego napięcia, pomyślał, ale to jakieś trzy do czterech kilometrów stąd.

– Administrator będzie wiedział, on tu zarządza – dodała kobieta.

– Gdzie znajdę administrację?

– Tam.

– Gdzie?

– W spółdzielni, na końcu pod tymi drutami. Albo ludzi pytać, tych, co tu mieszkają cały rok, oni znają wszystkich. Ja zajęta jestem, pelargonie mi padają, jakieś cholerstwo mi sprzedali, chemii pełno, kiedyś to się gównem polało i rosło, a teraz, widzi pan...

Żwir chrząścił Młodemu pod butami, gdy mijał kolejne działki.

– Ustawa! Ustawa! Kici... kici... kici...

Odwrócił się, słysząc głos dziewczynki, i uśmiechnął się do niej.

– Śmieszne imię.

– Jest jeszcze jej siostra Uchwała i brat Postulat – odparła Eszka.

– Ty je tak nazwałaś?

– Nie. Mój tata. Jest bardzo mądry, dużo wie o świecie, gwiazdach i w ogóle...

– A skąd wie?

– Bo wie. – Dziewczynka dumnie uniosła głowę.

– Szukam kogoś, nazywa się Złoty, Henryk, słyszałaś?

– Nie wiem. Pan... yyy to znaczy mój tata też ma na imię Henryk, ale na nazwisko Golden. Może by wiedział, ale go teraz nie ma. Ja jestem Eszka. Znaczy Agnieszka, ale nie lubię tego imienia. – Ruszyła przed siebie.

Młody odwrócił się, by odejść, ale nagle zastygł.

– Ustawa! Ustawa! – wołała dalej Eszka, szukając kota.

Poszedł za nią, by skrócić w kierunku białej altanki obrośniętej kwiatami. Dziewczynka zniknęła w środku. Zapukał. Otworzyła drzwi, wystawiając głowę.

– Jeśli pan jest zboczeńcem, to nie radzę, bo mój tata znał różnych sławnych ludzi.

– Nie, nie jestem. Ładny ogród – powiedział, uśmiechając się i biorąc na ręce szaroburego kota.

– To jest Postulat. – Pokazała palcem zwierzaka. – Lubi pan kwiaty? Bo tata kocha kwiaty, mówi, że jak się z nimi rozmawia, to one słuchają, potrafią odgadnąć, czy jest się dobrym. Mnie lubią, dużo z nimi rozmawiam. A pan jest dobry?

– Chyba tak. – Patrzył na kwiaty podejrzliwie, oczekując, że za chwilę zmienią się w chrust.

– O! To jest Ustawa! Gdzie byłaś, kocmołuchu? – Eszka pogłaskała szarego kota. – Tata zna się na kwiatach, mówi, że są takie, które żywią się mięsem, wie pan? Mają nawet specjalny klej, jak owad wpadnie, to już nie wyjdzie, a kwiat go zżera. Na żywca. To musi boleć, nie? Ale pan, to znaczy tata... – zaczerwieniła się, co nie uszło uwadze Młodego – mówi, że owadów nie boli, bo nie są stworzone do cierpienia. A wie pan, że są takie owady, które udają rośliny, by ich nic nie zjadło? Na przykład patyczaki udają gałęzie, a ciekawe, czy nie boją się, że krowa je zje, bo pomyśli, że to trawa, jak pan myśli? Myśli pan, że patyczaka to boli? Tata mówi, że zwierzęta polują, by jeść, a ludzie są gorsi, bo polują dla zabawy, tylko nie chodzi

o głodność, rozumie pan, tylko te... namiętności. Jak pan myśli?

– Myślę, że twój tata ma rację. – Trzy koty złaknione pieszczot ocierały się o spodnie Młodego. – A mógłbym poczekać na twojego tatę?

Dziewczynka zarumieniła się, patrząc nad jego głową. Chłopak odwrócił się.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał Złoty, stojąc z rękami w kieszeni marynarki, tej samej, w którą ubrany był poprzedniego dnia, gdy siedział przed redakcją.

Młody otrzepał nogawki z kociej sierści.

– Nie chciałbym niepokoić – wymamrotał. – W zasadzie to byłem pewien, że pana nie znajdę.

– A po co pan mnie szukał?

– No właśnie... – Podrapał się po głowie. – To trochę dziwna sprawa.

– Na policjanta jest pan za młody, na detektywa i komornika też, ale ja nie mam długów. W zasadzie to nikt nie powinien mnie szukać. Rozumiem zatem, że jest pan dziennikarzem, którego widziałem wczoraj przed redakcją tej... – Złoty zawahał się. – Mała, leć do domu, wpadnij później.

– Do widzenia – powiedziała dziewczynka.

Drzwi altanki zamknęły się, gdy Złoty wszedł do środka. Młody patrzył na koty. Nie był przygotowany na to spotkanie.

– Skoro już mnie pan znalazł, to proszę wejść – usłyszał stłumiony głos.

Złoty siedział na sofie, trzymając w dłoniach kubek, a w ustach dwie szpilki. Chłopak spojrzał na ścianę pełną wycinków prasowych, głównie z „Tylko Życie”. Mężczyzna wstał, wyjął z kieszeni artykuł o rodzinie, która straciła dzieci, przyłożył do ściany i przybił szpilkami. Młody spojrzał na wycinek, zaczerwienił się.

– Skoro już wiesz, to będę musiał cię zabić. – Złoty uśmiechnął się, siadając na krawędzi sofy. – Proszę. – Wskazał ręką na krzesło przy stoliku, gdzie stał laptop. Gość usiadł i położył torbę na podłodze. – I co? Myślisz, że wariat... że przerzuca winę za swoje życiowe niepowodzenia na gazetę? Tak wam to tłumaczą?

– Kto?

– No musiałeś przecież znaleźć jakąś motywację, by mnie szukać, bo celu twojej pracy w tej gazecie nie próbuję nawet zgadywać. – Odstawił kubek na stolik, podszedł do parapetu okna i wziął do ręki małą fiolkę. Zdjął plastikowy korek, wyjął pigułkę, wsadził pod język. – Myślisz, że jestem wariatem?

– Nie. To znaczy nie wiem... – Młody przejechał ręką po wciąż piekącym, lekko zaczerwienionym jeszcze policzku.

– Co ci się stało?

Zażenowany chłopak spuścił wzrok i rozejrzał się po ścianach. Zobaczył wydrukowany na gazetowym papierze, przyklejony bezbarwną taśmą obraz, na którym kobieta z kosą kładzie palce na oczach wieśniaka.

– Znasz się na sztuce? – spytał Złoty, patrząc na wydruk.

– Nie za bardzo.

– To Śmierć Malczewskiego. Miałem kiedyś wierną kopię, piękną. Musiałem sprzedać, jak wszystko. Ciekawe, kto ją kupił. – Zamyślił się, a po chwili podniósł wzrok na gościa. – Coś ci pokażę. – Podszedł do stolika, podniósł klapę laptopa. Na pulpicie ekranu kliknął w ikonkę „Foto\_nowe”. Młody nachylił się i zobaczył dziesiątki zdjęć. Niektóre miały numery, inne tytuły: „Lebioda\_wieczor”, „Lebioda\_dzieci”, „Lebioda\_zona”. – Dałem za nie już sto tysięcy, schodzą co chwilę, o, to jest nowe. – Otworzył zdjęcie z Lebiodą maszerującym do swojego samochodu w podziemnym garażu galerii. – Dobry jesteś, skoro mnie znalazłeś. Chcesz być dziennikarzem, tak? – Zdjął ze ściany artykuł o zasypanych dzieciach i podał Młodemu. – Byłem u nich. Ukradliście im te zdjęcia dzieci, oni znowu cierpią.

– Chce pan zmienić świat? – spytał Młody, patrząc na artykuł i czerwieniąc się.

Złoty westchnął, odwrócił się do ściany z wycinkami, włożył ręce do kieszeni.

– A ty chcesz? Bo jak byłem w twoim wieku, to chciałem.

Chłopak położył wycinek na blacie biurka.

– Będę musiał o tym napisać, o panu – wyszeptał.

– Tak? – Mężczyzna odwrócił się. – Ale całą prawdę?

– Tak, proszę pana. To będzie mój ostatni artykuł, prawdziwy... – Zastanawiał

się, czy Lebioda mu to puści, ale tym razem na pewno nie pozwoli, by nakłamano. Podpisze się swoim nazwiskiem i odejdzie.

– Dobrze. No to poznaj całą prawdę. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął pendrive i włożył do laptopa. Na monitorze pojawiła się ikona z nazwą „kamera1.mpg”. Kliknął, skinął na chłopaka, by przybliżył się do monitora. Film trwał ledwie pół minuty. Był to biało-czarny zapis z kamery przemysłowej: żona Złotego idzie z córką chodnikiem, odwraca się. Za nimi pojawia się Papa z aparatem. Kobieta coś do niego krzyczy. Dziewczynka wrywa się z uścisku matki, biegnie przed siebie, znika z kadru. Papa podnosi aparat do twarzy. Kobieta biegnie za dziewczynką, także znika z kadru. Mężczyzna opuszcza aparat, widać poruszenie przechodniów, hamujące gwałtownie samochody. Papa chowa w pośpiechu sprzęt do torby, odwraca się, ucieka w przeciwną stronę.

Młodemu zadrżały ręce.

– No i co? Teraz znasz prawdę. – Złoty patrzył na niego, jakby rzeczywiście chciał go zabić.

– Dlaczego... nie poszedł pan z tym na policję? – wyszeptał Młody, próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– Mam by-passy, następny zawał mnie zabije, nie mam czasu na procesy. Opowiem ci coś. – Z rękami w kieszeniach usiadł na krawędzi sofy. – Moja matka wykładała antropologię tu, na uniwerku. W '80, gdy zabrali ją z domu do więzienia, miałem kilka lat. Przeszukali piwnicę i znaleźli jej odezwę o wolności słowa. – Schylił się, wysunął spod kanapy pudełko po butach, wyjął starą kopertę, a z niej pośliznął kartkę. – Posłuchaj: „Chciałabym doczekać dnia, gdy stanę przed kioskiem i dostanę zawrotu głowy od nadmiaru myśli, idei, informacji, które uśmiechać się będą do mnie bezczelnie zza szyby wystawowej...”. Znaleźli też powielacz i bibułę. Matka wróciła z więzienia po sześciu miesiącach, siwa, bez czterech zębów. Nie wyzdrowiała, nerki bolały ją do śmierci. Zmarła w '89, w maju. Przez lata, gdy stałem nad jej grobem, zastanawiałem się, dlaczego Bóg nie podarował jej miesiąca, by mogła doznać tego „zawrotu głowy”. Dzisiaj, nad tym samym grobem dziękuję Bogu, że jej to darował – wskazał palcem na ścianę z wycinkami – że tego nie doczekała.

– Jestem tylko na stażu... – wyszeptał Młody.

Mężczyzna wstał, wyjął pendrive z komputera i schował do marynarki. Podeszedł do okna, spojrzął na ogród. Chłopak podniósł się z krzesła, włożył torbę na ramię.

– Gdybym mógł jakoś... – Wyrwał z notesu kartkę, zapisał swoje nazwisko i numer komórki, po czym zostawił na stole. Obrócił się w kierunku drzwi i wyszedł. Koty przymilały się, ocierając się znów o jego nogawki. Podeszedł do furtki, otworzył, wyszedł na alejkę. Mijając jedną z altanek, usłyszał głos Eszki.

– Auaaa! Tato, nie bij! Aua! Proszę...

Zaczął biec, aż głos dziewczynki ucichł za jego plecami. Podbiegł na pętlę, autobus stał z włączonym silnikiem.

Gambit siedział w bokserkach i białym T-shircie na stołku barowym, popijając whisky, choć daleko było do południa. Facet z firmy, której nazwy nie pamiętał, jeździł odkurzaczem pod jego nogami i wsysał rozsypany ryż.

– Słyszysz mnie pan? Słyszysz, co nie? Jakby nic... a jeszcze mówię szeptem. Widzi pan, jakie чудо? – Niewysoki mężczyzna w średnim wieku, z idealnie przyczesaną fryzurą, ubrany w tani garnitur skakał podniecony.

Gambit patrzył na pokaz bez zainteresowania. Wpuścił akwizytora, bo przeżywał towarzyską pustkę. Nikt nie dzwonił, nie odbierał jego telefonów, nie chciał wywiadu, spotkania, drinka, lunchu, nawet pies leżał odwrócony dupą, gdy zaniósł mu miskę. Bydlę.

– I już! – Gość podskoczył radośnie. – Tak działa „Silence-Vac”, panie Gambini. I co pan sądzi? Czy myślał pan kiedykolwiek, że doczeka dnia, gdy żona będzie mogła przechadzać się z odkurzaczem koło telewizora, a pan spokojnie oglądać mecz?

– Mamy sprzątaczkę – wymamrotał Gambit, popijając ze szklanki.

– Aha. No to sprzątaczką może, a pan i żona przed telewizorem, porozmawiać sobie, prawda, bo nic nie zagłuszy. – Akwizytor tańczył z podniecenia, rozglądając się po białych meblach, aluminiowych bibelotach, telewizorze, który ledwie mieścił się na ścianie. – Pięknie urządzone, pięknie, proszę pogratulować żonie.

– Ja meblowałem. – Gambit upił kolejny łyk.

– Aha... To co? Czy uważa pan, że dziesięć tysięcy to dużo za „Silence-Vac”? – spytał i zastygł.

– Dużo.

– Właśnie!!! – wydarł się sprzedawca, a Gambit podskoczył. – Dlatego dla specjalnego klienta proponuję rabat, uwaga... – Podniósł palec wskazujący. – Czy uwierzy pan? Pięćdziesiąt procent! – krzyknął. Gambit znów podskoczył. – Zatem uwaga! Odkurzacz kosztuje dziesięć tysięcy, rabat pięćdziesiąt procent, ale dla klientów VIP jeszcze piętnaście procent zniżki, czyli...? – zawiesił głos, a jego uśmiech i palec zatrzymały się w „stop-klatce”.

– Trzy i pół koła.

– Dlaczego? – Głos sprzedawcy przeszedł w baryton, uśmiech zniknął, brwi się zmarszczyły. – Bo... mi wychodzi... cztery dwieście pięćdziesiąt.

– A od czego pan liczy te piętnaście procent? Bo ja od dziesięciu klocków. – Gambit przegryzł głośno kostkę lodu.

– Aha, od dziesięciu klocków, mówi pan... No tak. – Sprzedawca chrząknął. – Jezu, ale ze mnie głupek. – Trzasnął dłonią w czoło. – Oczywiście, ma pan rację. No tak, oczywiście... Brawo! Może pan być dumny, nie każdemu oferuję taki rabat. Jedna z pana sąsiadek dostała tylko dwadzieścia procent, no ale nie jest tak znana...

– Która? – ożywił się i uśmiechnął w oczekiwaniu.

– Wybacz pan... Musimy chronić dane naszych klientów. Jest jeszcze mały bonusik, dwa zestawy filtrów po tysiąc złotych każdy. Sprzedałem jej za osiemset, panu mogę za, no, za... uwaga... Czterystaaaaa!!! – zawył, a Gambit podskoczył, krztusząc się kostką. Sprzedawca uklonił się nisko, kończąc numer, podniósł lekko na palcach stóp i zaklaskał. – Czyli razem...?

– Trzy dziewięćset? – Gambit przyjął pozycję obronną, czekając na ryk sprzedawcy, ale ten zmarszczył brwi.

– To za jeden, a mówiłem o dwóch filtrach, czyli cztery trzysta.

Aktor podniósł się na stołku, sięgnął po portfel leżący po drugiej stronie baru, zajrzał i przeliczył.

– Mam tylko cztery. Niech pan przyjdzie później. – Odłożył portfel, wziął papierosa.

Akwizytor wydał usta.

– Wie pan co? To ja nie będę panu już głowy zawracał, niech będzie, w końcu taki klient... – Wyciągnął rękę, przeliczył pieniądze, schował je do saszetki, którą wyjął z czarnego neseseru stojącego na podłodze, i zapakował odkurzacza do kartonu. – Tylko wie pan, tych filtrów nie wziąłem. Doniosę, co? – Spojrzał na niego jak pies proszący, by wpuścić go do domu w deszczowy dzień. – Mam nadzieję, że nie da się pan tej rudej, bo moja żona panu kibicuje, a właśnie... – Wyjął z teczki białą kartkę. – Mógłby pan? Dla żony... Jadwigi.

Gambit patrzył przez okno, jak na podwórzu białym porsche cayenne podjeżdża jego żona Ewelina. Wysiadła, trzasnęła drzwiami, po czym weszła do mieszkania, mijając akwizytora, i opadła ciężko na kanapę. Miała blond włosy, choć prosił, by zrobiła się na rudo.

– Dlaczego blond? – cmoknął z dezaprobatą.

– Odwal się! – Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się sztucznym szlochem.

– Co jest? – Gambit wypuścił dym, pociągnął łyk ze szklanki, zasysając kostkę lodu.

– Ja pierdolę! Coś ty zrobił! – parsknęła, poderwała się, podwinęła rękawy bluzki i zagarnęła do tyłu blond włosy. Wsparła dłonie na biodrach, patrząc na sprzedawcę, który unikał jej wzroku.

– To ja już idę... nie będę przeszkadzał. – Akwizytor uklonił się nisko.

– Jak pan mówił? Jolanta? – Gambit wpisał autograf.

– Tak, tak... – Mężczyzna wziął od niego kartkę, złożył ją na pół i wrzucił do teczki. Ponownie nisko się uklonił, po czym wyszedł.

Ewelina odprowadziła go wzrokiem i spojrzała na męża.

– Po fryzjerze byłam na śniadaniu z nowym stylistą, podjechało dwóch na rowerach, ale gdy mnie zobaczyli, opuścili aparaty, czekając, aż pójdę. I jemu zrobili! Kurwa! Takie upokorzenie, wszyscy się na nas gapili, a ja... Z czego my będziemy teraz żyć? Z czego?! – Podeszła do baru, nalała sobie drinka i wróciła na



kanapę. – Wiesz, co słyszałam? Wiesz, co mówią? Że chcą cię zajebać, że mają już pomysł, że jak będziesz wieształ ozdoby na choinkę, to prąd cię kopnie.

– Bzdura! – jęknął Gambit. – W scenariuszu nie wiem ozdób.

– To wymyślą co innego. Dostaniesz zawału, spadniesz z roweru, wypadek samochodowy, nie wiem...

– Przestań! Nie mogą zabić głównego bohatera serialu. – Podniósł się nad barem, by sięgnąć po kolejną flaszkę.

– A ta twoja żona?! Główna rola, a dostała zawału! – Ewelina stuknęła nerwowo butem na wysokiej szpilce.

– Po pierwsze – podniósł palec – dostała wylewu. Po drugie, odeszła sama, bo miała ofertę z konkurencji. A po trzecie, według badań i tak była nudna, podczas gdy ja jestem wysoko, więc mnie nie ruszą. Nie bądź głupia.

– A jak znikniesz z gazet?

– Przestań – parsknął.

Nie chciał mówić żonie, że poprzedniego wieczoru, na pokazie jesiennej kolekcji wyszedł przed wyjście galerii, a paparazzi opuścili aparaty. Wtedy jedna suka, pogodynka, poprosiła, by na chwilę zniknął. Nalał sobie drinka, wrzucił dwie kostki lodu. Kątem oka zobaczył, że Ewelina zamachnęła się i rzuciła swoją szklanką o ścianę. Żółty płyn ściekał po białej tapecie, a okruchy szkła zabłyszczały na podłodze. Zszedł ze stołka, wyjął odkurzacz z kartonu, naciągnął kabel elektryczny, podłączył do prądu. Maszyna zaszumiała. Przejechał rurą, ale szkła nie zassało.

– No co jest – mruknął i spróbował jeszcze raz. Spojrzał na żonę, wzruszył ramionami.

– Co ty, kurwa, robisz? – Patrzyła na niego, jakby miał nie żyć, a ożył.

– To supercichy... Dał mi prawie za darmo, ale coś nie ssie, może inna końcówka? – Pogrzebał w kartonie. – Chyba szkło za ciężkie, ale ryż ściąga – uśmiechnął się.

– Ryż? Jaki, kurwa, ryż?

– Zwykły.

– Ile dałeś? – Ewelina trąciła odkurzacz butem. – Mieli tylko żółte? Szkoda,

kurwa, że nie wzięłaś fioletowego!

– Yyy... dwa koła, a był za... piętnaście. – Poszedł do przedpokoju i wrócił ze szczotką i szufelką.

– Ten z radia – kobieta podeszła do baru, cedząc słowa – co mieszka na końcu ulicy, z tą z niebieskimi kudłami, kupił jej lepszy, za osiem klocków. – Wzięła szklankę z baru, odkręciła whisky, nalała do połowy.

– Kurwa! – Gambit zasyczał i pokuśtykał do kanapy. Usiadł, podniósł stopę prawie pod sam nos. – Kurwa mać, no! – Próbował wyjąć okruch szkła, który utkwiał w pięcie. Spojrzał na zegarek. Zerwał się i kulejąc, poszedł do przedpokoju. Włożył spodnie, T-shirt i drelichową marynarkę.

– Pięś! – krzyknęła, dolewając sobie z butelki.

– A tam, jednego. Pamiętaj, że wieczorem jest bankiet. – Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi.

– Nie idę! Nie zrobię z siebie pośmiewiska. – Opadła na bar i teatralnie zaszlochała.

Gambit jechał buspasem i zaglądał we wsteczne lusterko, sprawdzając, czy dobrze ogolił prawy policzek. Wyczuł drobną szczecinę wokół krosty, gdy zobaczył policjanta stojącego na ulicy i machającego lizakiem. Zatrzymał samochód, sięgnął do kieszeni, wyjął gumę miętową, szybko przegryzł. Opuścił szybę.

– Dzień dobry, oooo, witam pana – policjant się uśmiechnął.

– Panie władzo, pędzę na nagranie. – Gambit także się uśmiechał i pilnował, by oddech leciał w szoferkę.

– Dobra. – Mundurowy, szczerząc zęby, wyjął z kieszeni kawałek kartki. – Dla żony, Martyny, i niech to będzie pouczenie...

Aktor podpisał się, zasalutował żartobliwie i ruszył. Podjechał pod budynek studia, zaparkował na miejscu dla inwalidy, wyskoczył z auta, popędził na schody. W korytarzu zaczepił go producent, pociągnął lekko za marynarkę i trzymając go pod rękę, szedł z nim szybkim krokiem, szepcząc.

– Stary, musisz coś zrobić, wiem, że twój menedżer próbuje to odkręcać, ale nie ma czasu, nie ma czasu, zrób coś, bo to się źle skończy... A, cześć, cześć. – Co

chwila odwracał się, pozdrawiając mijane osoby i sztucznie się uśmiechając. – Nie muszę ci tłumaczyć, że wasze zdjęcia w gazetach to przedłużenie życia ekranowego. Co ci będę gadał, rozumiesz, wiesz, to się może odbić na reszcie zespołu, a już dzwonią, namawiają, żeby cię potępić, że to incydent i że inni tak nie myślą, więc wiesz, działaj, działaj. – Klepnął go w zdrowy policzek i spojrzał na jego nogi. – Co ty? Kulejesz?

– Nie, nic takiego...

– Ty lepiej uważaj, chłopie, bo znowu trzeba będzie zmieniać scenariusz. Za chwilę cię na wózku posadzimy. – Drapał się po głowie, nie spuszczając wzroku z jego nóg. Po chwili znowu go poklepał, tym razem po ramieniu, i poszedł swoją drogą.

Gambit wszedł do studia urządzonego na salę operacyjną. Wiśnia w fartuchu pielęgniarki rozmawiała właśnie przez telefon, pozdrowiła go uśmiechem. Gdy skończyła, podeszła i pocałowała w zdrowy policzek.

– Będziesz dzisiaj na bankiecie? – spytał. – Bo będę sam...

Uniosła brwi, rozejrzała się dyskretnie, mruknęła i musnęła go dłonią po kroczu. Wszedł do garderoby, usiadł na krześle, podniósł telefon komórkowy.

– Cześć, to ja, możesz? Mam ciekawą ofertę – wyszeptał, uśmiechając się do siebie.

– Mów – odezwała się Błada.

– Naprawdę nie wiem, ma dzisiaj jeszcze dwa spotkania z innymi dziennikarzami, tak że wie pan... – Ajla chodził po pokoju z telefonem przy uchu, zaciągał z fifki i puszczał oko do Erica. Jakiś dziennikarz dodzwonił się, gdy znalazł odezwę na fejsbuku.

Wolny leżał na starej kanapie, którą przynieśli z podwórka, spod pojemnika na śmieci.

Temu dzieciakowi, pomyślał, gdy wypuszczał leniwie dym z papierosa, wyjątkowo łatwo przychodzi kłamstwo nazywane przez niego „elementem budowy wizerunku”. Eric próbował sobie przypomnieć, czy równie łatwo przychodziły mu takie „elementy”, gdy był w wieku Ajli, i uznał, że chyba nie miał tej śmiałości.

Zaraz po śmierci Marczyka, gdy poszedł na prawo, brakowało mu nawet doświadczeń seksualnych, nie licząc jednej palcówki na obozie sportowym. A jego harce ograniczały się wtedy do kradzieży wina, gdy został wysłany do sklepu jako delegat pewnej prywatki. Na zdjęciu grupowym, które ktoś wrzucił na Naszą Klasę, stał w dżinsach marmurkach, koszulce z napisem „Metallica” i miał włosy do ramion. O polityce nie miał wtedy pojęcia, pamiętał tylko, że rządy w Polsce zmieniały się co tydzień, z czym nie nadążali na WOS-ie, a do domu polityka weszła tylko raz, gdy matka w ’93 narzekała, że „do władzy znowu doszły komuchy”. Jedyna forma buntu, jaką pamiętał, to rezygnacja z bierzmowania, bo ksiądz katecheta okazał się miłośnikiem ministrantów, o czym Marczyk nigdy nie chciał wspominać. Nawet po jego śmierci Eric nie myślał na poważnie o spaleniu kościoła, o czym te tysiące na fejsie, co klikały „Lubię to!”, nie miały pojęcia.

– Ty! Ale jaja! – krzyknął Ajla. – Jakiś facet z *Rozmów politycznych* prosi o kontakt. To program tego Kolasińskiego, najśłynniejszego w tiwi!

Eric wyprostował się i zajrzał w tablet. Jego fanpage polajkowało ponad dwieście trzydzieści tysięcy ludzi. Wśród wpisów było kilkanaście próśb dziennikarzy o kontakt. Nie oglądał telewizji, przelatywał tylko po portalach, a czasami w samolocie czytał darmowe gazety. Zdawał sobie sprawę, że jego dawny światopogląd, o ile takowy miał, tak jak i pobieżne choćby zainteresowanie światem, uległ całkowitemu zanikowi, od kiedy ćpał, spał w burdelach i wymyślał Kulawemu nowe wajchy.

– Bierzemy to! – rzucił Ajla, oczekując natychmiastowej reakcji.

– Poczekaj, zaraz. Przecież to znany program, ten gość nie jest głupi... – Eric czuł, że światło w tunelu nadal świeci, ale miał wątpliwości, czy uda mu się dotrzeć do niego w sposób, jaki preferował, czyli dyskretnie, z zaplanowaną drogą ewakuacji.

– No co ty! Będzie pytał... Powiesz, co czujesz, jak to widzisz, a ja siądę na fanpage’u i zrobię ci lans. – Podniósł ręce, jakby podzielił się myślą prostą, a jeszcze prostszą w wykonaniu.

Wolny nigdy nie widział potrzeby bycia sławnym, nie był to jego świat. Nie miał też pojęcia, czym jest sława, z wyjątkiem szacunku w grupie Kulawego, a gwiazdy

telewizji były dla niego nierzeczywiste. Bzyknął tylko dwie naćpane, chude modelki i jedną Wicemiss Polonia, gdy dłużnik Kulawego, organizator konkursu, nie znalazł innego sposobu, by się spłacić. Teraz miałyby się przed kamerą, uśmiechać się, mówić, ale co mówić, o czym? Nawet nie wiedział do końca, o co chodzi tym ludziom, którzy klikali „Lubię to!” i czytali kolejne naćpane oświadczenia tego gówniarza, co uwierzył, że ma przed sobą lidera rewolucji.

– Musiałbym się przygotować. – Przygryzał dolną wargę.

– Mają parcie, chcą cię już, bo są wakacje, wiesz, jak to działa. Wyczuli, że jesteś na Kwejku, na Wykopie, a ludzie to czytają, dyskutują. O, patrz. – Ajla stuknęła w ekran. – To Polityka.pl, poważna strona, facet pisze o tobie, że jesteś „powiewem dla młodzieży, nowym przekazem, jakością wulgarną, co prawda, barbarzyńską i operującą przemocą, ale młodzież, zastygła dotychczas przed komputerami, ożywiła się, a po aferze z molestowaniem wychowanków domów dziecka wystarczy iskra, by beczka prochu, którą Kościół podłożył pod własne drzwi, wybuchła...”. Słyszysz? On pisze jeszcze, że „Kościół to sacrum znanego porządku, obce dla profanum cyberświata, gdzie młodzież zbudowała swoją arkę, zamknęła drzwi i czeka na sternika, a Eric W., człowiek znikąd, o którym nie do końca wiadomo, czy naprawdę istnieje...”. Słyszysz? To już nie fake, to potęga, masz markę, nawet poważne gazety to podłapały. No?

Eric wziął głęboki oddech.

– Nie wiem... chyba jestem zbyt nieśmiały na takie...

Chłopak wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer, który researcher programu *Rozmowy polityczne* zapisał na fejsbuku pod prośbą o kontakt.

– Halo? – Przedstawił się jako asystent Erica z Ruchu Wolnych Ludzi.

Choć Eric żył z kantów, to był to jednak świat mu znany, przewidywalny, a ludźmi skuszonymi łatwym zyskiem potrafił manipulować. Show-biznes, co intuicyjnie wyczuwał, wymagał większej przebiegłości.

Ajla skończył rozmowę, usiadł na kanapie, wypuścił powietrze z płuc, wydymając usta.

– To się, kurwa, nie dzieje! Będzie trzech gości, jeden od Kościoła, socjolog i ty.

Wejdiesz w połowie, będą cię pytać o motywację, no i w ogóle, skąd jesteś, chyba niewiele o tobie wiedzą. Musimy się przygotować. Masz plan?

– Jaki?

– No... co powiesz?

Eric wstał i wcisnął koszulę do spodni.

– Słuchaj, to głupi pomysł, ja się do tego nie nadaję.

Ajla chwycił go za ramię.

– Czekaj! Zwariowałeś? Masz okazję powiedzieć, co myślisz, trzeba to zgrabnie ubrać, zaczniemy od Biblii, poszukamy fragmentów z tych no, apostołów, listów, zaraz, zaraz... – Postukał w klawiaturę. – Przecież to początek dopiero, jak milion ludzi to łyknie, założymy ten ruch, można tym kierować przez fejsa.

– Na ruch trzeba mieć kasę. – Wolny ruszył w kierunku korytarza.

– No to co? Będzie milion fanów, każdy zrzuci się po parę złotych... samo pójdzie.

Zatrzymał się. Przeliczył w głowie.

– Myślisz?

– No człowieku, wielu już pyta, czy potrzebujemy wsparcia, bo mogą finansować, daj im tylko numer konta.

– I co odpisałeś? – Eric zobaczył bardzo jasne światło w tunelu.

– No wiesz, to mogła być podpucha jakaś, może nas sprawdzają.

– Słusznie. – Wyjął z paczki papierosa i usiadł na kanapie. – Ile mamy czasu? – spytał, kręcąc krzemieniem zapalniczki.

Lebioda stał przed lustrem, poprawiając krawat. Z sekretarzyka wyjął garść spinek i po chwili wahania wybrał te srebrne. Zawiesił rękę nad szufladką żony, otworzył. Zabrała wszystko z wyjątkiem naszyjnika z opalem i nowych kolczyków od Swarovskiego. Spojrzał na telefon, który rozdzwonił się na sekretarzyku.

– No...

– Rozmawiałam z prawnikiem, należy mi się dom i samochód, do alimentów jeszcze wrócimy. – Alicja była zdenerwowana, w tle słyszał chłopców.

Odwrócił się gwałtownie, rzucił telefonem o ścianę i patrzył, jak jego kawałki lądują na podłodze. Spojrzał w lustro, zawiązał węzeł krawata, założył marynarkę i wyszedł z domu.

Minął hotel Hyatt, przed którym kłębili się już fotografowie, a potem wjechał na podziemny parking. Wszedł do loggii, nikt się z nim nie witał. Część gości stała w grupkach, niektórzy siedzieli przy barze, sącząc darmowe drinki. Nad żyrandolami wisiał baner i ogłaszał dwudziestolecie wydawnictwa mającego w swoim portfolio poradniki domowe dla kobiet. Czuł spojrzenia, szeptów się domyślał, znał zasady panujące na tym rynku. Jeśli okaże chwilę słabości i zdenerwowania, muchy od razu go obsiadą, by się na nim zesrać. Wy, kurwa, gnidy, pomyślał, idąc takim krokiem, jakby był u siebie w salonie, dzięki mnie tu jesteście. Kiwał głową, odwzajemniał nieistniejące powitania, patrzył na twarze celebrytów, z których połowy nie potrafił rozpoznać, choć działał na tym rynku od lat, ale zapewne wielu to kochanki kochanków popularnych wieki temu. Teraz patrzą, jak ich miejsce zajmują te, co stanęły na chwilę we właściwym momencie w blasku fleszy z aparatu Papy albo innego alfonsa, których Lebioda opłacał, decydując, kto idzie na scenę, a kto do szamba. Podeszedł do baru, usiadł na wysokim stołku. Spojrzał w bok – na drugim końcu siedział ten kutas, Gambit, również sam. Też masz problem, mendo, pomyślał, zobaczymy, jak długo utrzymasz głowę nad szambem. Prychnął, widząc, jak paparazzi i fotoreporterzy od mody omijają tego włoskiego bękarta, a ten uśmiecha się sztucznie, udając, że się wyśmienicie bawi.

Gambit kątem oka obserwował otoczonego fotoreporterami Lebiodę, który uśmiechał się szeroko, pozdrawiając ich głośno: „Jestem służbowo, dzisiaj tysiaka nie zarobicie”, a oni aż się rwali, by uwiecznić jakiś jego prowokacyjny gest. Po chwili do loggii weszła Wiśnia w błyskach. Podbiegła do niego i pocałowała w policzek.

– Mówili, żebyś koło ciebie nie siedziała – szepnęła mu do ucha. Uśmiechnął się jak po dobrym dowcipie. – Słyszałeś, że żona go zostawiła? – Skinęła na Lebiodę.

Zaśmiał się, wysyłając otoczeniu sygnał „bawię się zajebicie”.

– Co ty powiesz? – spytał i przypominał sobie scenę, jaką rano zrobiła mu Ewelina. Zastanawiał się, jak długo jeszcze ta kretynka będzie jego żoną. Ciekawe, czy dadzą w gazetach zdjęcia, choćby archiwalne, gdy ogłosi, że Ewelina od niego odchodzi.

– Hej, malutka! – Podeszedł do nich podpity Miłosz Estrada, ubrany w różową marynarkę i hipsterski kapelusik. Objął Wiśnię w talii, kilka centymetrów za nisko, jak uznał Gambit, ale zdał sobie sprawę, że przy jego obecnych notowaniach towarzyskich bronienie honoru kobiety wzbudziłoby tylko litość lub podejrzenie, że chce zwrócić na siebie uwagę.

– Słyszałeś, co mówią? – Estrada spojrział na niego przez ramię Wiśni. – Że będą cię mordować! Zakłady idą, czy zawał, czy wypadek. – Wybuchnął śmiechem, odchylając głowę do tyłu i waląc ręką w barowy blat. Podeszło do niego kilku fotoreporterów, ale Gambit był zbyt blisko, więc ostentacyjnie zrezygnowali. – Przepraszam cię – szepnął Estrada – ale zabiorę ci pannę na chwilę, bo chciałbym mieć jakąś pamiątkę z tego melanzu. – Zachichotał, pociągając za sobą Wiśnię.

Po północy Gambit miał ubaw, widząc, jak pijany Lebioda prawie leży na barze, co jakiś czas wznosząc dłoń z palcami w kształcie znaku „V”, a potem podnosi się i zatacza do wyjścia w błyskach fleszy. Nikt nie zamienił z nim jednego słowa, choć cwaniak pilnował się, by nie siedzieć samotnie. Gambit spojrział w kierunku kanonady fleszy. Do imprezy dołączyli dwaj synowie producenta batoników, prężyli się przed aparatami i tulili jakieś lalunie, zapewne pełne nadziei, że dostaną wzmiankę na plotkarskich portalach. Wiśnia stała oparta o ścianę i rozmawiała z grupą aktorów serialu Lekarz rodzinny. Żaden nie przyszedł się z nim przywitać. Wstał, przeszedł przez loggię. Na końcu zobaczył wejście do toalet, a obok drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”. Pchnął. Wyłapał w mroku, że to magazyn, rozejrzał się, kamer chyba nie było. Przeszedł na koniec magazynu pod drzwi z naklejką „Dostawa”. Nie stawiały oporu. Wyjrzał na zewnątrz, na platformy dla samochodów ciężarowych i wypełnione śmietniki. Spojrział na ściany podwórza. Także bez kamer. Wrócił na salę, podeszedł do baru. Zamówił dwa drinki, z kieszeni wyciągnął mały woreczek strunowy, który kupił od Ajli, oparł ręce nad jedną ze szklanek, splótł palce, by zasłonić woreczek i opróżnił go. Wiśnia szła akurat sama



przez salę, lekko się chwiała. Podeszedł do niej.

– Zostawiłaś na barze. – Podał jej drinka.

– Chodźmy gdzieś. – Objęła go za szyję i wyciągnęła język.

– Przestań, debilko! – syknął, choć zdawał sobie sprawę, że gdyby paparazzi byli konsekwentni ze szlabanem, to mógłby wziąć Wiśnię tu, na podłodze. Wrócił do baru i sprawdzał, czy Wiśnia sączy ze swojej szklanki. Zobaczył przy barze dziennikarkę z „Tele Wiadomości”, którą kiedyś bzyknął. Siedziała sama, przy uchu trzymała telefon. Postawił drinka na barze, podeszedł do niej od tyłu, zasłonił oczy.

– A kuku!

– Przestań! – Dziewczyna odłożyła telefon, chwyciła go za dłonie, odwróciła się i na widok Gambita uśmiechnęła rozczarowana. – A, to ty...

Usiadł, zerkając na jej biust, a potem spojrział na salę. Wiśnia kiwała się.

– Poczekaj! Zaraz wracam – rzucił dziennikarce i podeszedł do Wiśni. Chwycił ją pod rękę, w drugą wziął jej torebkę i zaprowadził w kierunku korytarza z toaletami. Czuł, że z każdym krokiem jest cięższa. Przeszli na magazyn, na rampy. Pozwolił jej się osunąć na betonową posadzkę. Zwymiotowała na sukienkę. Wyjął telefon, wybrał numer Bladej.

– Przekaż, że na tyłach, przy śmietnikach – szepnął, rozglądając się nerwowo.

Oparł kobietę o drzwi, sukienkę podwinął aż do pępka, a jej majtki opuścił kilka centymetrów. Zwymiotowała, obryzgując mu rękę sałatką krabową. – Kurwa! – zaklął i z wściekłością opuścił jej majtki jeszcze niżej, rwąc jedną z pończoch. Wyciągnął papierosa, przypalił. Patrzył w ciemność za śmietniki i na wjazd dla ciężarówek. Wyszedł stamtąd Papa, dźwigając torbę ze sprzętem.

– Uuu... – zawył na widok Wiśni i podwinął sobie rękawy flanelowej koszuli. – Ho! Ho! Ale nam się panna zrobiła. – Wyjął z torby aparat i przykucnął przed aktorką. Opuścił jedno z ramiączek jej sukienki, by odsłonić pierś. – Kurwa, ale cycuszki – sapnął, patrząc na sutek, i zawadiacko pstryknął w niego palcem. Przyłożył palec do spustu aparatu, zachichotał.

– Jesteśmy kwita? – odezwał się Gambit.

– Ja tylko zdjęcia robię, ale to jest, kurwa, dobre. – Papa trącił butem rękę Wiśni,

dając wyraz uznania dla upolowanej zwierzyny.

Gambit otworzył drzwi magazynu, przytrzymał je pośladkami, chwycił Wiśnię pod pachy, zaciągnął do środka i położył w magazynie. Na sali podszedł do kelnera i szepnął mu coś do ucha, a ten odstawił tacę i ruszył z nim do magazynu.

– Znalazłem ją tutaj, zrobiona na total. – Aktor pokazał na gwiazdkę. – Wyniesiemy ją przez podwórko, tam zaczekam na taksówkę. Już po nią dzwoniłem.

Aż jęknął z wysiłku, chwytając dziewczynę w pasie, podczas gdy kelner wziął ją za nogi. Gambit zastanawiał się, czy sam nie powinien był zrobić zdjęć, ale jednak oddanie tej przyjemności Papie będzie gestem, który powinien zwiększyć wymiar rehabilitacji. Taksówka podjechała po chwili pod rampę, a taksówkarz wyszedł, by pomóc załadować dziewczynę na tylne siedzenie.

– Ale panie! Przed chwilą już mi jeden, ten naczelny z tej gazety, obrzygał siedzenie, wyjechałem go na ulicę, a jeszcze się stawiał! – Kierowca stanął w rozkroku nad leżącą Wiśnią.

Gambit wyjął z kieszeni spodni kilka banknotów i włożył mu do kieszeni koszuli. Rzucili dziewczynę na tylne siedzenie, docisnęli drzwiami, bo nogi nieco wystawały. Nie mógł sobie przypomnieć adresu, kierował taksówkarzem intuicyjnie. Gdy auto zatrzymało się pod domem aktorki, poprosił, by kierowca poczekał. Zarzucił ją sobie na plecy, zaniósł pod drzwi, wyjął z torebki klucze. Wciągnął za nogi do środka przez salon i rzucił na kanapę. Podszedł do słabo oświetlonego przez uliczne lampy barku. Upił łyk z butelki whisky, przetarł usta rękawem, jak po ciężkiej robocie i stanął nad kanapą. Rozpiął rozporek, obrócił Wiśnię na brzuch i beknął. Podwinął jej sukienkę i wszedł szybko, patrząc, jak za oknem taksówkarz stoi przed autem i pali papierosa. Jęknął, gdy doszedł, opadł na dziewczynę, czując smród rzygowin. Opuścił jej sukienkę i wyszedł z domu. Po półgodzinie znów stał pod hotelem. Wszedł do loggii, dziennikarka siedziała cały czas przy barze. Uśmiechnął się i ruszył w jej kierunku.

---

\* Z języka romskiego: „Puść mnie! Idioto!”.

\*\* „Ty dziwko!”

...fake...

Trzeźwy wdychał zapach siana i dziękował operatorom komórkowym, że zatrzymali swoją ekspansję kilka kilometrów przed Józkowym gospodarstwem. Pokój urządzony był surowo: kanapa, gomułkowski stół i drewniane krzesło, na którym stał jego laptop. Od kiedy ostatni raz nocował tu z chłopakami podczas studenckich żniw piętnaście lat temu, nic się nie zmieniło. Wstał, przeciągnął się, usiadł na krześle. Spojrzał w ekran laptopa, by pchnąć dalej swoje wspomnienia. Ostatnie, sprzed dwóch lat, dotyczyło kampanii wyborczej, gdy szykował Pochajkę, lidera Ruchu Jedności Ludowej, na wielkie billboardowe zdjęcie. Zaczęło się od wąsa. Zgodnie z jego sugestią ludowiec go zgolił, ale górna warga okazała się cienka, śmieszna, a zęby drobne jak u dziecka, co odbierało kandydatowi na premiera resztkę powagi, więc czekali dwa tygodnie, nim odrosły. Sam Pochajło pewnie intuicyjnie wiedział, że wąs dodaje mu męskości, wigoru i rozumu, dlatego, jak wyznał, nosił go od siedemnastego roku życia, gdy wyruszył na pierwsze wiejskie erotyczne podboje, by walczyć jako pełnokrwisty buhaj. Miał też kaczy chód, kolebał się, a gdy w studio ubierali go do zdjęcia, Trzeźwy zauważył żółte, zrogowaciałe paznokcie – skutek zaawansowanej grzybicy, której polityk zapewne się wstydził, bo chował stopy pod krzesło. Na zdjęciu miał siedzieć w butach, więc nikt nie sugerował, by to leczyć lub pudrować. Trzeźwy zastanawiał się tylko, czy nie przeszkadza to żonie kandydata na premiera, ale pozbył się złudzeń, gdy ta hardo weszła do studia jak do własnej kuchni, ubrana w czarną sukienkę na ramiączkach, która wisiała na jej grubych i zwiotczałych ramionach. Jej wielka głowa z trwałą ondulacją, widywaną już tylko u ekspedientek sklepów gminnej spółdzielni, trzymała się mocno na pomarszczonej i zniszczonej opalenizną szyi. Sukienka,

modna zapewne przed wojną, sięgała ledwie za kolana, więc odsłaniała żyłki na łydkach i grube, spuchnięte kostki, a sandały były zdefasonowane do zewnątrz, gdyż dźwigały co najmniej osiemdziesiąt kilogramów. Pochajłowa dopadła męża i zaczęła się szarpanina. Pan mąż nie chciał włożyć butów na cienkiej podszwie, bo brakowało mu wtedy trzech centymetrów, o które przewyższała go żona, ale dał się przekonać tym, że na zdjęciu będzie siedział. Półsportowy garnitur Versace uznał za zbyt workowaty, choć leżał na nim wyśmienicie, ale pewnie przywykł, jak sądził Trzeźwy, do garniturów ciasno opinających wystający brzuch. Niebieską koszulę z białymi mankietami odrzucił jako „gejoską”, na co jeden ze stylistów uniósł wysoko brwi. Pani żona co jakiś czas fukała: „Zakładaj to! To zdejmij, bo wieśniackie! Dalej, do cholery! Wyglądasz jak łajza!”. Po godzinie do studia weszła ich córka, studentka z utapirowanymi włosami, w brązowej workowatej sukience, szpilkach ze złotymi rzemykami, źle ogolonym meszkiem na policzkach, grubą karminową szminką i w chmurze perfum, które zmieszały się z potem jej ojca. Trzeźwy bał się już tylko o zięcia, bo i ten został wezwany, jako że fotografia na billboard miała być „rodzinna”. Podgolony nad uszami zięć przyszedł w bermudach moro, koszulce z „Żołnierzami Wyklętymi” i białych skarpetkach wystających ze sportowych butów. Gdy stylistę spytał, czy ma coś na zmianę, wzruszył ramionami, że „przecież miało być rodzinie”. Trzeźwy uzmysłowił sobie, że ta rodzina mogłaby śmiało wystąpić w kampanii na rzecz jednego z marketów, który także obsługiwała jego agencja. W scenie z grillem na tyłach domu, z piwem marki „Twardy”, „promocja dla twardzieli za 1,69”, karkówką o napiętym terminie przydatności, więc umoczoną w ziołach, „promocja 6,99”, kiełbasą grillową, „promocja rodzinna cena 4,99”, a przygrywałaby temu kolekcja „Polska biesiadna” dorzucana do „Poręcznego zestawu grillowego. Szczypce i pogrzebacz. Teraz tylko 19,99”. Zięć dostał koszulę z długimi rękawami, ale zaraz chciał je podwijać za łokieć, by eksponować tatuaż „Start. Na życie i śmierć” napisany gotykiem, a śmiał się przy tym zadowolony i podrywał makijażystkę. Ta odpowiadała wymuszonym uśmiechem, jak przed małym carem, który ma prawo obrazić i domagać się adoracji. Pan teść opowiadał w tym czasie stare dowcipy, wywołujące kurtuazyjne salwy śmiechu całego studia. Trzeźwy uznał, że tłumaczenie panu teściowi zawiłych

kwestii estetyki kosmetycznej i wizerunku oraz gustu targetu miejskiego, do którego adresowali billboard, spowoduje w głowie pana teścia niepotrzebny zamęt. By nie przedłużać sprawy, odwołał się więc do atawizmów ukrytych w słowach wywołujących u polityków pokroju Pochajły histerię.

– Waszym odbiorcom taki tatuaż może się skojarzyć z kulturą więzienną – szepnął.

– WIĘZIENNA? – spytał pan teść, nie spuszczać oczu z ramienia zięcia.

I skończyły się żarty, zięć szybko rękawy opuścił. Trzeźwy zauważył, że pan teść i pani żona, uśmiechając się, zasłaniają usta dłońmi, co mogło wskazywać na wstydlive ubytki w uzębieniu. Jak zmusić ich do szczerego śmiechu? Opowiedział kawał o ich partii, ale sprzedał, jakby chodziło o konkurencyjną.

– Słyszeliście to państwo? – spytał. – Idzie trzech facetów w długich skórzanych płaszczach. Skąd wiadomo, że jeden jest z Ruchu Wiejskiego? Bo ma płaszcz wpuszczony w spodnie.

Rodzince zabrało kilka sekund, nim załapała dowcip, a wtedy puściły jej hamulce. Wpadli w śmiech histeryczny, podtrzymując się wzajemnie, podczas gdy trzy aparaty w kanonadzie natrzaskały ponad sto zdjęć, z których wybrano jedno, najdoskonalsze. Prezentowała się na nim miejska rodzina.

Ojciec: uśmiechnięty, w okularach, oczywiście zerówkach, z niebieskimi oprawkami, w półsportowym garniturze, w niebieskiej koszuli, ze złożonymi na piersiach rękami – to człowiek, który poznał tajemnice życia, niewiele go zaskakuje, jest oszczędny w słowach, a jego puenty zamykają dyskusje na wszystkich poziomach intelektualnych, bo to typ autorytetu i samca alfa.

Żona: w błękitnym kostiumie z Zary, z włosami upiętymi, tuli się do męża, patrząc mu w oczy, uśmiecha się szeroko, a więc jest szczerą, całkowicie polega na jego bezpieczeństwie, widząc w jego mocnym ramieniu ostoję na starość (w photoshopie poprawiono Pochajle dwie górne czwórki i dolną trójkę, a Pochajłowej połowę dolnej szczęki).

Córka: wygląda na swoje lata dzięki włosom wymodelowanym lekko na bok, zwiewnej, zielonej sukience z H&M, żółtym rajstopom i lekkiemu makijażowi,

który to styl mógł wykreować tylko długi proces wychowawczy rodziców unikających przesady, blichtru i tandety.

Zięć: w białej koszuli Hilfiger, rozpiętej pod szyją, z zielonym swetrem Reserved narzuconym niedbale na ramiona, w dżinsach Levi's z podwiniętymi nogawkami i trampkach Converse trzymał swoją dziewczynę za rękę i śmiał się, patrząc naturalnie gdzieś w górę, będąc spełnieniem marzeń każdej dwudziestolatki, marzącej o dyskusji o filmie, muzyce, sporcie i fejsie, czyli pełnym spektrum zainteresowań współczesnej młodzieży.

W tle majaczyło niebieskie niebo i fragment domu wziętego z elektronicznej bazy reklamowej „Banku domów i plenerów”. To był ulubiony dom Trzeźwego dla targetu miejskiego: jasny minidworek z kolumnkami, które najczęściej widywał na przedmieściach. Wykorzystał już ten domek przed laty do reklamy kredytu mieszkaniowego „W naszej szafie nie znajdziesz ukrytych opłat”, ubezpieczenia przed wypadkami losowymi „oGrom bezpieczeństwa” oraz zestawu toreb turystycznych „Promocja na majówkę, teraz tylko 39,99”. Reklama kredytu mieszkaniowego szła w klipie telewizyjnym z muzyką Vangelisa i Andersona *I'll Find My Way Home*. To właśnie przy tej piosence czternastoletni Trzeźwy pierwszy raz pocałował dziewczynę, kłamiąc, że Anderson śpiewa o miłości, choć nie znał wtedy angielskiego. Gdy usłyszał tę piosenkę po latach, przekonał się, że miłość naprawdę jest tam wspomniana, co utwierdziło go w przekonaniu, że kłamstwa marketingu są tylko oddaloną w czasie prawdą.

Ludzie uwierzyli w rodzinę na zdjęciu, więc rolnicy po raz pierwszy w historii zebrali w dużych miastach osiem procent głosów, wchodząc do koalicji z Ruchem Obywatelskim, a Trzeźwy rozpoczął rządową karierę. Spopularyzować wieś w aglomeracjach, jak uznano w otoczeniu Pierwszego, mógł bowiem tylko wariat lub kanalia, a to przymioty w polityce niezbędne.

Rozdział wcześniej we wspomnieniach Trzeźwy umieścił agencję reklamową, w której pracował dla rynku farmacji, a jego praca opierała się na przekonywaniu odbiorcy, by kupował leki na nieistniejące choroby. Najlepiej schodziły te dla dzieci, na przykład na pneumokoki przeniesione do Europy z USA, niosące w sobie ogólnoświatowy uniwersalizm lęku matki przed cierpieniem dziecka. Trzeźwy

odwołał się w reklamie do teorii Daniela Kahnemana i Amosa Tversky'ego, psychologów, którzy w latach siedemdziesiątych udowodnili, że ludzie są gotowi zapłacić każde pieniądze za złudne poczucie korzyści, co przeciwoczyły domy mediowe i agencje reklamowe całego kapitalistycznego świata. Wypróbował teorię na „Żółtym alarmie”, ofensywie medialnej walczącej na wszystkich frontach przy wsparciu Stowarzyszenia Lekarzy Hepatologów, którzy za milionowy grant i wycieczki do luksusowych SPA promowali szczepionki na żółtaczkę z taką żarliwością, jakby zależało od tego życie ich własnych dzieci. Czy ktoś zna chorego na żółtaczkę? – spytał Trzeźwy na zebraniu w agencji, gdy obmyślali kampanię reklamową. Nie znał nikt, co było problemem, bo przekaz reklamowy miał wyzwolić u odbiorcy poczucie, że żółtaczka jest dolegliwością bardziej powszechną niż kaszel. Zrobili więc klip reklamowy, w którym kilkuletnie dziecko żółcieje, wymiotuje wspólnie ze swoim psem, a matka, mdlejąc, słucha boskiego głosu z nieba: „Czy chcesz, by twój syn powiększył grono moich aniołków?”. Po emisji zeszło w aptekach pół miliona szczepionek, od roku zalegających w magazynach, a wiele pism lifestylowych w zamian za reklamę kontekstową wzywało ministra zdrowia do dymisji za to, że szczepionek na żółtaczkę zabrakło. Reklamówkę udało się puścić także w Maxi-Baby, stacji emitującej bajki prawie całą dobę, a te, jak wychodziło Trzeźwemu z badań focusowych, oglądają wspólnie z dziećmi matki i babcie. Po badaniach konwersji reklamowej i sukcesie ze szczepionką wrzucili jeszcze do Maxi-Baby reklamy kosmetyków, środków czyszczących, ubrań, sprzętu AGD, czyli wszystko, o czym marzy prawdziwa gospodyni. Reklamówkę z żółtaczką zdjęto dopiero po proteście Ruchu na rzecz Zwierząt, który oskarżył ich o znęcanie się nad psem.

Największym sukcesem Trzeźwego, jak wspomina dalej, było wypromowanie nieznanego w Polsce produktu Softwater, proszku do zmiękczenia wody w cenie dwunastu złotych za pół kilograma. Problemem było przekonanie konsumentów, że miękka woda jest w użyciu lepsza, ale skutków tego nie widać gołym okiem. Stosując sprawdzoną teorię, wyemitowano klip, w którym kobieta, stojąc nad ufajdaną koszulą męża i spodniami dzieciaka wytarzanyymi w psich kupach, płacze, wznosząc wzrok ku niebu. Trzeźwy lubił zabawy z bankiem twarzy, tysiącami zdjęć

przysyłanych przez aktorów, których nikt nie chciał do seriali, i amatorów szukających chwilowej sławy. Do Softwater wziął buzie przeciętne, choć sympatyczne, by jak najwięcej targetu identyfikowało się z przekazem. Do roli czterdziestoletniej matki, atrakcyjnego milfa, wybrano dwudziestosześcioletnią aktorkę teatru z jakiegoś małego miasteczka i zrobiono jej delikatne kurze łapki wokół oczu, by przekaz był bardziej wiarygodny, bo – jak wychodziło z badań – tylko kobieta dojrzała może wiedzieć wszystko o praniu męskich gaci. Aktorka załamywała ręce nad zepsutą pralką, ale do łazienki wchodził fachowiec, czterdziestolatek grający pięćdziesięciolatka, amator o twarzy równie przeciętnej, ale budzącej zaufanie. Niskim, podłożonym w montażu głosem, bo w rzeczywistości piszczał eunuchowatym falsetem, oznajmiał, że pralka nie działa i działać nie będzie, bo gospodyni nie dodała Softwater. Fachowiec wymienia grzałkę w pralce, dosypuje proszek i wraca po miesiącu, a milf prawie dostaje orgazmu, jakby uratowała rodzinę przed fizycznym cierpieniem. Po pół roku emisji sprzedaż nikomu niepotrzebnego proszku skoczyła o dwadzieścia osiem procent. Jako że Softwater należał do grupy towarów na co dzień niepotrzebnych, należało zmienić nawyki targetu i reklamówkę emitowano w cyklu z trzema różnymi kobietami raz na pół roku, aż grzałka w pralce stała się w świadomości społecznej równie niezbędna co chleb i margaryna.

Przed farmacją i AGD Trzeźwy męczył się w spożywce, najtrudniejszym segmencie, pełnym konkurencji i trudnych do obalenia nawyków żywieniowych. Dostał margarynę, której spożycie w połowie lat dziewięćdziesiątych było zdecydowanie niższe niż masła. Namówił wówczas koncerny ją produkujące do wspólnego łożenia na budżet reklamowy, by zmienić nawyki konsumenckie. W zamian za łapówki, zwane od tamtej pory „grantami naukowymi”, udało się przekonać Krajową Izbę Kardiologii, by swoim autorytetem zaświadczyła o wpływie margaryny na niższe ryzyko odkładania się cholesterolu, który w reklamach zabijał wszystkich z wyjątkiem dzieci, i to skuteczniej niż wypadki drogowe, papierosy i rak. Wątek zdrowotny margaryny, jak pamiętał Trzeźwy, najlepiej opisał na bankiecie biznesowym jeden z podpitych menedżerów koncernu tłuszczowego. Gdy nakładał sobie na talerz fińskie masło, narzekał, że po emisji klipów nawet jego



matka zaczęła kupować margarynę, więc musiał jej wytłumaczyć, że dodawany do niej olej we krwi się co prawda nie odłoży, ale wywoła raka. W tym czasie jego smarowidło szło pod hasłem „Walcz o swoje serce. Opakowanie rodzinne, 500 gramów, teraz tylko 2,99”.

Przed margaryną Trzeźwy walczył o chipsy i zetknął się z jednym z najdziwniejszych zawodów. Otóż z Francji, bo zawód ten w Polsce nie był jeszcze znany, przyjechała CeF-a, czyli kobieta od Cosmetic Food, by przez tydzień szukać bekonu w warszawskich sklepach, a w końcu kupić dwadzieścia kilogramów od rolnika na targu. CeF-a wyglądała jak młoda profesor i traktowała swoją pracę z przesadną powagą. Przyniosła boczek do studia i położyła na stole z majestatem, jak zwłoki członka rodziny. Boczek był suchy i szary, ale miał idealne proporcje tłuszczu i mięsa. Kobieta rozłożyła na stole ceratę, otworzyła srebrną walizeczkę, wyjęła buteleczki, pędzelki, szmatki, kolorowe papierki, podłączyła nad stołem mocną żarówkę, włożyła rękawiczki, maskę przeciwpyłową, okulary ochronne i przystąpiła do reanimacji. Mięso najpierw umyła, a potem polewała bezbarwnym płynem, który śmierdział jak benzyna. Odcięła grubaśny plaster, wbiła w niego cienką rurkę, podłączyła gumowy przewód z jakimś gazem, a na jego końcu zatknęła kompresor i po kilku minutach mięcho napęczniało niczym kaczka w *Akademii Pana Kleksa*, pierdząc co rusz benzynowymi bąbelkami. Pędzlowała na zmianę brązowym i żółtym płynem, aż nadała mu kolor tak cudownie boczkowy, jakiego Trzeźwy nigdy już później nie widział. Studio śmierdziało już wtedy jak stacja paliw. Warstwę tłuszczu opędzlowała lakierem, dzięki czemu nabrał barwy błyszczącego – by odbijał światło – różu, co okazało się ważne na etapie zdjęć, a górną, brązową skórkę posmarowała parafiną, również dla efektu świetlnego. Gdy „król boczków” był gotów, włączono kamerę nagrywającą w wysokiej rozdzielczości w zwolnionym tempie. Boczek z wysokości pół metra spadał na deskę do krojenia, wykonując w locie ćwierć śruby, niczym olimpijski gimnastyk. Latał pięknie, ale padał jak flak i wydawał śmierdzące plasknięcia, zamiast lekko się odbić. CeF-a rzucała nim z całej siły, by nadać mu na nagraniu sprężystych właściwości. Pod koniec nagrania kobieca dłoń, bo męska z owłosieniem jest nieapetyczna, kroїła „króla” na cieniutkie plasterki, a te lądowały na patelni z olejem – napędowym, bo bardziej klarownym

niż spożywczy. Klip wieńczyła scena, gdy siedemnastolatek, grany przez dwudziestotrzylatką z banku twarzy, częstował boczkowym chipsem dziewczynę, która połykała go z rozkoszą, lekko mrużąc oczy, wydymając usta i prosząc o więcej. Chrupiek zrobiony był z ciastoliny, posypanej opiłkami ceramicznymi, imitującymi prażone przyprawy, więc dziewczyna dwukrotnie zarzygała studio, a jako że wymagano dubli, zażądała wyższej stawki i odszkodowania za zjedzenie przed kamerą „Chipsów, które Cię schrupią”.

Trzeźwy zamknął laptop i zszedł na dół. Zdawał sobie sprawę z zakłopotania, w jakie wprowadził cały ten dom. Wujek Józek, gdy Trzeźwy pojawił się na podwórku, wychylił głowę zza traktora i mało nie stracił przytomności, a ciotka Marylka, stojąc na werandzie domu, przykładała ręce do piersi, jakby spodziewała się informacji o śmierci w rodzinie. Gdy wytłumaczył, że potrzebuje tylko kilku dni, by spisać wspomnienia, rzucili mu się na szyję.

Usiadł za stołem w kuchni i podniósł leżące na stole „Tylko Życie”, ulubioną gazetę ciotki Marylki, z tytułem na okładce *Wiśnia stoczyła się na dno* i zdjęciem półnagiej aktorki, która leżała w pijackiej malignie na jakimś śmietniku.

– Na obiad rolady zawijane w boczku. Lubisz? – spytał Józek.

W telewizyjnym foyer, na ekranie wielkiego monitora pogodynka zapowiadała kolejne upalne dni. Eric siedział w fotelu i pocierał o spodnie ręce mokre od potu. Rzucił okiem na buty, zobaczył plamę i przetarł rękawem. Z wewnętrznej kieszeni wyjął kartkę, plan rozmowy, który ustalił z Ajlą: opowie o studiach, pierwszej pracy fizycznej przy budowie autostrady, rozczarowaniu Kościołem, o tym, że ruch ma być alternatywą dla skostniałej sceny politycznej, romansującej z klerem, a na koniec zaapeluje o wsparcie. Czuł się jak przed egzaminem maturalnym, gdy wraz z Marczkim siedzieli na korytarzu i powtarzali funkcje matematyczne. Jeszcze kilka dni temu stał naćpany... a jeśli mu to wyciągną? Nie, nie, spokojnie, pomyślał, skąd mogliby wiedzieć. A jeśli... to walnie to wszystko, wyjdzie i koniec baśni.

– Witam! Witam! – usłyszał nad sobą głos. Podniósł głowę. Redaktor Kolasiński w szarym garniturze, zapięty pod szyję ciasno jak paczka, wyciągał rękę i uśmiechał się perłową bielą zębów. – Zapraszam. – Wskazał ręką korytarz prowadzący za

foyer. Eric wstał. Dziennikarz był o wiele niższy, niż wydawał się na ekranie. Wprowadził go do małego pomieszczenia z wielkim lustrem. Eric umościł się w fotelu, a kobieta o sympatycznym uśmiechu i krótkich zielonych włosach wcisnęła mu pod brodę białą, wielką jak prześcieradło chustę i zaczęła pudrować czoło. Kolasiński usiadł obok.

– Niebawem, muszę panu powiedzieć... i to w ciągu kilku dni... dzieciaki mówią tylko o panu. – Uśmiechał się i patrząc w lustro spod przymrużonych powiek, delektował się profilem swojej twarzy i utrwał smukłymi palcami doskonałość grzywki.

– No wie pan... – Eric był zażenowany nagłą sławą.

– Myśleliśmy, że to jakiś żart, ale rzecznik policji... – Kolasiński wyszczerzył zęby, równe jak z katalogu dentystycznego, jakby sprawdzając, czy wszystkie siedzą na miejscu. Zamknął usta, gdy do pokoju weszła dziewczyna z dużymi słuchawkami na uszach. Podała mu plik kartek. – Zapytam pana o historię, potem skąd taka myśl. Pan jest prawnikiem, tak? Z wykształcenia znaczy...

– Tak, tak. Choć nie pracuję w zawodzie. – Mężczyzna nagle poczuł skurcz w żołądku.

– No właśnie... Jeszcze spytam, co pan w życiu robił, czy pana ideologia to owoc... – Do pokoju weszła ta sama dziewczyna, informując, że zostały trzy minuty. – Ale najpierw pogadam z ekspertami, żeby nam opisali ten fenomen, a pan poczeka z tyłu, za widownią. Realizator da panu znać, jak będą oklaski, wtedy pana zapowiem, podejdzie pan, usiądzie w dostawionym fotelu. I spokojnie, niech pan będzie sobą... – Prowadzący przeglądał papiery, a Eric zastanawiał się, czy gówniarz aby nie przesadził, pisząc na jego profilu, że skończył prawo i próbował się w kancelarii prawniczej w Anglii.

Kobieta skończyła pudrowanie. Wolny wyszedł na korytarz. Podeszedł do niego mężczyzna ze słuchawkami, kazał podnieść ręce, założył pod koszulą mikrofon, a do paska z tyłu przypiął mikroport i poprosił o wyłączenie telefonu. Eric wyjął z kieszeni komórkę, spojrzął na dziesięć nieodebranych połączeń od Kulawego i esemes od gówniarza: „Sieć się grzeje. Wszyscy ciekawi jak wyglądasz. Dopingują!”. Zza lekko uchylonych drzwi jednego z pokoi usłyszał cichy głos

Kolasińskiego. Nadstawił ucha. Po dwóch minutach znów podszedł do niego mężczyzna ze słuchawkami, wskazał ręką drzwi studia. Eric wszedł od zaciemnionej strony i spojrzał w górę na reflektory oświetlające studio jak arenę bokserską podczas walk, na które chodzili z Kulawym. Efekt ringu dopełniały trybuny z setką głównie młodych osób. Pośrodku sceny stały stolik i cztery fotele. Na dwóch siedzieli jacyś mężczyźni w garniturach. Głos przez megafon informował, że została minuta. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy usiadł na stołku barowym w zaciemnionym miejscu, tuż obok wejścia. Na ekranie małego monitora pędził sportowy samochód, zatrzymał się, wysiadła z niego młoda kobieta, wiatr szarpał jej długi szal, potem pojawiła się plansza z napisem „reklama” i zajawka programu *Rozmowy polityczne*. Głos w megafonie poprosił o ciszę, „Uwaga! Cztery... trzy... dwa... jeden... Oklaskiiiiiiiiiii!”. Publiczność biła brawo, a obok Erica przemknął Kolasiński, uśmiechając się szeroko.

– Witam państwa! Dobry wieczór! Dzisiaj o fenomenie forów dyskusyjnych, które zmusiły Kościół do zabrania głosu. Hierarchowie oburzyli się po incydencie, do którego niedawno doszło, a który społeczność internetowa i blogosfera nazwały „nową jakością” i „próbą złamania systemu”. Czy to chwilowy fenomen? Żart? A może początek rewolucji, jak napisał jeden z publicystów, mającej „wstrząsnąć zatęchłą rzeczywistością”? Za chwilę, po raz pierwszy w mediach, pojawi się pan Eric Wolny, sprawca zamieszania. Wizjoner? Szarlatan? Szokującą odpowiedź poznacie państwo już za chwilę, ale najpierw wspólnie z naszymi gośćmi spróbujemy ten fenomen opisać. Witam w studio panów... – Prowadzący przedstawił gości i rozsiadł się wygodnie w fotelu w akompaniamencie braw, a Eric, próbując rozwikłać w głowie zagadkę słowa „szokującą”, poczuł, że zasycha mu w gardle.

Pierwszy zaczął publicysta przedstawiony jako katolicki.

– ...dlatego wobec takich zagrożeń operujących przemocą musimy jasno wytyczyć pewne granice. Nie może być tak, że w społeczeństwie demokratycznym propagujemy zachowania niemieszczące się w standardach dyskursu publicznego. To kanibalizm wartości, które stoją u podstaw tego systemu. Ja nie godzę się na to, proszę państwa, by publicystykę, opartą w swoich fundamentach na wspomnianej

dyskusji, zastępować przez epatowanie patologią jednostki wzywającej do przemocy. Kościół, który nie jest oczywiście wolny od wad, nie może być jednak postrzegany jako instytucja klerykałów zabiegających tylko o swoje apanaże, a w mediach przedstawianych jako miłośnicy bachanaliów...

– Panie redaktorze, panie redaktorze... – Socjolog wiercił się w fotelu.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem – protestował publicysta.

– Ale pan mówi i mówi, a nic z tego nie wynika.

– Bo pan mi przerywa.

– Panowie, teraz pan doktor. – Kolasiński wskazał ręką socjologa.

– Od lat mówimy o tym, że obok nas, w internecie, powstaje świat odmienny pokoleniowo, politycznie, a nawet estetycznie od tego, który znamy. Przecież przy sprawie ACTA mieliśmy tego próbę. Media mainstreamowe próbują to, co prawda, zrozumieć, ale próba diagnozy tego, z czym mamy do czynienia, nie dotyczy przecież tylko naszego kraju, ale całego świata. Otóż świat internetu to pokolenie nowych, inaczej ukształtowanych, młodych ludzi, a dla nich nie jest to już tylko kanał komunikacji, a kanał, który – że przytoczę McLuhana – sam stał się komunikatem. To świat bardziej realny niż nasz, bowiem odpowiadający na zapotrzebowania i oczekiwania młodych ludzi. My, czyli pan, pan i ja, operujemy kanałami komunikacji niezrozumiałymi, a przez to odrzucanymi, więc takie zjawiska jak pan Eric znajdują wyraz poparcia, bo odrzucają w świecie realnym symbolikę, dla której nie ma zrozumienia w świecie wirtualnym. Śmiem twierdzić, że pan Eric mógłby równie dobrze dokonać zamachu na sejm czy siedzibę jednej z partii, wznosząc okrzyki do zmiany systemu, a znalazłby podobny poklask. Temu zjawisku sprzyja również tyrania chwili, że zacytuję tu Eriksena. Przecież to zbiegło się z ujawnieniem afery pedofilskiej w Kościele, co wzmocniło przekaz pana Wolnego... Pytanie tylko, co będzie dalej.

– O tym, co będzie dalej, po przerwie. Zostańcie z nami! – Kolasiński wstał, a Eric zerknął na telebim wiszący poza zasięgiem kamer, na którym pojawił się wielki napis „Oklaski!”. Publiczność biła brawo, aż rozległ się głos z megafonu: „Proszę zostać na swoich miejscach. Reklamy, trzy minuty i wracamy”. Na

monitorze młoda kobieta depilowała sobie nogi.

Mężczyzna ze słuchawkami szepnął Ericowi do ucha:

– Gdy usłyszysz pan oklaski, wstanie, wejdzie na scenę i przywita się, wyciągając rękę. Proszę pamiętać, że z tyłu przy pasku ma pan mikroport. Niech pan uważa, by nie przycisnąć go do fotela, może się wyłączyć.

Na monitorze dwa tosty rozmawiały ze sobą keczupowymi ustami, potem zajął program i głos z megafonu „Uwaga... trzy... dwa... jeden. Oklaskiiiiii!”.

– Proszę państwa! – Kolasiński podniósł ręce. – Po raz pierwszy, tylko u nas: oto Eric Wolny, człowiek, który chce podpalać kościoły! – Dziennikarz wskazał ręką na gościa. Znów oklaski. Eric wszedł na scenę. Czuł, że ma miękkie nogi. Kątem oka zobaczył w monitorze, że jest na wizji, uklonił się, uśmiechnął, usiadł w fotelu. Założył nogę na nogę, a na stoliku przed sobą położył kartki. Trzęsącą się dłonią chwycił szklanekę i upił łyk wody.

– Panie Ericu, nawet specjaliści nie potrafią pana rozgryźć. – Prowadzący spojrzął w notatki. – Jeszcze kilka dni temu był pan postacią anonimową... Czy może pan nam wyjaśnić, co spowodowało, że wszedł pan do kościoła, że dokonał pan aktu wandalizmu? Ale pierwsze pytanie, czy to prawda, że był pan pod wpływem alkoholu?

– Alkoholu? – Krew napłynęła mu do głowy.

– Tak mówi policja, miał pan ponad dwa promile we krwi. – Kolasiński był wyraźnie zadowolony, gdy na telebimie pojawił się napis „Buuuuuuu!”. Publiczność zabuczała.

– To znaczy, nie wiem, znaczy, wie pan... mogłem coś wypić, bo akurat...

– Czy chce pan powiedzieć, że ten akt, nazwijmy to tak, był wynikiem chwilowego upojenia? – Redaktor ruchem ręki zgasił śmiech na sali, a publicysta katolicki zachnął się:

– Nie, no drodzy państwo, to jest jakaś kpina, to o czym my tu rozmawiamy?

Eric znów sięgnął po szklanekę i upił łyżeczek.

– Byłem na tyle trzeźwy, by wiedzieć, że świadomie tam wszedłem, że chciałem, może zacytuję z listu apostoła... – Zaczął nerwowo szukać właściwej kartki.

Publicysta wzniosł ręce do nieba.

– Co pan chce cytować? Był pan pijany i jakieś hucpy odprawiał, no panowie, ja, nie wiem jak pan doktor, czuję się oszukany, wprowadzony w błąd, bo jeśli pan Kolasiński wiedział wcześniej, że to taka hucpa była... – Już podnosił się w fotelu, kiedy kartki wyleciały Wolnemu z dłoni i rozsypały się na podłodze.

– A czy to prawda – zaczął redaktor, a publiczność buczała – że był pan dwukrotnie skazany, co prawda w zawieszeniu, ale za oszustwa? Z kartoteki policyjnej wynika też, że jest pan kojarzony z gangiem niejakiego Kulawego. – Dziennikarz uśmiechał się, publiczność znów zawyła.

Publicysta wstał.

– No ja przepraszam, ale ja w tym nie będę brał udziału. – Odpiął mikrofon i zszedł ze sceny.

– Mam tu przed sobą pana kartotekę – kontynuował Kolasiński. – Zaczyna się dwanaście lat temu od alimentów.

Eric także chciał wstać i uciec, gdy dotarło do niego słowo „alimenty”. Zaraz, co jest, pomyślał, czytał przecież, Ajla mu pokazywał w internecie, że ten dziennikarz...

– Chwila! Moment! – krzyknął, zaciskając mocno ręce na poręczach fotela. Publiczność ucichła. – A pan to nie ma alimentów?! Przecież płaci pan trzydzieści koła co miesiąc, czytałem...

– Ale płacę! A to nie jest rozmowa o mnie, pan wybaczy. – Dziennikarz uśmiechnął się, zmieszany.

– Ale ja byłem wtedy gówniarzem, studiowałem, i tak, zgadza się, nie miałem sześciu stów na alimenty. A pan ma trzydzieści koła, tak? To może pana stać, ale jak dostawałem pracę, to mnie zaraz z niej wywalali, gdy przychodziło wezwanie od komornika. To co miałem robić?! Trafiłem do gangu, a wie pan dlaczego? Bo tylko gangsterzy dali mi etat, a nie śmieciówkę! – Publiczność zarechotała, a Kolasińskiemu wypadła z ucha słuchawka, którą nerwowo próbował wcisnąć z powrotem. – Potem wyrzucili mnie ze studiów, bo nie wypada, jak usłyszałem, by obiecującemu prawnikowi stypendium zabierał komornik. Tyle że gdy mnie

wyrzucili, to dziekan przyjął na moje miejsce swojego siostrzeńca! Co pan jeszcze chce wiedzieć? Co robiłem? Kradłem, piłem, ćpałem, byłem dzieciakiem. W zasadzie to jeszcze parę dni temu tak się naćpałem, że wyjebali mnie z samolotu...

– Proszę nie używać słów, jesteśmy w telewizji... – Redaktor wciąż gmerał przy uchu.

– A dlaczego się naćpałem? Nie wiem! Moje życie okazało się chuja warte już na starcie. Może byłoby inaczej, gdyby mój stary matki nie zostawił, a wcześniej nie wyjebali jego ojca z Polski w '68, bo był Żydkiem. Może byłbym dzisiaj takim ładnym facetem jak pan, siedział tam, gdzie pan, z tą grzywką przylizaną, w gajerku za dziesięć koła i zastanawiał się, czy tego szoła mi nie zdejmą, bo nie będę mógł wybulić każdego miesiąca trzydzieści koła na alimenty! Co jeszcze pan chce wiedzieć?! – krzyczał Eric, a publiczność krzyczała „Łaaaaaa!””, choć telebim pokazywał „Buuuuuu!”.

– Wypraszam sobie, by w tym programie używano takich słów. – Prezenter był wyraźnie skrępowany, dociskał słuchawkę do ucha, ale usłyszał w niej „Nie przerywaj mu! Jest dobrze! Jest mocno!”.

– Jakich słów? Przecież widziałem w internecie filmik, na którym mówi pan, by paparazzi wypierdalali panu sprzed oczu. To tam, na ulicy, można, a tu nie? A może tam, za drzwiami tej telewizji, jest prawda, a tu tylko gramy? Kim jesteś, człowieku, by wypominać mi pierdolone alimenty, skoro jedna z gazet pisze, że kłócisz się przed sądem z jakąś aktoreczką, którą przerobiłeś? Jej też płacisz? Nie! To wal się... – Eric chciał dodać coś jeszcze, ale przestał słyszeć swój głos.

– To kłamstwo! Wygrałem proces z gazetą! – Prowadzący rzucił się na fotelu, publiczność gwizdała. – Drodzy państwo, proszę o spokój! – Odwrócił się, machając rękami, a wtedy Wolny wstał, wziął mikrofon leżący na stole, zapukał w niego, aż w studiu zadudniło.

– O, ten działa, bo ja jeszcze nie skończyłem! – Zamachał nim do publiczności. – E! Ludzie! Jak się bawicie?

Publiczność zawyła:



– Dobrzeeeeeeee!

– A teraz powiem wam, jak ten mistrzu zarabia na życie! – Eric stał tuż obok swojego fotela, socjolog śmiał się, kręcąc z niedowierzania głową, a Kolasiński walczył ze słuchawką, kiwając głową do reżyserki. – Otóż na korytarzu, przed wejściem do programu usłyszałem rozmowę pana redaktora, gdy czytał jakieś „słupki” i narzekał... mówił: „jak go wyjebimy w kosmos, to nam skoczy i będziemy mieli zapas na jesień”, mówił też, że gdy już będzie po wszystkim, „chce zbliżenie... duuuuuuże zbliżenie, gdy widać będzie zaskoczenie”, a potem „zbliżenie na siebie... w końcu”. Tak się robi szoł. Wtedy nie wiedziałem, że to o mnie, że mnie chce „wyjechać”, ale już wiem, że tacy jak ja przychodzą tu, by wielki pan redaktor miał za co alimenty płacić... Wiecie co? Ja robiłem całe życie to samo – wyjebywałem ludzi, okej, prawda, ale ja się z tym ukrywałem, a wielki pan redaktor wyjebuje w wielkim zbliżeniu. No i co?

– O czym pan mówi? – Kolasiński chciał wstać, ale słuchawka znów wypadła mu z ucha.

– O czym?! A co tam masz na tych kartkach, no pokaż! – Podszedł do dziennikarza i wyrwał mu notatki. – Uwaga! Ludzie, słuchajcie: „Wytknij mu, że trzy lata temu został zatrzymany za posiadanie narkotyków, jeśli zaprzeczy, powołaj się na prokuraturę. Nie potwierdziła tego, ale jeśli to prawda, nie sprostuje”. Zaraz, chwila... – Uciekł na drugi koniec sceny, bo dziennikarz chciał mu odebrać kartki. – Słyszeliście? Oni nawet nie wiedzą, czy mówią prawdę! „Najwyżej sprostuje”! Dobra, panie redaktor, byłem zatrzymany za narkotyki, wiozłem je wtedy naszemu dilerowi, a wie pan, komu on je wiozł? Połowie pana kolegów, zasranym gwiazdkom, nazwisk nie podam, pan wybaczy, ale oni mi się wszyscy pierdolą, ale wie pan co, jakoś nie słyszałem, żeby pan ich tu zapraszał i kazał się z tego tłumaczyć. A pan, redaktorze, co bierze? – Eric podszedł do dziennikarza, machając mu mikrofonem przed oczami. Część publiczności zeszła z krzeseł i stanęła obok sceny, bijąc brawo. Zerknął na ekran poglądowy. – Jezu! Ludzie, my jesteśmy ciągle na wizji, chyba wyczuli, że robię tu niezłe szoł! E! Wy tam! – Spojrzał w stronę okna reżyserki. – Dajcie zbliżenie!

– Muszę panu przerwać. – Kolasiński zerwał się z fotela.

- Przerwać? Ej! Płacicie abonament na tę stację! Decydujcie! Mam przerwać?!
- Niiieeeeeeeeeeee! Móóóóów! – zawyła publiczność.

Młody wszedł do Dramy, usiadł na barowym stołku. Kilku mężczyzn siedziało przy jednym ze stolików i śpiewało jakiś stary szlagier, inni prosili barmana, by pogłośnił telewizor, w którym szły *Rozmowy polityczne*. Młody zobaczył Kiejkusa. Siedział na końcu baru, ręką podpierał głowę.

– Dzień dobry. Pan Kiejkus? – spytał.

– Ty od nas... tak? To fajnie... a widzisz... widzisz... wracam na wieś, wracam, gospodarstwo leży, żona mi ryczy, a córka na uczelnię nie chodzi... wstydzi się mnie, wstydzi. Zawsze ciężko pracowałem, zawsze! – Kiejkus uniósł się na krzesło, krzycząc, ale zaraz opadł. – Nigdy złotówki nie ukradłem, a gdy wójtem byłem, załatwiłem szkołę, przystanek PKS, a nawet – podniósł palec do góry – peron! Droge jeszcze położyłem i kanalizację. Ludzie mnie kochali... na wsi... Na co mi była ta Warszawa, no kurwa, na co? To już pewne, oddam mandat, a chuj tam, nie nadaję się na to, a chłopcy mówili, że spokojnie, że odrobisz sobie, bo te długie mnie męczyły, komornicy nie dawali spać, bo za szwagra poręczyłem, jak autokomis stawiał, ale w jakąś mafię wszedł, samochody mu zajebali, a on z tym został, spłacał, a Hela, sekretarka nasza partyjna, kochana kobita, uciekła też do Warszawy przed mężem, bo bił ją strasznie, strasznie, no mówię ci, chłopie, a to dobra kobieta, no zakochałem się trochę, no i co teraz, rzucić to wszystko, no powiedz, rzucić? Zostawić teraz, wrócić do żony, a chuj tam... ludzie już gadają... a córka nie odbiera telefonu ode mnie, bo się mnie wstydzi, a to wszystko na moją głowę za duże, ja prosty jestem, takich intryg na oczy nie widziałem, nie słyszałem, a to gorzej, chłopie, niż w tych serialach, gorzej, a w polityce to, chłopie, straszne, każdy patrzy, by się noga powinęła i wskoczyć zaraz, a jeszcze kopniakiem w dupę poprawić, a te dziennikarze, chłopie, Jezuniu, jak Bóg ich stworzył, to chyba wzrok odwracał, ale musiał pewnie, na równowagę... A jeszcze chłopcy w partii się napinają, że kłam, zaprzeczaj, w zaparte, bo redaktory głupie, tylko czekają, by cytnąć coś z człowieka, zeszmacić, a potem wszyscy klepią po ramieniu, się nie łam, to kurwy, niech piszą, dobry człowiek jesteś, a za plecami rzą jak konie, że znowu w chuja zrobili, a wiesz

ty... Z tą palmą to głupie było, ale jak na wsi człowiek nie mógł, a do domu dwa kilometry, to gdzie łął, no gdzie? A w mieście to chuja, nigdzie, bramy pozamykane domofonami tymi, wejść nie można, odlać się jak biały człowiek. Eeeeeech, Jezuniuuu, czemu na moją głowę to rzucasz, jak ona pusta, ciasna, tyle nie pomieści... Eeeeeech... – Głowa Kiejkusa opadła na bar.

Przy stoliku wyli, śpiewając piosenkę, której Młody nigdy wcześniej nie słyszał:

„Jaaaaaaa to mam szczęście,  
że w tym momeeeeeencie  
żyyyyyć mi przyszło, w kraju nad Wisłą...  
Jaaaaaaa to mam szczęście...”.

Podszedł bliżej grupy stojącej pod telewizorem. Na ekranie jakiś facet przechadzał się po scenie w studio, uciekając przed Kolasińskim.

– „...ale ja po prostu jestem sobą. Tak jak prosiłeś, redaktorze, zanim tu wlałem. Czyli co? Tam, gdzie nie ma kamery, mówimy prawdę, a jak się włączy, to gówno? Ludzie! Czy chcecie gówna!?”

– Neeeeee! – zawyła publika.

– Niech pan się uspokoi, przerywamy program, bo to... – Kolasiński wstał.

– Siedz, siedz, chłopie. – Wolny machał do niego ręką. – Pytaliście mnie na początku, czy ja mam coś do Jezusa. A wali mnie, czy się ludzie modlą do drewnianego krzyża, księdza, telewizora, czy czego tam jeszcze. Ale coś wam powiem... Jak miałem dwanaście lat, to mojego kumpla dymał księżulo, ale kumpel nigdy nie stracił wiary i Bóg go zaraz zabrał, i to mnie wkurwiło. Jeśli mam być szczery, to nie znam się za bardzo na tych sprawach, polityka też mnie wali, bo byłem ostatnio zbyt naćpany, by się tym interesować, ale powiem wam, co mnie nie wali... Pewien mój młody przyjaciel diluje, ćpa i siedzi na kompie, co mu się już pierdoli z rzeczywistością, i marzy, by kupować sobie ciuchy, za które musi zapłacić po kafli, bo fabryka, co to produkuje, wydaje miliony na reklamy w telewizji. A wy kupujecie te telewizory i oglądacie, żeby opłacać alimenty temu gościowi, bo jego córka musi kupić sobie iPhone’a za dwa kafle i paradować po szkole, gdzie chesne to pewnie ze dwadzieścia kafli. Czy wiecie, ludzie, że jeden dzieciak w Chinach, co mi

mój młody przyjaciel pokazał w necie, sprzedał swoją nerkę, by kupić sobie takiego iPhone'a? Nerkę! A czy mam coś do polityków? Mam ich w dupie! Ale se pokrzyczałem! A wy? Chcecie krzyczeć?! Krzyczcie, bo zaraz nas wyłączą!

– Chceeeeeeemyyyyyyyyyyy!

– To ruszcie dupy sprzed skajpa, fejsa, telewizora, chuj wie jeszcze czego, idźcie na ulicę, założmy Ruch Wolnych Ludzi! I krzyczcie! Nieważne, co będziecie krzyczeć! Drzyjcie się, niech was usłyszą! Ja wychodzę! Jesteśmy wolniiiiiiiiii!”

Młody, patrząc w telewizor, przypomniał sobie, że Błada pokazywała w redakcji kawałek z ich gazety podpięty pod fanpage. Śmiała się, że gość stał się sławny „dzięki kilku jej zdaniom”. Eric rzucił na ekranie mikrofonem i przedzierał przez scenę, a tłum go poniósł. Zgromadzeni w pubie bili brawo. Pojawiało się ujęcie z telewizyjnego helikoptera: tłum wylał się z budynku telewizji, na jego czele szedł Eric, a wszyscy skandowali „Wolny! Wolny! Wolny!”.

Młody wyszedł przed pub, jakiś małolat rzucił kamieniem w wystawę restauracji, kilku wyrostków chciało przewrócić auto, słychać było odgłos zbliżających się radiowozów, nad ulicą zawisł policyjny helikopter.

Fifi próbował przecisnąć się przez tłum, który skandował pod komisariatem: „Wolny na wolność!”. Monię i Norę zgubił chwilę wcześniej, gdy policyjny kordon ustawił bramki odgradzające ulicę od posterunku. Zobaczył Monię, gdy próbowała wspiać się na murek, tuż przy chodniku, ale policjant ściągał ją za spódnicę, a rój wył: „Zostaw ją! Zostaw ją!”. Jakiś chłopak trzymał w jednej ręce tablet, w drugiej gazetę zwiniętą w tubę i skandował ochoczo podchwytywane hasła: „Telewizja! Hipokryzja! Wolny na wolność!”. Fifi parł ku Moni, rozpychał się, a gdy jej dopadł, chwycił ją mocno za ramię.

– Gdzie Nora?! – krzyknęła.

– Zgubiłem ją! Chodźmy stąd! – Chciał ją pociągnąć, ale się zapierała.

– Musi wziąć leki! – krzyknęła i znów chciała wspiać się na murek, ale falujący tłum jej to uniemożliwiał. – Jest tam! – Pokazała palcem na drzwi komisariatu.

Nora stała koło Ajli, który dyrygował tłumem. Monia przecisnęła się tam z Fifi i chwyciła ją za szyję. Zza drzwi wychylił się policjant, wciągnął Ajlę, a jako że

Nora trzymała go mocno za kaptur bluzy, do środka wpadli we czwórkę. Policjant wprowadził ich za kratę oddzielającą dyżurkę od korytarza. W małym pomieszczeniu, przy biurku stał policjant w garniturze.

– Zgodnie z decyzją wasz przyjaciel wyjdzie na wolność za kaucją. Sto tysięcy złotych, bo taka jest szacunkowa wartość strat za nocne zamieszki – powiedział, spoglądając nerwowo przez zakratowane okno.

– Moja matka jest adwokatem! – krzyknął Ajla. – Niech mi pan bzdur nie wciska, nie było jeszcze posiedzenia sądu!

Policjant zaciskał zęby.

– Kaucję trzeba wpłacić na konto depozytowe, tyle miałem ci przekazać... młody człowieku.

– Chodźcie! – Ajla zawołał do Moni, Fifi i Nory, a gdy wyszli z komisariatu, stanął na barierce, wymusił ciszę, machając rękami, i zwinąwszy gazetę w rulon, przyłożył ją do ust. – Słuchajcie! Jest kaucja! Trzeba sto koła! Na fejsie wrzucę numer konta! Pomóżcie!

– Po-mo-że-my! – zaryczał tłum.

Zszedł po schodach, Nora cały czas trzymała go za kaptur. Próbował się od niej uwolnić, gdy upadła na ulicę i straciła przytomność.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła biały sufit i swoją przyjaciółkę.

– Otworzyła oczy – szepnęła Monia.

Ajla szedł ku nim ze szklanką w ręce. Nora upiła łyk.

– Gdzie jestem? – spytała, mrużąc oczy.

– U niego. – Monia skinęła na chłopaka. – To kumpel tego z telewizji. Miałaś, głupia, gorączkę, byłaś w jakimś amoku.

– Czeeeeść – szepnęła Nora do Fifi, który gasił papierosa w słoiku. Miał podbite oko i odrapaną twarz. Podeszedł, pocałował ją w policzek.

– Papa mi powiedział, że jesteś w szpitalu. Jak przyszedłem, oglądałyście z Monią ten program, a potem ci odbiło. – Uśmiechnął się, delikatnie głaszcząc poranioną brodę.

Monia wstała, by gestami pokazać furję.

– Zaczęłaś się drzeć na łóżku: „Znam go! Znam go!”, a potem się ubrałaś i błagałaś, by cię wypuścić. Ty wariatko, jest ósma rano, całą noc za tobą lataliśmy. A potem ten koleś... – Wskazała palcem na Ajlę. – Nie chciałaś się od niego oderwać i walnęłaś łbem o chodnik. Wzięliśmy taksówkę, ale w szpitalu już nas nie chcieli, więc tu nas przywiózł, na tę melinę.

– To nie melina! Tu będzie siedziba ruchu. – Urażony chłopak zmarszczył brwi.

– Walnij się w łeb, baranie jeden! – Stuknęła się w czoło. – Jaki, kurwa, ruch? Twój naćpany kolo odjechał w telewizji jakąś szopę.

– To zabierajcie swoją koleżankę i wypad. Nic nie kumacie. – Nadąsany, wyszedł do kuchni.

– Gdzie pójdziemy? – wyszeptała Nora.

– Nie wiem. Nie wracam do siebie, bo bracia mnie znaleźli, chyba znają mój adres... – Monia spuściła głowę.

– Ja jestem spłukany. – Fifi wyjął z paczki kolejnego papierosa.

– Miałam opłacić czynsz, przyjdzie właściciel, Papa wisi mi kasę. – Nora przyłożyła rękę do piersi, syknęła, a Monia podała jej dwie pigułki ketonalu.

– Robię śniadanie, ktoś chce? Skoro już jesteście... – odezwał się cicho Ajla z progu. – Ale nie ma chleba.

Fifi się poderwał.

– Ja pójdę!

– To weź jeszcze twaróg, śmietanę, jajka i pomidory, co? – Wyjął z kieszeni garść monet i przesypał na jego dłoń. Spojrzał na drobniaki, potem na Monię. Westchnęła, włożyła rękę do torebki, dorzuciła kilka złotych. Po kwadransie jedli kanapki i słuchali podnieconego Ajli, wpatzonego w ekran laptopa. Siedzieli wokół kanapy, na której leżała Nora. Próbowwała przełknąć chociaż kęs.

– Kwejk, Wykop i fejs już działają. Te gnoje pewnie wyłączyli w nocy zasilanie do głównych firm hostingujących, żeby nie było komunikacji. Esmesów też nie można było słać. Słuchajcie! – Chłopak oparty o kanapę trzymał tablet na kolanach, w ręce ścisnął kanapkę z twarogiem. – Ludzie zadeklarowali już... zaraz... o, będzie ponad sto pięćdziesiąt koła. Po południu sprawdzę konto, jeśli spłynie, to mamy na

kaucję, można też kupić tu jakiś stół, kilka krzeseł, bo pewnie telewizja przyjedzie.

Monia gryzła kanapkę i czytała „Tylko Życie”, które ze sklepu przyniósł Fifi.

– Ja pierdolę – parsknęła. – Wykończyli Wiśnię! Ale dno! Pewnie ją wywalą z serialu, ciekawe jak?

Fifi beknął.

– Pewnie zrobią, że zaginęła.

– E, nie. Porwanie daje nadzieję, a muszą ją po takim numerze wykończyć od razu. Stawiam na wypadek. – Strzepała ze spódnicy okruszek twarogu.

– I tak nikt jej nie lubił, suka była, ludzie się nie pogniewają. E, ty – Fifi spojrzął na Ajlę – a skąd się znacie z tym z telewizji?

– Ja go odkryłem... w tej gazecie. – Wskazał na „Tylko Życie”.

– No nieźle. – Monia parsknęła śmiechem. – Gość zdemolował pół miasta przez tę szmatę? – Wstała i poszła do łazienki. – Ej! Tu nie ma światła!

Ajla skrzywił się.

– Jak opłacę rachunki, to podłączą, bo chata stała pusta.

– Czyje to? – spytał Fifi, rozglądając się po pustych ścianach.

– W zasadzie... to na razie mojej starej, dopóki właściciel nie wróci. Z Australii... – Ajla odłożył kanapkę i zastukał w klawiaturę. – A wy skąd znacie Erica?

– Ona zna. – Fifi wskazał brodą Norę, która nonszalancko machnęła ręką, wykrzywiając z bólu usta.

– Przez niego prawie straciłam cyca – wyjęczała.

Trzeźwy wszedł do mieszkania, otworzył okna, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Wyjął laptop z torby, postawił na stole. Jeśli nie odcięli go jeszcze od wewnętrznej sieci KPRM, powinien znaleźć tam najnowsze badania. To, co widział poprzedniego wieczoru u wujka Józka w *Rozmowach politycznych*, a potem w relacjach z nocnych zamieszek, może być, jeśli intuicja dobrze mu podpowiadała, jego „nowym projektem”. Marzył o takiej kreacji, materii nieoszlifowanej, świeżej,

wyroślej na proteście społecznym, ale nigdy nie przypuszczał, że będzie to ruch młodzieżowy. Postanowił wrócić szybko do Warszawy i dorzucić kilka polan do tego ogniska, bo młodzież łatwo się zapala, ale szybciej wygasa. Wystarczy, że rzucą do sklepów najnowszą wersję kultowej gry komputerowej i szyki protestu zostaną rozbite. Zalogował się do intranetu kancelarii, wpisał kod z tokenu, który miał dopięty do kluczy. Był „on-line”, czyli jeszcze go nie odłączyli. W zakładce „Sondaże”, którą sam stworzył, by członkowie koalicji mogli zapoznawać się z najnowszymi oczekiwaniami i nastrojami społecznymi, odszukał ostatnie raporty Instytutu Badania i Analiz. Instytut prowadził dla kancelarii nasłuch po każdym większym problemie poruszonym przez media, który mógł mieć wizerunkowe skutki dla Pierwszego. Nie mylił się. Już był gotowy sondaż telefoniczny na losowej próbie pięciuset czterdziestu osób. Sześćdziesiąt dziewięć procent respondentów deklarowało zaufanie do Wolnego. Tylko jedenaście procent uznało, że to osoba niewiarygodna, dwadzieścia procent nie miało zdania. Osiemdziesiąt pięć procent z przedziału wiekowego osiemnaście–dwadzieścia cztery lata uważało, że poruszył bardzo istotny problem. Sześćdziesiąt pięć procent uznało, że chodzi o protest przeciwko Kościołowi, a tylko dwadzieścia procent, że o wiarygodność mediów. W przedziale dwadzieścia pięć–trzydzieści pięć lat miał sześćdziesięcioprocentowe zaufanie, a trzydziestosześcioprocentowe deklarowały osoby powyżej pięćdziesiątego roku życia.

Trzeźwy przypomniał sobie dyskusję akademicką, w której brał udział z ramienia kancelarii, gdy socjolog, ten gość, który był ekspertem Kolasińskiego podczas awantury w studiu, przekonywał, że eksplozja protestów społecznych w wykonaniu młodzieży jest niemożliwa, bo dzieciaki od osiemnastego do dwudziestego czwartego roku życia siedzą przed komputerami albo są na zakupach, a trzydziestolatkowie w IKE-i. A tu proszę. Trzeźwy zdał sobie sprawę, że Wolny wygrał wśród dobrej, targetowej grupy finansowej i już mógłby zbić majątek, gdyby zgodził się wziąć udział w reklamie. Patrząc na wykresy, sięgnął po papierosy, paczka była pusta. Poszedł do sklepu. W kolejce spojrzął w ekran monitora zawieszony nad kasą, emitujący reklamy produktów spożywczych. Uśmiechnął się do siebie, bo jeszcze kilka lat temu obstawiał, że telewizja sklepowa dla



oczekujących w kolejce będzie niezłym biznesem. Pamiętał badania: przekaz sklepowy trafia do prawie dziesięciu milionów pełnoletnich osób, a w swojej skrzynce pocztowej miał informację od jednej z takich telewizji: „Reklama w sklepie przekłada się na zakupy, a badania wykazały wzrost zakupów reklamowanego w taki sposób towaru o ponad dwadzieścia procent”. Trzeźwy zastanawiał się, czy w kolejnych wyborach parlamentarnych politycy nie będą wisieć w telewizorach nad kasami tuż obok tabliczki „reklamacji nie uwzględnia się”. Kupił papierosy, wyszedł ze sklepu, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Człowieku! Co się z tobą działo?! – zawył Buldog.

– Wyrzucili cię?

– Nie, dali z powrotem do reprezentacyjnego, znów konsultuję, komu należą się order i odznaczenia.

– Mów.

– Przez telefon?

– A, mam to w dupie.

– Wylecieli wszyscy od ciebie. Rzecznicy, pracownicy biur prasowych, wycinka totalna, chyba ze dwadzieścia osób. Poszło o jakieś zdjęcia z dupą? Bo tylko ploty chodzą.

– Tak jakby.

– Aha, ale słuchaj teraz. Pierwszy też ma problem. Jakaś dziewczyna z kancelarii zaszła w ciążę, za grubą kasę kazał jej usunąć, ale ona jednak rodzi jakoś na jesieni, a jeszcze wygadała się komuś i się rozniosło. Pierwszy kazał chyba ją podsłuchiwać i wyszło, że szuka wydawcy pamiętników... Sprawa ponoć znana od miesięcy.

A to cwaniak, pomyślał Trzeźwy. Premier tak łatwo go wyrzucił za to zdjęcie, by nie mieć drugiego skandalu obyczajowego na głowie. I wtedy go olśniło.

– Jezu, to ona... – szepnął.

– Kto?

– Ta Magda, którą wywaliłem z pracy, wtedy w stołowie.

– Skąd wiesz?

– Tak sędzę. Białek ściągnął ją do siebie. Myślałem, że to romans, ale chyba

chcieli ją mieć blisko. – Trzeźwy zdał sobie sprawę, nie po raz pierwszy, że jednak nie zna się na kobietach.

– Pierwszy powstrzymał te pamiętniki, w kraju znaczy, ale jakieś czeskie wydawnictwo chce drukować, więc żeby to przykryć medialnie, chcą wyrzucić z ustawy o związkach partnerskich dziedziczenie, adopcję, ale tylko, żeby szum był...

A więc o to chodzi, Trzeźwy przystanął. Ustawa o związkach partnerskich została odmrożona, by wywołać ferment i przykryć romans Pierwszego. Ale dlaczego chcą ją okroić? To chyba jednak zła taktyka, rozmyślał. Doradziłyby granie na liberalne media i elektorat. Chociaż zaraz, pewnie zrobili badania i wyszło im, że poparcie konserwatywnej części bardziej się opłaca, więc Pierwszy chce pokazać się jako obrońca wartości rodzinnych, by podważyć na tej nucie rewelacje asystentki.

– A jak sprawa zamieszek? – spytał.

– Pierwszy wezwał prezydenta miasta i komendanta stołecznego. Jak zobaczyli ten syf, to się zesrali. Puszczają tego Wolnego za kaucją, ale i tak chcą grzać ten konflikt.

– Jak to?

– Ponoć Pierwszy zamierza potrzymać Kościół w niepewności. Jak wyjdą pamiętniki Magdy, nie chce słyszeć z ambony potępienia swoich grzechów, więc nie spieszy się, by przyciskać Wolnego. A gdy sprawa pamiętników ucichnie, to zgniotą gnojka. Boją się tylko, że się sformalizuje, ale jak sądzisz, to jakaś ściema chyba, co? Ten koleś coś zbuduje? Bo wiesz, oni się naprawdę cykają, że ma za sobą młodzież.

– Nie wiem – odparł Trzeźwy i usiadł na ławce przed blokiem. Rozłączył się, spojrzał na pana Franciszka robiącego właśnie obchód.

Ochroniarz zobaczył go i pozdrowił kikutem ręki.

– Niezły gnój na ulicach, co?! Jak rewolucja jakaś!

„Rewolucja”, powtórzył w myślach Trzeźwy.

– Idziemy po niego! Chodźcie z nami! – Ajla wychylał się przez okno.

Kilkadziesiąt osób z transparentem „Wolny na wolność” tańczyło na ulicy przy muzyce z samochodu, bo podał swój adres na fejsie. Spojrzał w laptop, było już potwierdzenie przelewu na depozyt policji. Na jego koncie nadal jednak piętrzyły się pieniądze, już ponad sto tysięcy. Wpłaty szły z całego świata. Jakiś „emisariusz rządu emigracyjnego w USA, Wielki Książę Rubieży” przelał dziesięć tysięcy dolarów, ale najwięcej było kwot po pięć, dziesięć złotych. Wyliczył, że wpłaciło ponad dziesięć tysięcy osób.

Monia weszła do mieszkania z pustą tacą, pożyczoną od sąsiadów.

– Zniosłam na dół ze sto kanapek, zeżarli wszystko. – Położyła tacę na parapecie i rozejrzała się po pokoju. – Przydałby się jakiś stół, materac...

Ajla podrapał się w głowę.

– Dobra. Wypłacę wam kasę, jedźcie do IKE-i czy gdzie tam. Jak wrócę z Erikiem, może się zwalić telewizja, powinno tu jakoś wyglądać. Aha... – Podeszedł do parapetu, na którym leżał plik dokumentów. – To są rachunki. Gaz, woda, prąd, czynsz. Może podejdziecie na pocztę, bo chyba nie wypada tak prosto z konta? Albo nie, nie ma czasu. To jest karta. PIN to 2017. – Trzymał kartę w ręku, zastanawiając się, czy to aby nie pochopne.

Monia wyczuła jego wahanie.

– Rozumiem, spoko, nie znamy się. – Wzruszyła ramionami, a Ajla podał jej kartę.

Kiedy wyszedł z kamienicy, dobiegło do niego kilkanaście osób. Wyciągnął telefon, zamówił pięć taksówek i pojechali przez miasto z otwartymi oknami, przez które demonstranci wystawiali transparenty. Pod komisariatem niedobitki z nocnych zamieszek były legitymowane przez policjantów. Uzbrojony kordon zniknął, pozostały barierki. Ajla wszedł różnym krokiem na schody komendy, za nim kilkanaście osób.

– Tylko ty! – Mundurowy, który wyszedł przed drzwi komisariatu, wskazał na niego palcem. Weszli do znanego mu już pokoiku, gdzie siedział policjant w garniturze z jakimś dokumentem w ręce.

– Nie mamy potwierdzenia przelewu.

– Okej, to wyjdę i – chłopak wskazał brodą za okno – powiem im.

Tłum przed komisariatem gęstniał, bo jeszcze w taksówce Ajla dał znać na Twitterze, że Eric wychodzi.

– Czekaj. – Mężczyzna starł kroplę potu z czoła. Podniósł słuchawkę telefonu. – Mówi, że przelał. Macie potwierdzenie? Aha. – Rozłączył się i wskazał na komputer stojący na biurku, który Ajla widział na wystawie sprzętu komputerowego w dziale „Wspomnijmy to jeszcze raz”, z kieszenią na trzyipółcalowe dyskiety. Policjant podsunął krzesło. – Siadaj, włącz do banku – rzucił, a chłopak posłusznie się zalogował i kliknął w dokonane przelewy. Policjant zajrzał mu przez ramię i znów podniósł słuchawkę. Po chwili skinął na policjantów stojących przy drzwiach: – Przeprowadźcie go.

Po kwadransie Ajla wyszedł z Erikiem przed drzwi komisariatu. Nieco zaspany Wolny zobaczył skandujących, uśmiechnął się i podniósł rękę z palcami w znaku „V”.

– Wolny! Wolny! Wolny! – skandował falujący tłum.

Rzucili się dziennikarze, ciągnąc za sobą operatorów kamer. Eric przyłożył rękę do ust.

– Ludzie! – zakrzyknął. – To dopiero początek! Zakładamy Ruch Wolnych Ludzi! Dość kłamstw i hipokryzji! Niech żyje wolny świat! To czas nowej cywilizacji, nikt nie zamknie mam ust! Nikt nie będzie mówił, co i z kim chcemy robić!

Tłum zawył, a kiedy mężczyzna schodził po schodach, wyciągały się ku niemu ręce, nawet jakaś dziewczyna rzuciła mu się na szyję i zaczęła go całować. Ajla ciągnął go do taksówki.

– Franciszkańska 22! Tam jesteśmy! – krzyknął jeszcze do tłumu.

Kierowca ruszył, Ajla spojrzał na Erica i rzucili się sobie w ramiona, krzycząc, jakby wygrali w totolotka.

– Szkoda tylko, że mi nie powiedziałaś prawdy, o mało nie zemdlałem, jak ludzie zaczęli pisać, że jesteś kanciarzem, kurwa, chciało mi się ryczeć, gdy ten chuj zaczął ci wypominać, ale później, stary, co się działo! Sieć szalała, ludzie

nawoływali, by wyjść z domu, lecieć pod telewizję, a wtedy, jak przeczytałeś te kartki, jak mu wypomniałeś, ja pierdołę, rzuciłem to i sam poleciałem, a tam już stali, wkurwieni, Twitter się grzał, a potem helikoptery, jak na wojnie! Kurwa! – Podekscytowany Ajla prawie walił głową w sufit auta.

– Nie wiedziałem, że mam taki talent – uśmiechnął się Wolny.

– Ale z tym przyjacielem, co ćpa i diluje, to przegiąłeś.

Eric podrapał się po głowie.

– To akurat samo poszło...

Taksówkarz zahamował gwałtownie, gdy drogę zajechał im czarny mercedes z przyciemnionymi szybami. Wyskoczył z nich Dyszel i kulejąc, podbiegł do drzwi od strony Erica.

– Chodź! – krzyknął, a ten spojrzał na Ajlę.

– Jedź sam. Będę niedługo.

– Jesteś pewien? – Chłopak nie odrywał wzroku od Dyszla.

– Spokojnie...

Eric rozłożył się wygodnie na tylnym siedzeniu mercedesa.

– Co jest? – uśmiechnął się.

Gruźlik siedzący za kierownicą spojrzał we wsteczne lusterko, a Dyszel tylko chrząknął.

– Powiecie coś? Co ci się stało w nogę? – patrzył na Dyszla. – Kulawy szykuje mi miejsce pod basenem?

Po kwadransie milczenia zatrzymali się przed bramą dworku z wysokimi kolumnkami ciągnącymi się aż do drugiego piętra. Eric obszedł dom, stanął pod garażem. Dotknął klamki, spojrzał kątem oka na basen z gipsowymi aniołkami i próbował sobie przypomnieć, ile to już trupów tworzyło tam spójną konstrukcję betonowej wylewki. Kulawy – łysiejący, z wąsem i krótką bródką – w garniturze i, jak zwykle, w mokasynach z wężowej skóry siedział na leżaku i patrzył w telewizor. Gdy wrzucono mu do domu granaty, zabijając żonę, a jemu rozrywając kolano, jego domem stał się garaż, a dom był tylko fasadą. Wstał, wziął do ręki pilota, patrząc w wielki telewizor plazmowy, i pokazał ręką, by nikt się nie odzywał.

– „Dla kogo teraz miauczysz?” – na ekranie Bogusław Linda przepytował kochankę.

Kulawy wcisnął stop-klatkę.

– Kurwa... Kocham, jak on to mówi, „miau-czyszszzsz”.

Mokasyny stukały po brązowych płytkach, gdy podchodził do barku. Garaż stanowił wierną kopię domowego salonu, tylko ściśniętego od góry, wysokość pomieszczenia, jak to w garażu, nie przekraczała dwóch metrów. Nalał do szklaneczki niebieskiej whisky i opadł w leżak.

– Więc postanowiłeś zostać gwiazdą? – ni spytał, ni prychnął.

– Przypadek. – Eric podszedł do barku i też nalał sobie whisky.

Zamknęły się drzwi garażu. Dyszel i Gruźlik stanęli nieruchomo z rękoma złożonymi z tyłu.

– No, tak myślałem. – Kulawy upił łyk. – Przechodziłeś tamtędy, koło tej telewizji, wyszedł ten pedał, jak mu tam...

– Kolasiński.

– No. Podszedł, zapytał, czy nie masz chwili, bo postanowił wziąć pierwszego lepszego z ulicy, a ty, że owszem, bo tak się składa, że masz w planie parę wyjebek na mieście i możesz o tym opowiedzieć. Dyszel o mało nie stracił jaj przez ciebie. – Kulawy podrapał się po policzku. – Jak mi tu przyleciał, że jesteś w telewizji, to akurat miałem jedną fajną maniurę, co mi ciągnęła po same kulki, no i wziąłem kłamkę, tę moją ulubioną, co mam pod materacem...

– Głoca – mruknął Dyszel.

– ...i jebłem na oślep, no ale trafiłem chuja w udo.

– W pachwinę – szepnął Dyszel, głaszcząc się po jajach.

– Jak mi jeszcze raz, kurwa, przerwiesz, to jak Boga Kocham, wezmę tę kłamkę i tym razem, do kurwy matuli, nie spudłuję. – Kulawy zawiesił szklanę w połowie drogi do ust, a Dyszel spuścił głowę. – No dobra. To przywitania mamy za sobą. Chuj mnie obchodzi, gdzie byłeś, czemu telefonu nie odbierałeś, ale rzeczywiście, Dyszel miał rację, bo jak włączyłem pudło, siedziałeś tam z tymi pedałami i pitoliłeś, a nie wiem o czym, bo wiesz, że trudno mi się skupić, jak widzę fajną

cipę, a siedziała tam taka za twoimi plecami. No dobra. A tera tak. Skoro tam byłeś, znaczy, że coś obcykałeś, na solo, dobra, nie gadaj, rozumiem, większa akcja, choć przykro mi jednak, bo wiesz, że traktuję cię jak syna. No dobra. Kto za tym stoi?

Eric upił łyk.

– Student.

– Student – powtórzył Kulawy. – Nie znam tej ksywy. Czyj on?

– Mówiłem, to przypadek...

– Aha. No chuj zresztą, wali mnie, nie mów, ale skoro wlałeś do telewizji, rozumiem, że to wymyślił ktoś łebski. Ile z tego będzie? – Przymknął powieki.

– Słuchaj, to fejs – powiedział Wolny, obracając w dłoni szklanę.

– Fejs... Znam go?

Eric przetarł palcami oczy, jakby dopiero się obudził.

– Nie, nie znasz.

– Dobra. – Kulawy wstał, podszedł do stolika z bursztynowym blatem, odsunął. Kopnął chodniczek, schylił się, wyjął kafelek, pod którym ukryte były małe drzwiczki kasy pancерnej. Otworzył i wyciągnął torbę z logo sklepu Żabka. Podszedł do Erica. – Masz.

– Co to?

– Ten obraz, co go podjebaliśmy temu hrabiemu, i jeszcze figurka z wielką cipą. Wiesz, ile to warte? To mój udział w tym interesie, z tym fejsem, powiedz mu to. Jak nie wypali, może sobie figurkę opylić, a jak wypali, dla mnie trzydzieści procent.

– Nie wiem, ile tego będzie... ale dobra, piętnaście procent – westchnął Eric.

– Dwadzieścia. – Kulawy wyjął z kieszeni pudełko z cygaretkami.

– Zgoda, ale potem znikam. I tak jestem spalony.

Gangster pokiwał głową.

– Wiem.

Usłyszeli klakson. Dyszel wyszedł i wrócił po chwili.

– Twoja taksówka – rzucił.

Eric wyszedł przed garaż. Zatrzymał się jeszcze w połowie drogi do furtki

i odwrócił.

– Dyszel – mruknął. – Masz jeszcze ten staf? Ten z wyjebem.

Mężczyzna pokiwał głową i z kieszeni kurtki wyjął żółte jajko, opakowanie po kinder niespodziance.

– Uważaj, bo mocne. Mieszaj ze zwykłą. Wisisz mi cztery stówy... Albo nie. – Podrapał się w głowę. – To będzie mój wkład w biznes z telewizją.

– To ten... Kulawy? – spytał Ajla, gdy Wolny wsiadł do auta.

– Taaa, ale to już historia. Czemu jechaliście za mną, mówiłem przecież. – Wyciągnął się na siedzeniu i na kolanach położył torbę z Żabki.

Gdy dojechali pod kamienicę, kilkadziesiąt osób, które stały, siedziały lub leżały pod bramą, rzuciło się do taksówki, śpiewając *Sto lat!*. Eric pozdrowił wszystkich, unosząc ręce jak papież lub mafioso.

– Mamy jakąś kasę? – spytał szeptem Ajlę.

– W chuj.

– Hej! Ludziska! Dzisiaj o dwudziestej robimy tu ostry melanz! To podziękowanie! Dla was!

Tłum zawył w ekstazie, poderwał go i poniósł do bramy kamienicy. W mieszkaniu Eric postawił siatkę na podłodze i pobiegł do łazienki, trzymając się za krocze. Gdy zniknął w środku, dobiegł stamtąd krzyk kobiety. Eric wyskoczył i spojrzał na Ajlę wielkimi oczami.

– Tam jest jakaś goła dupa i nadal nie ma światła.

– Twoja znajoma. – Chłopak rozłożył ręce. – Trzeba zrobić zakupy na tę imprezkę. Dam apel na fejsie, żeby nie demolowali ulicy.

Z łazienki wyszła Nora z mokrymi włosami ubrana tylko w majtki, piersi przykrywała ręcznikiem. Spojrzała na Wolnego, który stał przy oknie, machając ręką do tłumu. Odwrócił się, spojrzał na nią i uśmiech mu zastygł.

– To ty?

– No – wzruszyła ramionami, schyliła się po bluzę leżącą na podłodze i wróciła do łazienki.

Spojrzał na Ajlę.



– Skąd się tu wzięła?

– Ty mi powiedz. Chodzi o jakiegoś cyca. Ale ich jest więcej... – nie skończył, gdy rozległo się łomotanie do drzwi. Podeszedł, otworzył i zobaczył wielki kwiat w donicy, zza którego wyglądał Fifi.

– Monia powiedziała, że jak nie ma kwiatów, to nie ma życia – wystękał purpurowy z wysiłku i zaczął tachać donicę do środka. Za nim gramolili się ludzie z demonstracji, niosąc kartony. Weszli do pokoju i witali się z Erikiem wyglądającym przez okno. Zobaczył na ulicy ciężarowy samochód z napisem „IKEA”.

– Co to jest? – odwrócił się, podnosząc brwi.

Ajla drapał się po głowie, patrząc na ludzi ustawiających pod ścianą kartony. Wysoki chudzielec w koszulce z obrazkiem liścia marihuany niósł wielki fotel, ale utknął w futrynie. Pomogli mu go precyzyjnie. Kiedy ustawili go w pokoju, chłopak opadł w nim, ciężko dysząc.

– Ja pierdolę, macie fajną metę. – Podeszedł do Erica i przybił z nim piątkę. – Stary, dzięki za wszystko.

Do mieszkania wchodzili kolejni, dźwigając kartony. Ajla wyszedł na schody, gdzie zobaczył wielką, czerwoną, skórzaną kanapę, którą niosło sześć osób. Wyjrzał w dół, kolejka tragarzy ciągnęła się do parteru. Po kwadransie mieszkanie zawałone było kartonami, meblami, materacami i kwiatami. Na końcu weszła Monia z wielką torbą.

– Miałaś kupić krzesła i materac... – powiedział Ajla.

Dziewczyna wyjęła z torby perfumy, odkręciła buteleczkę, powąchała, przymykając oczy, i psiknęła na przegub swojej ręki, delikatnie je rozcierając.

Eric spojrzał na jej smukły, pełen cieniutkich żyłek, nadgarstek. Monia podeszła do niego, machając ręką, by alkohol odparował, i podetknęła mu dłoń pod nos. Musnął ją koniuszkiem nosa, głośno wciągając powietrze. Spojrzał na Ajlę spod przymrużonych powiek.

– Luz, chłopie, na pewno wszystko się przyda.

Monia uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Monika.

– Eric.

– Wiem. – Wyjęła z torebki śrubokręt i kombinerki z przyklejonymi jeszcze cenami. – No to co, chłopaki? Brać się za skręcanie.

– Fajny jest, co? – powiedziała Monia, malując rzęsy nowiutkim tuszem i zaglądając w lusterko puderniczki. Nora trzymała się za pierś, czując kłucie i pieczenie, gdy siedziały na tylnym siedzeniu taksówki. Wracaly ze szpitala po zmianie opatrunku. Ból miał trzymać jeszcze kilka dni, jak mówił lekarz, nim szwy zarosną. W łazience, przed wyjazdem do szpitala, pierwszy raz spojrziała w lustro, bo wcześniej, gdy brała kąpiel, nie miała odwagi i cieszyła się, że nie ma światła. Na widok rany krzyknęła, a chłopaki, klnąc nad kartonami, wpadli do łazienki ze śrubokrętami w ręku. Fifi przytulił, Ajla kucnął przy niej, nawet ten Eric pocieszał, a Monia pogłaskała jak szczeniaka. Teraz, w samochodzie, nie ból, ale wzruszenie moczyło jej oczy, bo zdała sobie sprawę, że najbardziej tęskniła za bliskością ludzi, którzy ją kochają. Swędzący ślad łez na policzkach wyrwał w niej poczucie, że w tym mieszkaniu, ciągle pustym, ale pełnym życzliwych jej ludzi, czuła się jak w...

– Fajny, co? – powtórzyła Monia.

– Fajny. – Nora wytarła łzy. – Chce cię bzyknąć. – Próbowała się uśmiechnąć.

– Wiem – przytaknęła i wybuchły śmiechem, a Nora zajęczała „oj, oj, oj”, gdy śmiech naprężył skórę na piersi.

Monia spojrziała na zegarek, obgryzła paznokieć kciuka, rozglądając się po okolicy.

– Niech pan się tu zatrzyma. Wskoczę na chwilę, poczekasz tu? – spytała, a Nora potaknęła. – Koło parku, tam na tyłach – wyjaśniła Monia kierowcy i wyskoczyła, gdy auto stanęło.

Nora pogłaskała się po piersi. Chciała znów zapłakać, ale wyjęła z torebki malutki złoty zegarek, który dostała kiedyś od babci, a do którego nie potrafiła dobrać odpowiedniej bransoletki. Piętnasta trzydzieści. Zmarszczyła brwi. Znowu. Poderwała się, by wysiąść z samochodu, ale taksówkarz gwałtownie się odwrócił.

– E! Pani szanowna, ale we dwie to mi nie znikajcie.

Zostawiła w zastaw torebkę i wyszła z auta. Idąc w kierunku parkowych drzew, nie wiedziała, czy Monia tam weszła, czy może park ominęła. Przeszła koło kawiarni i dalej wzdłuż płotu, aż dotarła do ławki. Chciała usiąść, ale nagle jakieś pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyła Monię kryjącą się za drzewem. Tuliła dłonie na piersiach i wypatrywała czegoś jakby w modlitwie, z twarzą wykrzywioną płaczem. Nora spojrzała na plac zabaw, na dzieci wchodzące na ślizgawkę pod czujnym okiem wychowawczynie. Jedna z dziewczynek, stojąca tyłem, miała kruczoczarne włosy. Odwróciła się, roześmiana. Nora szepnęła tylko: „O kurwa mać”, bo zobaczyła małą Monię – te same oczy, dołki, włosy, uśmiech. Pobieгла do taksówki, zapłaciła i zabrała torebkę. Wróciła, podeszła do Moni cicho, kucnęła przy niej i objęła ją mocno za szyję. Patrzyły obydwie, wychylając się zza drzewa, jak kolejne dzieci odbierane są przez rodziców z przedszkola, a mała zostaje sama, siedzi na krawędzi piaskownicy i przesypuje piasek z ręki do ręki.

– Taka malutka... – zachlipała Monia.

Ładna kobieta w kostiumie, koło czterdziestki, podeszła do dziewczynki, a ta rzuciła się w jej ramiona, krzycząc „mamusiu”. Monia wybuchła płaczem. Gdy dziecko zniknęło za budynkiem, odwróciła się do Nory, oparła plecami o drzewo ni to z uśmiechem, ni żalem w oczach.

– Powiedz – wyszeptła Nora, trzymając ją za rękę.

Monia uciekła cztery lata temu z cygańskiego domu. Od dwunastego roku życia, gdy dostała okresu, była przygotowywana do roli matki i żony, a ona chciała poznać świat, o jakim słyszała w opowieściach babci. Siadały na podwórzu, przed domem, a babcia, podnosząc do góry pomarszczony, szczupły palec, powtarzała:

– Idź swoją drogą, dziecko, poznaj mężczyznę, na jakiego zasługujesz, niech odkryje w tobie kobietę.

Odkrył już pierwszej nocy po jej ucieczce z domu, mówiąc „moja squaw”, bo uważał, że ma urodę Indianki, podkreśloną długimi sukniami, pod którymi skrywała tajemnicę smukłych nóg. Zabierał ją na kolacje, do hotelu, pojechali na Hel, gdzie biegła wzdłuż plaży, podciągając spódnicę, a gdy nago stali w morzu, czuła, że fale obmywają ją z rodzinnej tradycji wstydu. Kilka tygodni później przyniosła mu dwa paski, nitki życia wplecione przez los w malutkie okienko testera, a on uśmiechnął

się, przytulił i zniknął – niby na chwilę, ale już nigdy miała go nie zobaczyć. Nagrywała się na pocztę, słała esemesy, ale zamiast niego w drzwiach wynajmowanego przez nią mieszkania stanęła blada kobieta z chustą na głowie. Miała podkrążone oczy i spytała tylko, czy można. Monia uznała ją za jehowę, a gdy ma się doła, to i jehowa jest dobra na pogaduszki, choćby i głupie, te o końcu świata, co ma nadejść już zaraz, tylko jeszcze ptaki przestaną śpiewać. Słyszała to nieraz, stojąc w drzwiach i słuchając proroków ubranych jak biznesmeni, a potem przeglądała ich gazetki, w których rodziny z dzikimi zwierzętami na obrazkach słodkich jak bajki dla dzieci dziękowały za zbawienie. Planowała, by zaraz po porodzie zostawić dziecko w szpitalu, bo za skrobankę babcia pewnie by w grobie zawirowała, wstała i przyszła o północy. Nie po to jednak uciekała do wielkiego miasta, by sama miała zajmować się dzieciakiem, siedzieć w domu, karmić. Odpychał ją też smród kupy, wszechobecny w ich rodzinnym domu, bo gdy jedne dzieciaki przestawały srać, to zaraz pojawiała się następne i nie wiedziała nawet czyje, bo rodziny mieszkały stadnie – brat ojca, trzy siostry mamy, a każde z gromadą dzieci i tych kup.

Blada kobieta usiadła za stołem, położyła dłonie przed sobą.

– Co pani chce zrobić z dzieckiem? – spytała.

Monia otworzyła wtedy usta, papieros wypadł jej z dłoni i miała zapytać „skąd”, „dlaczego”, „jak”, czy może to jaka albinoska Cyganka, która wróży z tęczyówek oczu, ale kobieta podniosła rękę, powstrzymując pytania.

– Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat – powiedziała spokojnie. – Nie możemy mieć dzieci, przeze mnie. Teraz walczę z białaczką, może z tego wyjdę, może nie. Ale Bóg przysłał to dziecko, bo innego wytłumaczenia nie mogę znaleźć, chyba że jest sadystą i chce mnie zabrać w cierpieniu, którego ludzie znosić nie powinni. Dam pani dwadzieścia tysięcy, urodzi pani dziecko, zabierzemy je zaraz po porodzie i nigdy więcej się nie zobaczymy. Tu są pieniądze. – Kobieta wyjęła z torebki dwa grube pliki banknotów i położyła przed Monią. – Po porodzie dostanie pani drugie tyle. Tu jest – wyjęła wizytówkę – adres zaprzyjaźnionego lekarza, który będzie panią prowadził i przyjmie poród w prywatnej klinice. A tu adres hotelu – wyjęła odręczną notatkę – gdzie zamelduje się pani od jutra i będzie mieszkała do

porodu. Wszystko jest opłacone. Jeśli pani zniknie, to umrę, bo już nic mnie przy życiu nie utrzyma. Czy pani się zgadza? – Łzy ciekły jej po policzku, a Monia patrzyła na ten plik banknotów, który wywabi ją od wszelkich kłopotów, a hotel pomoże zgubić braci nasłanych przez upokorzonego ojca.

– Tak, proszę pani – wyszeptała, bo kobieta, choć wyglądała jak śmierć, miała w sobie dostojałość.

Podawała Moni jeszcze jedną karteczkę, z numerem telefonu.

– To do mnie. Pani telefon znam z esemesów do męża. Proszę rzucić palenie – dodała i wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Lekarz był miły, hotel przytulny. Monia nigdy nie wypijała tyłu soków owocowych, nie jadła tak dobrze, bo serwowano jej specjalną dietę na życzenie Pani o Świecowej Twarzy. I nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś wybacza mężowi zdradę, zwłaszcza gdy niemal stoi nad grobem. Tylko kilka razy poczuła dziwny niepokój, jakby troskę krótko przed porodem, gdy wybrzuszenie poruszyło się, więc pogłaskała je, a ono schowało się i znów wychynęło, nieco powyżej pępka, jakby dla zabawy, więc mówiła „kici, kici”, bo przypominało grę „w kotka i myszkę”. W ósmym miesiącu spuchły jej kostki u nóg, brzuch ciągnął w dół, a plecy rwały. Poród nie bolał tak, jak słuchała w telewizji, w programach, które oglądała całymi dniami. W szpitalu, gdzie pracował ten miły lekarz, wkłuli jej igłę, a dopiero pod koniec, gdy nacinali krocze, tuż przed krzykiem dziecka myślała, że zemdleje. Pani o Świecowej Twarzy przyszła po dwóch dniach, ale z twarzą już różową, uśmiechem w oczach. Usiadła obok Moni na łóżku, położyła kopertę na stoliku, powiedziała: „Wiem, że nigdy mi pani tego nie wybaczy”, i wyszła, a Monia pomyślała, że wariatka jakaś. Potem poszła do toalety, zaciągnęła się pierwszym od ośmiu miesięcy papierosem i zapłakała nad rozstępami. Zza zamkniętej kabiny usłyszała wtedy szloch kobiety tłumaczącej komuś przez telefon, że „to było cudowne, gdy położyli jej dziecko na brzuchu, że poczuła się matką”. Moni nie położyli, nie wiedziała nawet, jak wyglądało, nigdy nie przynieśli do karmienia, a tylko dokument dostała, że „zrzeka się”, „nie rości”, „deklaruje”, „będąc w pełni władz umysłowych”. Najpierw, po tygodniu, zakłuło ją w żołądku, gdy w parku zobaczyła kobietę w ciąży. Po miesiącu miała wrażenie, że śledzą ją kobiety z wózkami.

Zaczęła omijać parki i place zabaw. Po dwóch miesiącach nie była w stanie się ruszyć z łóżka, a niewytłumaczalna, nieznana wcześniej pustka, jakby odcięto jej nogę lub rękę, dopadała ją rankiem po nieprzespanych nocach. Gdy za ścianą usłyszała płacz noworodka, a przez balkon od sąsiadów wpadł zapach pieluszek i mleka, pobiegła do tego szpitala, ale lekarz nie był już miły, tylko powiedział sucho, że „nie pamięta, że ma co roku tysiąc pacjentek”, a potem, gdy wychodziła, dogonił ją na korytarzu, wyszeptał: „Ostrzegam, mam znajomości w sądach”, „potrafię sobie z tym poradzić” oraz „to sprawa czysta z punktu widzenia prawa”, i wyjął wizytówkę, mówiąc: „Ten człowiek pani pomoże”. Monia zadzwoniła. Psycholog przyjął ją za darmo, wsłuchał się w pustkę, zalecił podróż, która skończyła się w pierwszej napotkanej knajpie, gdzie poznała Wafla i Papę. Poszła jeszcze kilka razy do tego psychologa, a pół roku temu zobaczyła je z autobusu – spacerującą matkę i córkę. Pomodliła się w duszy, by przystanek był tuż zaraz, popędziła, weszła do parku, usiadła na ławce, zapłakała, a wtedy przez płot zobaczyła, jak dzieci wchodzą do przedszkola, a na końcu ta mała. Czekala cały dzień, aż do piętnastej trzydziści, gdy dzieci wyszły na plac zabaw.

Monia przetarła twarz rękawem.

– Ona miała rację. – Spojrzała na przyjaciółkę. – Nie wybaczę jej do końca życia. Dziecko ją uleczyło, a mnie jego brak zabija. Umrę... – wyszeptala. Na ramię Nory kapnęły łzy.

Po godzinie stanęły pod kamienicą.

– Oni chyba przychodzą tu tylko dla żarcia – szepnęła Monia do Nory, gdy minęły ludzi siedzących na chodniku i domagających się kanapek i kawy. Weszły do mieszkania, depcząc po kartonach, śrubach, workach i pudłach po pizzy.

– Gdzie wcisnąłeś deskę? Przecież to krzywe! – Eric darł się, przytrzymując regał, który przechylał się, ilekroć go puścił.

– Są. – Ajla podniósł głowę znad instrukcji i opadł na podłogę.

Wolny oparł regał o okno i wyciągnął się obok.

– Zobacz, laska, powiesili lampę. – Nora pokazała palcem na fioletowy abażur pod sufitem.

– Ale nie ma jeszcze światła – stwierdziła Monia, wciskając włącznik. – Co ci? – zapytała Fifi, patrząc na jego rękę owiniętą papierem toaletowym. Ciemniała na nim brunatna plama.

– Mam pizdę pod okiem, wszystko mnie boli, a jeszcze to. – Chłopak podniósł ranną dłoń. – Nikt normalny nie jest w stanie tego złożyć! – krzyknął, machając w kierunku pełnych kartonów, złożonych już półek, leżących na ziemi, foteli i odwiniętych z folii materacy.

– Prosiliśmy tych z dołu, ale jak zobaczyli, ile tego, poszli w pizdu. – Ajla, leżąc na podłodze, patrzył w sufit. – A Fifi walnął się młotkiem, gdy wieszał zegar. – Pokazał na srebrny talerz wiszący krzywo na ścianie.

Eric przypalił papierosa, wydmuchnął dym, podszedł do ściany i wyprostował tarczę.

– Z kukułką nie było? – spytał.

Nora podniosła z podłogi torbę z logo Żabki, wyjęła figurkę i postawiła na złożonym regale.

– Jezu, co to? – zachichotała, głaszcząc palcem wielkie ceramiczne piersi. – Ale ma cyyyyyce – westchnęła.

– Bogini Płodności. Uważajcie na nią. – Eric zaciągnął się papierosem. – Obiecałem imprezę, mamy dwie godziny.

Uzgodnili, że materace położą w drugim pokoju, ustawią dwa złożone regały, półki, fotele i kanapę, a resztę – jeszcze w kartonach, czyli stół kuchenny, pięć krzeseł, szafę do przedpokoju, regał do kuchni, stół barowy, dwie komody, stolik pod telewizor, dwa biurka łączone, krzesła biurowe, szafki do łazienki i małą toaletową – złożą następnego dnia. Dziewczyny wyniosły puste kartony na śmietnik i wzięły się do przygotowywania kanapek. Fifi poszedł po wódkę do sklepu, ale nie doniósł, bo wyrwano mu ją z rąk już na dole. Godzinę przed imprezą na ulicy zebrało się z pół tysiąca ludzi, więc Ajla zadzwonił do hurtowni po czterysta piw, sto flaszek wódki i win, a w dwóch pizzeriach zamówił osiemdziesiąt margarit i czterdzieści neapolitano. Musiał tam jednak podjechać z przedpłatą, bo obsługa nie dała się przekonać, że to na poważnie. Sprawdził konto, było już ponad trzysta

pięćdziesiąt tysięcy złotych. Eric, słysząc to, machnął ręką, a reszta zawyla z podziwem.

Dobiegała dziewiętnasta, na ulicy dudniła muzyka, zaczęło się skandowanie na cześć Wolnego. Co chwila wchodził ktoś do mieszkania, by uścisnąć mu dłoń, poklepać, zrobić selfie, które zaraz lądowały na fejsie.

– Napisz tam, że bez nich nie było to możliwe, że zakładamy ruch... – mówił właśnie Eric, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzył. Dwóch policjantów weszło do pokoju.

– Państwo macie zgodę na demonstrację? – spytał jeden z nich.

– W mieszkaniu? – zapytał Eric.

– Pan sobie za dużo wyobraża, panie Wolny. Tarasują ruch na ulicy – odezwał się drugi mundurowy i wyjął notes.

Eric wychylił się za okno.

– Ludzieeeee! Mamy tu panów policjantów! Pytają, czy macie pozwolenie. – A gdy za oknem ryknęło: „Wy-pier-dalać! Wy-pier-dalać!”, zwrócił się do dwóch gości: – Panowie są chyba proszeni o jak najszybsze oddalenie się. – I wskazał kciukiem w okno.

Policjant schował notes, pokiwał głową i odwrócił się, pociągając kolegę za sobą. Fifi zamknął za nimi drzwi, ale nie zdążył wrócić do pokoju, gdy znów rozległ się dzwonek. Otworzył.

– Panowie, weźcie se... – nie dokończył. Za drzwiami stała wysoka, atrakcyjna brunetka w średnim wieku. Minęła go z zaciśniętymi ustami, weszła do pokoju i spojrzała na Ajlę.

– Co to jest?! Melinę mi tu robisz?! Wszyscy wynocha! Proszę o klucze. – Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń, a Ajlę wcisnął ręce w kieszenie bluzy.

– Nie – odpowiedział, starając się, by głos wybrzmiał stanowczo.

– Ty gnojku jeden! Znowu ćpałeś! Chcesz, żeby odwiesili ci wyrok? – Kobieta podeszła do niego i uderzyła go w twarz.

– Co pani robi?! – krzyknęła Monia, stając za jej plecami.

– Odsuń się, kurwo, bo jak cię strzelę... – Pchnęła ją na regał. Bogini Płodności



spadła na podłogę, zamieniając się w mozaikę okruchów.

Z łazienki wyszedł Eric.

– Zostaw ją – syknął i spojrzał na kawałki porcelany leżące na podłodze. Zagryzł wargi.

Kobieta spojrzała na niego, położyła ręce na biodrach, zmrużyła oczy.

– To ty zostaw mojego syna. Jeśli go w coś wkręcisz... Wiesz, kto to jest?! – krzyknęła, patrząc na Ajlę. – To gangster! – Pokazała palcem na Erica.

– Fiuuuuu! – Wolny zagwizdał. – Uwaga, pani Metaxa da nam wykład z moralności...

Dźgnęła go palcem w pierś.

– To nie telewizja, szczyłu, nie rób cyrków. Daję wam czas do jutra i won! A ty – odwróciła się do Ajli – masz być w domu! Do końca sierpnia zrobisz poprawkę z prawa międzynarodowego albo sama odwieszę ci ten wyrok. Dość tego pajacowania! – Odwróciła się na pięcie i wyszła z mieszkania, trzaskając drzwiami tak mocno, że zegar na ścianie znów się przekrzywił.

Nora, Monia i Fifi opadli na kanapę, Ajla, kucając, wycierał nos rękawem, a Eric chichotał.

– No, to mamusia zrobiła porządek.

Chłopak nagle zerwał się i wybiegł do łazienki.

– Pierdolę ją! Nigdzie nie pójdziemy! Odzyskała tę kamienicę fałszywym testamentem! Jak nas ruszy, to ją załatwię! – krzyczał zza ściany.

Eric wszedł do łazienki za nim i przymknął drzwi.

– Ta kasa... Twoja matka jej nie zabierze? – spytał szeptem.

– Nie, konto jest moje. Ale masz rację, lepiej to zabrać. – Poszedł od razu po laptop. – Daj mi dowód, założę ci szybko konto, przelejemy... Masz trzydzieści trzy lata? – powiedział, patrząc na dokument. – Jak Jezus.

– Spokojnie, pożyczę dłużej.

– Jest już prawie czterysta koła. Ciekawe na ilu się zatrzyma...

W pokoju Monia zbierała kawałki Bogini Płodności.

– Fajnie tu – westchnęła Nora. – Co teraz?

Monia wrzuciła okruchy bogini do torby z logo Żabki i klasnęła w ręce.

– Bierzemy się do roboty, będziemy przyjmować do ruchu tych, co chcą...  
Prawda, Eric? – odezwała się do Wolnego, który wyszedł właśnie z łazienki.

– No. – Kiwnął głową, podchodząc wolno do okna.

– Ja zajmę się tą, no, administracją. Na początek mogę latać po sądach i załatwiać różne sprawy, Fifi będzie mi pomagał. Będzie dużo formalności, prawda, Eric?

– No.

– A potem, gdy już będziemy mieli tego dość, wyjedziemy wszyscy do Francji. I tam założymy farmę, prawda, Eric? – Dziewczyna podskoczyła radośnie na sofie.

– Czemu do Francji? – spytał Fifi.

– A czemu nie? – Monia wzruszyła ramionami.

– Założę tam SPA, całe w białych kafelkach, zrobię sobie cycki, ale takie, że żadnego, kurwa, bikini do tego nie znajdę – zaśmiała się Nora, zapiszczała „aua” i złapała się za pierś.

– Można tam adoptować dzieci? Chyba można, nie? – Fifi uśmiechał się kącikami ust.

– Jak nie można, to pojedziesz do Holandii, tam wszystko można. – Monia klepnęła go w plecy. – Co myślisz? Eric?

– Hurrrrraaaaa! – krzyknęli Fifi i Nora, gdy żarówka pod fioletowym abażurem zapłonęła jasnym światłem.

Kilka radiowozów policyjnych zaparkowało na chodnikach w odległości około dwustu metrów od kamienicy. Była i armatka wodna, ale zaraz została obwieszona kwiatami jak dożynkowa atrakcja. Kilkunastu policjantów podwinęło rękawy w ukropie lejącym się z nieba i usiadło na krawężniku, obserwując początek zabawy.

Młody wszedł do redakcyjnego pokoju Papy.

– Mogę?

Papa odpowiedział skinieniem, więc chłopak kucnął pod szklaną ścianą.

– Chciałem cię o coś zapytać...

– No.

– Chodzi o sprawę Złotego.

– Jaką? – Papa nie odrywał wzroku od komputera.

– Wiesz jaką. – Młody splótł przed sobą palce, jakby robił gimnastykę dłoni.

– Nie mam czasu!

– Dzisiaj rano zabrali go karetką do szpitala. Zmarł w południe.

– No to co? – Fotograf klepał w klawiaturę.

– To on. Sprzedał cały majątek, by płacić ludziom za te zdjęcia, za Lebiodę.

Chciałem cię zapytać... Wiesz, dlaczego on to robił?

– Jesteś pewien? – Papa wstał od komputera, drapiąc się po głowie.

– Byłem u niego, widziałem.

– Mówiłeś Lebiodzie?

– Jeszcze nie.

– Chodź.

Skinął na Iwonę, gdy podeszli do sekretariatu.

– Jest sam – odparła.

Naczelny siedział przy biurku, czytał gazetę i popijał kawę z malutkiej jak naporstek filiżanki. Papa usiadł na wolnym krześle, założył ręce za głowę, prezentując plamy potu pod pachami. – Mów – rzucił do Młodego, który oparł się o ścianę. Milczał.

– Młody powiedział – fotograf kołysał się na krześle – że to Złoty dawał te zdjęcia.

– No... – Lebioda podniósł gwałtownie głowę.

Kiedy chłopak zreferował swoje ustalenia, naczelny wstał od biurka i krążył po pokoju z palcem przy ustach.

– Zostaw nas samych – szepnął wreszcie i Młody wrócił do newsroomu.

Usiadł przy biurku i otworzył stronę upolujgnoja.pl. Na dwóch ostatnich zdjęciach zobaczył Lebiodę na jakiejś imprezie, jak stał na schodach hotelu z podniesionymi w górę palcami w literę „V”, a niżej, jak wytaczał się pijany z auta,

wyrzucany przez taksówkarza. Podpis: NA ZDROWIE PANIE LEBIODA. Złoty nie wrzucił filmu, który mu pokazał, a to oznaczało, pomyślał Młody, że zawał go zaskoczył. Gdy rano Eszka znalazła w altance na stole kartkę z telefonem Młodego, zadzwoniła do niego i powiedziała, że „tata pojechał do szpitala”. Znalazł go na korytarzu, na oddziale kardiochirurgii, przykrytego wielkim białym prześcieradłem. Na piersiach miał ślady od poparzeń defibrylatorem, na twarzy wciąż wyraz skupienia.

– Uwaga! – Lebioda wszedł do newsroomu. – Zmieniamy czołówkę. Mamy ekskluzywne foty ze śmierci tej córki Złotego, pamiętacie? Kto napisze? – Rozejrzał się po twarzach. –

Błada?

Dziennikarka podniosła głowę znad komputera.

– Co wiemy?

– Jakiś amator przysłał foty, na których widać, że to matka nie dopilnowała małej. A stary właśnie kipnął na zawał. – Zadowolony z siebie klasnął w ręce.

Błada kiwnęła głową, a naczelny odwrócił się i zniknął w korytarzu. Młody poderwał się z krzesła, ruszył za nim.

– Nie zrobicie tego! – krzyknął, wpadając do gabinetu i wrywając Papie jedno ze zdjęć, na którym Złota biegnie ulicą, ciągnąc za rękę dziewczynkę.

– Co ci, synu? – Lebioda przyglądał mu się z rozbawieniem.

– On nie żyje!

– To nas nie pozwie. Złota, jak sam mówiłeś, siedzi u czubków, a to – wskazał wydruki zdjęć – są prawdziwe foty, dostaliśmy je dawno temu...

– Świetne zdjęcia, czas je puścić. – Papa podniósł wzrok znad wydruków

– Dobrze wiecie, skąd te zdjęcia. Nie puścicie ich! – Młody przerzucał wzrok z naczelnego na fotografa.

– A co, kurwa, zrobisz? – Papa uśmiechnął się, zakładając ręce za głowę.

– Sukinsyny...

– Uspokój się, synku, dostaniesz etat i podwyżkę. Masz kredyt? – Lebioda spojrzał na Młodego. – Nie masz? No to teraz będziesz mógł wziąć – roześmiał się.

– Mogę powiedzieć policji, że Papa robi pedofilię! Widziałem w jego aparacie!

Redaktor machnął tylko ręką, podchodząc do okna, a fotograf podniósł się z fotela i dźgnął chłopaka palcem w klatkę piersiową. – Ty, kurwa, gnojku – wysyczał.

Młody wyszedł, trzaskając drzwiami. Wziął torbę i poszedł do windy. Po godzinie stanął pod drzwiami białej altanki. Chciał zapukać, ale chwycił za klamkę. Na kanapie siedziała Eszka, tuląc na kolanach Ustawę, Postulata lub Uchwałę.

– Proszę pana, czy tata... umrze?

Podszedł do aneksu kuchennego, gdzie na krześle wisiała marynarka Złotego. Położył ją na kanapie, wyrzucił kieszenie. Z wewnętrznej wyjął pendrive owinięty w karteczkę i plik banknotów.

– To dla ciebie. – Podał pieniądze dziewczynce.

– Pójdzie do nieba, bo był dobry, prawda? – Po jej policzkach płynęły łzy.

– Tak, był dobry – odpowiedział Młody i wyszedł. Spojrzał na zwiędnięte kwiaty przed altanką. Otarł mokre oczy. Wsiadał do autobusu, gdy usłyszał telefon.

– Cześć. – Lebioda był bardzo miły. – Mam dla ciebie propozycję, słyszysz mnie?

– Nie chcę etatu ani pieniędzy.

– Mam co innego, powinienesz to zobaczyć.

– Okej, przyjdę jutro – wyszeptał i rozłączył się.

Eric otworzył oczy i spojrzał w sufit. Dotknął ręką bolącej głowy, obrócił twarz ku wtulonej w niego Moni, zaciskającej piąstki pod brodą. Pogładził jej gęste włosy. Uśmiechnęła się przez sen. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spał z kobietą bez płacenia, ale nie był w stanie sięgnąć pamięcią tak daleko. Krąg, w jakim tkwił od wielu lat, wyszydzał czułość, a stosunek do kobiet wyznaczał dowcipami, burdelowymi najazdami i pogwizdywaniami, gdy Gruźlik, Dyszel lub inni ze szwadronu Kulawego wypuszczali się na miasto. Czy aż tak daleko odbił od plecaka wypełnionego książkami, gdy pojawił się w akademiku w Warszawie? Rozmyślenia przerwał mu krzyk Fifi. Chłopak, klnąc, dreptał w gaciach po mieszkaniu i szukał swoich butów. Monia otworzyła oczy, pocałowała Erica

w czoło, wstała i zaczęła wyganiać ludzi, którzy zasnęli na podłodze, gdy impreza przelała się w nocy przez mieszkanie. Wolny podniósł głowę – wszędzie walało się szkło, kawałki pizzy, puste puszki, a smród rozlanej wódki podsycił kaca. Fifi dobijał się do łazienki, ciągle szukając butów i negocjując z Norą, „że tylko na sekundę”, ale zza drzwi odpowiedział mu tylko śpiew: „Aj lowjuuuu beeejbi, end ift kłujajt olrajt...”. Eric wstał, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Na korytarzu stała kobieta z kilkuletnim chłopcem na rękę. Wpuścił ją. Rozejrzała się po salonie, przystanąła na środku, postawiła dziecko i złożyła ręce jakby do modlitwy.

– Przepraszam państwa, ale chciałam zapytać tylko, bo mieszkam tu obok...

– Dobrze, dobrze, to była ostatnia impreza. – Machnął ręką, mając w pamięci, choć słabo, że nad ranem, gdy na parterze poleciało kilka szyb, policja zakończyła imprezę, uruchamiając armatkę wodną.

– Ja w innej sprawie... Bo, widzi pan, nie mam pracy, mój mąż siedzi, mnie chcą wyrzucić, czynsz podnieśli, a jak płacić, skoro jeszcze trójka takich... – Pokazała na chłopca. – Proszę pana, a przecież trzeba coś do garnka włożyć i ubrać, żeby to nie marzło, a zimą najgorzej, bo zabrali nam komórkę z węglem, tak że gdyby pan mógł, bo ja pana w telewizji widziałam, no i pomyślałam... – Kolana kobiety uginały się coraz niżej.

Ajła przebudził się w śpiworze, ziewnął i spojrzał na nią jednym okiem.

– Ile pani potrzebuje? – spytał Eric, drapiąc się po jajach.

– No... – Spojrzała w sufit. – Tak ze dwa, na czynsz, żeby, no wie pan...

Eric popatrzył na Ajlę, a ten zmarszczył brwi i wydał dolną wargę. Wstał, podszedł do regału, wziął do ręki książkę *Cząstki elementarne*, którą ktoś przyniósł na imprezę, by Eric złożył na niej autograf, ale zapomniał zabrać. Służyła teraz za skarbonkę. Przeliczył, podał kobiecie banknoty.

– Jezu, Panie Boże, niech panu w dzieciach wynagrodzi, panie Eryku! – Kobieta rzuciła się do jego dłoni, by całować, ale podniósł ją z kolan i odprowadził do przedpokoju.

– Głodny jestem – westchnął, gdy wrócił i uchylił wieko kartonu pizzy leżącego na parapecie okna.

Fifi i Ajla spojrzeli na siebie. Ryknęli śmiechem.

– Co? – Eric przeciągał się, ziewając.

– Może, Panie Jezu, coś wyczaruj – powiedział Ajla.

Wolny machnął ręką i wyjrzał przez okno. Niedobitki imprezowiczów leżały na chodniku, wokół uwijali się sprzątacze w żółtych kamizelkach, zbierając tłuczeń, kolorowe papiery, podarte gazety, kartony od pizzy. Ajla zaciągnął się z fifki i spojrzął w sufit.

– Powinna iść do banku.

– No co ty, przecież mówiła, że nie ma roboty. – Fifi wciągał właśnie buty, które znalazł w końcu na schodach klatki.

– Moja matka – Ajla wypuścił dym – prowadziła kiedyś taką sprawę. Gość nie miał roboty, ale był w każdym banku. – Do pokoju weszła zaciekawiona Nora, wycierając włosy ręcznikiem. – No więc facio wziął kartę kredytową w banku, choć przyznał, że nie ma roboty. Chciał umeblować chatę, bo ją dostał na kredyt, gdy jeszcze pracował. Raty za ten mieszkaniowy, jak frank skoczył, to miał chyba z półtora koła jakieś, a potem, w trzecim banku, wziął jeszcze pięćdziesiąt koła, żeby tę pierwszą kartę spłacić, a gdy mu żona zaciążyła z drugim bachorem, to znowu poszedł do banku i wziął dziesięć koła i już razem miał dwa półtora koła rat i gdy wreszcie znalazł robotę, to z pensji zostawały mu chyba ze trzy stówy. Komornik wlaź, za te kredyty i karty, no to wziął kolejne karty i od razu ogolił, żeby opłacić zaległy czynsz. Z tych kart jeszcze mu zostało, to wziął plazmę i robot kuchenny dla żony, żeby mu nie pierdoliła, że trwoni. Potem wziął kredyt, żeby spłacić tamte kredyty, a jeszcze się okazało, że to drugie dziecko nie może pić normalnego mleka, tylko jakieś specjalne, a na to dwie stówy szło, no to znów do banku, kolejna karta, z której mu zostało jeszcze na wieżę i głośniki. Ale zaraz przyszedł komornik i zabrał im telewizor, a namordował się, bo był przykręcony do ściany. Ten duży kredyt, co miał nim spłacić poprzednie, też facio olał, czynszu mieli znowu zaległego chyba ze trzydzieści koła, a razem wszystkiego to było z pół miliona. No i wtedy wziął moją matulę, a ona zaniósła do sądu papier od lekarza, że chłopak cierpi na „kompulsywny zakupoholizm”.

– I co? – spytała Nora, z wrażenia przerywając suszenie włosów.

– Sąd ogłosił, że to choroba, i dał faciovi zbankrutować. Komornicy musieli się od niego odjechać, a teraz dostaje zasiłek dla bezrobotnych i jeszcze na dzieci i wygodnie se siedzi w domu, oglądając ze starą tiwi. – Ajla wydmuchał wielki kłęb dymu.

– No jak? Mówiłeś, że telewizor im zabrali. – Fifi podniósł głowę znad sznurówek.

– Ale wzięli nowy na matkę tej dziewczyny, emerytkę, też za niego nie płacą, ale komornik może z emerytury zabrać tylko połowę.

– To straszne. – Nora wróciła do wycierania włosów.

Ajla zaciągnął się.

– Wszystko przez telewizję. Człowiek siedzi, ogląda, a jak wyłączy, to ma milion długu.

– No właśnie. – Fifi podniósł się na kanapie, podszedł do kartonu leżącego na podłodze i wyjął z niego płaski, czarny monitor. – Można z tego zrobić telewizor, jest kablówka. – Stanął przy ścianie i pociągnął za wystający kabel.

– Gdzie jest Monika? – spytał Eric, poprawiając palcem krzywo wiszący zegar.

– Po bułki poszła – mruknęła Nora z kanapy, gdzie piłowała paznokcie. Odłożyła pilniczek, podniosła telefon i przyłożyła do ucha. – Ma wyłączony. – Wróciła do piłowania.

– Kurwa! – zaklął Ajla przed laptopem. – Przegrałem półtora koła bitcoinów.

– Czego? – parsknął Fifi.

– Ramol jesteś, nie skumasz. Mam taką kolekcję w necie.

Eric podszedł do kanapy i usiadł między Norą i Fifi, który opadł tam zrezygnowany po przegranej walce z kablem telewizyjnym.

– Jak byłem w twoim wieku – Fifi założył ręce za głowę – to miałem kolekcję takich małych ludzików z *Gwiezdnych wojen*. Wujek mi przywiózł z Niemiec, pół podwórka do mnie waliło, żeby obejrzyć statek Vadera.

– Ooo! – Eric pokiwał głową z uznaniem. – Niszczyciel?

– Krążownik. – Fifi rozłożył ręce na szerokość metra. – Taki.



– Ja miałem bionicle, chyba ze czterdzieści. – Ajla stukał w klawiaturę.

– Co to? – Eric się skrzywił.

– Takie robociki – wtrącił Fifi. – Wiem, bo byłem raz z klientem na zakupach, szukał prezentu dla syna.

– *Gwiezdne wojny* – parsknął Ajla. – Dziadki...

– Dziadki? – westchnął Fifi. – Żeby to obejrzeć, staliśmy w kolejce pod kinem, a ty klikasz i już. Nasrane macie w tych łbach! Pamiętam, jak wpadliśmy do kina bocznym wejściem, bo zabrakło biletów na *King Konga*.

– Jak na *King Konga*? Przecież to było niedawno. – Ajla prychnął.

– Który? W tym, co ja widziałem, goryłowi było widać nitki, co go nimi poruszali. Z Jessicą Lange.

– Kto to jest, kurwa, Jessica Lange? – Ajla zastukał w klawiaturę. – O, jest taka. Ale ma zarośnięte brwi!

– Bo kiedyś baby nie depilowały. – Fifi podrapał się po brodzie. – Twoja matka depilowała? – Spojrzał na Norę.

– Moja matka niczego nie depilowała – odparła, skupiona nad paznokciami.

– Fifi, a *Rój* widziałeś? – odezwał się Eric, patrząc w okno.

– No... nie spałem po tym. Tamtego lata, jak to puszczała, to ze setkę pszczoł wyjebałem. A *Klasztor Shaolin* pamiętasz? – uśmiechnął się.

– Jaaaa... – Eric zamachał rękami, naśladując ruchy karateki.

– Nie no, to Bruce Lee – zaśmiał się Fifi, stanął na kanapie na jednej nodze i zawył cieniem głosem: – Uuu... łajijaaa... iii... – Wystawił pięści i spojrzał wokół, jakby szukał sparringpartnera.

Ajla zachichotał.

– Nie no, ja takie coś na Kwejku widziałem, ale to już są memy. Gadacie, jakbyście mieli tyle lat co moja matka...

– W takie wakacje – Eric pokazał za okno – jak byłem dzieciakiem, to siedziałem pod klatką i napierdalałem w kapsle.

– Jezu, jak szedł Wyścig Pokoju, to ja byłem Abdużaparow. – Fifi wstał, spojrzał na podłogę, schylił się po kapsel od butelki piwa i strzelił palcami, trafiając

w laptop.

– Jeeeeee!

– Też mam! – Wolny podniósł zakrętkę od butelki z wódką. – Idziemy na dół, tam jest piaskownica.

– Nie, nie wierzę – westchnął Ajla, podniósł się z podłogi, wziął jakiś kapsel i wyszedł za chłopkami, którzy biegli w dół po schodach, krzycząc jak Indianie.

Piaskownica stała pośrodku oficyny, obok starego trzepaka. Eric nogą zaczął kreślić w piachu szlak na szerokość stopy. Fifi kucnął za nim i ustawiał dłońmi piaskowe murki, by utworzyć krawędzie toru.

– Czekaście! – pobiegł do klatki schodowej, z której wyszła Nora. Podbiegła do trzepaka i zrobiła wymyk.

– Auaaa – syknęła i złapała się za pierś.

Fifi wybiegł po chwili, ścisnął w dłoni długopis.

– Podpisać się trzeba. – Nabazgrał coś po wewnętrznej stronie kapsla i podał długopis Ericowi.

– Kto pierwszy? – Zaznaczył butem krechę startu na torze. – Robimy trzy koła, pierwszy wygrywa, zdublowany odpada.

Nora zeskoczyła z trzepaka, sycząc z bólu. Podeszła do nich, wyciągając palec.

– Ene, due, rike, fake, / torba, borba, ósme, smake, / eus, deus, kosmateus, / na kogo wypadnie, na tego bęc! – Zatrzymała się na Ericu.

– Zaraz. To się nie liczy, od siebie trzeba. – Fifi dotknął palcem brzucha. – Trań, trań, misia bela, / misia Kasia konfacela, / misia a, misia be, / misia Kasia kon-fa-ce!

Znów padło na Erica. Zadowolony rzucił „ha!”, kucnął, postawił kapsel na linii startu, zagryzł wargi i pstryknął. Kapsel wypadł poza tor.

– Wylot! – krzyknął Fifi.

– Ale po trzy są. – Eric pstryknął jeszcze raz. Kapsel odbił się od piaszczystego murka i pokonał zakręt. – Jestem Uwe Ampler!

– A to, kurwa, kto? – Ajla wybuchnął śmiechem.

– Kolarz z NRD. Ja będę Uwe Raab, on wygrał wyścig. – Fifi podniósł ręce, jakby właśnie przekroczył metę.

– Nie wygrał, miał tylko etapy. Ampler wygrał. – Eric pstryknął swój kapsel po raz trzeci, dochodząc prawie do końca toru.

– Wygrał!

– Nie wygrał – odezwał się męski głos.

Odwrócili się. W bramie opierał się o ścianę młody mężczyzna. Wydawał im się znajomy. Podeszedł do nich, wyciągając rękę na powitanie.

– To facet z rządu – skrzywił się Ajla. – Czego pan chce? – spytał, nie podając mu ręki.

– Już nie. Przyszedłem, bo też jestem wolny. Jak wam to nie leży, okej. – Trzeźwy włożył ręce do kieszeni spodni.

Fifi sięgnął do swojej, wyjął kapsel i podał mu.

– Mogę być Olaf Ludwig – uśmiechnął się Trzeźwy.

Z bramy wyszła Monia, ocierając rozmazany wokół oczu tusz. Chciała wejść do klatki schodowej, gdy zobaczyła zbiegowisko. Podeszła szybko do Trzeźwego.

– Ty skurwysynu! To kapuś! On jest od nich! – wrzasnęła i zamachnęła się, by go uderzyć. Eric złapał ją za rękę.

– Przestań! Monia!

– Zabrali mnie spod sklepu, jakaś policja dziwna czy coś tam, trzymali na komendzie, pokazywali te zdjęcia, z nim w Dramie, a to przecież Wafel wymyślił... Powiedzieli, że mnie puszcza, ale mam nadawać, co się tu dzieje. – Machała rękami. – Pytali, kto jeszcze jest u nas, o co chodzi z tymi zamieszkami, grozili, że mnie wsadzą, jeśli nie sypnę! – Szarpała się z Erikiem, ale on przytulił ją mocno. Wreszcie odpuściła i rozplakała mu się w ramię.

– Uspokój się, kto to jest Wafel, jaka policja? – Odgarniał jej włosy z czoła.

– Pewnie ABW – powiedział Trzeźwy.

– Wafel to paparazzi. – Dziewczyna ocierała łzy. – Kazał mi przysiąc się w knajpie do tego faceta. – Pokazała na Trzeźwego. – Kasę chciał wydebić, jak zwykle. Ci ludzie pokazali mi zdjęcia. Powiedzieli, że wiedzą o moim dziecku. Wafel wszystko im nadał, poszedł na współpracę. Mi też obiecali, że jak będę gadać, to dadzą spokój...

– Jakim dziecku? – Eric spojrzał na nią, marszcząc brwi, a Nora, stojąca obok, ukryła twarz w dłoniach.

– Pani znajomy, Wafel, jak rozumiem – Trzeźwy wziął głęboki oddech – chciał ode mnie wyłudzić pieniądze. Przez was straciłem pracę, ale nie wiedziałem, że jeszcze panią spotkam. Do widzenia... – Odwrócił się, by odejść, ale Ajla przytrzymał go za rękaw.

– Poczekaj! Po co przyszedłeś?

Mężczyzna odtrącił jego rękę.

– Z sondaży wynika, że trafiliście na idealny moment, że to siła odśrodkowa dla obecnej sytuacji, macie potencjał, to znaczy Eric. Chwilowo nie mam zajęcia, pomyślałem, że...

– Nie możemy być kojarzeni z żadną siłą polityczną, a ty jesteś taki jak oni! – Chłopak dźgnął go palcem w pierś.

– Gównu wiesz o polityce! – Chwycił go za przegub. – Sami nic nie zrobicie. Zachęciłem kilka ruchów, które znam, żeby się do was przyłączyły. Jak się nie zarejestrujecie i nie połączycie sił, zniszczą was! – rzucił, a Ajla spojrzał na niego, mrużąc oczy.

Po chwili poszli na górę. Trzeźwy usiadł na czerwonej kanapie, popijał kawę. Eric oparł się o parapet okna i niecierpliwie patrzył na zegarek, który wisiał krzywo na ścianie. Monia i Nora przygotowywały kanapki w kuchni, bo na ulicy gromadził się już tłum krzyczących „Impre-za! Impre-za!”. Fifi, klnąc, próbował uruchomić telewizor.

– On chyba ma rację – wymamrotał nadąsany Ajla, siedząc pod ścianą i stukając w laptop, który trzymał na kolanach. – Na fejsie są deklaracje poparcia dla Erica.

Wyczytywał kolejne nazwy ruchów, a Trzeźwy w milczeniu przypominał sobie ich genezy.

Pał Konopie, Tylko Konopie i Zioło – trzy ugrupowania młodzieżowe żądające zalegalizowania marihuany i haszyszu. Na ich czele stał były diler narkotykowy udzielający wywiadów przez telefon z więzienia w Tajlandii, gdzie odsiadywał

potrójny wyrok śmierci za przemyt, ale dzięki wstawiennictwu prezydenta Polski zamieniono go na podwójne dożywocie. Jego książki *O jedną działkę za daleko...* rozeszło się pół miliona egzemplarzy, a pieniądze poszły na założenie ruchu Ziolo, z którego wypączkowały dwa kolejne i kłóciły się o prawa do funduszu.

Koło Gospodyń Miejskich odłączyło się od ruchu Femini przeciwnego prezentowaniu kobiet w telewizji w roli kucharek.

Wolne Dzieci, zwolenniczki wychowania w domu, które instytucję szkoły uznawały za archaiczną, szkodliwą dla przygotowania do życia społecznego i pomijającą rozwój dzieci wybitnie zdolnych. Od kilku lat zbierały podpisy pod projektem ustawy, by znieść obowiązkową naukę na poziomie szkoły podstawowej, ale trwa spór w samej organizacji o kształt podręcznika do nauki w domu.

Wolne Matki odłączyły się od ruchu Wolnych Dzieci, to zwolenniczki budowy przedszkoli przy każdym dużym osiedlu, gdzie miałyby pracować same matki – rotacyjnie – za co otrzymywałyby wynagrodzenie od samorządu. Eksperymentalne przedszkole skończyło się skandalem, gdy jedna z nich podczas dyżuru zamknęła się na chwilę z telefonem komórkowym w łazience, bo – jak później tłumaczyła – „miała ważną rozmowę biznesową”, a dzieci rozbiegły po osiedlu. Jedno z nich, zmarznęte, po dwunastu godzinach znalazł nad rzeką wędkarz.

Zgłosiła się też Laicka Polska, grupa byłych księży, autorów słynnej książki *Ministrant. Ksiądz. Seks*. Chcieli przystąpić do Polskiej Lewicy, ale zrezygnowali, gdy jej szef tuż przed wyborami postanowił, biorąc przykład z Pierwszego, wziąć ślub kościelny.

Było i EksMen, stowarzyszenie transwestytów, gdzie znaleźli się także księża, którzy odeszli z Laickiej Polski. Przewodziła im Miss Polonia. Odebrano jej koronę, gdy wyszło na jaw, że kilka lat wcześniej pracowała w PKS-ie w Pułtusku jako Stefan, a teraz chciała kandydować w wyborach prezydenckich. W samym ruchu trwają spory, czy będzie się do niej mówić „pani prezydent”, czy, jak chciałby ruch Femini, „prezydentka”.

Są też Słodkiemisie żądające uznania soft pedofilii za legalną. Jako argument podali orzeczenia lekarzy, psychologów z USA, że mała dawka erotyzmu u małego

dziecka pobudza jego kreatywność, na co zareagował ultrakatolicki portal Krzyżowcy, pokazując kontropinię, że pedofilia wobec dzieci prowadzi do homoseksualizmu, a ten, jak wynikać ma z kolejnej opinii, do pedofilii.

– To głównie lewicowe ruchy bez wyraźnego lidera, dlatego ich działalność jest marginalna, a brak konsolidacji wyrzuca je na margines realnej władzy. Razem mają jakieś – Trzeźwy potarł podbródek – trzy procent. Eric ma w tej chwili poparcie piętnastoprocentowe, i to w grupie, o której głosy toczy się zawsze zawzięta walka przed wyborami.

– Czyli jakiej? – spytał Ajla.

– Niezdecydowanych, młodych, stroniących od polityki.

– Ile to daje w wyborach?

– Gdyby przeliczyć realnie, to moim zdaniem nawet dwanaście procent. Na pewno też część elektoratu Lewicy przeszłaby do Erica, uważając, że Lewica nie jest dość radykalna w swoich działaniach i flirtuje z Kościołem.

– A ile to tych... posłów? – spytała Monia, wchodząc do pokoju z kanapkami.

Trzeźwy spojrzał w sufit.

– Według obecnej ordynacji czterdziestu pięciu.

– A kiedy wybory? – Ajla był coraz bardziej podniecony.

Trzeźwy podszedł do Erica i przysiadł na parapecie.

– Za czternaście miesięcy. Potrzeba jednak jasnego, wyraźnego hasła, które was pociągnie. Nie wiem, czy zbudujecie program tylko na proteście przeciwko Kościołowi, dlatego warto coś dorzucić. Mam coś. – Wyjął z tylnej kieszeni portfel, a z niego zalaminowaną karteczkę. – Noszę to od lat, taka pamiątka, nie myślałem, że się przyda... – Podał ją

Ericowi.

– „Fucking corporations”?

– Ruchać co? – zawołała z kuchni Nora.

– Firmy. Które nas ruchają. – Ajla podniósł się, by przyjrzeć się kartce. – O! Jest nawet fajne logo – zaśmiał się, pokazując wszystkim narysowanego penisa.

– To hasło chwyci. – Trzeźwy schował laminat. – Musimy jednak szybko

zarejestrować ruch i zbudować struktury w regionach. Potrzebne będzie...

– My? – przerwała mu Monia i spojrzała na Erica, który wzruszył ramionami.

– Czy ktoś zna się na polityce? – zapytał Trzeźwy.

– Ja! – krzyknęła Nora z kuchni. – To syf!

Ajla zaciągnął się z fifki.

– Słusznie. Dlatego nie będę żył z polityki.

– Drinka? – spytał Eric i podsunął Trzeźwemu szklankę, znów zerkając na zegar.

– W zasadzie nie tykam, ale co tam, zaczynam nowe życie. – Trzeźwy upił łyk.

– Ja też – wymamrotał Wolny, spoglądając ukradkiem na Monię, która mocowała z Fifi kabel w telewizorze. – A ty z czego chcesz żyć? Z kieszonkowego? – odezwał się do Ajli.

– Z bitcoinów. Albo z tego. – Pokazał na fifkę. A potem wyjął z kieszeni bluzy żółte plastikowe jajo, które Eric dał mu pod piaskownicą.

– To za zioła ten wyrok? – Fifi podniósł głowę znad telewizora.

– Taaaa... Ale matka załatwiła mi zawiasy.

– A te bitcoiny? Co to? – zapytał Eric i stuknął się szklankami z Trzeźwym.

Ajla zaciągnął się.

– O kurwa, ale mocne! Gram w *Hammond Rock* od czterech lat, taki second life. Buduje się cywilizację, im bardziej wypasiona, tym większy bitcoin za uzbrojenie, logistykę, know-how. Ale uczciwie za długo by trwało, można się zgadać i zrobić najazd na jakąś słabo uzbrojoną, rozjechać... – Zaciągnął z fifki, aż policzki mu poczerwieniały. – Kurwa, ale mocne... i zabrać bitcoiny. Można też porwać komuś członka rodziny, zażądać okupu...

– Porwać? – Trzeźwy upił kolejny łyk.

– No, wirtualnie.

– To głupie. Kto się przejmie rodziną w komputerze? – parsknęła Nora.

– Wyobraź sobie – chłopak wypuścił dym – że parę lat żyjesz jakąś postacią i pilnujesz każdego dnia, by jadła, bawiła się, żeby jej ktoś krzywdy nie zrobił... Pamiętacie *Simsy*, taką grę w rodzinę? Od tego się zaczęło, ludzie mieli doła, jak im wyjebało avatara...

– No, ale za te bitcoiny nic nie kupisz, znaczy w prawdziwym sklepie. – Fifi znów podniósł głowę znad telewizora.

– Jak nie! To waluta cyfrowa, ale możesz skonwertować przez bank w Słowenii i przetrzymać na konto. Honorują już niektóre sklepy, ten, no, Reserved, H&M, Big Star, o! – Pokazał na swoją bluzę. – To za bitcoiny.

– Ale nie zatankujesz. – Trzeźwy wychylił szklanekę do końca.

– Jak nie! Orlen daje do pięćdziesięciu litrów miesięcznie, a rozlicza się z operatorem gry, z Black\_Edem. Nikt nie wie, kto to, ponoć izraelski rząd, który pierze pieniądze, by finansować opozycję w Iranie. – Ajla zaciągnął się tak, że oczy zasły mu mgłą.

– Skąd wiesz? – spytał Eric.

– Piszą na WikiLeaksie. Ja pierdołę, ale mocny towar... No jeszcze w Żabce nie honorują, chleba nie kupię, ale zaraz wszędzie wejdzie. Mam z tego trzy koła na miesiąc. A potem... już nie będzie normalnej kasy, tylko bitcoiny.

– Co oni nam szykują? – Trzeźwy podstawił Wolnemu szklaneczkę do polania.

– Jesteście dinozaurami, na wymarcu, a my będziemy mieć obwody i przeszczepy mikroprocesorów w mózgach i jeszcze te... nanokostiumy połączone bluetoothem. – Ajla się zakołysał. – A potem nastanie era Wielkich Główn, bo nogi, ręce to już przeszłość, relikw przemieszczania się, wszystko zastąpią nanokomunikatory, cały świat będzie w głowie...

– A kto będzie wam uprawiał zioło? – parsknął Fifi.

– Tacy jak wy! – Chłopak chciał wstać, ale nogi nie dały rady. – Wykluczeni cyfrowo, będziecie grzebać w ziemi, sadzić i obcinać listki...

– Znaczą, że to będzie jakaś sieciokracja? – odezwał się Trzeźwy.

– To będzie nanokracja, każdy będzie równy, a głosowania będą się odbywały na portalach, rządzić będą moderatorzy, wirtualny parlament, śmiećcie się, śmiećcie, a kurwa, fora dyskusyjne to co, śmiećcie się, gdy nastanie nowa era, zrobimy z wami wielki, piękny reset... – Głowa mu opadła na piersi. Zachrapał.

Trzeźwy podszedł do niego i lekko podniósł jego głowę.

– Ujarał się. Jezu, te dzieciaki będą nami kiedyś rządzić...



Monia odwróciła się od telewizora, oparła ręce na biodrach.

– Jak spotka laskę, dostanie bachora do przewinięcia i obesra mu cały dom na zielono, to zobaczy, co to jest, kurwa, „wielki, piękny reset”.

Mężczyźni stuknęli się szklaneczkami.

– Za pampersyyyyy!

Trzeźwy odstawił swoją na stolik.

– Wpadnę w tygodniu, pomogę wam napisać program, rozdzielić role. Kto zna języki?

Nora podniosła palec.

– Ja się... uczę angielskiego.

– Aha. – Trzeźwy podrapał się po głowie. – No to dobra. – Podał każdemu rękę i wyszedł.

Wolny usiadł na kanapie, tarł nerwowo ręce i spoglądał na zegar ścienny.

– No tak... Słuchajcie, muszę coś załatwić, będę niedługo.

Zszedł na dół, a gdy usłyszał skandowanie przed wejściem, skorzystał z drugiej klatki schodowej, by niezauważony przejść na sąsiednią ulicę. W Rossmannie kupił dużą podróżną torbę, szczoteczkę do zębów, żel pod prysznic i ręcznik. W placówce banku młoda kobieta z przyklejonym uśmiechem wskazała mu fotel.

– Dzwoniłem godzinę temu, prosiłem o przygotowanie wypłaty. – Wyjął dowód osobisty, a kobieta wklepała do komputera jego dane.

– No tak, jest dyspozycja. To duża gotówka, zapraszam pana obok. – Wstała, wskazując ręką małe pomieszczenie na końcu korytarza. Eric kątem oka widział czujne spojrzenia pracowników banku. Zamienił od razu złotówki na euro i wrzucił je do torby. Zatrzymał na ulicy taksówkę, komórka zadzwoniła mu w kurtce, ale postanowił już nie odbierać. Wszedł do holu dworca PKP, kupił bilet, spojrzął na zegar. Miał jeszcze kilka minut. Wyjął z kurtki telefon. Przeszedł na peron, usiadł na ławce naprzeciwko pociągu relacji Warszawa–Berlin. Wybrał w telefonie pocztę głosową, by odsłuchać wiadomość. Monia mówiła szeptem: „Słuchaj, nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć, ale czuję, że jestem w ciąży, bo wiesz, w nocy... – Jej głos się załamywał. – To chyba dzięki tej Bogini Płodności. Jeśli to będzie

chłopiec, dam mu na imię Ajla, podoba mi się. A tobie?”. Koniec wiadomości. Spojrzał na bilet ściskany w mokrej dłoni. Spuścił głowę, ramiona mu zdrząły. Zacisnął mocno zęby i spojrzął na pociąg, który ruszył.

Młody wszedł do newsroomu, było już po zebraniu. Rzucił okiem na wydruki najnowszego wydania wiszące na ścianie. Pierwsza strona była po oczach zdjęciami, które dzień wcześniej widział w rękach Papy.

*Tylko u nas! Tragedia Złotych!*

*Tajemnica śmierci małej Klaudynki rozwiązana. Matka nie upilnowała dziecka. Sensacyjne zdjęcia fotoamatora wychodzą na światło dzienne.*

Wszedł do gabinetu Lebiody. Naczelnny siedział za biurkiem, uśmiechał się.

– Odchodzę – rzucił chłopak. – I nie zostawię tak tego...

– Zostawisz. – Lebioda położył przed sobą plik kartek. – I nie odejdiesz. To pozew. Przyszedł wczoraj kurierem. Ktoś łebski im to napisał. Rodzice zasypanych dzieci chcą pół miliona odszkodowania za zdjęcia, które im ukradłeś. Przegramy to, ale redakcja zapłaci, bo jesteś naszym pracownikiem. Jeśli odejdiesz, sam zabulisz, będziemy musieli ujawnić twój pseudonim. – Cmoknął jakby z zadowolenia i odchylił się w fotelu.

Młody spojrzął na pierwszą stronę pozwu, zauważył ledwie widoczny znak wodny z inicjałami „HZ”. Uśmiechnął się kwaśno i wyszedł z gabinetu. Podeszedł prosto do swojego komputera, wyjął z kieszeni owinięty w karteczkę pendrive. Siedział, obracał go w palcach i patrzył na wyłączony monitor. Tak długo, aż stracił poczucie czasu. Z zamyślenia wyrwał go odkurzacz pana Wieliczki. Młody spuścił wzrok na swoje buty, potem rzucił pendrive nisko nad wykładziną, jak kulę do kręgli wprost pod ssącą dziurę. Potem wziął torbę i poszedł do windy. Ruszyła, stanęła między piętrami. Usiadł na podłodze, wyciągnął nogi, wyobrażając sobie, jak wisi gdzieś w połowie między ziemią a redakcją. Spojrzał na ściankę z bazgrołami i tuż obok przycisków zobaczył napis różową szminką, którego wcześniej nie zauważył: „Fak maj lajf”.

Gambit wyciągał nogi pod stolikiem na kawiarnianym ogródku i skinął na kelnera tak, jakby ten pracował dzisiaj tylko dla niego. Zamówił latte, podniósł ze stołu „Tylko Życie” i otworzył rubrykę *Z życia seriali*. Główny artykuł ilustrowany był jego zdjęciem, na którym trzyma się za policzek. Błada opisywała, że „doktor zranił się, uderzając w szafkę kuchenną”, ale na tyle mocno, że „Michał Gambini plaster musi nosić nawet poza planem”. Była też wypowiedź dermatologa, który „zaleca okłady gojące, by jak najszybciej wrócić do formy”. „Co za poświęcenie!” – wieszowała Błada. Gambit zachichotał. Już z rana dostał telefon od menedżera, gdy ten znalazł poradę na fanpage’u *Lekarza rodzinnego* od fanki zalecającej „panu doktorowi Moletti babkę lekarską zawierającą aukubinę, która działa przeciwbakteryjnie”. Gambit usłyszał komunikat esemesa, podniósł telefon, rozejrzał się. Przy chodniku, po drugiej stronie ulicy, obok zaparkowanego bmw stał Papa. Gambit obrócił się na krześle tak, by nic go nie zasłaniało.

Papa wyjął aparat z torby, dokręcił obiektyw, oparł na dachu. Spojrzał na Gambita przez wizjer. Pstryk. Wsiadł do samochodu, położył aparat na fotelu pasażera, a ręce na skórzanej kierownicy. Zamruczał z zadowolenia. Czteroletnie co prawda, ale bmw – z kremową skórą tapicerki, smukłą, sportową sylwetką, no i ten kolor: „damasceńska stal” – kupił tego ranka. Poprawił przy kratce wentylacyjnej buteleczkę z zapachem „cytrynowe pole” i wciągnął nosem powietrze, by delectować się brakiem mlecznej stęchlizny. W planie miał zakup długiego obiektywu, który pozwoli mu robić zdjęcia z odległości nawet trzystu metrów. Starczy też na nowy aparat, bo agencje zabijają się o jego zdjęcia pijanej Wiśni. Spojrzał przez szybę na chodnik. Zaklął. W kierunku jego auta biegła aktorka Wawrzyniecka. Trzymała w dłoni plastikową butelkę. Spanikowany pogmerał po kieszeniach, by znaleźć kluczyki. Aktorka była kilka metrów od samochodu, gdy uruchomił silnik, ale zaklinowała szybę ręką i wcisnęła butelkę do środka.

– Kurwa no! Tylko nie to! – zasyczał, gdy chlusnęła białym płynem, krzycząc:

– A masz, ty chuju!

Pokazała Papie wała i kopnęła w drzwi auta. Ruszył z piskiem, walnął pięścią w kierownicę i wciągnął smród mdłej stęchlizny.

KONIEC

Copyright © by Marcin Kącki

Projekt okładki  
Izabella Marcinowska

Zdjęcie na okładce  
Copyright © STILLFX/iStockphoto.com

Redakcja  
Karolina Macios

Opieka redakcyjna  
Ewa Bolińska  
Anna Steć

ISBN 978-83-240-3850-3

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)